Listopad. — 1858.

O KWESTYI ZAGROD WŁOSCIAŃSKICH

I JEJ ZASTÓSOWANIU

w zachodnich prowincyach Cesarstwa Rosyjskiego.

Między prawdami, na których spoczywają urządzenia społeczne, są niektóre tak jasne, tak niezaprzeczone, tak silnie oparte na nauce społecznéj i na większej jeszcze nauce doświadczenia, że milczenie którem są zwykle pokryte, łatwo ujść może za dowód bezspornego ich przyjęcia przez ogół, tak jak się bezspornie przyjmuje wszystko, co już wyszedłszy z dyskussyi, stanowi niejako elementarną część rzeczy. Wszyscy tak dobrze zdają się łączyć w jednem ich zrozumieniu, przynajmniéj dopóki nie wychodzą ze sfer teoryi, że ich powtarzanie zdawałoby się zbytecznem. Skoro jednak przyjdzie chwila wprowadzenia ich w życie, zaraz daje się spostrzegać nie tylko zwykły przedział istniejący między słowem a czynem, ale nawet zapomnienie tych właśnie praw, których ciągłéj obecności w umysłach, jasność ich i prostota zdawały się być dostateczną rękojmią.— Obecnie zaprowadzona w Rosyi reforma jest nowym

tego dowodem; — może ona służyć za przykład nie tylko tego, jak czynności nasze są różne od poprzednich słów i marzeń, a może tylko od poprzedniéj gadaniny, — lub też, jak naszemi zdaniami w tak ważnéj sprawie, — zawsze jeszcze kieruje *prywata* ta stara narodu wada; ale i tego także, (i na to zwracam głównie baczność) jak często chwilowe żądania nasze nie są w loicznym związku z istotnemi dążnościami i zasadami naszego historycznego stanowiska, i jak znowuż wywoływane przez nas skutki okażą się koniecznie w przeciwieństwie z naszym tradycyjnym, szlachecko liberalnym duchem.

W obrębach zajmującego nas pytania, sprzeczności te i przepomnienie owych kardynalnych prawd najbardziéj dotąd się okazały w przedmiocie włościańskich zagród, jako jądro kwestyi, jako na pierwszem polu na którem starły się zdania, polu najbardziej bliskiem obaw i namiętności ogółu. — Przedsięwziąłem przedstawić tu pobieżnie kilka uwag tyczących się tej strony kwestyi włościańskiéj ze względu na obecne jej postawienie przez władzę, nie w nadziei, oczywiście wpłynięcia na jej rozstrzygnienie u góry, ale w szczeréj chęci zwrócenia uwagi moich współziomków i na właściwe jej stanowisko, i na potrzebę i sposoby słusznego oszacowania włościańskich zagród. — Miałem atoli co innego jeszcze na myśli. Opinie tu wyrażone są w znacznéj części przynajmniéj podzielane przez wielu z moich współobywateli. Wręcz przeciwne obecnemu położeniu kwestyi zagród, zaledwie zdołały one nieśmiało i niezręcznie może się wyrazić, a już wywołały w ustach naszéj liberalnej, ale tych rzeczy często nieświadoméj literatury, powszechny okrzyk potępienia. Sam „*Czas*“ nawet nie wahał się wyrzec przez usta swego poznańskiego korespondenta, że kraje ruskie tak dziś jak i dawniej zostają z tylu za innemi polskiemi ziemiami, sko-

ro iść trzeba na drodze oświaty i postępu. Zagraniczna prasa podniosła te zarzuty, i urągające jej echo zakończyło się brutalską obelgą londyńskiego „Globa", ciśniętą właśnie téj polskiéj szlachcie, z któréj to łona wyszedł ów pierwszy popęd obejmujący dziś zdumioną Rosyę. — Otóż chciałem przedstawić rzeczy w prawdziwem ich świetle, wskazać na istotne przyczyny oporu szlachty, w nadziei że ją zdołam uniewinnić przed postępową jéj bracią, — a skoro przypomnę jeszcze, że ze wszystkich polskich krajów tylko ruskie ziemie doznały praw *inwentarzowych* zastósowanych przez *bibikowską* administracyę, i nad ich tylko głową wczoraj jeszcze wisiały niebezpieczeństwa które już gdzieindziéj podkopały zasadę własności, nie wyda się może tyle dziwnem, iż pomimo rękojmi nowego panowania, ziemie te pokazały się co do prawa własności czulszemi i drażliwszemi od innych.

Rachując na pobłażanie czytelnika rozszerzyłem się nieraz nad szczegółami niepotrzebującemi długiego tłómaczenia. Pochodzi to ztąd, że pragnąc pogodzić uszanowanie istniejących praw z koniecznemi ustępstwami, winnemi naszéj przeszłości, i przyszłym potrzebom społeczeństwa, musiałem nieraz odpowiadać na zarzuty mogące mnie dójść z jednéj lub drugiéj strony. Wiem jak dalece to pośredniczące stanowisko między ostatecznościami jest trudnem do utrzymania i nawet poniekąd niebezpiecznem, jeśli się doń przyłączy choćby najumiarkowańsza krytyka postępowania władzy; — ale miałem sobie za obowiązek wypowiedzenia bez ogródki moich przekonań, w nadziei, że ci, którzy ich nie podzielą, potrafią je uwzględnić czystością moich pobudek i ważnością chwili, która bardziej niż kiedy, żąda od każdego wyrzeczenia się wszelkich osobistych widoków.

Paryż w sierpniu 1858 r.

I.

Ze wszystkich drugorzędnych pytań, które towarzyszą wielkiemu zadaniu oswobodzenia włościan cesarstwa rosyjskiego od poddaństwa, jednem z najzawilszych, z najtrudniejszych do rozwiązania, jest niewątpliwie kwestya *wykupu* albo raczej *kupna włościańskich zagród*; — operacyi, którą sprawiedliwie możnaby nazwać *przymusową*, kiedy ani kupujący, ani przedający nie mogą się zeń uwolnić; i kiedy, wmyśl cesarskiego reskryptu, staje się ona warunkiem nieodbitym, podstawą emancypacyi. — Ta kwestya zagród wywołała już ze strony kraju nie mało trudności i biernego oporu,— że strony zaś rządu wymagała ona i nadal jeszcze wymagać będzie wielką stałość i energię dla dopięcia celu obranemi przezeń drogami.

Gdyby głos mój nie był zbyt słabym, aby być posłyszanym w sferach rządu, ośmieliłbym się zwrócić jego baczniejszą uwagę na ten opór szlachty całego niemal kraju, i na jego przyczyny, — wskazałbym nadto możliwość połączenia w pewnych razach niezadowolenia ludu z niechęcią klass wyższych. Jeżeli bowiem po całem państwie pokazały się wyraźne oznaki nieukontentowania, — jeżeli nawet zachodnie prowincye, skutkiem swoich tradycyj i rozwinięcia stosunków, najwięcéj przyjazne zniesieniu poddaństwa, przyjęły pomimo to akt emancypacyi z wyraźnem wahaniem, to jedynie z powodu tego obowiązkowego wykupu zagród, w którym słusznie czy nie, jak to później zobaczymy, przewidziały, lub może przeczuły tylko, źrodło przyszłych zawikłań i trudności, nierozstrzygniętych może inaczéj, jak za pomocą przymusowego wywłaszczenia szlachty z gruntów ornych dziś przez włościan trzymanych.

Niechaj nikt z tych słów nie wnosi, żem przeciwny oswobodzeniu naszych włościan. Wierzę owszem w gwałtowną potrzebę przeprowadzenia tej reformy bądź co bądź, *quand même*, jak mówią Francuzi. Nie tylko, że nie zaprzeczam właściwości dotknięcia jej w obecnéj chwili, ale sądzę żeśmy już wiele stracili z jéj opóźnieniem i że byłoby niebezpiecznem ociągać się dłużéj z rozwiązaniem pytania tak niespokojnie przez wszystkich wyglądanego; jestem nadto przekonany, że przy dopełnionych warunkach siły i słuszności, jedne to rozwiązanie zdolnem jest rozwiać szalone nadzieje i krzywe pojęcia zasiane ostatniemi laty w umyśle ludu, i że przez nie tylko usunie się niepewność stosunków, paraliżującą od lat kilkunastu rozwój pomyślności krajowéj. Dodam jeszcze, iż według mnie rząd cesarza Alexandra niemógł, między środkami, które miał pod ręką, lepszego wybrać jak powołania właścicieli ziemskich do spełnienia tego wielkiego dzieła; — niema bowiem wątpliwości że jakkolwiek w sporze są oni stronami, mniéj ednak będą zaślepieni swoim interesem, niż ich przeciwnicy (biurokraci) zawiścią i niechęcią ku nim; — ich rzeczą jest godnie odpowiedzieć zaufaniu monarchy, i oczekiwaniom kraju. — Nie zaprzeczam nakoniec wysokiéj wartości powodom, które skłoniły rząd do obrania własności za podstawę przyszłéj budowy społecznéj, gdyż niema nad tę ani mocniejszéj ani bardziej moralnej. Lecz w samym sposobie przyjętym dla dopięcia tego celu, pozwalam sobie upatrywać organiczne wady których przemilczenia zakazuje mi gorąco chęć widzenia téj reformy bez wyjątku na drodze uszanowania wszystkich praw i uznania *de facto* samodzielności człowieka, — jedynej nici po któréj się dochodzi do stanu prawdziwéj wolności wśród swobodnego porządku.

Tak, własność jest niezawodnie silną i moralną podstawą społeczeństwa, — ale wówczas tylko, kiedy jest rezultatem *dobrowolnie podjętych i samodzielnych* usiłowań człowieka. Nie dość na tem: wtedy tylko staje się ona źródłem materyalnéj pomyślności dla kraju, kiedy nie narzucona z góry, i przychodząc niejako sama z siebie, jest przez to samo dopełnieniem, kształtem zewnętrznym dostatecznie rozwiniętych sił, potrzeb, i zdolności wewnętrznych narodu. — I śmiem twierdzić, że ktokolwiek zapomina o tem, dotykając téj strony pytań społecznych, będzie mógł zapewne węzłem posiadania połączyć miliony ludzi z tyluż cząstkami gruntu, ale z pewnością nie osiągnie moralnych skutków własności. — Nie jest się podstawą i rękojmią porządku dla tego że się coś posiada, tylko dla tego, że się uczciwą pracą przyszło do własności; — i również się nie jest rzeczywiście wolnym dopóki samodzielność usiłowań nie zrodzi lub nie wzmocni samodzielności ducha; bo niezapominajmy o tem, że nie sam fakt posiadania, tylko moralny jego skutek kształci obywatela, a skutek ów zawisł od drogi, którą się przychodzi do własności. Można, jak Cezar, uderzeniem stopą o ziemię wywołać z jej łona mniej lub więcéj trwałe tłumy właścicieli, ale chcąc stworzyć obywatela trzeba poruszyć te strony których brzmienie podnosi ducha i wzmacnia serce.

Jest to w ogóle niebezpiecznem przejściem dla kraju, i często powodem wielu cierpień późniejszych, kiedy okazuje się potrzeba wprowadzenia na drodze pisanego prawa, i w jednej niemal dobie, reform, które przy normalnym rozwoju dziejów, tylko postęp społeczny zwykł nieznacznie zaszczepiać a czas jeden utrwalić potrafi. — Kiedy idzie o odmianę praw rządzących porządkiem sądowym, administracyjnym, politycznym nawet, można przypuścić, iż dość jest mądrości i doświadczenia prawodawcy, by doprowadzić dzieło do skutku. Lecz ina-

czej się ma z przywróceniem od wieków naruszonéj harmonii, między organizmem zewnętrznym społeczeństwa a rozwojem jego sił wewnętrznych, który organizm ten prześcignął. Wtedy ciało społeczne budząc się z letargu spostrzega, że ciasna suknia krępuje jego ruchy i wzrost swobodny, — i jak ów potok co skałami więziony szuka sobie nowego łoża, gdzieby mógł roztoczyć wezbrane wody, — tak i naród w danéj chwili czuje potrzebę odnowienia starych swych kształtów i w jednym dniu pragnie zdobyć to, na co gdzieindziéj wieki się składały. Szczęśliwy wówczas jeśli, szanując sprawiedliwość i słuszność, potrafi na drodze reformy uniknąć rewolucyi, lub wszystkiego co tchnie jej duchem

Lecz aby się utrzymać na ślizgiéj drodze społecznych reform w tem dziele przywrócenia harmonii ducha z organizmem zewnętrznym, winno się mieć na uwadze, aby nowy kształt społeczny godził się z dwoma bardzo różnemi rzeczami: *naprzód* z gruntem, z istotą samą narodowego charakteru, żywiołem *nieruchomym* i *wiecznotrwałym*, ale trudnym do objęcia w pewnik jasny i ścisły; — *powtóre* z rzeczą natury *ruchoméj zmiennéj* i *nierównéj*, to jest z obecnym stopniem oświaty w kraju, również prawie niepodobnym do określenia. A jednak nowa forma społeczna musi się zgadzać z temi dwoma żywiołami tyle rozmaitemi w owych objawach ile jest w państwie rozlicznych narodów i miejscowości, i co większa, — żywiołami nikomu dokładnie nie znanemi. Bez tego nie będzie ona czem innem jak więzem nowego kształtu. Otóż wątpię, aby najmądrzejszy prawodawca zdołał odpowiedzieć w zupełności temu podwójnemu zadaniu. Nie trudnoby mi było wynaleźć przykłady na poparcie mego twierdzenia, choćby nawet w owéj tak obmyślanéj i wykończonéj organizacyi francuskiego społeczeństwa, w tym kodexie cywilnym, który jakkolwiek z geniuszu poczęty, nie przestaje dotąd wszak-

że różnić się w pewnych szczegółach od przyrodzonych skłonności narodu.

Ale czego sam przez się człowiek nie odszuka, to znajdzie niezawodnie swobodne działanie przyrodzonych sił i skłonności narodu, *instynkt narodowy*, że tak powiem, który zwolniony z więzów i mądrze pokierowany, sam trafi na kolej sobie właściwą. A w takim razie cóż będzie obowiązkiem prawodawcy?— Oto,— usunięcie przeszkód tamujących wolny rozwój narodu, odwrócenie niebezpieczeństw mogących go spotkać, wsparcie go swemi siłami kredytem, doświadczeniem w ciągu przesilenia,— ukazując mu zawsze nad odmętem chwili nietkniętą chorągiew zasad będących podstawą wszelkiego społeczeństwa; słowem, obowiązkiem prawodawcy będzie kierowanie prądem bez zmuszenia go kwoli teoriom i planom naprzód ułożonym aby szedł inną drogą jak swobodnie przez się obraną. — Powinien zatem prawodawca unikać wszelkiego urządzenia, któreby nieodwołalnie przechyliło rozwiązanie pytania na tę lub na ową stronę, nie dla tego, aby niemogło być dobrém, ale dla tego że nie będąc swobodnym i naturalnym płodem narodowego ducha, każde takie *arbitralne* urządzenie najczęściéj będzie tylko sztucznem; wiadomo zaś że skoro się raz zeszło na drogę sztucznych urządzeń, nie przestaje się wciąż potrzebować podpór równie sztucznych, i nie mniéj słabych jak to co ma być podpartem. Rozwój narodów, bądźmy tego pewni, podlega, równie jak natura zewnętrzna, pewnym przyrodzonym prawom; jeżeli w ciągu dziejów nieszczęśliwe okoliczności zatrzymały go lub skrzywiły, — dla sprostowania go i sprowadzenia na właściwą drogę, najlepiéj jeszcze przywrócić straconą działalność tym prawom życia narodów,— zostawując dopełnienie dzieła czasowi, jedynemu mistrzowi posiadającemu tajemnicę trwałych budowli.

Zapatrując się z tego stanowiska na kwestyę emancypacyi włościan, i oddając z resztą zupełną sprawiedliwość wysokim powodom które skłoniły rząd cesarski do oparcia jéj na niewzuszonem wiązaniu zasad własności i wolności osobistéj, nie mogę jednak powstrzymać wyrazów żalu z przyczyny postawienia wykupu zagród za *niezbędny* warunek uwolnienia, za fundament *konieczny* przyszłéj budowy spółecznéj. Jest to bowiem, w mojem przekonaniu, rozstrzygnienie, zbyt śmiałe może, pytania, którego nikt prócz czasu stanowczo nie rozstrzygnie, tego mianowicie, która z dwóch form ekonomicznych, *własność* czy *dzierżawa*, bardziéj odpowiada potrzebom i usposobieniom włościanina, stopniowi oświaty i rolnictwa kraju? — to jest rzeczom, których żadna statystyka ułowić nie może, i o których ma się wszędzie, a tem bardziéj u nas, albo słabe, albo mylne wyobrażenie. Co większa, — jest to odpowiedź jednostajna na tyle rozlicznych wypadków, ile jest krajów i narodów różnéj oświaty i charakterów, żyjących pod berłem Rosyi; — więc trudno mi wierzyć aby dla wszystkich mogła być stósowną. Wyznaję otwarcie, że wolałbym aby rozstrzygnienie tak trudnego pytania zostawiono interesowi osobistemu tych których to się najbardziéj tyczy, poprzestając mianowicie na takiem urządzeniu rzeczy, aby pracowity i oszczędny włościanin mógł nabywać ziemię bez przeszkód, owszem z pomocą o ile by to się dało zrobić, (o czem się późniéj powie) lecz żeby niebył do tego zmuszonym przez żadne prawo jeżli nieupatruje w tem swojéj korzyści; — żeby ubogi nie był wciągnięty w posiadanie kiedy niema sił po temu, bo nie właścicielem, ale żebrakiem wyjdzie z téj próby. I niezawodnie spostrzeżonoby po pewnym czasie że własność nie jest koniecznie zawsze i wszędzie warunkiem pomyślności dla chłopa. Byłyby okolice, prowincye całe, w którychby własność wzięła górę nad

dzierżawą, ale w innych stronach za to niezawodnie dzierżawa czynszowo, lub nawet pańszczyzniana, otrzymałaby zwycięstwą, — a to stósownie do zaludnienia, uprawy ziemi, łatwości odbytu, i t. d. czyli w ogòle, do potrzeb socyalnych i ekonomicznych kraju. Ci którzy w absolutnem uwłaszczeniu szukają ostatecznego rozwiązania kwestyi włościańskiéj zwłaszcza kiedy rozciągają swoje systemy do wielkich, a często nieznanych im obszarów kraju, zapominają chyba że tak własność, jak i rozmaite kształty dzierżawy są tylko zewnętrznemi formami społeczeństwa,— że się te formy stopniowo zmieniają ze zmianą swych przyczyn bytu, to jest z postępem wolności, bogactwa, oświaty; — że powinny zatem zawsze się godzić z rozwojem sił wewnętrznych narodu; że mają z niemi razem postępować, z nich wyrastać; ale nigdy bezkarnie ich nie wyprzedzą. Przykład innych krajów popiera tę prawdę, i nie prosty wypadek to zrządza, kiedy ich system rolniczy przechodzi od własności do dzierżawy lub odwrotnie. W Anglii naprzykład, jak twierdzi p. L. de Lavergne znana powaga w téj rzeczy, drobna własność w połowie przeszłego stulecia była daleko powszechniejszą niżeli dzisiaj. W najlepiéj uprawnych, północnych prowincyach Francyi, téj ojczyzny drobnéj własności, drobni właściciele, jak świadczy tenże autor, okazują skłonność do pozbywania się swoich posiadłości, dla zastąpienia ich dzierżawami. Czy ślepy traf może być przyczyną fluktuacyi tak szerokich, powolnych i trwałych? — Bynajmniéj.— Przyczyna ich nie leży nawet w usposobieniu mieszkańców, bo jedni i drudzy lubią własność; leży ona w postępie rolnictwa, w rozwoju społecznych idei i ekonomicznych stosunków. I jeśli mi wolno z tych przykładów zrobić wniosek ogólniejszy, powiem że dzierżawa pojawia się zwykle, czy to pod postacią pań-

szczyzny, czy połowicznego gospodarstwa, czy nareszcie stałego czynszu, w tym periodzie życia społeczeństw, kiedy dzieciństwo rolnictwa towarzyszy słabemu rozwinięciu towarzyskich stosunków. Jest to postać niedoskonała, niezupełna, lecz wymagana nietylko przez przyczyny socyalne, ale również przez stan ekonomiczny kraju; bez niéj bowiem ani by rolnik znalazł pożywienie, ani kraj sposoby uprawienia wielkich obszarów ziemi przy szczupłéj ludności. Pod inną już postacią przedstawia się dzierżawa w narodach rozwiniętych. Tam już rolnik nie tyle szuka zaspokojenia głodu ile zbogacenia się;— rolnictwo staje się przemysłem, a dzierżawa kontraktem czasowym, wyrażonym w stałéj pieniężnéj cenie, i dobrowolnie przez obie strony przyznanym. Między temi dwoma biegunami własność zdaje się rozciągać swoje panowanie, rodząc się w saméj chwili, kiedy w sercu ludzkiem, a nie na papierze, budzi się zamiłowanie niepodległości osobistéj, któréj ona jest materyalnym wyrazem; rozszerzając się w miarę rozwijania się pomyślności krajowéj, i ustępując nakoniec miejsca dzierżawie, kiedy zaspokojeni o swe prawa równości i wolności osobistéj, ludzie mogą zwrócić wyłączniejszą baczność na interes czysto materialny. Temi to drogami zdaje mi się iść rozwój tych form społecznych, które stykając się z rolnictwem, zależą w wielkiéj części od jego postępów; tak przynajmniéj przedstawia się ten fenomen w Anglii i we Francyi; i mimowolnie nasuwa się myśl, patrząc na wysoką pomyślność rolnictwa w tych krajach, zwłaszcza w pierwszym, co by to było, gdyby prawodawca był kiedykolwiek skrępował urządzeniami, choćby najmądrzéj obmyślanemi, swobodne użycie sił i zdolności rolnika. Streszczając to wszystko w dwóch słowach, powtarzam, że jeżli się ośmielam coś zganić w obecnem postawieniu kwestyi, to nie uwłaszczenie, którego nie jestem ani systematycznym

obrońcą ani przeciwnikiem, tylko same dotknięcie się téj strony pytania, która tylko pod rządem *dobrowolnéj umowy* może znaleźć właściwe sobie rozwiązanie, nigdy jednostajne dla tylu odmiennych krajów, ale rozmaite, bo noszące na sobie odrębne piętno każdej miejscowości.

Lecz niezależnie od tych ogólnych względów, które pewnym umysłom mogą się zdać zbyt abstrakcyjnemi, aby stanowiły argument, są jeszcze inne, ściśléj związane z naszym przedmiotem, i które powinnyby już z siebie być dostatecznemi dla przekładania w rozwiązaniu téj kwestyi swobodnéj działalności stron interesowanych nad urządzenie, w skutek którego włościanin rad nie rad musi się stać właścicielem. Te przyczyny mogą się zredukować do trzech punktów. *Naprzód warunkowe* niejako uznanie zasady własności, w cesarskim reskrypcie zawarte, trafiając na obecne usposobienia ludu, bardzo może powiększyć zamęt pojęć niższych klas w przedmiocie prawa własności ziemskiéj; *powtóre*, może się zdarzyć, w niektórych miejscowościach przynajmniéj, lub w wielu pojedynczych wypadkach, iż włościanie sami będą niezadowoleni z wykonania téj klauzuli;— *potrzecie* dodam, że w mojem przekonaniu, wykup zagród nie tylko że na teraz nie rozstrzyga kwestyi ostatecznie, ale owszem może jeszcze otworzyć nowe trudności na przyszłość nie zbyt od nas oddaloną. Rozbiór tych trzech punktów wymaga dłuższego nad nimi zastanowienia.

Nim jednak przystąpię do pierwszego z nich, muszę przypomnieć moim czytelnikom zasadniczą różnicę zachodzącą między ludem dawnych polskich prowincyj, a wielkorosyjskim, w pojmowaniu stosunków wiejskich i prawa własności. Różnica ta pochodzi oczywiście z różnéj w tych dwóch dzielnicach natury tychże stosunków. Chłop wielkorosyjski, jak wiadomo, odrabiał dotąd pańszczyznę, lub płacił obrok, nie w stosunku do dzierża-

wionéj ziemi, lecz w miarę sił swoich i swojéj rodziny, nietylko fizycznych, ale nawet i umysłowych. Jest to po dziś dzień zasadą tamecznych urządzeń, i chociaż ukazem z d. 5go kwietnia 1797 roku cesarz Paweł, ograniczając po raz pierwszy pańszczyznę, zredukował ją do trzech dni z duszy, jednak tem ani rzeczy, ani zasady nie zmienił: rzeczy,— bo praca chłopa nie zmniejszyła się, tylko z wymagania prawnego stała się nadużyciem dotąd panującem; zasady, — bo czy poddany odrabia trzy czy siedem dni z duszy bez względu na ilość trzymanéj ziemi, jest to zawsze *służebnością osobistą* nie *powinnością gruntową.* Z tak smutnego stanu rzeczy niemogło inne wyniknąć pojęcie, jak to które ma chłop wielkorosyjski o swoim stosunku do ziemi i do dziedzica; to mianowicie, że on jest niezaprzeczoną własnością pana, skoro ten może z niego wyciągnąć wszelką możliwą korzyść; — ale z drugiéj strony, ponieważ on używa ziemi, więc ta ziemia jest jego własnością, bo on od siebie panu płaci czynsz nie od niéj. „*My pańscy, ale ziemia nasza,*" oto pojęcie tego ludu, usprawiedliwione a raczéj wytłumaczone niestety przytoczonemi tu okolicznościami.

Zupełnie inaczéj rzeczy się mają w krajach od Polski oderwanych. W tem właśnie leży zasadnicza różnica pojęć ludu tych krajów od rosyjskiego że w nich pańszczyzna, pomimo nieprzyjaznych okoliczności, nie straciła jednak w ogóle swego właściwego charakteru, bo nie przestała być uważaną i przez lud i przez szlachtę jako zapłata robocizną za ziemię, czyli jako *powinność gruntowa* nie zaś *osobista.* Źródło tego leży w odwiecznych naszych stosunkach z ludem. Włościanin, początkowo wolny, zawsze pamiętał o tem, że odrabia pańszczyznę za grunt, i ani późniejsze przypisanie go do roli, ani wynikłe ztąd nadużycia nie zdołały zatrzeć téj zasady. Przyczyniły się wprawdzie do jéj osłabienia, zwłaszcza

w ostatnich czasach, ale grunt rzeczy pozostał ten sam. Nie człowiek tylko ziemia należy do dziedzica; tak myśli lud nasz w gruncie, i tak jest w rzeczy saméj pomimo wszystkiego; — i cokolwiekby można przeciw temu powiedzieć, niemniej jednak jest prawdą, że nasz lud potrafi rozróżnić nadużycia od legalnéj z jego strony należytości, i że każdy prawy szlachcic polski wstydziłby się, co mówię, nigdyby mu to na myśl nie przyszło, stósować czynsz do zdolności poddanego, a nie do trzymanéj przezeń ziemi. Iluż to rzemieślników np. kosztem swych panów wykształconych pobiera daleko wyższe pensye niżli prawem naznaczone kiedy przeciwnie w Rosyi im zdolniejszy rzemieślnik tem większy *obrok* płaci. Przypisanie do roli otworzyło pole nadużyciom i samowolności; — przemiana gruntów, zmniejszanie ich dowolne, arbitralne ustanawianie nowych powinności, stały się możliwemi, — wszystko to prawda, ale prawda która więcéj zasmucać niż oburzać winna, i niewiem czy biórokracya (wymieniam ją bo koniec końców to jest ciało które dąży do zastąpienia miejsca szlachty na czele narodu) gdyby jéj oddano człowieka niejako związanego i gdyby mogła nim przez długie lata rządzić dowolnie i bez kontroli, — niewiem, powiadam, czy biórokracya potrafiłaby ojcowskiem umiarkowaniem, i tradycyjnem pojęciem stosunków, ocalić zasady wolności osobistéj, którą bądź co bądź można jeszcze odszukać w sercach ludu pod rozmaitemi nalesiałościami, co ją w ciągu wieków pokryły.

Tak jest, pomimo przypisania do roli, dzięki charakterowi naszego ludu i jego przywiązaniu do zasady dziedzicznej, dzięki tradycyom szlachty, z istotą jej ducha zrośniętym, dzięki zwyczajom przez czas uświęconym, i zastępującym niedostatek prawa w kształcie dawnych inwentarzy wiejskich, — włościanin w ogóle nie przestał uważać siebie, w pewnej mierze, za niepodle-

głego osobiście, i w ogóle umiał zawsze odróżnić nadużycia od prawnych wymagań.

Ale niestety, tylko w ogóle. Miejscami bowiem dają się spostrzegać inne pojęcia, owoce innych stosunków. Mianowicie na Podolu, Wołyniu i Ukrainie od lat kilkunastu zdrowe pojęcia prawa znacznie się zmodyfikowały. Przypomnę tu w kilku słowach, co każdy zapewne pamięta, na dowód zgubnych konsekwencyj które loika mass zawsze wyciąga z fałszywie postawionych kwestyj. Jenerał Bibikow przedstawił cesarzowi Mikołajowi potrzebę ukrócenia samowolności dziedziców, rządzącej stosunkami wiejskiemi, i podjął się wprowadzenia reformy. Niema wątpliwości że reforma była potrzebną i że czas był na nię przyszedł po wypadkach Galicyjskich, i dla tego niemożna zaprzeczyć że miała dobre skutki, o ile przyczyniła się do wprowadzenia prawa i pewnej kontroli, tam gdzie ich przedtem niebyło; ale dotknęła zasad nietykalnych, i z tej strony zgubny wpływ wywarła. I tak przez zaprowadzenie jednakowej pańszczyzny bez porównania między sobą chłopskich gruntów, co byłoby zresztą niepodobieństwem, reforma inwentarzy zmieniła charakter pańszczyzny robiąc ją *służebnością osobistą* w miejsce *powinności gruntowej;* zmiana zasadniczego pojęcia które zaraz daje początek jak się wyżej rzekło następnemu rozumowaniu w głowach ludu, — „pańszczyznę odrabiam od mojej osoby, więc ziemi zadarmo używam, a zatem ziemia musi być moją“; — pierwsze naruszenie idei własności. Reforma inwentarzy poszła dalej; — bo chcąc zapobiedz nadużyciom których początkiem jest przypisanie do roli, wyrzekła że ziemia będąca w używaniu włościan ma odtąd nazywać się *ziemią gminną*, i że dziedzic nie jest mocen nic od niej odjąć ani w niej odmienić.— „A zatem, dodał rozum chłopa, widać że rząd a nie pan jest prawdziwym właścicielem ziemi; i kiedy nam przyznaje

prawa do tego co trzymamy, widać że to muszą być prawa rzeczywiste; i kto wie, gdyby nie panowie, może by nam wszystko oddano na własność". Trzeba dodać że administracya Bibikowa i jego sposób wymierzania sprawiedliwości w częstych zatargach ztąd powstałych, nie mogły jak tylko potwierdzić włościan w tem mniemaniu; dość że inwentarze i Bibików z jednej strony — okoliczności i przykłady owego czasu z drugiej, dały początek kommunistycznym wyobrażeniom które jak rak już się szerzą po ciele społecznem i daj Boże, aby nie potrzebowały kiedy krwawego wykorzenienia. Już się one nie jednem wzburzeniem objawiły, nie jedne już cierpienia i lepszej sprawy godną cierpliwość pochłonęły, już wybuchły w 1855. r. w ruch ogólny, organiczny silnie domagający się mniemanych praw swoich świętych niezaprzeczonych; — praw do czego? — oto do własności, do ziemi, do życia swobodnego od kłopotów i trudu — słowem praw posiadania i używania bez pracy. Bo takiem pokazało się niestety pojęcie naszego ludu o wolności i własności, które, jakkolwiek rzuca cień na owe wypadki, lecz za winę poczytywanem mu być nie może, bo jest płodem wpływów zewnętrznych. Dokąd po tej drodze zajdziemy? jaka nas przyszłość czeka? to Bogu jednemu wiadomo; skutki mogą być straszne. Fałszywa zasada rzucona w massy jest jak ów pieniądz zagrzebany, którego właściciel już wydostać nie może bo się mocą szatańską coraz głębiej i głębiej usuwa.— Loika mass jest straszna, bezwzględna, nieubłagana; — jej ucho nie słyszy szumnych deklaracyj zasad; ona chwyta tylko fakta, i z nich wyciąga pojęcia prawdy i fałszu; — a że prawda i prawo są dla niej nierozdzielne od siły, więc często siłę bierze za prawo.

I nie jest to przesadą mojej myśli. Jeślibym się nawet mylił w ocenieniu przyczyn złego, — ktokolwiek przyłożył badawcze ucho do chaty wieśniaczej, przyzna

mi że od lat kilkunastu duch ludowy na Rusi poszedł fałszywemi drogami, po których, jak wiadomo prędko też idzie. W tem to leży dla mnie główna przyczyna potrzeby szybkiego zapobieżenia złemu przez urządzenie nowe, stanowcze, ale dokonane pod godłem, silną i niezachwianą ręką utrzymanem: wolności osobistej i nietykalnego prawa własności. Możemy bliżej niż się zdaje chwili, gdzie błędne pojęcia przyjmą u nas kształt rewolucyi socyalnej; i jeśli czas jeszcze po temu, — niema innego środka odparcia i zniszczenia fałszywych wyobrażeń w nieokrzesanych massach, jak potęgą dokonanego faktu, czyli właściwem określeniem wzajemnych stosunków; a ten fakt znowu nie może być potężnym, jak tylko pod warunkiem oparcia go na zasadach niewzruszonych, nietykalnych dla żadnych względów czasu i miejsca, bo tylko takie zasady mają trwałą podstawę w sercu ludzkiem. Chwilowe zachcenia chwila następna zaciera.

Jakiż wpływ może mieć na umysły tak usposobione, obecne postawienie kwestyi zagród. Bodajby to było tylko płonną obawą, lecz zdaje mi się iż bać się należy aby to nowe dotknięcie się zasady własności, jakkolwiek ostrożne i oględne, niezachwiało jej podstaw już podkopanych przez okoliczności. Bać się należy aby zarodek błędu poprzednio w massy upuszczony nie znalazł dziś uprawnienia niejako swego bytu, i żywiołu nowej siły; — aby to co dotąd było domysłem nie nabrało w oczach ludu pozoru rzeczywistości i prawdy.

Przechodzę do innych przyczyn które zdają mi się powstawać przeciwko wykupowi zagród. Powiedziałem że bardzo być może iż w wielu miejscowościach sami włościanie będą niezadowoleni z danego jej rozwiązania. Nie mówię tego o całym kraju bo go nieznam dosyć z tej strony, a należy to do przekonań które łatwiej nabyć z doświadczenia niż z dowodów. Jednak co się

tyczy przestrzeni kraju zawartej między Dnieprem i Dniestrem jest to prostem następstwem tego com dopiero mówił o usposobieniach tamtejszego ludu. Wiem jaki mnie zarzut czeka na samym wstępie od systematycznych stronników uwłaszczenia; — włościanin, powiedzą, pragnie i potrzebuje własności; żąda jej usilnie domagał się niedawno jeszcze z bronią w ręku. Własność go podniesie, umoralizuje, śmiesznie więc utrzymywać że on z niej będzie niekontent, i temu podobne rzeczy, bardzo stare i znane: ale głębiej może poczute niż obmyślane.— Włościanin, mówią, żąda własności.— Prawda, ale jakiej? — Oto takiej, za którą nic się nie płaci. Kto się zgodził na to com powiedział o jego usposobieniach i oczekiwaniach, musi też przystać i na to, że jeśli on pragnie własności, to dlatego że sądzi mieć do niej prawo, ale bez zapłaty. Niemało się więc zadziwi, kiedy mu powiedzą że za zagrodę której miał dotąd wieczyste używanie, tak że ją uważał prawie za swoją, musi albo zapłacić, albo się z niej wynieść, i odpowie rozumowaniem, które trudno się da odeprzeć sposobem dla niego zrozumiałym. „Jakto, powie on, płaciłem dotąd za używanie zagrody i pola 150 dni pańszczyzny, naprzykład, siedzę tu po moim ojcu i nikt mię nieśmiał ztąd ruszyć, spodziewałem się zostawić tu mego syna i nikt by mu tego prawa nie zaprzeczył. Teraz obiecują mi wolność i zamożność (co jedno u niego znaczy) cesarz daje zagrody na własność, zaprowadzają reformę, — i oto: zamiast 150ciu dni każą mi robić 155. Dla czego? Powiadają że to przez dwanaście lat tylko po których będę robić lub spłacać 145 dni, — bo za te 10 dni rocznych stanę się właścicielem zagrody. Ależ ja jej i bez tego używam, a mniej robię; i któż wie co za lat dwanaście nastąpi". I napróżno będą mu tłómaczyć wygody amortyzacyi, napróżno przedstawiać że wolność warta pięciu dni na rok,

że własny jego interes tego wymaga, — on nic nie zrozumie, jeno zapyta gdzie jest owa obiecana wolność kiedy mu się ruszyć nie wolno, — gdzie własność kiedy za nią musi płacić. — Przedstawiam tu jeden przypadek niechęci włościan, ale to jeden z tysiąca; — i jest to bezwątpienia wadą, a raczej nieszczęściem systemu; że massom rozłechtanym pogłoskami, poprzednią administracyą i długiem oczekiwaniem, przedstawia się on od razu w niekorzystnem świetle, bo pod postacią wymagań i ofiar natychmiastowych; z których korzyści są dalekie; okoliczność która niewiem czy oświeceńsze od naszych massy zdołałaby zadowolnić. Postrzeżono to niebezpieczeństwo i proponowano walczyć przeciw niemu zmniejszeniem ogólnej ilości pól i ogrodów w celu zmniejszenia summy robocizny; lecz wątpię aby ten półśrodek potrafił zapobiedz złemu.

Przystępuję teraz do rozbioru tego założenia, w którem powiedziałem że wykup zagród nietylko że na teraz nierozstrzyga kwestyj ostatecznie, ale może jeszcze stworzyć nowe trudności na przyszłość. To wymaga głębszego zastanowienia i uwagi czytelnika.

W rzeczy samej, pytam, jaki jest cel widomy przymusowego wykupu zagród? — Jest on wieloraki. — Naprzód ten, żeby włościan przywiązać do ziemi, do miejsca, na to aby w przyszłości, kiedy przyjdzie pora zerwania więzów co go dziś przykuwają do roli, znalazły się inne natomiast, niemniej silne, lecz bardziej moralne, więzy własnego interesu, czy własnej woli, — powtóre, żeby tym sposobem postawić tamę nomadycznym usposobieniom ludności, i wesprzeć rolnictwo w pierwszych latach przesilenia przez dostarczenie mu rąk, które gdzie indziej może poszłyby szukać sobie pracy; — i nareszcie celem wykupu zagród jest to, żeby z dzisiejszego poddanego, jak z martwego głazu wykuć obywatela tem potężnem dłótem co się zowie, uczuciem

własności. Obaczmy do jakiego też stopnia te wszystkie cele są osiągnięte przez obrany ku temu środek.

Co do ostatniego punktu, nie będzie zbytkowem przypomnieć czytelnikowi żem już poprzednio w części nań odpowiedział, mówiąc że własność tylko wtedy wydaje skutki moralne, czyli że w takim tylko razie jednostkę ze ślepej massy wyjętą przeistacza w obywatela, mającego samopoznanie swej, niepodległości, kiedy sama jest owocem dobrowolnych i samodzielnych usiłowań. Bez wahania dodam że wyda następstwa całkiem przeciwne skoro tylko powstaje z pominięciem tego warunku. Nie tu miejsce zapewne przytaczać żywe przykłady tego co mówię; — zbyt żywo stoją one przed naszemi oczyma abyśmy je mogli zapomnieć. Wiemy już, jak obdarzony włościanin, właściciel nie z własnej woli, opuszcza pracę i wyrzeka się wszelkiego usiłowania osobistego, oczekując wszystkiego z rąk swych dobrodziejów; — wiemy jak obfita ziemia wydaje chwasty i ciernie, głód i nędzę, — jak się to w kilku latach tworzy proletaryat rolniczy z upadku tych dla ktorych własność nie była potrzebą: — to wszystko dla nas już nie może być samą tylko teoryą.

Szczęściem pod panowaniem cesarza Alexandra daleko jesteśmy od tych niebezpieczeństw, — jego osobisty charakter służy nam tu za rękojmię; nie o tem też tutaj mowa. Ale jeśli przy osłabieniu przyczyn można się nie bać tak strasznych następstw, — to znów przy zachowaniu choć w części tej samej fałszywej zasady natura rzeczy pozostaje taż sama, i nie może wydać owoców wręcz przeciwnych żywiołom w niej zawartym. Więc chociaż w dzisiejszym wypadku włościanin ma zapłacić całą wartość ziemi, i nie ma zatem być obdarowanym, jednak i tu staje się on właścicielem z woli i łaski kogoś trzeciego, nie zaś dzięki swemu swobodnemu żądaniu, i dla tego śmiem utrzymywać że wła-

szność nie wywrze na nim spodziewanego wpływu, ale owszem przeciwny. Gdyż bądźmy tego pewni, że jeśli się kogo chce przyzwyczaić do myślenia i działania, trzeba zacząć od tego, by nie myślić i nie działać za niego; inaczej zamiast postawienia fundamentów przyszłej wolności osobistej, osłabia się właśnie to co jest jej żywotnym zarodem w duchu człowieka *wolną wolę* i uczucie *odpowiedzialności*, a zatem i *niepodległości* osobistej. Tylko pływając uczy się pływać, i wolność jedna nauczy być wolnym. I niech mi nie mówią na to, że lud nasz nie dojrzał jeszcze dla wolności. — Jest ona tak rozmaita w swoich przejawach, jak rozmaite są usposobienia do których się ma stosować, bo rośnie ze wzrostem ducha. Jest wolność osobista, jest i polityczna, to dwa krańce; — między niemi piętrzą się swobody gminne, miejscowe, prowincyonalne, i ogólne; swobody różnych klas społeczeństwa i różnych stanów; — jest więc między niemi i ta, któraby najlepiej naszemu ludowi przystała; trzeba ją tylko znaleść; w tém główne zadanie prawodawców.

Sądzę tedy, że jeśli przymusowy wykup zagród ma na celu moralizowanie ludu za pomocą własności, to cel ten będzie chybiony, a przynajmniej tak długo nieosiągnięty dopóki czas nie powróci rzeczy do naturalnego porządku. Ale przypuściwszy nawet, że tak nie jest, i że moje poprzednie rozumowanie, jakkolwiek zdaje mi się opartem na rzeczywistości, jest tylko czczem przypuszczeniem, pozostaje nam jednak do rozpatrzenia jak dalece środek o którym mowa jest w stanie zapobiedz przypuszczalnemu rozpierzchnięciu się ludności, po zniesieniu przypisania do roli. — Otóż w mojem przekonaniu, wykup zagród uważany jako środek nie odpowiada zamierzonemu tu celowi; — jako mniemane zadośćuczynienie dążnościom ludu jest niedostatecznym w *rozległości* swego zastósowania; — prócz tego jest *niezu-*

pełnym w saméj swojéj naturze, bo niechybnie, będzie wymagał w przyszłości uzupełnienia, które czy to nam, czy wnukom naszym, niemało przysporzy kłopotów.

Jeżeli bowiem upatrywać w obecnem położeniu tej kwestyi, pewną chęć zadośćuczynienia, czy to wyraźnym żądaniom, czy tylko dążnościom mass, to wyznam, iż środek ten zdaje mi się być i nie politycznym i niedostatecznym zarazem. W rzeczy saméj, jeśli to uważać jako dobrodziejstwo, to pewna część tylko ludności, może ćwierć zaledwie, zostanie niem obdarzoną. Będą to naturalnie dzisiejsi dzierżawcy zagród, na których ów los szczęśliwy spadnie; reszta pozostanie nadal w tym samym majątkowym stanie co i poprzednio; ale perspektywa przyszłości jakże się dla niéj ścieśni? W dzisiejszym stanie rzeczy, pracowity parobek może się zawsze spodziewać, że mu dziedzic da ogród, chatę i pole czy to z wakansu pozostałe, czy z łanów dworskich wydzielone; — niema on kapitału, ale ma ręce i dobrą wolę, — dziedzic mu da zapomogę, Pan Bóg urodzaj, i jakoś z niczego jest nadzieja przyjścia do czegoś. Jest to, wyznajmy, dobrą stroną systemu pańszczyznianego, a nawet w pewnym stopniu i czynszowego, że się może obchodzić bez kapitału. W obecnie zaś zaprowadzonym porządku rzeczy, droga do niepodległości majątkowéj czyli do stanu *gospodarza*, do którego każdy parobek dąży, jeśli nie jest całkiem zagrodzoną, staje się przynajmniej bardzo trudną. Bo chcąc dojść do niéj trzeba będzie kupić własność od innego chłopa, i zapłacić mu już gotówką, i to od razu i z góry. Gdzie wziąść na to pieniądze? Czy dziedzic będzie mógł lub chciał wtedy pożyczać? Chcąc, niechcąc, bez kapitału trzeba mu będzie pozostać sługą. Najlepiéj możemy sami ocenić to położenie, odpóki zabroniono w naszym kraju puszczać dobra w dzierżawę. Gdyby ten zakaz mógł być z całą ścisłością wykonanym, biedniejszy

szlachcic musiałby zostać właścicielem albo sługą; żadnego tu środka niema i zamiast jak dotąd bywało, kręcąc głową i kapitalikiem chodzić dzierżawami i dojść do własności, trzebaby albo mieć tyle, żeby nabyć dobra, albo — pójść w służbę. Otoż takie same będzie położenie trzech ćwierci ludności wiejskiéj względem jednéj uprzywilejowanéj części; — z jednéj strony powstanie klassa właścicieli do pewnego stopnia ograniczonéj liczby własności, z drugiéj, — coraz wzrastająca liczba ludzi, którym trudno będzie przy nowéj organizacyi gminnéj, ścieśniającéj przejście własności z rąk do rąk, wydrapać się na wyższy szczebel społeczny, — ludzi przeznaczonych zatem do służby, lub nierolniczéj pracy, albo w końcu do migracyi. Powiedzą mi, że wszędzie to samo ma miejsce, że liczba właścicieli ziemskich z natury rzeczy jest ograniczoną; prawda; ależ we wszystkich krajach rolniczych, jak nasz, własność ziemska jest razem celem i nagrodą samodzielnych usiłowań człowieka. Więc jeśli z pomnożeniem ludności, ta nadgroda staje się coraz trudniejszą do osiągnięcia, zasada się przeto nie obala, i równość nie łamie. Tu zaś, (zawsze wprzypuszczeniu, że wykup zagród jest dobrodziejstwem) przyszli właściciele stają w obec reszty ludności jako uprzywilejowani, i to bez *żadnej innej zasługi* jak ta, że w chwili reformy już zajmowali zagrody. — Czyż nie należy się wtedy obawiać konsekwencyi, które bezwzględna loika ludu wyciągnęła już z podobnego położenia rzeczy w Poznańskiem, gdzie rząd zmuszony naleganiem nieobdarowanych, aby i im wyrządzono te łaski co ich poprzednikom, przystąpił do powtórnego rozbioru własności prywatnéj, bo nie widział innego wyjścia z fałszywéj drogi na którą go poprzednie postępowanie wtrąciło. Lecz gdzie koniec téj drogi? gdzie się zatrzymać wypadnie? i niemamże racyi mówiąc, że uważany jako dobrodziejstwo wykup zagród-

jest krokiem niepolitycznym i niedostatecznym w zakresie swego zastósowania, kiedy otwiera drogę niezkończonym wymaganiom na przyszłość? Obaczym dalej, iż jest prócz tego niezupełnym w samym sobie, ale rozpatrzmy przedtem czy odpowiada swemu bezpośredniejszemu celowi.

Jeżeli wykup zagród ma być środkiem przywiązania włościan do miejsca dla przeszkodzenia raptownemu wyludnieniu uboższych krajów, osiągnie on tylko część założonego celu, a to znowuż dla tego, że działanie jego rozciągnie się zaledwie do czwartéj części męzkiéj roboczej ludności, to jest do dzisiejszych gospodarzy. Cóż się zrobi z resztą mieszkańców? Czy wyjdą zaraz jako nic nie posiadający, czy też więzy pokrewieństwa przyjaźni lub inne zdołaią ich zatrzymać na miejscu? Wątpię aby komitety chciały rachować na takich sprzymierzeńców.

Ale najprzód, cóż to jest za nieprzyjaciel, przeciw któremu się uzbrajamy, i czy się istotnie należy obawiać wysworowania owéj sławnéj koczowniczéj natury naszego ludu w zachodnich prowincyach cesarstwa? Co do mnie, wyznaję, mam za jedną z tych bajek, które— bliska przyszłość łatwo rozwieje. Przypominam wszakże czytelnikowi, że wszystko co mówię stósuje się tylko do polskiego kraju jako bliżéj mi znanego; — nie będę więc przeczył tym, którzy upatrują w Wielkorosyjskim ludzie pewne nomadyczne skłonności, i nawet jak się Haxthausen wyraża „*niezwyciężony wstręt do rolnictwa*“; być może, iż w tamtym kraju te środki, lub ostrzejsze jeszcze, będą potrzebne do zatrzymania ludzi na miejscu; nic niewiem o tem, ale co do nas, rzecz się ma inaczéj.

Kiedy pięćdziesiąt lat temu kodex Napoleona zniósł przypisanie do roli w Księstwie Warszawskiem, obawiano się tam także nagłego wyludnienia wiosek i ztąd

braku rąk dla rolnictwa. Otóż czas prędko przekonał, że to było tylko płonną obawą. Ludność wiejska (trzymam to od naocznych i wiarogodnych świadków) ruszyła się w prawdzie z początku, ale ta jéj włóczęga, zresztą bardzo nieznaczna, nie trwała nad dwa, trzy lata, po których wszystko wróciło do dawnego porządku; i znam niejeden wypadek, któryby mógł dowieść jak dalece chłopu polskiemu trudno przychodzi opuścić rodzinną siedzibę. Jeżeli zas słowianin w ogóle, co jest niezawodną prawdą, sercem przywiązany do rodzinnéj gleby, to z pewnością można wyrzec, że w Rusinie ta zaleta najbardziéj jest rozwiniętą, może do zbytku nawet. Bo ze wszystkich słowiańskich plemion on ma najmiększy charakter, na jego duchu rzewnym i powolnym, cichym i do marzenia skłonnym, zewnętrzna przyroda najłatwiéj wyciska swoje piętno; nowość niema dlań powabu a przyzwyczajenie ogromny na niego wpływ wywiera. Ztąd wady jego i zalety; — ztąd skłonność do lenistwa, opieszałość, słowem miękkość; ztąd jego odwieczne polityczne dzieciństwo i że tak powiem zastałość umysłowa; — ale ztąd także wypływa jego niezmordowana cierpliwość, przywiązanie, łatwa niepamięć uraz, ogromna zdolność do organizacyi, bo indywidalność słabą tu gra rolę, — i nareszcie przechowanie pomimo wszystkiego swego typowego charakteru. Wnioiskują o jego nomadycznych skłonnościach z łatwoscz jaką się bierze do tak zwanéj *czumuczki*, — ale najfalszywiej, bo przemysł ten dając często duże zarobki, jest razem i środkiem zużytkowania przez lato rolniczego remanentu, i wypoczynkiem z troski, jakiej go musi nabawiać ciągły dozór pana, lub jego zastępców. Powiadają, że Ukraina i Podole są w wyjątkowem położeniu bo mają niezaludnioną Besarabię pod bokiem. Ale każdy wié jakich to dzisiaj potrzeba gwałtów, żeby porządnego włościanina zmusić do ucieczki. Lecz pocóż te

dowody? Niech mi powiedzą ci, co istotnie wierzą w to mniemane rozpierzchnięcie się ludności, jaka siła do dziś dnia zatrzymuje chłopa na miejscu? Czy własność? On jéj nie posiada. Cóż tedy? Oto — powody wewnętrzne jego naturze właściwe, połączone z przepisami administracyjno-policyjnemi, o których on wié, że go w końcu wyszukają i na miejsce powrócą. Czyż te dwa środki niebyłyby dostatecznemi i po ogłoszeniu wolności? Czyżby nie można bez utrzymania poddańczych więzów przypisania, ograniczyć swobodę przenoszenia się *co do czasu i miejsca?* Zarzucą mi, że nie byłoby to wyzwoleniem, jeno pośmiewiskiem, by chcieć zastąpić przypisanie do gleby środkami policyjnemi, któreby w końcu były przypisaniem do powiatu, lub do prowincyi. — A gdzież jest mowa, pytam, o wolności natychmiastowéj, zupełnéj i nieograniczonéj? Rząd pokazuje ją w dalszéj perspektywie, ale nawet imienia jéj nie wymówił. — Czemuż lepiéj nie nadać od razu instytucyj amerykańskich? A potem, jestże wolnością zniesienie przypisania do roli przy warunku przymusowego wykupienia zagród? Nie jest li to tem samem, co powiedzieć otwarcie włościanom: „wolno wam odéjść, jeśli chcecie, ale przedewszystkiem zostawcie mienie wasze na miejscu? Ów środek wreszcie działa tylko jak się rzekło, na pewien ułamek ludności, dziś na jedną trzecią, czwartą, z jej wzrostem na piątą szóstą część itd. — Cóż się stanie, zapytuję znowu, z resztą ludności, z tą większością nic nieposiadającą? Czy jej wolno będzie rozlecieć się wnet na cztery wiatry? Nie sądzę; — jednak zagród wszystkim dać nie można; trzeba więc będzie uciec się do środków administracyjnopolicyjnych, i urządzić je tak, aby odpowiadały celowi. — Miałożby więc złem być dla jednych, co będzie dobrem dla drugich? A jeśli jeden z tych środków, jak zechcą niektórzy, jest dobrodziejstwem, drugi uciskiem, (czemu prze-

czę), nie jest że polityczniéj nie rozróżniać jednych od drugich w wyrządzeniu łaski, gdy ich nie rozróżnia żadna zasługa?

Powiedziałem daléj, że obecne rozwiązanie kwestyi zagród jest rzeczą niezupełną w saméj sobie; i że zatem będzie wymagać uzupełnienia w przyszłości. Chcę przez to powiedzieć, że to rozstrzygnienie a nawet samo jéj podniesienie stawia ogólne zadanie emancypacyi na takim szczeblu na którym ani pozostać ani się zeń cofnąć nie może; bo nie podobna uważać za ostateczne to niejasne i fałszywe położenie w którem postawi włościan. Muszę wyznać, iż jakim bądź sposobem obracam pytanie, zawsze widzę w końcu nieuniknioną dylemmę w obecnych wypadkach niekorzystną. Zaraz się wytłómaczę. Każdy przyzna, iż niepodobna, aby do prawa posiadania zagrody nie był przywiązany obowiązek dzierżawienia odpowiedniego ornego pola; inaczej w wielu miejscach nowy właściciel opuściłby całkiem rolę dla korzystniejszéj lub łatwiejszej pracy, zkąd ruina wielu rodzin szlacheckich i upadek rolnictwa *). Położenie chłopa będzie zatem dwoiste względem dziedzica: naprzód jako *człowieka wolnego*, *właściciela* i *sąsiada*, powtóre jako *dzierżawcy* i *podwładnego* pod względem administracyjnym, sądowym i policyjnym. Zdaje się to niczem, a jednak dwoistość taka może mieć szkodliwe skutki w rolniczych i ekonomicznych stosunkach, ale stokroć szkodliwsze pod względem politycznym. — Bardzo słuszną zrobił uwagę autor artykułu umieszczonego w jednem z pism francuzkich. „W zachodniej części cesarstwa, mówi on, zagroda i pole stanowią nieroz-

---

*) Żadnego przymusu nie jestem stronnikiem; jednak są wypadki zwłaszcza w chwilach przejścia, gdzie władza powinna strzedz istniejące stosunki od nagłych zmian. W dalszym ciągu zatrzymam się nad tem obszerniéj.

dzielną całość według której uregulowane są powinności. Rozdzielenie ich będzie niedogodnem dla rolnictwa, bo zachowując zagrodę tytułem dziedzictwa, włościanin może nie wypełniać obowiązków dzierżawcy. Cóż się wtedy stanie? Według cyrkularza ministra dziedzic może odebrać mu grunt i nająć innemu, ale skoro pierwszy zatrzymuje chatę i ogród, dziedzic będzie chyba musiał wybudować drugiemu nowe mieszkanie i dać mu nowy ogród. Łatwo spostrzedz następstwa takiej operacyi często powtórzonej" *). W rzeczy samej trzeba tu wybierać między batogiem jako środkiem przymusu, lub stopniowem rozczłonkowaniem szlacheckich majątków na zagrody. — W porządku zaś politycznym ta dwoistość położenia wywołać musi nieuniknione starcia między klasami nieukontentowania, gorycz i zawiść przeciw wyższej, bo podnosząc inne stany do pewnego pojęcia niepodległości przez udzielenie jej form niektórych, poddaje je zarazem powinnościom *prywatnym* względem ludzi których oni będą uważali za równych sobie. Ktoby nie wierzył ważności skutków takich starć wewnętrznych ludzkiego serca, niech przeczyta znakomite studya pana de Tocqueville nad przyczynami rewolucyi francuzkiej. Wynikną z tej dwoistości położenia trudności które nawet teraz przewidzieć się nie dadzą, rozjątrzenia ktorym dziś łatwiej zaprzeczyć niż je później zagoić. Niech np. włościanin zechce zmienić miejsce pobytu, — przedać swoję zagrodę kupić inną, — ileż to przeszkód ile trudności. Będzie musiał jednocześnie traktować z gminą o swoje przyjęcie, z przedającym o kupno zagrody, z dziedzicem nakoniec o cenę dzierżawną pola (w przypuszczeniu istnienia dobrowolnej umowy); jakaż to pilność, baczność biegłość będzie mu potrzebną, by nie dać skorzystać z siebie. — Ależ, powiedzą mi, pró-

---

*) Revue Contemporaine 30 Juin 1858.

żna obawa, — nikt go nie oszuka, bo na to wszystko będzie taksa rządowa. — Wiem że nie może być inaczej; i tego właśnie się boję, dlatego też mówię, że kwestya zagród prowadzi nas do dylemmy której jednym wypadkiem jest wieczna taksacya i wieczna kontrolla stosunków zobopolnych; — rzecz możliwa i znośna w chwili przejścia, ale która będzie nadal niepodobną do wykonania dla rządu, uciążliwą dla mieszkańców, zabójczą dla pomyślności krajowej, jeśli się stanie systemem nieustającym. Jest to środek sztuczny, potępiony przez naukę, bo tamujący swobodny rozwój sił materyalnych kraju *). Albo, w drugim wypadku dylemmy, jeśli rząd, bacząc na niedoskonałość swych narzędzi, nie zechce się podjąć tak ciężkiego zadania, jak ciągłe kontrolowanie, ciągła baczność, i peryodyczna taksacya, natenczas nie pozostanie mu nic innego do zrobienia, dla rozstrzygnięcia trudności ztąd pozostałych, jak jednem cięciem wszystko rozwiązać ostatecznie; czyli, reformę rozpoczętą *przymusowym wykupem zagród* uzupełnić *przymusowym spłatem pól ornych.* A zatem, powtarzam, wykup zagród musi mieć jeden

*) Nie trzeba być bardzo obeznanym z ekonomistami żeby wiedzieć jak powstają przeciw systemowi jakiejkolwiek taksacyi. Każde bowiem otaksowanie, narzucając kupującemu i sprzedającemu cenę nie wynikłą z potrzeby i dobrej woli, a przytem jednostajną dla rozlicznych wypadków, krzywdzi mniej lub więcej jedną stronę na korzyść drugiej. Najlepsza bowiem taksacya nie może dać jak tylko przeciętową cenę, która do małej liczby wypadków ze słusznością się stosuje. Są jednak zdarzenia, jak obecne np, w których bez niej obejść się nie można; nie trzeba wszakże zapominać, że to jest środek niedoskonały, który nigdy nie zdoła zastąpić dobrowolnej umowy. Przytem nie powinno się tracić z widoku, że jeśli chwile przejścia wymagają sztucznych sposobów, zawsze jednak uorganizowanie społeczeństwa na podstawie normalnej, naturalnej, na podstawie swobody tranzakcyi, powinno być celem prawodawcy. Bez tego ani myślić żeby niższe klassy wyszły kiedykolwiek z dzieciństwa; owszem dąży się do zatarcia wszelkiego poczucia indywidualności.

z tych dwóch skutków: albo 1) peryodyczna taksacya ziemi, przy ciągłej kontroli stosunków, to jest: sparaliżowanie wszelkiego wzrostu pomyślności rolniczej kraju; albo 2) ogólne uwłaszczenie włościan ornemi polami.— Tak dalece jest to prawdą, niestety, że raz stanąwszy na tej drodze wykupu zagród, jeśli się temu nie zapobieży, by dojść do pełnoletności, to jest do rządu dobrowolnej umowy, musimy przebrnąć przez ogólne uwłaszczenie.

Wiem, że to ostatnie rozwiązanie znalazłoby wielu stronników pomiędzy szlachtą; jeśli mię wieści nie mylą, część Litwy miała już nawet zdeklarować się wtym kierunku; niewiem, jakie byłyby jej powody. Co do powodów ogółu, gdyby on był zatem, dadzą się one podciągnąć pod te dwie pozorne *wygody*, że dziedzic niemiałby żadnych stosunków z włościanami, i że otrzymałby z góry pewien indemnizacyjny kapitał. Nazywam to *wygodami*, bo przedstawiając się niby powabnie w teraźniejszości, na przyszłość nie wróżą korzyści. Jeżeli ze stosunków wzajemnych obu klas ma wyrość rozjątrzenie, to lepiej zaprawdę aby ich nie było, ale pozwalam sobie wątpić aby ich zerwanie uratowało od rozjątrzenia i wzajemnej nienawiści, jeśli się inaczej od tego nie chronić. Przed wielką rewolucyą francuzką szlachta już od dawna niemiała żadnych stosunków z niższemi klasami, i to właśnie stało się jedną z przyczyn rozjątrzenia tych klas przeciwko niej. Bo, jak słusznie uważa przytoczony już pisarz, *przywileje szlachty o tyle mniej rażą, o ile są wytłómaczone posiadaniem i użyciem władzy. Abdykować ją, usuwać się od zarządu niższemi warstwami społeczeństwa, jest to odjąć przyczynę bytu prerogatywom, które wówczas będą solą w oku każdemu co do nich nie będzie miał przystępu* *). W całej

*) Quand la noblesse possède non seulement des privilèges, mais des pouvoirs; quand elle gouverne et administre, ses droits particu-

Europie szlachta do póty była instytucyą organiczną, dopóki dzierżyła w ręku jakąś cząstkę władzy; skoro ją wypuściła stała się *zbiorem uprzywilejowanych*, i nic więcej, — a jej istnienie przestało być potrzebą. Indemnizacya zaś jakkolwiek może być powabną, nie może przedstawiać całkowitej wartości pańszczyzny, i w naszem nieoględnem ręku więcej zaszkodzi niż pomoże. Kapitały, tak potrzebne w przechodzeniu z jednego systemu gospodarczego do innego, powinny się szukać w innych źródłach: *w kredycie publicznym i prywatnym*; — w publicznym, — przez zaprowadzenie banków prowincyonalnych któreby nakształt pruskich forszusowały na gospodarcze potrzeby; — w prywatnym, — przez urządzenie jawności hipotek, i skrócenie procedury cywilnej; — pieniądze same się znajdą.

Co do mnie, wyznam iż będę zawsze przeciwny wszelkiemu ogólnemu urządzeniu w rodzaju uwłaszczenia, najprzód dla powodów ekonomicznych i społecznych o których się na początku mówiło; powtóre zaś dla tego że, tym ciosem uderzona, prysnęłaby niechybnie teraźniejsza organizacya społeczna naszego kraju, spoczywająca na odwiecznem hierarchicznem wiązaniu, które dotąd jeszcze nikogo nie gniecie, nikogo nie oburza, — które zapewne długi czas jeszcze będzie potrzebnem dla postępu narodów słowiańskich, i które nakoniec, przy dzisiejszym stanie umysłów nie dałoby się niczem zastąpić, chyba ogólnym rozstrojem. Ludy słowiańskie potrzebują jeszcze opieki i pomocy wyższych klass społeczeństwa; same to czują, wiedzą o tem; oswobodzone z niej, nieraz induwidualnie powracają pod jej skrzy-

---

liers peuvent etre tout à la fois plus grands et moins aperçus.—... A mesure qu'elle cesse de faire ces choses, le poids de ses privilèges parait plus pesant et leur existence même finit par ne plus se comprendre. — (De Tocqueville. l'Ancient régime et la Revolution p. 70).

dła, bo zbyt słabe aby się bez tej podpory utrzymać. Trzeba więc dążyć raczej do wzmocnienia tych więzów, niż do ich zerwania, i rząd cesarza Aleksandra, trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, doskonale pojął tę potrzebę i wskazał ją komitetom. Wielka to prawda, że brak więzów społecznych nie stanowi jeszcze wolności, bo nie jest wolnym kto zechce, lecz kto potrafi nim być. Nie dość zdjąwszy z nóg włościanom, powiedzieć im: „idźcie“ aby szli, — trzeba im jeszcze podać rękę, i nauczyć ich chodzić, bo długa niewola odjęła im władzę członków. Do nas więc, szlachty, do nas, starszej braci tego ludu, do oswobodzenia którego jesteśmy przywołani, do nas należy podać mu bratnią rękę, i kierować jego krokami, — nie zaś jakby chcieli niektórzy wykopać przepaść między nami a ludem, i zamknąć się w samolubnych interesach. Nie długo byśmy czekali, ażby ten lud przyszedł zapukać do naszych bram. Spojrzyjmy na przykład Francyi opłakującej po niewczasie, to odosobnienie klass które wzmiankowany publicysta nazywa *najśmiertelniejszą chorobą* dawnego porządku rzeczy. „Patrzcie, woła on w innem miejscu, patrzcie co się dzieje z klasą opuszczoną, której nikt niechce gnębić, ale też którą nikt się nie stara oświecać i wspierać“ *) Więc nie opuszczać lud, ale z nim trzymać, prowadzić go, bronić, oświecać i wspierać, — to powinność nasza, to nasz święty obowiązek. Nagrodą nam będzie wspólna zgoda i jedność.

Na tem zatrzymam się w zbyt otwartem może wyłożeniu mego sposobu widzenia w tej materyi; sposobu, który jeśli się nie mylę, w wielu częściach przez pewną liczbę moich współziomków jest podzielanym. Wyliczyłem główne argumenta porządku społecznego i ekonomicznego, które zdają mi się powstawać przeciw wyku-

---

*) Ibid. p. 213.

powi zagród; opuściłem wszakże niektóre. Zostają mi jeszcze do rozpatrzenia dwie trudności więcej blizkie i właściwe tak samej kwestyi jako i niektórym miejscowościom; trudności pierwszego rzędu, które się spotyka, skoro się przystępuje do strony praktycznej pytania; temi są *zabudowania włościańskie i ogrody owocowe*; zajmę się bliżej niemi skoro będzie mowa o taksacyi zagród.

A teraz niech mi wolno będzie dla większej jasności streścić w krótkich wyrazach wszystko co się dotąd rzekło. — Powiedziałem, że choć się liczba właścicieli powiększy w spółeczeństwie, nie wzmoże się przeto klasa ludzi na których się porządek opiera, bo własność wtedy tylko wyda owoc moralny, kiedy powstaje z wysileń indywidualizmu; że nie tyle własność podnosi i moralizuje człowieka ile droga którą się ona nabywa; — że własność jest formą ekonomiczną odpowiadającą takiemu rozwinięciu spółeczeństwa, gdzie indywidualność człowieka już pewną gra rolę, bo sama jest tylko wylaniem się indywidualizmu na zewnątrz; i że się zatem nieda z równem szczęściem stosować do krajów rozmaicie w oświacie posuniętych.— Przedstawiłem dalej niebezpieczeństwo większego zamącenia pojęć ludu w przedmiocie prawa do własności ziemskiej; — tudzież możliwe niezadowolenie włościan, nakoniec pozwoliłem sobie wyrazić wątpliwość aby wykup zagród odpowiedział swemu głównemu celowi zatrzymania ludności na miejscu, gdyż działa tylko na ograniczoną jej cząstkę; — dodałem, iż dla tej samej przyczyny, jeśli jest dobrodziejstwem, zrodzi w przyszłości niesłuszne wymagania reszty ludności, jak to się widziało w Prusiech; — że nareszcie jeśli się na to nie wynajdzie lekarstwa, przyjdziem do rozdroża gdzie będziemy musieli wybierać między ogólnem uwłaszczeniem, a ciągłą małoletnością ludu i sparalizowaniem stosunków przez taksacyę i kontrolę rządu, który przy najlepszych chę-

ciach nie zdoła uspokoić ciągłego jątrzenia stron. Oto są powody które mię zmusiły do powstania przeciw przyjętej przez władzę zasadzie. Gdyby zaś ci którym udzielony jest zaszczyt uczestniczenia w tem wielkiem dziele zarzucali mi że ganię i wywracam, nic natomiast nie stawiając, gdyby, nie chcąc spostrzedz rozlaną w tem pismie myśl dążenia do zupełnej *swobody umów*, zapytali mnie czegobym żądał w tej mierze, — odpowiedziałbym w dwóch słowach: *dajcie wszystkiemu swobodnie się rozwijać, i szukać właściwych sobie torów.* Czy idzie zatem żebyście nie mieli nic do czynienia? Bynajmniej. Waszą rzeczą jest pomaganie żywiołom słabszym, żeby szły na równi z innemi; — znoszenie przeszkód z ich drogi, strzeżenie ich od nacisku by je szczęśliwie doprowadzić do pełnoletności. Czyli innemi słowy: skasujcie prawa nie dopuszczające włościan do nabywania ziemi; dopomóżcie im owszem do tego kredytowemi instytucyami; ogłoście że prawa i przywileje któremi większa własność mogła by gnieść mniejszą podlegają spłaceniu; — znieście trudności i ogromne podatki towarzyszące przejściu własności ziemskiej z rąk do rąk; — ograniczcie środkami administracyjnemi zbyteczną swobodę przenoszenia się, która by mogła stać się nieraz włóczęgą dla samych włościan szkodliwą; — ale nie brońcie im pozostać dzierżawcami jeśli im się zdaje że ich interes tego wymaga; a wtedy, śmiało rzec można będziecie mieli pocieszający widok ludzi, własnym zostawionych siłom, usiłujących dojść przez pracę do własności, w której będą widzieli nagrodę oszczędności i pracy; — zniszczycie jednym zamachem zgubną myśl *prawa do ziemi*, która się z taką łatwością szerzy w tych nieoświeconych umysłach i dacie moc społeczeństwu znalezienia powolnem ale pewnem działaniem kształtu najstosowniejszego dla jego moralnych usposobień.

A wówczas, jeżeli wielkość roli i zasługa ludzi mierzą się nie zamyślanemi ale dokonanemi rzeczami,— wasz udział będzie prawdziwie wielkim i pożytecznym.— Podobni jesteście w téj chwili do owego sternika, któremu powierzono kierunek łodzi u wstępu do progów, na których nasz Dniepr się łamie. Patrzcie: wiosła przeznaczone do zwyczajnego biegu rzeki złożone na dnie łodzi; on nie zamyśla próżnéj walki z żywiołem, z ufnością mu się powierzył, a sam stanął na przodzie, gotów do odparcia znanych mu skał podwodnych. On drog: nie wybiera, bo jedna tylko jest możliwą, ta którą go sam prąd unosi; każdy sztuczny kierunek zaniósłby go na ostrza kamieni. Siła spadu go niesie, — on tylko strzeże się od zboczenia; — i po chwili, spojrzyjcie, łódź jego znowu spokojnie płynie po cichéj i powolnéj rzece.

II.

Przystępuję teraz do kwestyi zagród z całkiem odmiennéj strony. Próbowałem ją dokąd rozebrać przy świetle zasad które służą za podstawę i nauce ekonomicznéj, i żyjącemu społeczeństwu. Tą pochodnią rozświecone, pytanie to zdało mi się zawierać części słabsze, nie mogące długo się ostać wspólnemu działaniu namiętności ludzkich i czasu. Zamierzam teraz obrać sobie stanowisko nie zewnątrz kwestyi, aby ją sądzić, jak dotąd czyniłem, ale w niéj saméj; — i przyjmując wykup zagród za rzecz dokonaną i nieodwołalną, weźmę za cel moich poszukiwań to coby komitetom należało zrobić, bądź dla jéj bezstronnego zastósowania, bądź dla odwrócenia, jeźli się uda, mogących z niéj

wypłynąć szkodliwych następstw. Oświadczam wszakże z góry, że nie podejmuję się wcale przedstawić nic takiego, coby będąc zupełnem we wszystkich swych częściach, miało niezaprzeczoną wartość p aktyczną; sam wiem ile mi z téj strony brakować może. Mam tu raczéj na celu przypomnienie zbyt często pomijanych zasad, niż wskazanie wykończonego systemu; — odwołam się raczéj do praw rysunku linearnego, niż przedstawię plan saméj budowy.

Trzeba wyznać że ci, którzy będą mieli zaszczyt za siadania w komitetach, mają przed sobą wielkie i razem trudne zadanie. Powołani do uczestniczenia w budowie nowego gmachu społecznego, którego plan zaledwie jest nakreślony, materyałami staremi, popękanemi tu i owdzie pod naciskiem cierpień i namiętności, — muszą oni stworzyć całość harmonijną z tych różnolitych żywiołów, i ugruntować na nich przyszłość kraju; muszą się starać odpowiedzieć często zbyt wybujałym niestety, ale może niecofniętym żądaniom jednych bez naruszenia niezaprzeczonych praw drugich;— co większa mają tego dokonać przy niedostatku trzech niezbędnych warunków: prawodawczego doświadczenia, potrzebnych materyałów i czasu. Jest to więc zadanie i wielkie i straszne gdy się spojrzy na słabość środków; ale dodać wypada, że jednak stan szlachecki ze wszystkich jest najzdolniejszy do spełnienia go w danych warunkach, bo ma po temu zasób wiadomości praktycznych, i bądź co bądź, pomimo osobistych widoków; potrafi, dzięki swym liberalnym tradycyom, bezstronniéj patrzeć na rzecz niż ci którychby można jemu przeciwstawić.

I właśnie ta to znajomość rzeczy, poczerpnięta z długiéj praktyki rolniczéj i z ciągłego obcowania z włościanami, powinna służyć za główną podstawę przedsiębranego dzieła. Na próżno szukaćby innéj. Statystyka rolnicza i kadaster, któreby tak potrzebne były w téj

chwili, nie istnieją u nas wcale; bo to co się statystyką u nas zowie, nie zasługuje na najmniejszą uwagę; tego mi nie zaprzeczy kto wie jak są u nas zbierane wiadomości statystyczne a jak być powinny zbierane. Ani inwentarze podane przed laty, ani peryodycznie zbierane przez rząd wiadomości, nie mogą służyć za podstawę żadnemu działaniu w téj mierze, bo zawsze albo z niedbalstwem były dostarczane, albo umyślnie fałszowane z obawy nastąpić mogących nowych miar fiskalnych; do tego trzeba dodać iż równie niedbale są przez rząd zbierane, i nieprzechodzą przez żadną kontrollę *). To samo się ma rozumieć i o wszelkich wiadomościach tego rodzaju, któreby w téj chwili na gorącym razie były gromadzone; niemogą to być, tylko żywioły do najwyższego stopnia zfałszowane przez interes osobisty, niedokładność operacyi i brak potrzebnego czasu. Jest to rzecz tak jasna że nie potrzebuje dłuższego zastanowienia. Ale jakiż ztąd wniosek? Oto ten, że w przedsiębrać się mających robotach, komitety powinny się starać o ile możności obchodzić się bez téj statystyki; to jest udawać się do niéj tylko w tedy kiedy nie można będzie postąpić inaczéj. Zdaje mi się że dla położenia zasad ogólnych taksacyi zagród, mo-

---

*) Statystyka rolnicza większe przedstawia trudności niż wszystkie inne, i długo była poczytywaną za utopię. Francya, gdzie ta nauka najbardziéj jest posunięta, zawdzięcza dopiero cesarskiemu rządowi najściślejsze i najgorliwsze, jakie dotąd było, krzątanie się około tego ważnego przedmiotu. Ta praca zajmuje tu bezpłatnie około 80,000 osób, i ostatni raport ministra spraw wewnętrznych świadczy, iż po tyloletnich usiłowaniach ludność wiejska zaczyna dopiero ufać, że rząd niema w tem żadnych widoków fiskalnych. Tak umiejętnie i gorliwie zbierane dane, przechodzą przez potrójną ścisłą kontrollę nim na jaw wyjdą; a jednak minister zowie je *przybliżonemi* a nie pewnemi. Cóż pomyśleć potem o wartości naszych statystyk?

żna się prawie obejść bez danych poczerpniętych w statystyce czysto *rolniczéj*. Praktyczna znajomość przedmiotu wsparta wiadomościami o średnich cenach produktów, łatwiejszemi z natury swéj do sprawdzenia niż rolnicze dane, może w téj mierze wystarczyć, jak to w dalszym ciągu postaram się obszerniéj wykazać.

Z obawy, zapewne słusznéj, aby się szlachta nieociągała z wykonaniem powierzonéj jéj pracy, rząd naznaczył termin sześciomiesięczny do ukończenia prac komitetów. Jest to oczywiście termin za krótki, zwłaszcza dla ludzi którzy w ogóle po raz pierwszy poważnie biorą się do téj kwestyi,— i którzy będą musieli w tak krótkim czasie studiować praktyczną stronę rzeczy z przedstawionych im materiałów, i teoretyczną, tak mało u nas znaną. Kiedy się pomyśli przytem jak różnorodne i rozległe pytania będą mieli do roztrząsania, jak znajomość odmian przez które przechodziła kwestya włościańska w innych krajach, a osobliwie w innych częściach naszéj ojczyzny, będzie im potrzebną; jakie względy społeczne, historyczne, polityczne i prawne będą wymagały ich uwagi i głębokich studiów;— kiedy się to wszystko pomyśli, mówię, przychodzi zwątpić aby w tym terminie wszystko mogło być wykończonem. Życzyćby należało, bezwątpienia, aby reformę jak najprędzéj zaprowadzono, ależ to materyalnie prawie niepodobna;— i rodzi się obawa aby pośpiech nie popsuł dzieła, tem bardziéj, że ponieważ prace komitetów nie mają się na czem oprzeć, rzucono się do ułożenia byle jakiéj statystyki dla dania jakiejkolwiek podstawy ich operacyom. Za pośrednictwem marszałków rozesłano rubryki statystyczne do obywateli, spuszczając się na ich dobrą wolę i prawdomowność co do odpowiedzi na zawarte w nich pytania. Z tych odpowiedzi ma się ułożyć dla komitetów obraz kraju, który oczywiście, o połowę lub więcéj może się różnić od rzeczywistości, o

czem nikt nawet wiedzieć nie będzie; niema potrzeby się rozwodzić nad wartością takiéj roboty. Téj wiosny jeszcze marszałkowie słali właścicielom ziemskim zapytania, na które otrzymać sumiennéj odpowiedzi (jak to np. *jaki jest czysty dochód z każdéj zagrody?*), — albo jeżli mają do czego prowadzić, to chyba do najsmutniejszych wniosków. W jednym z tych cyrkularzy, któ ry mi wpadł w ręce, z polecenia swego naczelnika marszałek powiatowy zapytuje obywateli: „ile każdy włościanin, ciągły, pieszy i ogrodnik posiada ziemi w swojéj zagrodzie? — jakie znajdują się na niéj budowy? — jaka jest rozległość sadów i ogrodów? — jaki gatunek ziemi? — i nakoniec jaki jest czysty dochód chłopa z zagrody?“ — i kończy ustępem który dosłownie tłómaczę: Ponieważ zaś w ogóle mappy dóbr nie wyrażają rozległości każdéj zagrody w szczególności„ a niema dostatecznéj ilości jeometrów w powiecie dla zebrania tych wiadomości *systematycznie* w krótkim czasie; — ponieważ prócz tego komitet gubernialny nie może zacząć swych działań bez powyższych wiadomości; stosując się tedy do cyrkularza p. marszałka gubernialnego, proszę WPana o przystąpienie bezzwłocznie do *przybliżonego pomiaru* zagrody, a to albo *domowym ekonomicznym sposobem* albo odwołując się w tem do *praktycznego osądzenia kilku biegłych gospodarzy* pańskiéj włości, którzy będą mogli kierować się w tem podług *ilości ziarna*, *mogącéj się wysiać* na gruncie zajętym przez ogród i zabudowania włościańskie.... Te przybliżone wiadomości, zebrane i porównane z ogólną summą gruntów *mogą w potrzebie* służyć za materyał dla komitetów, i t. d.“

Nie wątpię że wiadomości o których mowa byłyby bardzo ciekawe i użyteczne, ale pod tym jednym warunkiem, żeby były prawdziwe. Ale wyznaję, niech mi wybaczą, że nazwę rzecz po imieniu, — wyznaję że

spostrzegam w tym dokumencie niewytłómaczoną lekkość w przystąpieniu do tak ważnéj sprawy. Nie jestci to jeszcze czynnością komitetu, ależ zawsze to pierwszy krok postawiony przez ludzi zaszczyconych zaufaniem swych współobywateli, i któż mi zresztą zaręczy że komitety inaczéj wezmą się do rzeczy? — Powiedzą mi że bez pewnych danych komitety nie miałyby nic do roboty. Zgoda i na to. Nie powstaję też przeciwko pytaniu się o niektóre szczegóły chociaż niewidzę dobrze do czego one mają służyć, ale drżę cały na myśl, że na dochodzie zagród podanym przez dziedziców mogą chcieć oprzeć ich cenę, — albo jeżeli ta statystyka ma do czegoś służyć, jeżeli np. zechcą się w czemś oprzeć na owych pomiarach zrobionych *domowym ekonomicznym sposobem*, to wyznać muszę, iż na widok takiéj lekkości, w tak wielkiéj sprawie, cała krew się burzy. Jakto? Więc kiedy powstaje pod naszemi stopami pytanie, które trzyma przyszłość kraju i społeczeństwa w zawieszeniu; — od którego zależy niezbędna harmonia między szlachtą i ludem, między duszą i ciałem narodu — pytanie w nas poczęte, nami zrodzone, naszem ciepłem wygrzane, krwią naszą zaszczepione, — mybyśmy mieli doń przystąpić z takiem lekceważeniem jakby tu niechodziło o wypełnienie ostatniéj woli ojców, lecz o jakie zapaśne magazyny lub tym podobne rzeczy? Czyż to racya aby robić źle, byle zrobić, bo nie można zrobić dobrze w tak krótkim czasie? Czyż nie widoczna że nikt z najlepszą chęcią niemógłby sumiennie odpowiedzieć na te pytania, a czynione są właśnie tym których interesem jest zfałszowanie prawdy. I na takich że to podstawach miałaby się urządzić ta delikatna kwestya zagród związana z najdrażliwszemi i najszacowniejszemi uczuciami włościanina? Zaprawdę, jeżeliby i komitety tak przystąpiły do tego pytania odpowiedzia-

łyby przed potomnością za rzucenie w massy ziarna przyszłych niezgód i wstrząśnień społecznych.

Wiem że się mówi lub myśli wśród zniechęcenia, które nas opanowało: „czy dobrze czy źle zrobimy, wszystko jedno, bo rzecz jest już ukartowana, i inaczéj nie będzie jeno według woli rządu. Ha! gdyby nam oddano całą kwestyą bezwarunkowo, urządziliśmy ją daleko lepiéj, — a tak, mało co nam pozostaje; — nie warto brać się do roboty." — Zapewne! *wszystko lub nic* jak niegdyś; — a że wszystkiego nie można, więc pod ogólną zgodą, bez sporu, pocichu zawiązuje się jakaś *konfederacya opuszczenia rąk*, obejmująca kraj cały. Mówmy otwarcie. Kwestya zagród postawiona sposobem zapewne nieodwołalnym i niecofniętym; — jeźli nam tylko ziarnko dano w jéj rozwiązaniu, przyłóżmy się do rozwinięcia go w dobrem, mając przedewszystkiem na uwadze aby nie obudzić niezadowolenia klas niższych i niepominąć razem wielkich zasad na których spoczywa społeczność. Co do zagród więc, trzeba szukać sposobów oznaczenia ich ceny w sposób jak najmnié uciążliwy, a najwięcéj zbliżony do prawdy; mówię zbliżony, bo napróżnobyśmy usiłowali w odszukaniu rzeczywistéj wartości rzeczy zastąpić dobrowolną umowę. Zauważmy że taksacya zagród daleko jest trudniejszą od taksacyi pól ornych, bo wartość polnych płodów łatwiejszą jest do znalezienia z cen targowych, niż wartość płodów ogrodowych, które, w większéj części przez rodzinę włościańską spożyte, niemogą dokładnie być ocenione; — zkąd wypływa że i dochód z zagrody nie może być znanym. Jakże się nie dziwić zapytaniu o wysokość tego dochodu? I któż ma nań odpowiedzieć? Ten właśnie którego interesem podnieść go o ile można. Niech właściciele sprobują ocenić czysty dochód ze swych własnych ogrodów; nie przyjdzie im to łatwiéj niż dla ogrodów włościańskich.

Nie dość na tem. Taksacya zagród wymaga większéj jeszcze ścisłości niż taksa pól ornych. Bo jeżeli zajdzie w tych ostatnich pomyłka i krzywda dla jakiejś strony, więc ponieważ mają być dzierżawą nie własnością, można będzie zawsze albo przejrzeć taksę, albo czekać aż kiedyś może dobrowolna umowa złagodzi nierówności. Ale jeżli chłop kupujący zagrodę na własność zapłaci ją drożéj niż warto, pewno że długo swéj krzywdy niezapomni i daj Boże aby nie znalazł stósownéj pory do wynagrodzenia sobie siłą wyrządzonéj mu niesprawiedliwości. A jakże pytam uniknąć niesprawiedliwości i krzywd tysiącznych, jeżli zamiast pomiaru jeometrycznego, ma się powierzyć tę pierwszéj wagi robotę arbitralności dziedzica lub włościan; — i to niezapomniejmy o tem w cząsteczkach ziemi drobnych, nieregularnych, pokrytych zabudowaniami, i co najważniejsza mających się odstąpić *na wieczne czasy* za cenę stosunkowo *wyższą niż orne pola*, — gdzie zatem nie morgi ale sążnie rachować wypadnie.

Co się tyczy systemu, któryby wypadało przyjąć w otaksowaniu zagród, zdania są bardzo rozmaite. Pomijając to wszystko co się na niczem nie opiera jeno na prostem widzimisię tego lub owego, albo na zasadach takich jak np. obdarcie chłopa dla zmuszenia go do pracy drogą nędzy, lub też obdarowanie go zupełne, wspomnę tylko o myśli, którą komitety zdaje mi się, iż muszą podzielać, równie jak i ogół szlachty. Według niej należałoby podzielić zagrody na kilka klas obejmując zbiorowo w każdéj klasie rozmaite przymioty zawarte w nich w różnym stopniu. Ten sposób byłby zapewne dobrym, gdyby nie trudność, a raczéj niepodobieństwo takiego określenia tych klas, aby każda zagroda ze słusznością mogła być przez nie objęta; — bo jeśli się ich niepomnoży do nieskończoności, co byłoby absurdum, zawsze się znajdą zagrody posiadające

albo wyjątkowe przymioty, albo zwyczajne, tylko w wyjątkowym stopniu, i niedające się zatem objąć stałemi nieruchomemi odgraniczeniami klas. Gdyby się jednak udało uruchomić te granice, tak aby się naginały do każdéj choćby wyjątkowéj okoliczności i wynaleść przytem jakąś pewną stopę otaksowania gruntu zagród, sądzę, że taki system taksacyi byłby najpraktyczniejszym. Spróbowałem to uczynić i rezultat moich usiłowań postaram się treściwie przedstawić moim współobywatelom, raczéj jako myśl do dzieła, powtarzam to, niż jako rzecz zupełną i we wszystkich szczegółach wykończoną.

Nim się przystąpi do rozbioru saméj taksacyi, należy zwrócić uwagę na okoliczność niemałéj wagi; — to jest na sposób wjaki ta czynność będzie zrozumianą i przyjętą przez włościan. Trzeba sobie zdać dobrze sprawę z jaką stroną ich wewnętrznéj istoty spokrewnione jest to pytanie, aby rozstrzygając je nie uderzyć tam, gdzieby rana była niezagojoną. Jeśli ten niezbędny warunek będziem mieli na względzie, musimy przyjść do wniosku, że wypada nam być z góry przygotowanymi do pewnych ustępstw, do pewnych ofiar, które nam zresztą przyszłość z lichwą powróci. — Nie jestem wcale, jak to mógł już czytelnik zauważyć, stronnikiem koncessyi czynionych ideom lub namiętnościom chwili; — ale jeżeli, obstając przy czem, ma się zadrasnąć uczucia głęboko w duszy tkwiące, nie płynące ani z chciwości, ani z lenistwa, uczucia tak szacowne i piękne jak przywiązanie do rodzinnéj chaty, do puścizny po ojcach tobym radził dobrze się przedtem namyśleć. Cóż dopiero, jeżeli rozsądek i prawo przyjdą im w pomoc? jeżeli wyrażę, że ich stronę popierają równie albo i bardziéj przeważne dowody jak i stronę przeciwną? jeżeli w tym zamęcie zobopólnych praw i interesów nie zdołamy rozpoznać prawdy, nie pozostanie nam natenczas jak

zgodzić się na pewne ofiary zarówno doradzane przez słuszność i przez zdrową politykę. — To silne przywiązanie do ziemi i do dziedzicznych pojęć, stanowiące największą zaletę naszego ludu i najobfitszą jego na przyszłość obietnicę, przejawia się najpotężniéj w dwóch wypadkach, które dziwnym zbiegiem obustronnych praw wyobrażeń i interesów, wyrastają na największe trudności, które spotkać może zastósowanie kwestyi zagród, jeśli się tylko pragnie, uszanować wszystkich prawa i zabezpieczyć interes każdego. Chcę mówić o *zabudowaniach zagrodowych* i o *owocowych ogrodach.* Zastanowimy się nad każdem z tych pytań z kolei.

Jeżeli w głębi serca nasz chłop na Rusi nie uważa zagrody za swoją własność (przeciwne mniemanie byłoby chyba naleciałością ostatnich czasów) zupełnie inaczej się dzieje, co do jego chaty i zabudowań gospodarskich. Jestto fakt niezaprzeczony, — rozpatrzmy na czem może być oparty.

Chaty i zabudowania włościańskie z dwóch źródeł zwykle pochodzą: albo je sam włościanin buduje, albo idzie na to pańszczyzna; czyli innemi słowy: 1) kosztem pierwszego osadnika, 2) kosztem dziedzica włości. Zwyczaj przyjęty jest tu prawem, ale w obu wypadkach można za rzecz pewną postawić, że dziedzic daje drzewo, lub inny surowy materyał. — W pierwszym tedy razie, kiedy chata zbudowana z pańskiego drzewa, ale pracą włościanina, do kogo należy? Oto pytanie. Posłuchajmy odpowiedzi i rozumowań ostatniego. „Prawda, powie on, że drzewo z pańskich lasów pochodzi, ale mógłże mi je pan odmówić jako swemu poddanemu? Gdzieżbym się był podział z moją rodziną, będąc do gruntu przykutym? Wreszcie pan mi je darował za moje przeszłe zasługi, — albo dając mi je darmo, wspomniał o tem, że na przyszłość będzie wymagał odemnie usług niezwykłych, w nagłych i nieprzewidzianych go-

spodarskich potrzebach. Ileż to strat poniosłoby pańskie gospodarstwo, przez opóźnienie siejby, zbioru itp. gdybym ja się zawsze ściśle trzymał przepisów, gdybym z narażeniem nieraz mego własnego dobra nie chodził około pańskiego itd. itd.“ — Chłop to powie, i wyznajmy bez ogródki, będzie miał słuszność, — bo dając mu materyał budowlany, dziedzic wypełnia warunek poddańczego i pańszczyznianego kontraktu, zawierającego, z natury swéj, obowiązek zobopólnéj pomocy, czyli wzajemnych dogodności, które dopiero z ustaniem tego kontraktu zupełnie się kasują.

Lecz tego nie dość. Włościanin nasz tak jest przekonany o tem, że chata jest jego własnością, iż przywiązuje do niéj myśl prawa dziedzicznego, skoro ją postawił jego dziad lub ojciec, — i prawo zwyczajowe (dotąd jedyny kodex cywilny naszych wiosek) przychodzi mu jeszcze tu w pomoc. Bo kiedy on odumrze małoletnie dzieci, których naturalnym i pewnym opiekunem jest dziedzic, zdarza się nieraz, że sieroty opuszczają zagrodę, i idą na jaką naukę albo do dworu, na służbę. Cóż się dzieje, gdy przyjdzie czas ich pełnoletności? Oto chłop, który przez ciąg ich dzieciństwa zajmował zagrodę, musi rad nie rad ustąpić z niej dla dzieci dawnego dzierżawcy. Dziedzic sam strzeże wykonania tego zwyczaju, i nieraz się zdarza, że w trzecim, w czwartym pokoleniu dopiero potrafi rodzina powrócić do tego co nazywa swoją ojcowizną, *(bat'kiwszczyna)* — a nie rozstanie się za nie z przekonaniem że ma do niéj prawo własności. — To samo już powinno być oznaką rzeczywistości tego prawa, że mu go nikt nie zaprzecza ani dziedzic, ani gromada, ani nawet ustępujący z miejsca, i jeśliby kto mówił że i w stosunku dzierżawnym dziedziczność bywa uważaną, odpowiem, że chyba tylko pod warunkiem bezpośredniego zajęcia.

W tym pierwszym tedy wypadku kiedy chata postawiona kosztem czyli pracą włościanina, mojem zdaniem nie należy ona do dziedzica. Przeciwnie rzecz się ma, kiedy ją dziedzic postawił swoim kosztem, ale tylko wtedy, oczywiście, kiedy zrobił to dla potrzeby swego poddanego a nie dla swojéj. I w tym jeszcze razie należałoby rozróżnić dwie okoliczności: czy dziedzic postawił chatę pod wyraźnie oznaczonemi warunkami opłaty lub odrobku, czy bez nich; bo jeżeli to się stało bez żadnych warunków to uważałbym to jeszcze za wypływ kontraktu poddańczego, który jak wiadomo nigdy nie był jednakowym we wszystkich miejscowościach ale wszędzie najrozmajciéj obciążał, a zawsze prawnie obowiązywał. A zatem streszczając co się o tem rzekło, powiem że wtedy tylko zabudowania włościańskie są własnością pańską, kiedy są postawione pod wyraźnemi zobowiązaniami odrobku lub spłaty, — albo jeszcze, kiedy spadają na dziedzica w puściznie po bezdzietnym włościaninie.

Oto są tedy dwa wypadki, dwa przeciwne prawa, któremi się mamy kierować w oszacowaniu zabudowań: prawo dziedzica i prawo chłopa. Przychodzę z niemi do zagrody i widzę na niéj najrozliczniejsze zabudowania najczęściej nieznanej wartości. Śledztwo pokazuje, przypuszczam, że chata stoi od niepamiętnych czasów, że dziedzić dał drzewo na jéj poprawienie, że się reszta budowała trochę chłopską pracą, trochę pańską pomocą, jak to najczęściéj bywa. Papierów, śladów, dowodów, — ani znaku. — Słowem chaos, nad którym słychać tylko dwa głosy, dziedzica i chłopa, upominających się o przyznanie każdemu z nich téj własności. Taki będzie stan rzeczy dziewięć razy na dziesięć. Pytam teraz co tu robić, jaką obrać drogę dla rozpoznania słuszności praw każdego. — Dobrze, jeśli się pokaże, iż zabudowanie postawione przez pana pod wy-

ražnemi warunkami odrobku lub spłaty. — Natenczas nie można lepiéj zrobić jak te warunki zapisać w prawo i wymódz ich wypełnienie. Ale proszę odwikłać prawdę i prawo, z tego ciemnego zbiegu wypadków, których pamięć zatracona. Być może, iż komitety wynajdą na to środek; nim to jednak nastąpi, pozwalam sobie wątpić o tem; nie widzę przynajmniéj żadnego w tem prawdopodobieństwa. Cóż więc począć wśród tego zamętu? jak rozwiązać ten gordyjski węzeł?

Mojem zdaniem, jedna jest na to droga — wskazałem ją wyżéj — tu jeszcze powtórzę, choć wiem jaki na siebie hałas podniosę. Wyjąwszy wypadki, gdzie warunki są wyraźne i z obu stron przyznane, powinno się przyjąć za zasadę, aby wszystkie *zabudowania oddać włościanom bezpłatnie*, — lub jak chcą niektórzy za małą jednostajną zapłatę, w celu odjęcia téj czynności niekorzystnéj na przyszłość cechy darowizny. Nie zaprzeczam ważności podobnych względów, ale taki środek na pozór tylko zmienia rzeczy, bo zabudowania są rozmaitéj wartości; przy jednostajnym więc spłacie, będzie się wielu uważało za pokrzywdzonych; żaden za obdarowanego.

A więc, powiedzą mi może, otaksować zabudowania w stosunku do ich wartości, ale bardzo nisko. Zgoda ale czy to będzie sprawiedliwie? czy się przez to szemrania nie wywoła? I owszem. — Weźmy przykład: oto dwie zagrody, dwa zabudowania; jedno ubogie, walące się, brudne, — drugie porządne, czyste i całe. Każdy powie od razu: w pierwszem mieszka pijaństwo, niedbalstwo albo zgoła niedola, — w drugiem — pilność, zamożność, porządek. I słusznie; — bo dobry stan zabudowań zależy od skrzętności i dostatku gospodarza; jest to skutek jego nakładów i starań i miałżeby za to więcéj płacić? Nigdy, powtarzam jeszcze, choćby mnie okrzyczano za najczerwieńszego z demagogów; — bez-

płatne oddanie zabudowań jest w mojem przekonaniu jedyny sposób rozwiązania téj trudności bez obudzenia w sercu włościan cierpkiego żalu, którego skutki mogą kiedyś na nas samych wywrzeć swoje gwałty.

Tyle o zabudowaniach. Co się tyczy ogrodów owocowych, powiem, że argumenta spierające się w tem pytaniu o zwycięstwo tak są podobne do dopiero co przytaczanych, że byłoby może zbytecznem zastanawiać się dłużéj nad niemi. Że jednak są rzeczy których powtarzanie pokilkakrotne nic niezaszkodzi, i ponieważ zachodzą tu różnice i skutki wielkiéj wagi, więc prosząc czytelnika o cierpliwość, wyłożę mu mój sposób widzenia w téj rzeczy.

To ważne i drażliwe pytanie, najprościéj się przedstawi w następującym sposobie: czy ogrody owocowe powinny być oszacowane w stosunku do dochodu, który przynoszą, czyli też w stosunku do wartości zajmowanego przez nie gruntu?

Odpowiedź na to byłaby nader łatwa, gdyby tu nie zachodziły podobne względy i takiż sam zamęt przeciwnych praw i interesów co i w kwestyi zabudowań. I tutaj także wewnętrzne uczucie chłopa szepcze mu, że ten sad do niego należy, bo te drzewa sadzone przez jego przodków, on od dzieciństwa pielęgnuje; — bo długie lata wyrzekł się dochodu z téj ziemi, aby się doczekać tego, że dziś ktośby chciał od niego zapłaty za trud jego własny lub jego ojców. — I tutaj także, jeżeli chcemy być konsekwentni musimy mu przyznać słuszność w większéj części wypadków, to jest we wszystkich, oprócz tych, gdzie ogród kosztem pana posadzony lub po bezdzietnym przeszedł do niego w spadku. — Rzecz to, zdaje się, jasna, — jednak może będzie potrzebnem całą jéj istotę więcéj szczegółowie wyłożyć.

Właściciel gruntu niema żadnego prawa do płodów otrzymanych z jego ziemi przez dzierżawcę, jakakolwiek byłaby ich natura. Dzierżawca może zatem posiać na najętym gruncie co mu się podoba, i czy to zboże, czy las, czy bławatki, czy nic zgoła, właścicielowi nic do tego, byle przy wyjściu kontraktu odebrał ziemię w takim stanie w jakim ją wynajął. Jeśli angielski *farmer* mający długoletni emfiteutyczny kontrakt, założy sobie spekulacyę na sadzeniu dębów, czy lord właściciel ma do nich by najmniéjsze prawo przy wyjściu terminu? Każdy powie, że nie. Jeśli dzierżawca z gruntu ustępuje, powinien tylko grunt oczyścić i nic więcéj.

Czemże jest nasz włościanin jeśli nie dzierżawcą płacącym tenutę robocizną? Chcąc temu zaprzeczyć trzebaby się cofnąć o kilka wieków. — Co mówię? gdybyśmy to nawet uczynili, nie znaleźlibyśmy w naszéj historyi żadnego zdarzenia, żadnego prawa któreby mogło usprawiedliwić przeciwne mniemanie. Kto je podzielał skłamałby naszym dziejom, skłamałby duchowi i zasadom naszego szlacheckiego zakonu. Jeśli skrzywienie tego ducha, i nieszczęścia narodu sprowadziły nadużycia które czas niejako uprawnił, jeżeli mianowicie przypisanie chłopa do roli poddało dzierżawcę arbitralności i łasce pana, bynajmniéj to wszakże nie zniosło charakteru, *dzierżawnego stosunku*, który zawsze cechował pańszczyznę w polskich krajach. Niemożna zatem uważać inaczéj naszego włościanina jak długoletniego dzierżawcę, którego termin w obecnej chwili upływa. Dotychczasowy stosunek ustaje, nowy ma powstać; dzierżawca ma trzymać grunt na innych jak dotąd warunkach; trzeba więc przystąpić do likwidacyi. Czyż dla tego, że go przeszłość skrzywdziła niewolą, mamy znowu go krzywdzić w rachunku utrzymując, że owoc drzew przezeń sadzonych ma do nas należeć? — I jakimże prawem? Chyba pierwéj zedrzeć naszą przeszłość

dziejową, i wyrzec bezwstydnie, że od pewnego czasu chłop stał się naszym niewolnikiem, naszą własnością, naszą rzeczą.

Ale pocóż, powiedzą mi, poco wchodzić w te szczegóły i na nich budować sofizmy, kiedy zasada spłatu zagród jest całkiem odmienna. — Ziemia należy do dziedzica, więc też wszystko co się na niéj znajduje do niego również należy. Kiedy więc dziś każą mu ją sprzedawać, jakąż jej dać cenę? Oczywiście taką, któraby się miała do dochodu otrzymywanego przez dzierżawcę jak kapitał do procentu. Tak się dzieje we wszystkich sprzedażach, czemużby tutaj miało być inaczej? Co dziedzicowi do tego zkąd płynie dochód ziemi, czy to z jarzyn, czy z owoców, dość że go ziemia daje; — ten więc czysty dochód skapitalizowany stanowi istotną wartość i cenę zagrody. — Prawda, że owocowy ogród nadaje większą, wyjątkową wartość zagrodzie, ależ to jest zawsze skutkiem melioracyi gruntu. I angielski przecie długoletni dzierżawca podnosi dochód ziemi to wygnojeniem roli to kopaniem rowów to drenowaniem; a przecież kiedy wychodzi z dzierżawy nic mu się za to nie należy, bo się rozumie, że musiał odebrać podjęte koszta i nakłady, że wyciągnął z ziemi to co w nią włożył. Wszystko co zostaje jest zyskiem gruntu. Owocowe zaś drzewa nie są czem innem jak melioracyą zagrody, powinny zatem należeć do właściciela gruntu i trzeba je policzyć w jego oszacowaniu.

Takie są sofizma, główniejsze tylko, pod któremi się ukrywa interes osobisty, strącony ze stanowiska sumienia i prawdy. Przypatrzmy się bliżéj ich wewnętrznej wartości.

Naprzód, drzew owocowych nie można uważać jako melioracyą gruntu i oto dlaczego. Melioracya nosi w ogóle cechę kapitału z *gruntem nierozdzielnego*, i pomnażającego dochód *pośrednio* jako środek przez spotęgo-

wanie rodzajności ziemi, a nie *bezpośrednio*, jako produkt. Więc mierzwa, rowy, irrygacye, jeśli nie było odrębnéj po temu umowy, i zwłaszcza w długoletnim kontrakcie, zostają własnością właściciela gruntu, o tyle przynajmniéj, że dzierżawca nie może prawnie wymagać za to wynagrodzenia. Ale nie można do téj kategoryi policzyć drzew, które przez się są *płodami* tylko długoletniemi, a wcale nie środkiem *powiększenia rodzajności ziemi* jak mierzwienia, osuszenia, i inne.

Idźmy dalej. — Dziedzic, mówią mi, nie powinien w to wchodzić jakiej natury jest gruntowy dochód; skoro tylko on daje się ciągnąć z ziemi, musi przez to samo służyć za zasadę oszacowania tej ziemi. — Zgoda. Ale czyż to z ziemi płynie ten dochód? Bynajmniej. Ta jego część która przedstawia rodzajność gruntu, i do której jedynie dziedzic ma prawo, małą tu wartość wynosi, bo jeśli ten dochód ciągnie z ziemi swój początek, to go podniosły cierpliwość i praca często kilku pokoleń. To co ekonomiści nazywają *rentą*, czyli ta część dochodu z ziemi która przedstawia jej przyrodzoną rodzajność zawarta jest w pańszczyznie. Więc należność *za ziemię*, czynsz dzierżawny pobieramy z pańszczyzną, — ale czy kto z nas wymagał kiedy od chłopa pańszczyznę w stosunku jego dochodu z owoców? — Nikt tego pomyśleć nawet nie śmiał; — i to nie z łaski dziedzica, ale ze zwyczaju opartego na rozsądku i na prawie. Tak, dotąk pobieraliśmy robocizną wartość samego gruntu wypuszczonego włościanom przez ojców naszych zostawiając zupełne używanie dochodów; bez względu na ich wielkość tym którzy je stworzyli lub podnieśli cierpliwością i staraniem; — z jakiem że czołem i jakiem prawem mielibyśmy dzisiaj przyznawać sobie własność tego cośmy dotąd naszem własnem postępowaniem za cudzą rzecz uznawali *).

*) Mylonoby się bardzo gdyby chciano upatrywać jakiś rodzaj

A zatem można stanowczo powiedzieć że ile razy ogród owocowy był założony przez chłopa lub jego przodków, dziedzic nie może doń rościć żadnego prawa. I to jest większość wypadków. — Ale z drugiej strony zdarzyć się może, nie przeczę, albo że ogród przez dziedzica założony, oddany jest czasowo lubo warunkowo w używanie włościania, — albo iż dziedzic otrzymuje go w spadku po bezdzietnym; — w obu razach jest on niezaprzeczenie właścicielem ogrodu i ma prawo do spłatu jego wartości. Lecz tutaj znowu zapytam, jaki jest środek rozpoznania prawdy w tej gmatwaninie praw i świadectw? i czy nie będzie jeszcze najlepiej dla nas samych na przyszłość, jeżeli oddamy włościanom owocowe ogrody bez żadnego wynagrodzenia?

Ze wszystkiego tedy co się wyżej w tej materyi rzekło, wypływa: że ile razy będzie spór między dworem a chłopem o własność zabudowań i owocowych ogrodów, — *prezumpcya prawna jest za ostatnim*, to jest że *dziedzic a nie włościanin* powinien swego prawa dowodzić.

---

czynszu dzierżawnego w dziesięcinie którą w wielu miejscach było zwyczajem dawać z ogrodów owocowych i pasiek, nim nastały inwentarze, które to wszystko zniosły. — Chociaż nasze narodowe instytucye i stosunki wcale nie są dziećmi zachodniego feudalizmu — jednak wpływ zachodu narzucał nam nieraz pewne formy i zwyczaje, nam nie właściwe, ale które przecie zagnieździły się u nas na dobre. Takiemi były *laudemia*, dotąd istniejące, — takiemi i *dziesięciny*. — W samym ich stosunku do plonu; jasno się okazuje, że nie mogą być uważane za dzierżawną tenutę, bo ta nigdzie i nigdzie tak nizko nie stała i istniała obok i niezależnie od dziesięcin. Połowa plonu trzecia część, czasem jeśli się nie mylę czwarta, stosownie do miejscowych zwyczajów bywa uważaną za słuszną zapłatę za użycie sił rodzajnych ziemi, alem nigdy nie słyszał aby dziesiąta część czystego dochodu mogła być czynszem dzierżawnym. Tak *dziesięcina* jako i *laudemium* były raczej *feudalnemi podatkami* niż czemkolwiekbądź innem.

Ależ, powiedzą mi w końcu moi przeciwnicy te ogrody stanowią nieraz największy dochód włościan, którego mała cząstka może czasem wystarczyć na zaspokojenie powinności względem rządu i dziedzica; i cóż go potem nakłoni do pracy na łanach pańskich? — Są wsie, okolice całe, na Podolu zwłaszcza, pokryte sadami; jeśli je darmo oddać, niezawodnie rolnictwo straci robotnika i upadnie w najobfitszych właśnie okolicach. Grozi to ruiną wielu rodzinom szlacheckim, zubożeniem krajowi. — Prawda, wiem że to nas narazi za pewne trudności i niebezpieczeństwa. Wiem że cierpienia mogą być dotkliwe, tem dotkliwsze że będą indywidualne, i niezasłużone. W tem właśnie leży główna trudność pytania że niema prawie sposobu pogodzenia interesu prywatnego z interesem ogólnym kraju. Któryż z tych dwóch ma ustąpić? Wiem że musimy przecierpieć i boleję nad tem; ale czy dla tego prawda przestaje być prawdą? — czy zasada traci na sile? Zbawić zasadę, to rzecz pierwsza; ona to nam przyniesie w przyszłości oliwną róższczę pokoju.

Widać więc że opozycya szlachty co do wykupu zagród choć nie jasno sformułowana ma jednak pewne przyczyny w samej istocie rzeczy. Co do mnie atoli, wyznam szczerze, iż nie przecząc w zasadzie słuszności obaw o których tu napomykam, podzielam je tylko do pewnego stopnia; a to dla następujących powodów. W dzisiejszym stanie rzeczy, bogatszy gospodarz rzadko kiedy osobiście odrabia pańszczyznę: — zastąpiony jest bowiem przez swego parobka. Obawiają się aby właściciel intratnego sadu zamieniwszy pańszczyznę na czynsz i opłacając go z łatwością, nie zarzucił pracy około pańskich łanów. — Aliż, jak mówię on ich i teraz nie uprawia; zmiana będzie więc na tem głównie zależeć, że sam dziedzic będzie musiał bezpośrednio z owym parobkiem się umawiać; — i chociaż bogaty

gospodarz będzie mu robił niewygodną konkurencyę, jednak pieniężna przewaga zostanie zawsze przy dziedzicu. — Cena pracy się wzniesie, — to prawda; ale gdzież to nie będzie miało miejsca zwłaszcza przy coraz większem rozwijaniu się przemysłu. Więc choć i cierpienia będą liczne, może dotkliwe, jednak można ufać, że przy ściśle dopełnionych warunkach oszczędności i pracy, nie grożą zupełnym upadkiem jak się tego wielu obawia.

Co się zaś tyczy zmniejszenia produkcyi rolniczej kraju, jestem przekonany że przy obecnej reformie jest ona nieuniknioną, przy najdogodniejszych nawet warunkach; — a to głównie z powodu samego zniesienia poddaństwa, czyli przypisania do roli. Jeżeli się bowiem pilnie przypatrzeć naturze tego stosunku, nie można nie spostrzedz że pańszczyzna przy poddaństwie nad miarę rozwija produkcyę, skoro tylko ten rozwój, jak to się z nami zdarza, jest wywołany wysokiemi cenami produktów. Jest to zjawisko godne uwagi, i któreby niezawodnie było poparte przez statystykę, że producyja rolnicza Podola i Ukrainy ogromnie się podniosła od jakich lat dwudziestu, i że to nie pochodzi ani z odpowiedniego wzrostu ludności, która się prawie nie pomnożyła, ani z zaprowadzenia korzystniejszych sposobów gospodarowania. Tłómaczy się to jedynie *wytężeniem robocizny w ilości i w gatunku.* Dla tego to widzimy dziś uprawą zajęte obszary, wczoraj jeszcze odłogiem leżące; tym sposobem również doszliśmy w prędkim czasie do ogromnej produkcyi pszenicznej; — tym nareszcie sposobem pańszczyzna, jest tak wytężona że jej wartość o wiele przechodzi wartość ziemi przez włościan trzymanej. — Pańszczyzna zawsze, a zwłaszcza przy poddaństwie, odgrywa względem rolnictwa tę samę rolę, co system protekcyjny względem przemysłu; i ze zniesieniem jej produkcyja rolnicza tak dobrze musi ucier-

pieć, jak przemysłowa ze zniesieniem ceł protekcyjnych, bo i jedna i druga przy tak nienormalnych warunkach przybierają rozmiary nieodpowiednie siłom kraju.— Przypomnę to żem się oświadczył wyżej za potrzebą zapewnienia pracy rolnictwu w pierwszych latach reformy, bądź przez połączenie obowiązku trzymania ornego pola z prawem własności do zagrody, bądź przez ograniczenie środkami policyjnemi zbytecznej swobody ruchu. Uważam to bowiem za rzecz, równie potrzebną, jak w przechodzeniu od systemu protekcyjnego do wolnego handlu potrzebnem jest stopniowanie, bez którego cierpienia indywidualne byłyby i zbyt dotkliwe i niezasłużone.

Ale wracam do rzeczy. Wskazawszy stanowisko z którego się zapatruję na kwestyę zabudowań i owocowych ogrodów, nie pozostaje mi jak tylko przystąpić do poszukiwań których celem ma być o ile możności najprostszy i najsłuszniejszy sposób oszacowania zagród.

Wypada mi najprzód odpowiedzieć na pytanie; czy grunt zagrody należy wyżej szacować, czy podług tej samej stopy, co grunt ornego pola? Niema wątpliwości że wyżej. *) Skupienie zagród w jednym punkcie, konieczność znajdowania się ich wszystkich w obrębach wsi,— położenie samychże wiosek w miejscach najdogodniejszych często wyjątkowych, — w dolinach, nad brzegami wód i t. d., wszystko to musi już wpływać na podwyższenie wartości gruntu pod siedzibami będących. Do tego jeszcze zagrody zajęte są pod uprawę ogrodową, pilniejszą, pracowitszą, wymagającą więcej nawozu, a zatem bardziej polepszającą ziemię. Każdy się więc na to zgodzi że mórg zagrody wart więcej niż mórg pola; chodzi tylko o wyszukanie tej wartości.

Niemasz ku temu pewniejszego środka, jak przyjęcie

---

*) W dobrach skarbowych przyjęto za zasadę, że dziesięcina zagrody tyle znaczy co cztery dziesięciny ornego pola.

produkcyi za zasadę oszacowania. Nie wątpię że ten środek będzie przyjętym dla pól ornych. Każdy inny, jak np. skapitalizowanie czystego dochodu może być bardzo dobrym w teoryi, ale w praktyce okazałby się niewykonalnym, bo tego czystego dochodu nikt nie zna i znać niemoże.

W oszacowaniu ornego pola przyjmie się zapewne pszenicę lub żyto za normę produkcyi. Tej samej normy nie można oczywiście stosować do szacunku ogrodów, których uprawa całkiem od polnej odmienna. Trzeba więc w samej ogrodowej uprawie znaleść produkt który by można przyjąć za normę produkcyi, i z tego punktu wychodząc dójść do znalezienia rzeczywistej wartości zagrody. Produkt ten, aby mógł być przyjętym za zasadę taksacyi, powinenby się stosować w miarę możności do pewnych warunków. Dobrzeby było, naprzykład, gdyby jego konsumcyja była bardzo powszechną, aby przez to mógł służyć za jedyną stopę dla całego kraju a przynajmniej dla rozległych miejscowości. Również jasną jest rzeczą, że im bardziej on będzie posiadał wyłączną cechę ogrodowego płodu tem pewniej można się na nim oprzeć w taksacyi, bo jego *targowa cena* mniej będzie zależeć od tych zmian którym podlegają przedmioty wielkiej uprawy. Dodam nareszcie że ponieważ tu chodzi o znalezienie jego *targowej ceny*, więc trzebaby w jego wyborze zwrócić uwagę na warunki jego konsumpcyi i odbytu, które tem pewniejszą przedstawią podstawę czynności, im bardziej będą powszechne i jednostajne co do miejsca i czasu. — Nie biorę na siebie wskazania płodu któryby mógł służyć za normę oszacowania; być może iż kartofel byłby do tego najzdolniejszym, przynajmniej w wielkiej części naszych prowincyj; ale nieprzesądzając wcale o tem, ograniczam się jedynie na prostem wskazaniu rzeczy, zostawiając jej dopełnienie biegłości miejscowych gospodarzy zasia-

dających w komitetach.— Na to wszakże zwracam uwagę czytelnika, że ten pierwszy krok nie przedstawia żadnych trudności w wykonaniu, bo mógłby być załatwionym przez sameż komitety w łonie których jak sądzę nie braknie na biegłych agronomach.

Po wybraniu między płodami ogrodowej uprawy rośliny mającej służyć za normalną stopę taksacyi, komitet będzie musiał odpowiedzieć na trzy następne pytania:

1) Jakie są rozmaite rodzaje gruntu w prowincyi, i na wiele głównych klas czy oddziałów można by je podzielić?

2) Jaka jest przecięciowa naturalna rodzajność każdej z tych klas względem rośliny wziętej za normę?

3) Jaka jest przecięciowa targowa cena owej rośliny?

I tutaj jeszcze doświadczenie i praktyczna znajomość rzeczy członków komitetu wystarczą na odpowiedzenie dwom pierwszym pytaniom, osobliwie jeśli oni nie omieszkają zetknąć się z godnemi wiary włościanami różnych okolic dla zdecydowania średniej produkcyi każdego rodzaju gruntu. Nie potrzebuję dodawać że ta średnia produkcyja powinna być ostatecznie znalezioną i oznaczoną *dla każdej klasy z osobna.* Zaś liczba tych klas nie powinna być ani zbyt wielką, boby to utrudzało zbyteczne czynności, ani też zbyt małą, bo wówczas przecięciowe średnie ceny byłyby zanadto oddalone od wielu cen rzeczywistych.

Chcąc odpowiedzieć na trzecie pytanie, trzebaby się uciec do pewnych poszukiwań statystycznych. Delegowani od komitetu (dwoch lub trzech na każdy powiat), udaliby się na główniejsze targi powiatu, gdzie w krótkim czasieby zebrali kilkoletnie targowe ceny obranego za stopę produktu. Te dane (tu się już bez statystyki obejść nie można) miałyby tę przewagę nad zbieranemi u nas zazwyczaj, że byłyby w trzech rozmai-

tych źródłach czerpane: u szlachty, u włościan i u żydów; przez co kontrolując się wzajemnie, doprowadziłyby jak sądzę, do bardzo prawdopodobnego rezultatu. Przytem wolno nam więcej rachować na sumienność i umiejętność komitetowych delegowanych, niż na urzędników zwykle ku temu użytych.

Zdaje mi się, że rezultat tej pracy okazałby ceny mniéj więcej jednakowe w trzech prowincyach do których to co piszę najbardziéj się stosuje. Zachodziłyby jednak zapewne różnice między okolicami większych miast a mniéj ludnemi stronami. Komitet spostrzegłby je łatwo w raportach przedstawionych mu przez delegowanych, i zbadawszy ich przyczyny, podzieliłby prowincyę na strefy według różnicy cen targowych obranego płodu. Bo niesłusznie byłoby, gdyby, naprzykład, na równéj strefie oceniono zagrodę położoną pod Berdyczowem, gdzie odbyt łatwiejszy, a zagrodę opodal od miast leżącą. — Znalazłoby się tedy w gubernii kilka części, czyli okręgów z których każdy miałby swoją *odrębną, przeciętciową, i normalną cenę.* Na niéj dopiero oparłyby się, jak na podstawie, późniejsze taksacyjne czynności.

Doszłoby się tym sposobem do wykrycia dwóch żywiołów za pomocą których znalazłoby się cenę ziemi,— a mianowicie: przeciętciowej *rodzajności każdéj klasy gruntu* obrachowanéj na jednosć mierniczą np. na sążeń; — i *średniéj ceny danego płodu* dla każdéj strefy osobno. Rzecz jasna, że pomnożywszy wzajemnie te dwie ilości, i odciągnąwszy od iloczynu wprzód oszacowaną wartość roboty użytéj przy uprawie płodu *), o-

---

*) **Prawdziwa wartość roboty niemoże być znalezioną tam, gdzie panuje praca przymusowa. Dlatego radziłbym obrać produkt jak najłatwiejszéj wymagający pracy, gdyż o tyle taksacya będzie sprawiedliwszą o ile mniéj w nią wejdzie tego mylnego żywiołu.**

trzyma się w ostatku *wartość siły rodzajnej danéj jednostki w każdéj klasie gruntu*; — kapitalizując zaś tę wartość na stopie pięciu lub sześciu od sta, dójdzie się do *przecięciowéj kupnéj ceny każdéj jednostki ziemi.* — Albo, dla jaśniejszego oczom przedstawienia, jeśli oznaczym przez x — poszukiwaną cenę np. sążnia gruntu; przez r — jego siłę rodzajną; przez p — pracę użytą przy uprawie; i przez c — średnią cenę płodu przyjętego za normę; — to formułka: $rc - p$ będzie wyrażać wartość jednoroczną rodzajnéj siły ziemi, czyli *rentę* właściciela; którą skapitalizowawszy na stopie 5% otrzymamy formułę:

$$x = 20\ (rc - p)$$

czyli *wartość sążnia danego rodzaju gruntu.* Nie pozostaje jak tylko podstawić pod litery r, c, p, cyfry otrzymane przez statystykę, robiąc to, jak się każdy domyśla, dla każdéj strefy z osobna.

Posiadając tak znalezioną cenę każdéj klasy gruntu mielibyśmy już samą zasadę taksacyi – chodziłoby już tylko o zastósowanie jej do praktyki. Jakkolwiek niepodobna znać dochód każdéj zagrody, dość jednak pierwszego rzutu oka dla przekonania się, że niezależnie od wielkości zagród, dochody te bardzo się różnią między sobą nawet w jednéj i tej saméj wiosce. Od czego zależą te różnice? — Oto głównie od dwóch okoliczności: 1) od rodzaju gruntu, 2) od położenia zagrody mniéj lub więcéj wygodnego stósownie do tego czy jest niskie, czy wysokie, suche, czy wilgotne. — Te rozliczne przymioty gruntu, położenia, ceny produktów, i inne, wchodzą w skład zagród w najrozmaitszym stopniu i stosunku; i tworzą swojemi różnemi połączeniami najrozmaitsze i niezliczone kombinacye. Dla tego to powodu znajduję, że wyżéj wzmiankowany podział zagród na klasy podług ich przymiotów branych nie pojedynczo, ale już w samym stanie ich kombinacyi z innemi,

całkiem jest niepraktyczny; — i tem trudniejszy do wykonania, iż nie wyklucza z taksacyi sadów i zabudowań, rzeczy niepodobnych w każdem razie do oszacowania ze słusznością. Bo niepodobna będzie dość namnożyć tych klas, aby objąć w ich granice wszystkie możliwe kombinacye tylu rozmaitych żywiołów, — a jeśli ich będzie za mało to wielkie ztąd krzywdy powstaną, bo, jak już się rzekło, nieraz lepsza wyjątkowa zagroda będzie objęta w klasie daleko niższéj niż chce tego jéj wartość rzeczywista.

Ale jeżeli zamiast dzielenia samych zagród na klasy, wcale się ich nie tyka, a rozróżnia się tylko i dzieli pojedyncze żywioły w ich skład wchodzące, otrzyma się skutek daleko obfitszy w następstwa. W miejscu bowiem tyranicznego rozgraniczenia klas w których wszystko musiałoby się mieścić, przyjdziemy, przez samo zestawienie żywiołów składających zagrodę, do utworzenia *ruchoméj taksacyjnéj tablicy* dającéj się rozszerzyć i nagiąć do każdéj nawet wyjątkowéj okoliczności. Taką tablicę należałoby ułożyć na zasadach następujących.

Przedewszystkiem trzeba przypomnieć, że dla każdéj strefy musianoby ułożyć odrębną tablicę biorąc za podstawę panującą w niej średnią cenę produktu obranego za stopę taksacyi.

Z tego co się wyżéj rzekło wynika, że wszystkie żywioły z których się składa zagroda powinny być przedstawione przez właściwe rubryki w tablicy. — Zacznijmy od główniejszych. — Ponieważ *położenie zagrody*, nizkie albo wysokie, suche albo wilgotne, jest dla niéj warunkiem fundamentalnym i nieuniknionym, — więc utworzą się z tego dwie główne rubryki tablicy. — Ten warunek położenia jest niejako tłem na którem się mieszczą i rozwijają rozmaite przymioty dobroci gruntu, okoliczności wyjątkowych itd. — Więc też i dwie ru-

bryki, przedstawiające *położenie*, skrzyżujemy w tablicy rubrykami przedstawiającemi te przymioty. — I tak zagroda zawiera zwykle: 1) ziemię zajętą pod dziedziniec tok i zabudowania, 2) ziemię pod ogrodem warzywnym. To dwa, że tak powiem, konieczne wypadki; obok nich zdarzają się inne, przypadkowe: 3) Grunt pod owocowym sadem — 4) sianożęć i 5) nieużytki, to jest części gruntu zbyt nieurodzajne lub źle położone, żeby można je zająć pod uprawę. Powinnoby zatem być pięć głównych rubryk w tablicy; — ale podciągnąwszy dla przyczyn, które wnet wyłożę trzy pierwsze pod jedną kategoryą *ziemi uprawnéj*, — nie pozostanie w tablicy jak tylko cztery żywioły składowe: *położenie*, *ziemia uprawna*, *sianokosy*, i *nieużytki*, do których dodawszy jeszcze rubrykę dla *wartości wyjątkowych*, ułożymy ją w następujący sposób:

Położenie	Ziemia uprawna						Sianokos		Nieużytki	Wartości wyjątkowe.
	klasy	1a	2a	3a	4a	5a	1a	2a		
Wysokie lub suche	kopijek sr. za □ sążeń	13	12	11	10	8	10	9	0.	—
Nizkie lub wilgotne		15	14	13	12	10	12	8		

Myślałem pierwotnie odróżnić w oszacowaniu ziemię zajętą pod zabudowaniami od ogrodowéj, i objąć ją w jedną klasę bez względu na dobroć gruntu, opierając się na tem, że w żadnym razie nie jest przeznaczona na uprawę. Ale zastanowiwszy się lepiéj, sądzę, że wychodząc z téj zasady, iż obecnie kończy się kontrakt dzierżawny, a zawiera umowa kupna, przedający niepotrzebuje wchodzić w to, jakim sposobem kupujący użyje kupionego gruntu, — dla niego więc gatunek ziemi stanowi jéj wartość, nie zaś jéj przyszły użytek. —

Przeciwne rozumienie sprowadziłoby prócz tego niemałe trudności i komplikacye przy zakładaniu nowych zagród w przyszłości. To samo się stosuje i do gruntu zajętego pod ogrody owocowe; — dla tego też objąłem te trzy odrębne na pozór klasy w jedną kategoryę *uprawnej ziemi.* — Wiadomo zaś, dla czego zabudowania i owocowe drzewa nie umieściłem na taksacyjnéj tablicy.

Inaczéj rzecz się ma z sianokosami lub pastwiskami, które mogłyby często w skutek dzisiejszego stanu rzeczy być objętemi w kupnie zagród. — Jest to jeszcze trudność, która niemało kłopotu nabawi komitety. Zdarza się często, zwłaszcza w mniéj ludnych okolicach, że zagroda zbyt jest rozległą, aby być w zupełności poświęconą ogrodowéj uprawie. Zbywająca od téj uprawy część, obraca się przez włościan albo na polną uprawę, albo na łąki i pastwiska. Niewiadomo co zechcą komitety i co rząd pozwoli rozumieć pod nazwą zagrody; — najlepiéj wszakże byłoby dla uniknięcia nieporozumień mogących ztąd wypaść, ograniczyć ją na tem, co istotnie jest zagrodą w ścisłem znaczeniu wyrazu, — to jest: *na dziedzińcu, na zabudowaniach, ogrodzie owocowym i warzywnym* czyli jednem słowem na tem co stanowi *drobną, ogrodową uprawę.* — Oddzielając od zagrody wszystko co nie jest właściwie *ogrodem*, to jest wszystko co się *uprawia sprzężajem* lub *odłogiem leży*, uniknęłoby się oszacowania nadzwyczaj trudnego, i zyskałoby się wiele przez posiadanie w obrębach wsi gruntów rozporządzalnych na wypadek nowych potrzeb w przyszłości. — Zachowałaby się prócz tego pewna równość w warunkach, pod któremi włościanie staną się właścicielami; i czyby uwłaszczenie w tych wyjątkowych położeniach było korzyścią czy stratą, nie danoby nikomu powodu skarżenia się na niesprawiedliwość. — Lecz miarkując po staraniu z jakiem rząd zaleca naszym komitetom oparcie swoich czynności na

teraźniejszych *inwentarzowych prawach*, należy wnosić, że i tutaj rozkaże ślepo się trzymać dzisiejszego *statu quo*, i niepozwoli na żadne zmiany w ograniczeniu zagród. — W takim razie wypadałoby, według mnie chcąc się kierować umiarkowaniem i niezbędną w rozwiązaniu tak delikatnych pytań względnością, — wypadałoby, mówię zapatrywać się na owe grunta zagrodowe, *zbywające od ręcznéj uprawy*, jak na rzeczywiste *pola i łąki*, i oszacować je podług téj stopy; — to jest biorąc za zasadę taksacyi produkt polny, a nie ogrodowy. — Niemożnaby nawet zastósować do tego punktu téj wymówki, że przedający nie wchodzi w przyszłe użycie gruntu, ale ocenia według jego dobroci, — bo przyczyny, które spowodowują wyższe oszacowanie ogrodu niż pola, nie mają tu siły. Nareszcie gdyby i tak było to inny jeszcze wyższy wzgląd powinien nami kierować w rozsądzeniu téj sprawy: — włościanin w ogóle nie z własnéj woli kupuje zagrodę tylko z woli rządu; — więc gdyby mu nawet nie było pozwolonem ograniczyć rozległość swego kupna stósownie do swych środków i chęci, byłoby niesprawiedliwością, gdybyśmy go chcieli karać niejako za cudzą winę, każąc mu płacić na stopie warzywnego ogrodu ziemię któréj on nie jest w stanie inaczéj uprawiać, tylko jako pole lub łąkę.

Na czwartem miejscu tablicy umieściłem nieużytki, i wartość ich zerem przedstawiłem, dla tak prostej przyczyny, że gdyby nie pamięć pewnych wymagań, wcalebym jéj nie tłómaczył. Są to błota, urwiska, strome pochyłości, słowem miejsca niezdolne do uprawy, które owszem nieraz utrudzają gospodarstwo. — Ależ, mówił mi ktoś, błoto można osuszyć i zrobić łąkę. — Może być, ale, jak dotąd, nasz kraj nie jest w tych warunkach ekonomicznych w których się to robi; wreszcie dochód z takiéj operacyi jest wynagrodzeniem pracy i zapłatą włożonego kapitału; — zaś dzisiejsza rodzajność

skoro jest żadną więc i wartość jéj żadna. Dałem miejsce w tablicy nieużytkom dla tego, żeby, jak się, niżéj potrzebnem okaże, zaokrąglić rachunek summy rozległości zagrody.

Położyłem w końcu na taksacyjnéj tablicy *wartości wyjątkowe*. Rozumiem przez to przedmioty nie znajdujące się we wszystkich zagrodach, i których wartość głównie zależy od pewnych *przypadkowych zewnętrznych okoliczności*. Takiemi są zarybione wody, trzciny, drzewo budowlane lub opałowe, kamień itd. słowem, rzeczy które czasem niemają żadnéj wartości, a czasem płacą się z powodu ich rzadkości. Przedmioty te niedadzą się objąć w ramy żadnéj kategoryi ani podzielić na żadne klasy, tylko potrzebują *odrębnego i szczegółowego* oszacowania, któreby zostało wykonane jednocześnie z pomiarem i zastósowaniem tablicy taksacyjnej do każdej zagrody. — Niepotrzebuję mówić, że liczby zapisane na 'tablicy są przypadkowo wzięte, służą tylko do przedstawienia jéj w zupełnym kształcie; wyrachowania czynione podług powyższéj formuły zastąpią je rzeczywistemi liczbami. — Dodam nareszcie, że jeślim ominął niektóre szczegóły, któreby słusznie znalazły miejsce na téj tablicy, każdy taki niedostatek łatwo się da zapełnić otworzeniem nowéj rubryki: przypominam wszakże, iż nie miałem na celu przedstawienie rzeczy skończonych, ale raczéj formy, lub szkicu któryby się łatwo dał rozciągnąć i zastósować do wszystkich okoliczności. Do czytelnika należy osądzić czym, chociaż w części dopiął mego celu.

Skoroby komitety ułożyły według tego planu *taksacyjne tablice* odrębnie dla każdéj strefy, pozostałoby tylko zastósowanie ich w praktyce, — ale to już nie jest ich dziełem. Komitetów rzeczą jest położenie zasad taksacyi, szczegółowe oszacowanie przyjdzie późniéj, bo wymaga więcéj czasu niż sześciu miesięcy. Byłoby bar-

dzo do życzenia, aby rząd pojmował to tym sposobem, inaczéj wziąłby na siebie winę wszystkiego coby wynikło z tak pośpiesznéj roboty. — Bezwątpienia, że im rychlej pomiar się zacznie i wykona, tem lepiéj będzie dla wszystkich, bo na przeciąganiu chwil niepewności nikt niezyskuje; ale nie można go zacząć dopóki nie będzie z pewnością wiadomem co mierzyć; tj. dopóki komitety i rząd nie zdecydują czy zagrody zostaną *in statu quo* czyli też sprowadzą się do słuszniejszych granic. Przedtem nic stanowczego zrobić nie moża, chybaby prawdą było, czemu niechcę wierzyć, że komitety podpiszą tylko projekta wypracowane w kancelaryach ministra.

Skoro tedy dzieło komitetów, to jest wyszukanie zasad taksacyi i ułożenie podług nich systemu oszacowania będzie ukończonem, zachodzi potrzeba jak najrychlejszego zastósowania ich do praktyki. Potrzeba aby komissya główna kilku gubernij, któréj istnienie będzie dłuższe niż komitetów przywołała ku temu wszystkie środki jakie będą w jéj mocy. Pierwszém krokiem na téj drodze musi być ogólne i jak najbardziéj szczegółowe rozmierzenie zagród, wymieniając ilości każdego rodzaju gruntu w nich zawartego, stósownie do tablicy taksacyjnéj. W tym celu, oprócz jeometrów zwyczajnych i tych których rządby nie odmówił, potrzebaby może pod ich rozkazy przywołać w pomoc młodzież szkolną któraby się okazała być zdolną do tégo rodzaju robót, i podzieliwszy ją między powiaty rozesłać po kraju *). Przytem niezbędną będzie rzeczą dodać do każdéj takiéj *powiatowéj mierniczéj kompanii* dwóch lub trzech bie-

*) Bióra komunikacyj lądowych i wodnych w Warszawie przepełnione są mimo swéj woli próżnującą młodzieżą, o którą się postarawszy i zapewniwszy jéj stósowne wynagrodzenie, możnaby mieć z niéj wielką pomoc.

głych i światłych gospodarzy, z pomiędzy osiadłych obywateli bądź przez szlachtę obranych, bądź wyznaczonych przez komitety; a to w celu kontrolowania jeometrycznych czynności z jednéj strony, i zdecydowania z drugiéj tych szczegółów, które nie mogą należeć do kompetencyi mierników; — mianowicie takich pytań np. jak te: do jakiéj klasy gruntu ma być wpisana zagroda? Jak oszacować *wartości wyjątkowe*? i t. p. W każdym z tych wypadków nie trzeba zaniedbywać zasiągania rad i wiadomości nietylko u dziedzica ale także i to koniecznie u włościan miejscowych, dla uniknięcia zarzutu arbitralności. Tym sposobem rzeczy prowadzone, jeżli się niemylę, w krótkim stósunkowo czasie, mogłyby być dokonane daleko słuszniéj i dokładniéj, to pewna, niż gdyby pomiar był robiony od oka.

Ostatnie rezultaty prac mierniczych kompanii byłyby przezeń spisywane na rejestrach, sporządzonych na wzór tablicy taksacyjnéj, i to w ten sposób aby każda zagroda miała swoją osobną na nich rubrykę czyli tabliczkę zupełnie podobną w swéj formie do głównéj taksacyjnéj tablicy. Rejestra te należycie skontrolowane i poświadczone przez obywateli delegowanych przy kompaniach, zostałyby przedstawione komitetowi który sprawdziwszy je o ile by to było w jego mocy, wyprowadziłby ostateczne wnioski zapisując pod każdą zagrodową tabliczką wartość całéj zagrody obrachowaną podług podanych mu liczb *).

---

*) Objaśnię to przykładem. Przypuśćmy że na zagrodowéj tabliczce wypadną z pomiaru następujące ilości:

Każdemu nabywcy zagrody wręczonoby druk zawierający kopię jego zagrodowéj tabliczki, i zrobionego z niéj obrachowania, z przyłączeniem tabelli umorzenia jego długu. Ta kopia poświadczona przez władzę służyłaby razem za kontrakt kupna, i za dowód własności, potrzebny w razie przejścia jéj w inne ręce, lub na wypadek innych mogących zajść sporów.

Położenie	Ziemia uprawna klasy	1	2	3	4	5	Sianokos 1	Sianokos 2	Nieużytki	Wartości wyjątkowe.
Wysokie lub suche	□ sążnie								25.	Trzciny fur 10 ocenionéj po 10 kop. sr. za f.
Nizkie lub wilgotne			800		50		100	60		

Komitet czy komisya otrzymawszy te dane, zestawia je z odpowiedniemi rubrykami ogólnéj taksacyjnéj tablicy i mnożąc ilość szczegółowéj tabliczki przez wartości zasadnicze znajduje że:

800	sążni po	14	kop. sr.	=	11200
50	— —	11	— —	=	550
100	— —	12	— —	=	1200
60	— —	8	— —	=	480
25	— —	0	— —	=	0

Summa 1035 sążni □ — — — — — = 134,30

Dodawszy 10 fur trzciny po kop. sr. 10

= 100 kop. sr. czyli na stopę 5% — — = 20,00

Summa ogólna rsr. 154,30 kop.

co też będzie i rzeczywistą ceną zagrody.

(Nieużytki figurują tu tylko jak wyżéj mówiłem, dla otrzymania ogólnéj summy kupionego gruntu).

Przyszedłem do kresu przedsięwziętéj pracy. Wiem dobrze iż przedmiotu mego nie wyczerpałem;— iż niektórych stron jego nawet nie tknąłem się wcale; nie wątpię że z materyałami w ręku możnaby daleko więcéj go rozwinąć niżem to zdołał bez nich uczynić. Ale muszę to powiedzieć na wytłómaczenie niedostatków koniecznie połączonych z pobieżnem pisaniem, że obręb tego pisma nie pozwalał mi bardziéj się rozszerzyć. Odznaczywszy szrankami moje pole obiegłem cały jego okres i stanąłem u mety;— czy szczęśliwie, o tem niech czytelnik sądzi;— ale przytem niech będzie przekonany, że gdyby siły moje wyrównywały méj gorącéj chęci ujrzenia pomyślnego końca przedsiębranéj reformy, — byłbym pewny doskonałości przedstawionych przezemnie środków.

Wiem że moje zdanie w przedmiocie ogrodów i zabudowań znajdzie wielu, nawet zawziętych przeciwników;— pocieszam się że mogę rachować na kilku przynajmniéj stronników, których rozrzucone pojedyncze myśli starałem się tu w jedno zebrać i sformułować. Wypowiedziałem otwarcie moje przekonanie i wskazałem jego podstawy; — oświadczam iż gotówem je odmienić, skoro tylko ktoś zada sobie pracę obalić je mocniejszemi dowodami. Ale też nawzajem proszę moich przeciwników, aby w braku takowych zechcieli przystać na to, co jak mniemam rozsądek, prawo, — ojczysta przeszłość i względy przyszłości wskazują nam jako obowiązek do wykonania. Gdyby nie wyższe powody to już sama polityka im to rozkazuje. Jesteśmy na wulkanie którego boki już od lat kilkunastu ciągle lawa przerywa. Kto wie? może wybuch niedaleki, może nawet nieunikniony;— wszyscy czujemy jak się grunt pod stopami kołysze, ale niemamy siły zaradzić temu kosztem małych poświęceń. Nie daj Boże abyśmy kiedyś żałować i płakać mieli, ale po niewczasie, i kto

wie ile będziem musieli oddać jeźli teraz zechcemy z małem się drożyć. Gdybyśmy jeszcze mogli nie dając okazać się tylko samolubami! — ale nasze prawa do rzeczy tak są nierozdzielnie zmieszane z prawami również mocnemi włościan, że jeźli sobie przysądzimy własność chat i ogrodów, nie oni przez nas, ale my przez nich będziem obdarowani; — co mówię? — oni przez nas przemocą obdarci. Nie ma innego środka jak przyznanie im tego prawa bez ogródki; — jest to jedyny sposób zakończenia zwycięzko téj zawikłanéj likwidacyi.

Zakończę niniejszą pracę kilkoma myślami, które bezwątpienia lepiéj od poprzedzających będą przez ogół przyjęte. Wskazałem wyżéj niebezpieczeństwa wypływające z fałszywego, mojem zdaniem postawienia kwestyi zagród na polu *przymusowego wykupu*; — ograniczę się tu na przypomnieniu pamięci czytelnika otwartą przez to krajowi podwójną alternatywę nieustającéj taksacyi ziemi przy uciążliwéj kontrolli stosunków, lub też ogólnego uwłaszczenia. — Nie chcę powtarzać powodów mego w téj mierze przekonania. Powiem tylko że teraz już cofnąć się z tego stanowiska niepodobna; ale mniemam iż możnaby znaleźć sposób powrócenia z czasem na drogę dobrowolnéj umowy, jeźliby rząd, ma się rozumieć, nic nie miał przeciwko temu. — Dla dopięcia tego celu dosyć byłoby zadekretować zupełną wolność dla włościan sprzedawania zagród komu zechcą wyjąwszy żydów, ale nie wykluczając dziedzica. Nie jest mu wprawdzie wyraźnie wzbronionem przez cyrkularz ministra odkupić zagrodę, ale sądząc z ogólnéj dążności rządu w tych kwestyach, i z jego postanowień o *ziemi gminnéj*, można przewidywać że dziedzicowi nie będzie dozwolonem nabywanie zagród. Byłby to jednak jedyny może sposób przywrócenia rzeczy do ich przyrodzonéj kolei, z któréj zostały wytrącone obecnem postanowieniem o zagrodach. Bo po pewnym

przeciągu czasu ci, co teraz pomimo woli zostaną właścicielami, odprzedawszy swe zagrody, powróciliby do dzierżawnego stosunku, a pozostaliby właścicielami ci tylko którychby to potrzebom odpowiadało. Ale dla uzupełnienia takiego urządzenia, dla dania mu pewnéj przewagi, należałoby za jednym razem *pozwolić* włościaninowi nabywać orne pola, *) i nawet dopomódz mu w tem przez ustanowienie specyalnych w tym celu instytucyj kredytowych, jako też i przez udzielenie mu stósownéj opieki przeciw niesłusznym wymaganiom silniejszego o czem będzie mowa za chwilę. Miałoby to nareszcie ów błogi skutek, że zregulowałaby się przez to dwoistość położenia włościan względem panów, (raz jako sąsiadów i równych, powtóre jako dzierżawców i podwładnych) dwoistość na niebezpieczeństwo któréj już wyżéj zwróciłem uwagę czytelnika. Środki te ośmielam się gorąco zalecać uwadze rządu i komitetów. Nie taję że niosą one w sobie, jak zresztą każda rzecz ludzka, pewne niebezpieczeństwa, które rozeznać łatwo, skoro się wspomni o bardzo naturalnéj dążności szlachty do utrzymania całości swych dóbr, — dążności najczęściéj niczem nie zrównoważonéj ze strony włościan. Obawiałbym się nawet wyniknięcia ztąd, przy różnicy położenia tych stanów, pewnych nadużyć mających na celu wyzucie chłopa z własności pomimo jego woli, — gdybym nie myślał że odpowiednie urządzenia ze światłem i patryotycznem ich zastósowaniem mógłyby zupełnie te trudności usunąć.

To mię prowadzi do wytłómaczenia co rozumiem pod temi urządzeniami i jakim sposobem dają się one pogodzić z zalecaną w całym ciągu tego pisma zasadą swobody umów. Tu właśnie leży owa granica która nas dzieli w kwestyi włościańskiéj na dwa wielkie

*) **Rząd uczynił to w dobrach udzielnych cesarskiéj rodziny.**

obozy: stronników uwłaszczenia przy interwencyi rządów,— lub też dzierżawy z zupełną swobodą umów.— Co do własności i dzierżawy powiedziałem z początku że widzę w tem kwestyę czasu i miejsca; zaś za swobodą umów oświadczyłem się wyraźnie, jako za ideałem oświeconego i wolnego społeczeństwa, stanu do którego powinniśmy dążyć; nareszcie jako za jedynym środkiem słusznego rozstrzygnięcia poprzedniego pytania. — Ale tu właśnie spotyka mnie zarzut, któremu do pewnego stopnia przynajmniéj, słuszności zaprzeczyć nie mogę. „Pod rządem swobody umów, (powiadają nie koniecznie stronnicy uwłaszczenia, ale ci w ogóle co uznają naglącą konieczność reformy), — włościanie nigdy się na prawdę nie wybiją z dzisiejszego stanu rzeczy. Ich apatya i niedołężność, ich ciągłe oczekiwanie czegoś lepszego,— z drugiéj strony egoizm szlachty, odkładającéj do jutra spłacenie długu ojczystego, jéj przewaga we wszystkich miejscowych interesach i okolicznościach, staną się przeszkodą do wszelkiéj istotnéj reformy, a ponieważ reforma jest potrzebą, żywotnym warunkiem dla kraju,— więc też okazuje się konieczność wdania się kogoś trzeciego coby rozpostarł opiekę nad słabym i zmusił do reformy któréj dobra wola nigdy nie sprowadzi.“ — Tak mówią ci, co gorącą miłością kraju uwiedzeni, szukają na drodze gwałtu wyjścia z niebezpieczeństw teraźniejszości, i powtarzam, mają słuszność. Lecz nie w tém mają słuszność iżby włościanin jak dziecko potrzebował czyjéjś opieki dla wskazania mu jego bezpośrednich korzyści; — nie,— nasz chłop w ogóle dobrze wie czego mu brakuje, i ze swobodą ruchów znikłaby jego apatya i niedołężność, — tylko w tem, wyznajmy to szczerze iż ze swobodą umów wszelka zewnętrzna odmiana jego położenia byłaby niepodobieństwem przy *możliwéj systematycznéj opozycyi* szlachty. Więc w tym wypadku, ale

w tym jednym tylko uznałbym potrzebę interwencyi kogoś trzeciego; ale nie idzie zatem aby ten trzeci łamiąc takie prawo natury, że tak powiem, jakiem jest swoboda umów, prowadził społeczność na fałszywe tory. Nie wypływa ztąd jeszcze aby między temi dwoma biegunami: urządzenia z góry i swobody działania, nie znalazł się jakiś punkt pośredni któryby dwa przeciwne żywioły w jedno związał i ku jednemu pokierował celowi.

Owszem, — i tym pośrednim punktem byłoby właśnie takie urządzenie, o którem mówię iż zupełnie się zawiera w granicach możliwości. Nie podejmując się wcale trudnego zadania wynalezienia tego środka, chcę wszakże dla jaśniejszego wytłómaczenia mojej myśli przedstawić czytelnikowi przykład podobnego urządzenia, którego luki zapełniwszy, być może iżby odpowiedział celowi. Jak wyżej mówiłem najlepszą sądziłbym być rzeczą, w miejscu ogólnego i dla obu stron przymusowego uwłaszczenia, proste *pozwolenie* włościanom nabywania zagród i ornej ziemi, pomagając im do tego przez zaprowadzenie specyalnych kredytowych instytucyj; — w skutek czego, oczywiście ten tylko stawałby się właścicielem któregoby to widokom lub możności odpowiadało. Lecz tu właśnie można przewidywać iżby stanął na przeszkodzie nieprzełamany indywidualny opór dziedziców, przeciw któremu jeśliby się co nie wymyśliło, zachwianą byłaby cała reforma, a z nią i przyszłość kraju. *Salus populi prima lex esto.* W imię więc zbawienia przyszłości narodu należałoby dopuścić przełamanie tej przeszkody, ocalając o ile się dało zasadę *swobody umów* i *osobistą iniciatywę* kupującego. W tym celu, powinnoby się ustanowić w każdym powiecie w zależności od marszałka *bióro taksacyjne* złożone z członków częścią przez dziedziców wybranych, częścią od rządu lub przez włościan mianowanych. Dzieliło by się ono na dwa od-

działy z jednych i tychże osób szkładające się: 1) na *oddział wolnej ugody* i 2) na *oddział taksacyi.* — Włościanin tedy któremu by sprzedania pola odmówiono lub zbyt ciężkie podano warunki, przedstawiłby swoje żądanie do oddziału *wolnej ugody* ktoryby rozpatrzył przyczyny odmówienia; i gdyby te nie były dostatecznemi, przyłożyłby wszelkich starań dla sprowadzenia stron do zawarcia umowy sposobem dobrowolnym. Po upłynieniu zaś pewnego prekluzyjnego terminu np. lat trzech lub więcej, gdyby umowa nie przyszła do skutku bez żadnych ważnych przeszkód, sprawa by przeszła do drugiego oddziału i tam za pomocą otaksowania stanowczo zdecydowaną została. Jeśli się nie mylę, usiłowania i namowy członków takiego bióra, działające sposobem niejako prywatnym na człowieka, użycie wszystkich sprężyn któremi można trafić do przekonania, poparte z jednej strony niecierpliwością posiadania, z drugiej obudzeniem poczucia chrześcijańskiego i obywatelskiego obowiązku, z obu stron obawą nie korzystnej taksacyi, — te usiłowania, mówię, potrafiłyby w większej części wypadków przyprowadzić strony do ukończenia sprawy przez kupno z wolnej ręki *)

---

*) Podobnie urządzona jest we Francyi piękna instytucyja zwana *Conseil des prud'hommes.* Są to trybunały ustanowione za pierwszego cesarstwa dla sądzenia spraw miedzy majstrami a robotnikami. Członkowie ich wybierani są przez połowę głosowaniem powszechnem z pomiędzy majstrów i robotników. Cel ich jest przedewszystkiem pojednawczy, a w drugim rzędzie dopiero idzie tanie i szybkie wyrządzenie sprawiedliwości. Więc dzielą się na dwa bióra: *pojednawcze* i *sądowe.* Każda sprawa musi najprzód przejść przez bióro pojednania, i nie może pójść na rozstrygnienie sądu dopóki wszystkie środki zgody nie zostaną wyczerpane. — Chociaż, a może dla tego właśnie iż są złożone z ludzi prostych i nieznających prawnych wybiegów, — bo z samych majstrów i robotników; — jednak tak sumiennie i gorliwie wykonywają obowiązki swego kapłań-

Powtarzam, nie jest to w mojem rozumieniu środek któremuby nic zarzucić nie można nietylko ze strony praktycznej, ale nawet pod względem nietykalności zasad. Przedstawiam też to jedynie jako myśl od której łatwo znaleść lepszą, wcale nie jako projekt; lecz jako myśl którą polecam zastanowieniu czytelnika. Co się tyczy nietykalności zasad, powiem to jedno, że ten stary świat już tak jest z góry urządzony, iż żadna z nich, by najpiękniejsza, absolutnie zastosować się nie da, zwłaszcza skoro wychodzi z granic świata wewnętrznego. Tem to właśnie grzeszy szkoła publicystów zachodnich, że zapisawszy na swej chorągwł owe absolutne „*laissez faire*, *laissez passer*“ nie przypuszcza żadnego względu miejsca i czasu, żadnych odcieni lub odmian wypływających czy to z historyi, czy z różnicy stosunków, czy nakoniec z odrębnej i zawsze oryginalnej natury człowieka. Według nich dośćby było otworzyć bramy nieograniczonej swobodzie czynienia wszystkiego, aby wszystko się zrównoważyło i znalazło swoje miejsce. Jak gdyby w owe otwarte wrota pierwsze się nie rzucały najrozpasańsze namiętności i przewaga siły, prowadzące dalej do rozpaczliwego współzawodnictwa i ucisku słabych; — jak gdyby to zrównoważanie się żywiołów mogło się obejść bez cierpień i boleści, jak gdyby władzy nakoniec, wolno było, założywszy ręce, obojętnie patrzeć na ludzi, jak liść, wzajemnie na siebie miotanych wiatrem żądz i namiętności, — Nie, władza skoro jest regularną

stwa, tak szybką, czynną, i bezstronną ręką trzymają szalę sprawiedliwości, tyle spraw, bo dziewięć dziesiątych podobno, kończy się zgodą przez nich wyjednaną, — że pozyskały sobie poważanie i szacunek wszystkich stanów. Zwracam baczność czytelnika na te instytucyje które z korzyścią moglibyśmy naśladować w urządzeniu naszych przyszłych trybunałów dla sądzenia spraw włościan z dziedzicami.

przedstawicielką summy inteligencyi i woli narodu, ma jeszcze inne obowiązki prócz stania na straży materyalnego porządku; — i jeśli w czasach reform społecznych niezbędną jest swoboda ruchów dla utorowania właściwej drogi społeczeństwu, — to niezawodnie niemniej jest potrzebną siła któraby mu pomogła i nawet znagliła je do wstąpienia na tę drogę jeśliby się ociągało. Czy nasza polska społeczność potrzebuje tego bodźca lub nie? — albo raczej zapytam: czyśmy pozostali dotąd prawymi synami owych mężów konstytucyjnego sejmu, co nie ważyli prywatnych względów kiedy je złożyć wypadło na ołtarzu ojczyzny? — czyśmy tą właśnie potomnością na którą oni liczyli zapisując wyzwolenie wiejskiego ludu w ostatniej woli konającego narodu? I nareszcie, czy mamy w sobie dość moralnych zasobów aby spłacić ten dług przekazany nam przez ojców? Nie moja rzecz o tem przesądzać, — odpowiedź leży w sumieniu każdego. Ja tylko kończąc przypomnę tę wielką prawdę, że jak dla pojedynczego człowieka, tak dla narodu całego, wielki to dowod łaski bożej, kiedy mu jest dano odkupić swe grzechy na tem właśnie polu działania gdzie najcięższe popełnił. — Takie chwile rzadko się trafiają w życiu narodów; — a utracone, bezpowrotnie ulatują *).

Z. Starza.

---

*) **Odpowiedzialność za zdania autora zupełnie mu zostawiamy, jak to czynimy we wszystkich pracach tyczących się kwestyi włościańskiej w Królestwie Polskiem i reform w prowincyach pod berłem Rossyi zostających. Każde słowo w tej sprawie, oględnie, z dobrą wiarą i z zamiłowaniem dobra publicznego pisane chętnie przyjmujemy, bo kwestya ta zniesienia poddaństwa w Rossyi jest niewątpliwie najważniejszym wypadkiem historycznym naszych czasów.**

Pozwolimy sobie ogłaszając znakomitą tę pracę, zrobić kilka krótkich uwag.

Cała pierwsza część pracy zda się za późno na świat przychodzić. Rozporządzenia rządowe, okólniki i instrukcye ministrów, nareszcie słowa wymówione kilkakrotnie przez Cesarza podczas ostatniej jego podróży, niepozwalają wcale przypuszczać aby odstąpiono od przymusowego wykupu a przyjęto zasadę wolnych umów. — Dalej lubo w zasadzie zupełnie się godzimy z życzeniami autora, wszakże możemy, zda nam się, stanowczo utrzymywać że żadna zmiana dotycząca ziemi, przez dobrowolną ugodę u nas otrzymywaną być nie może — przywiązanie dawnego, a obadwa każdej zmiany tak jest zakorzenioną w naszym włościaninie, żadnej części dawnej Polski niewyjmując, że wolność umów, przez parę wieków zaledwie by w części odmieniła to, co Rząd cesarski odmienić w krótkim czasie za konieczność uznał — Zapatrując się na wolność zamiany pańszczyzny na czynsz w Królestwie Polskiem, sądzimy że wolność układów w celu zmienienia stosunków społecznych jest jak na teraz illuzyą.— To samo można powiedzieć o prawie do zakupna jak tego chce autor. — Obydwa te środki zmiany stosunków odpowiadają zdrowym zasadom własności i uszanowaniu praw nabytych. — Wszystko co autor pięknie wykłada o sposobie jakim się do własności dochodzić powinno, o czasie bez którego nic trwałego na świecie zbudować nie można, — wszystko to prawda. Ale niestety! żyjemy wporze w której zmiany są konieczne, a czasu do ich wykonania niema.— Zmiany które wieków dawniej potrzebowały, dziś w kilka miesięcy, ba w jeden dzień, zachodzą. — Jestto może wina, ubiegłego pół wieku że w zbytniem zamiłowaniu zasad zachowawczych — żadnej reformy nierobiono· — Ztąd może poszło że dziś przechodzimy przez rewolucye legalne — wywołane potrzebą społeczeństwa.

Zakończymy jeszcze krótką uwagą co do trudności jaką autor upatruje wtem, że przy systemie dzisiejszym nadania własności, część tylko pewna ludzkości będzie obdarzoną.— Ta trudność podług nas żadnego planu wstrzymywać nie powinna — bo jeszcze nieodkryto środka aby wszystkich ludzi koło roli zajętych, ziemią uposażyć. — Ludność wiejska nieuposażona ziemią jest wprawdzie niebezpieczeństwem towarzyskiem ale jest zarazem warunkiem dobrego gospodarstwa na większych przestrzeniach. — Uposażenie ludności wiejskiej w taki sposób, żeby żaden człowiek koniecznie zarobku nie potrzebował, byłoby katastrefą nieszczęsną dla większych właścicieli. — W ogóle to fałszywie u nas zrozumiane słowo, proletaryat wiejski, więcej narobił hałasu, niż na to zasługiwał, bo pro-

letaryat o ile znaczy massy nędzne zgłodniałe i bez zarobku, jest plagą — o tyle proletaryat znaczący ludzi bez własności ale mających łatwy i dobry zarobek, jest potrzebą rolnictwa — klasa zarobkująca i bez własności jest koniecznością społeczną, równie na wsi jak w miastach i równie przy rolnictwie jak przy przemyśle — obowiązkiem zaś społeczeństwa jest aby proletaryat niebył nędzny, głodny, niemoralny i niereligijny.

(P. R.)

ZAPISKI ORNITOLOGICZNE.

VIII

JASKÓŁKA OKNÓWKA.

(Jundz. Hirundo urbica. Linn.

Gdybym chciał tworzyć nazwy jak nieboszczyk X. Kluk tłómacząc dosłownie nazwy łacińskie, niemieckie lub francuzkie, łudziłbym siebie i czytelników jak nieboszczyk się łudził, wydając te nazwy za polskie; moje przekonanie inne, — z wytrwałą sumiennością ich szukać trzeba między wieśniakami, w nich książki jeszcze nierozpuściły mgły, bałamuctwa i nieporozumienia, i tam się wiele przechowało nazw, które nauce przyrody wrócić wypada, bo prosty rozum wieśniaka często trafniejsze nazwy stworzył, jak uczone głowy czerpiące po zagranicznych dziełach; a po drugie, w dawnych czysto polskich nazwach przechowywamy pamiątki, a

Patrz zeszyt czerwcowy.

pamiątki to nasze skarby, może też podstawy przyszłości, w każdym zaś razie w pamiątkach szukać powinniśmy nauki i opierać doświadczenie nasze. I tak najdawniejsza nazwa polska Jaskółek jest Łastówka, nazwa którą kolejno wszystkim jaskółkom po wsiach dawano, gdyż mamy przekonanie, że prostaczki w naszym kraju, rozróżniają doskonale rodzaje ptaków, lecz niezadawali sobie nigdy pracy te rodzaje na gatunki dzielić i co nie należało do myśliwskiego zawodu, nazywano podług rodzaju tą samą nazwą. Łastówka musi wrócić do ornitologii, i zająć przynależne miejsce w spisie ptaków polskich.

Gdybym tak chciał czynić jak X. Kluk nazwałbym oknówkę, *mieszczką (urbica)* bo ją wielki Lineusz nader trafnie nazwał, ona bowiem ma szczególny pociąg do murów i gdzie tychże niema nie chętnie zamieszkuje, mając w chropowatości muru wielkie ułatwienie do lepienia swego gniazda; lecz że oknówka zatrzymała sobie nazwę jéj daną przez X. Jundziłła przez długi czas i powtarzaną była przez wielu pisarzy, zostawiam ją w prawdzie z żalem wielkim, bo to tłómaczenie z niemieckiego (*Fenster-Schwalbe*); zostawiam i dla tego, że lepi gniazda najczęściéj nad oknami, a w kościołach i budynkach w których okien nieotwierają, kleci swą lepiankę w oknach samych. Oknówka ta istna mieszczanka, boi się w prawdzie gwaru ludnych ulic i placów lecz opanowała niemal przedmieścia wszystkich miast i po skromnych budynkach, skromne swe gniazdeczko lepi, a żarłoczną swą czynnością uwalnia mieszkańców od miliardów niecierpliwiących owadów a zabezpiecza ogrody i sady przeciw tym niebezpiecznym nieprzyjaciołom; po wsiach opanowała najpierwéj kościoły murowane, daléj ruiny nasze kamienne, nareszcie i karczmy, bo cóż to pomoże ukrywać prawdę, jeszcze prawdę okazującą się w kształcie murowanego budynku. Wyznać

więc musimy, że najluźniejsze a najpierwsze mury powstałe w naszym kraju, nierachując w to świątyń pańskich, były karczmy, od tego zaczęliśmy postęp w gospodarstwie. Oknówka *ta czystość uosobistniona*, przyjąć musi mieszkanie z brudnym i brodatym arendarzem i co roku zajeżdża z rodziną do karczmy, bawi lato całe, wywdzięcza się codzień za doznaną gościnność, cicha, spokojna, słodka i miła ptaszyna, którą nawet zimny, chciwy i zawistny żyd chętnie u siebie widzi; gdzie w gospodarstwie stanie murowany budynek, ona roku przyszłego pewnie go opanuje, zupełnie tak, jak gdyby dla niéj był postawiony, przyjęła równie na letnie mieszkanie lepione gliną na słomie ściany, a gdzie ostre i chropowate drzewo w budynkach i dotrzymuje przylepioną glinę, tam i ona klei gniazdo, byle pozostać niedaleko swéj rodziny, a w bliskości człowieka do którego ma szczególny pociąg. Łatwo ją czytelnik od dymówki rozpozna: biały brzuszek, błyszczy w locie przy każdym zwrocie, kuperek śnieżnéj bieli w szybkim locie wydaje się w oddaleniu jak białe piórko, niesione wiatrem, śpiew jéj cichszy, mniéj chrapliwy ma niektóre nóty fletowe, klejąc gniazdo przytula się do niego jak dzięcioł na drzewie, a płaszcz niebieskawo-fioletowy z takim połyskiem jak żadne wschodnie makaty pokazać nie mogą, piękna, czyściutka, kochająca ptaszyna wszystkim żyjątkom za przykład służyć powinna.

Było to 8go września bieżącego roku w dzień Narodzenia Najświętszéj Panny, gdy ze służby Bożéj przez ogród z rodziną do domu wracałem, a tłum ludu zalegał przestrzeń w około kościoła, jeszcze przejęty dobroczynnym cieplikiem miłości jaki z przed ołtarzy wyniósł, bo to niezaprzeczone spostrzeżenie, iż cześć dla Matki Zbawiciela jest u nas wszystkich głęboko zakorzenioną, czy to u ludzi na wysokiem stanowisku towarzystwa stojących, czy w biednéj tak nazwanéj dziś

intelligencyi, któréj już za ciężko rękami pracować, czy nareszcie w sukmanie, sieraku i w wiernym towarzyszu polskiego wieśniaka, — tym charakterystycznym kożuchu, wszędzie i w każdym, nawet najobojętniejszem i najzimniejszem sercu tli iskierka uczucia wdzięcznéj czułości i kornego zaufania do św. Patronki Polski, — wszędzie wźrok duszy zwrócony ku naszéj Królowéj, jak gdyby od niéj tylko pomoc przyjść mogła, w duszy płomień pobożnéj miłości, na ustach zawsze modlitwa z nieustającą prośbą; — i ci nawet którzy wyższemi się mienią książkowym rozumem i z inną nauką a wymazali z powinności życia święcenie niedzieli i innych świąt, ci sami, czy z resztek krwi, którą rodzice w ich żyły wlali, czy też porwani przykładem ogółu, lub wstydem] przejęci, że się stali wyrodkami Polski — ci sami idą machinalnie do świątyń pańskich, mimowolnie pyszną głowę odkrywają i przed kwiatami ubranym ółtarzem, ognistemi lampami różnobarwistemi oświeconym, kolano uginają, a czasem bywa i więcéj, — sam to nieraz widziałem, — gdy cztery dziewczątka w białych sukienkach, przepasane niebieskiemi wstążkami które powiewem wiatru łączą się tak pięknie z wstążkami obrazu, podniosą *Maryą* i kroczą poważnie z różowym uśmiechem na koralowych ustach, tym uśmiechem co tak jasno mówi: jam czysta i niewinna, ku bramie Świątyni, a piersi wszystkich hymn chwały zanucą, wtedy, — ci nawet, — niby wyżsi ludzie, co przepisy kościoła lekceważą a Rzym ignorować usiłują, ci sami parci wspomnieniem przeszłości, — parci ogromem zapału, zgromadzonego ludu, postępują z nachyloną głową, wtorują mimowolnie śpiewom, a kto wié czy ich myśl nie pracuje nad przypomnieniem tej nas nigdy nieopuszczającéj modlitwy: *Pod Twoją obronę uciekamy się Boża Rodzicielko, naszemi prośbami racz nie gardzić Pani.*

Wszyscy odbyliśmy procesyę nawet miejscami i okoliczni urzędnicy prywatni, którzy najczęściéj, jak mówią dla braku czasu i z poświęcenia dla swych chlebodawców, do kościoła nieuczęszczają, — wiemy niestety co nas to poświęcenie, oparte na takich zasadach, — kosztuje, a lud wiejski rozbiegać się zaczął jak woda po wylewie, gdy ku nizinom spływa, jedno z dziatek moich zawołało: „patrz ojcze co jaskółek u nas!“ Wzniosłem oczy i smutnie zawołałem: „Dzieci moje to koniec „naszego lata, to ostatnie pozdrowienie naszych lubych „ptasząt, wiecie wy dzieci, że one nas jutro opuszczą „i my znowu pukurczeni na duszy i ciele pod śniegiem „i z mrozem, tęskno wyczekiwać będziemy powrotu naszych kształtnych i lotnych towarzyszek tego barwistego osiedla“. Tu dziatki swym kaprysnym rozumkiem badać mnie poczęły, dla czego Bozia na zimę tak smutnie świat urządził i śpiewakom odlecieć nakazał? Ja im tłómaczyłem, że w zimie na dworze nic delikatnego żyć nie może, że wszystkie muszki zamrożone spoczywają pogrążone w snie zimowym czekając na promienie ogrzewające wiosennego słońca, a zatem te ptaszęta, które kochacie i podziwiacie, musiałyby zginąć od zimna i głodu, a są kraje, gdzie one na zimę lecą, na które Pan Bóg łaskawszy i którym naszéj srogiéj zimy nie zseła. Módlcie się dzieci do dobrego Boga, aby was przy zdrowiu zatrzymał a znowu zobaczycie jaskółeczki lepiące gniazda nad naszemi oknami, bo Bóg w swem nieskończonem miłosierdziu, co roku od początku świata temi samemi dobrodziejstwami nas obsypuje. — Wszyscyśmy posmutnieli, dzieci bo im długo czekać, a dziecko zawsze niecierpliwe, starsi może nie doczekają, bo jesień to upominek od śmierci i na duszę zawsze krep żałobny ciska, zima zaś, — to figura grobu, ku któremu, wy to wiecie, wszyscy prędzéj lub wolniéj, lecz zawsze postępujemy.

Chmury na czołach dzieci, nie długo zalegają, brak trosk, brak bolesnych wspomnień, wiek ich to wietrzyk majowy co firmament wymiata, za dziećmi już szwargocącemi jak pisklęta przed opuszczeniem gniazda, pociągnęła i matka, ja sam zostałem zasępiony na miejscu, powtarzając mimowolnie ustami; — jak to, już odlecieć zamyślacie, już chcecie nam widnokręg zostawić bez waszych migających cieni, które zawsze machinalnie oczami gonimy; myśląc o moich lotnych wędrowcach, uśmiechnąłem się, pomyślawszy, — te lube ptaszyny przyleciały do mnie na pożegnanie, przyleciały do ich wielbiciela przypominając że ich historya niedokończona, a one odlatują! Prawda, odlecą znowu, porzucą nas na długo, trzeba korzystać z téj smutnéj pory roku i zamaczać pióro dla ornitologii, bo może łaskawi na mnie czytelnicy, nie widząc od czterech miesięcy dalszych zapisków, gotowi się zniechęcić a zapomniawszy pierwsze artykuły „o Jaskółkach“, nieczytać końca, a że ja wam tak mało dałem a wy mnie z lichwą, nad zasługi wynagradzaliście, więc dla was i ciszéj mówiąc dla mych kształtnych towarzyszek daléj pisać będę.

Już ich wiele było bardzo a ustawicznie nadlatywały rodziny, później gromadki i gromady, zdaje się że tego roku zebranie u ornitologa naznaczone było *) czy to

*) Zbadawszy wiekowych ludzi przekonałem się, że wszystkie trzy pojawiające się komety w nowszych czasach, sprowadzały nie naturalne upały i posuchy wielce szkodliwe i dowód tego że w tych kometowych leciech wino wszędzie wcześniej dochodziło napełniając się dziwną słodyczą. Nasz kraj od dawna obojętny do badania przyrody, nigdzie nie zachował ślady wpływu komet na żyjątka; spostrzegłszy wielkie zmiany tego lata w wychowaniu piskląt i w odlocie ptaków starałem się u starszych dowiedzieć co się w przyrodzie działo r. 1811 i nic innego dowiedzieć się nie mógłem jak że dla bydła zabrakło wody! Najpierwej wszystkie pielgrzymujące ptaki drogę odlotu wybrały nad korytami rzek tego roku, aby zabezpie—

traf, czy instynkt, lub przeczucie, czyli też ta sympatya która harmonią w przyrodzie utrzymuje, przyciąga do siebie to co się wzajemnie kocha, *pojmuje*, odpychając złe, zawistne, chciwe i niebezpieczne, — powiedzieć nie mogę, lecz cytuję fakt że u historyografa Jaskółek, w r. 1858 oknówki się licznie zebrały i czarną połyskującą wstęgą dom jego otoczyły. Domek to szlachecki, gzymsik więc wązki, ledwie jedna jaskółka i to niewygodnie przyczepić się mogła; lecz tak było nakazanem, jedna więc koło drugiej z hałasnem szczebiotaniem i przykremi wzajemnemi wyrzutami, bo to zaiste niewygoda była wielka, okryły ptaszęta gzyms i czarnym paskiem otoczyły mój domek. Nie potrzeba było tej żałoby nowego rodzaju, ja już dosyć smutku w duszy miałem, a spędzić ich niemógłem, przecie w gościnę do mnie przyleciały, do mnie polskiego szlachcica? A cóż by to się z nami stało gdyby i gościnność za innemi cnotami dziadów naszych powędrowała, jak wędrują ptaki, z tą różnicą, że chętni wędrowce z pierwszemi promieniami wio-

---

czyć pragnienie, wiele ptaków zaniechało powtórnego gnieżdżenia w przeczuciu czegoś złego i byli do wędrówki gotowe; kuropatwy opuściły rodzinne miejsca *przed pierzeniem* i pociągnęły czyli przesiedliły się, ku źródliskóm, nad stawy i jeziora lub też chroniły się po zaroślach nad rzekami, a najciekawsze spostrzeżenia podały mi przepiórki, które w tym posusznym roku, przez wolny wzrost zboża, spóźnić musiały termin lęgu. Jeszcze w dniu Śgo Bartłomieja nie były pierzem okryte i w tym czasie rozpoczęcia polowania ani myśliwy ani też wyżeł nie mieli zatrudnienia. Z jakiem z zadziwieniem spostrzegłem odlot tych niedorostków w pierwszych dniach Września, kiedy biedactwa ledwie na ścierń podlecić mogły. Zdaje się że suche elektryczne powietrze im u nas przeciwne było, prochy które wiatry tumanami goniły, a nareszcie skąpe rosy i wysychające wody, wygoniły te smaczne przepiórki. które lato całe rolnikowi śpiewają, biciem do roboty takt dają. kiedy skowronek wznoszący się ku sklepieniom nieba, nuci śpiew dziękczynny Stwórcy i dodaje siły i ochoty do pracy, rozwesela duszę a napawa serce pojęciem pięknej przyrody!

sny powracają, a my niestety nadaremnie — od tak dawna wyglądamy powrotu tych klejnotów zdobiących kraj nasz a wzbudzających poszanowanie! Wiedzą to rozumne ptaszki że polak gościnny, co ma — to da, a gościa broni i własnem ciałem zasłania, i ja więc gości niepłoszyłem aby jak najdłużej u mnie bawiły gotując się do wędrówki. Zdawało mi się że mogły u nas bawić, ten rok kometarny bowiem, dziwnie czystem utrzymywał powietrze i jeżeli kometa wywarł zgubny wpływ na kieszenie posiadaczy ziemskich, to owady miały raj na ziemi, — ciepło i sucho a to ich element, krocie much i muszek, chmury komarów wirujących w powietrzu, a co ćmów i motyli błąkało się wszędzie, bo to się wszystko dorodnie tego lata wychowało, jeden deszczyk nie zalał jajek, nie zamoczył gąsienic i poczwarek, co samice zniosły, to wydało lotne żyjątka; — nawet ciężkie żuki, leniwe twardo-łuskie robaczki w tej ciepłej i czystej atmosferze rozkosznie w powietrzu się podnosiły bucząc monotonnie, dzięki składały niebu za ten wyjątkowy rok, pewnie w historyi żuków, *rajskim nazwany*. Moi goście głodu niecierpieli, gdyż cały widokręg zaowadowany był, to też sobie niepospolicie podjadały przed podróżą, to po jednej, to rodzinami zrywały się oknówki i uderzały w hurmy owadów, lub też przed oknami i murem trzepotały, łowiły zręcznie siedzące muchy lub też je płoszyły skrzydełkami i w locie łowiły; — długo to trwało, już się słonko ku zachodowi nachylało, a do podróży przeznaczone jaskółki ustawicznie przybywały, o miejscu na gzymsie mowy być już nie mogło, wypadało szukać gdzie indziej odpoczynku, więc dach zaległy ku północy; to trwało do szóstej godziny wieczór. Wczas bardzo moje jaskółki do spania się zabrały, zdaje się że zmęczone podróżą przykład pierwszy dały, a miejscowe i okoliczne uznały za stosowne wywczasować się doskonale po raz ostatni u szla-

chcica podolskiego. Jeszcze słychać było różne głosy miejskiego obejścia, tumany kurzu ku obłokom się wznosiły za powracającemi trzodami, dzwony kościoła poważnie dźwiękiem przypominały, iż teraz nadeszła godzina pozdrowienia Najświętszej Panny, — psy wypuszczone z całodziennego więzienia, głośnym szczekaniem wolność swą głosiły i każdego byłyby obudziły biegając w około domu, ptaszyny moje, te nasze towarzyszki, na to niezważały, one żyjąc naszem życiem znają hałaśne wiejskie orszaki i jak żołnierz w czasie gry armat, one spokojnie wśród sztukania, szczekania i beczenia śpią snem sprawiedliwych, to też jaskółki pomieszczone na gzymsie i dachu w różnych postaciach spały w najlepsze; — stare matule, doświadczone w wygodach małżeńskiego pożycia, schowały główki pod skrzydełka, przytuliły się jedna do drugiej i na własnej miętkiej i ciepłej poduszce zasnęły spokojnie, — inne siadły rzędem, a napuszywszy pierze, skróciwszy szyje usiadły na brzuszku, zakryły nóżki pierzem i oczka przymróżyły. Najzabawniejsze były postacie, na gzymsie siedzących jaskółek, bo już tam tak ciasno i niewygodnie było, że najcierpliwszy ptaszek byłby się poskarżyć musiał, lecz że tam nocleg nakazanym był, więc te szczebiotliwe skargi na nic się niezdały, z początku był hałas wielki, jedna drugą spychała, aby wygodniej bokiem usiąść na wązkim gzymsie i oprzeć się o ścianę muru, nareszcie i tam cisza i spokój ustaliły się trwając do rana. Skoro tylko słońce w kształcie kuli ognistej ukazało się na krańcu firmamentu, już powietrze było zapełnione migającemi jaskółkami, — lotem świdrującym przeszywały część światu mego przed oknami, wznosiły się ku niebu i znowu ku ziemi opadały jak fale morza, grupami stawały w powietrzu trzepocząc skrzydłami i po chwili trysły ku obłokom podobnie wodzie śrubą wstrzymanej w wodotrysku i raptownie wypuszczanej, parły się pta-

szęta do wysokości dla mnie nie do obliczenia, gdyż mi się wydawały pod niebieskiem sklepieniem jakby, pod tronem Wszechmocnego odprawiały harce powietrzne i jak gwiazdy spadające ku ziemi, które to zawsze tak starych jak młodych tak dziwnie zajmują, opuściły się ku ziemi; myślałby widz, że usiędą, — gdzież tam, ani nie znają przez dzień cały potrzeby odpoczynku, te żyjątka pół ptaka a pół motyla, jak ryby w wodzie tak one w powietrzu pływają bez zmęczenia i wróciwszy z krainy gwiazd i płanet, znowu ku ziemi i nad ziemią, w około budynków gospodarczych i domów kołowały, szukając pożywienia, którego jeszcze nie było, bo gnuśne żuki dopiero co z ziemi wyłaziły, a wody w nocnych kryjówkach czekały cieplejszych promieni słońca, bo to piecuszki nie lada, kurczą się i kryją przed najmniejszym powiewem chłodu, a muchy te pasożytne owady które Bóg stworzył, aby człowieka ćwiczyć w cierpliwości, chociaż już wstały, nie poleciały brzęczyć pod słońce, lecz naśladując człowieka, pierwej śniadania użyć musiały, niezważając na towarzyszki licznie potopione w mleku, kawie, herbacie w sosach i zacierkach, niepoprawione przykładem tysiącznych dziennych ofiar, pchają się do garnków, szklanek, filiżanek, pchają się na półmiski i talerze, — giną w prawdzie krociami, lecz chciwość swą zaspakajają. O wieleż one nam przypominają istot z nieśmiertelną duszą, ktore równie nędznym owadom, puściwszy cugle chuciom i żądzom, giną przed nasyceniem, lub się zgubnie walają; albo też przepełniwszy miarkę podupadają na siłach i z ludzi stają się czołgającemi robakami, wlekąc życie z sobą częstokroć do późnej starości. Powiedzcież sami, mili czytelnicy, czy to nie ludzkie robaki te postacie nachylone, krzyże w obłąg zgięte, nogi posuwające jedna przed drugą jak dzieci uczące się chodzić, twarze pergaminowego koloru, świecące a blade, oczy wklęsłe, w ustach i w duszy już

do niczego smaku nie mają, ci ludzie byli w ich młodości muchami i żywili się zanadto u bliźnych i na bliźnich!

Niecierpliwe i zgłodniałe oknówki zapełniły owczarnie, stajnie i obory, lecz tam dla wszystkich ani miejsca, ani też jadła nie było, więc do jedenastej przedpołudniowej godziny nie jednej kurczył się z głodu żołądek długą nocą wyposzczony, dopiero gdy słońce cieplikiem swym dobroczynnym ogarnęło przestrzeń i świat owadów wirować zaczął, ptaszyny radośnie świergocząc, nasycone w krótkim czasie, do wieczora po widnokręgu uganiały; chwilkę przed szarą godziną, za danym znakiem, posiadały na dachu, a taka ich ilość była że nawet w przypuszczeniu liczby wypisać nieśmiem; — już pokutnice opuściły gzyms niewygoday, szlak mój żałobny znikł, pogrupowały się na spadzistości dachu, według koleżeństwa i pokrewieństwa, zaświergotały chwilkę jak gdyby oznajmiając że są w pogotowiu i słuchają, — wtedy starsze (zdaje się przewodniczki) obleciały kilkakrotnie dom do koła tu i owdzie pisły, lub innym głosem dawały napomnienia i rozkazy, nareszcie słyszałem gwarliwe szczebiotanie jak odpowiedź że dyspozycye wykonane zostaną, słonko tymczasem zbladło, chłód wieczorny obwiał naszą przyrodę, cisza się ustaliła a ja wszedłem do domu mówiąc: „Wiem co to „znaczy, bądźcie więc zdrowe pielgrzymki ruchliwe gło„ście na tamtej półkuli, że jest kraj w którym gościn„ność panuje, w którym gościnnością bronią się ludzie „przeciw falom płynącym od zachodu a przynoszącym „sobkowość, materyalizm i kosmopolityzm, głoście gwar„liwe ptaszyny iż my się starać będziemy wszelkiemi „siłami, *rozgrzewać marznące serca*, rozpowszechniać go„ścinność tę najstarszą naszą cnotę, najpewniejszą pod„porę miłości bliźniego, a może Bóg miłosierny ten czy„sty dźwięk dusz naszych usłyszy i my za waszym

„przykładem w zgodzie i miłości do przyszłości gotować
„się będziemy, a wtedy pewnie miazma giełdy dalej
„serc naszych lodowacieć mi będą!“

Niespieszyłem się rano drugiego dnia z wychyleniem głowy, bo z tą instynktową trwogą tkliwych serc, przeczuwałem smutne wrażenie i tak być miało, gdy wyszedłem, cicho i głucho było wszędzie, jaskółki pewnie ze wschodem odleciały, zaświergotał mi tylko przeraźliwie wróbel, ten lubieżny pasibrzuch, materyalista ptasiego rodu, jak gdyby mnie chciał pocieszyć oznajmieniem że on zostanie i inne ptaki przez zimę mi zastępować będzie. Późniéj tu i owdzie spostrzegałem we wrześniu jaskółki pojedynczo, parkami, lub spóźnionemi rodzinami, nawet w dniu 19 października ujrzałem dwie dymówki; ale jakże smutny był ich widok! Ruch przyspieszony, lot szybki i niepewny, w całéj istocie przebijał niespokój, — biedne ptaszyny, może wam wypadnie w drodze zginąć, bez pociechy, bez pożałowania, bez pożegnania z rodzicami, rodziną i towarzyszkami? O! śmierć na obczyznie, to musi być srogą męczarnią, samo jéj wspomnienie to katusza dla serca, — umrzeć nieotoczony czułą troskliwością swoich, współczuciem serdecznem, niepocieszony uronioną łzą żalu szczerego, słyszeć jak przez sen gorączkowy, obcą mowę, czuć lodowatość otaczających serc, chciwość bezwstydną, która człowieka do grobu prześladuje, a nareszcie wiedzieć niecierpliwość tych, którym już na tym świecie za długo miejsce zajętem było, o zaiste te myśli mogą duszę srogą niespokojnością napełnić; kto wie, Bóg nam pigmejczykom nie z wszystkiego zasłony zerwać dozwolił, może też moje spoźnione pielgrzymki bujać sobie będą w naszéj krainie do chwili, do któréj owady żyć mogą a z zimnem nadchodzącem, zamrożone jak indyjscy Santasy w kryjówce wiosny doczekają, lecz o tem późniéj a teraz jak zawsze przekonajmy się

wszyscy, że tak jak jest prawdą, iż przyroda cała jest ogromem B.skiéj harmonii i równowagi, tak jest prawdą, że w większéj części rodzajów, ptaków ludzkość czerpać powinna przykłady: siły w zjednoczeniu, pociechy w nieustającéj miłości, podpory we wzajemnéj pomocy, przyszłości opartéj na zgodzie, — posłuszeństwie dla przyjętych praw, opiece nad słabemi, a gromadzeniu wszystkich przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, w nich to jest godło jedność i braterstwo lecz u nich oparte na prawdziwéj miłości, téj jedynéj podstawie trwałéj przyszłości!

Trzeba Wam wiedzieć mili czytelnicy, że nasz Wróbel z czarną łatką na gardzieli, to Turek ptasiego rodu, z tą wszakże różnicą, że on tylko jedną ma żonkę i ta mu wystarcza, ależ bo to żonka nie lada, takich między ludźmi rzadko natrafiamy; pieścić, to cały dzień by pieściła, — rodzić to i pięć razy do roku, a jak widzi znużonego i zafrasowanego małżonka siedzącego z napuszoném pierzem, to mu tysiączne figle płata; to podryguje w około wróbla, jak wieśniaczka z fartuszkiem i główką kręci, ćwierka miłośnie, dzióbek otwiera z prośbą o całus; ogon w wachlarz roztacza, a dygi ustawiczne przed nim robi, to z przodu to z tyłu, nareszcie muska pierze, dzióbkiem dobywa pomady z pęcherzyka nad ogonem i balsamuje piórka, to znowu podnosi skrzydełko i jak od niechcenia skubie coś tam sobie, przedstawiając dziewczę młode zazierające za gors, a to z taką gracyą, że widz żałuje iż nie jest wróblem; samiec broni się jak może pokusie, udaje obojętność, oczka zamruża i udaje drzymkę, lecz to wszystko wróblicę niezraża, — pokonała już ona inne domowe trudności i wie dobrze że zręczna pokusa to diabelska sprawa, a więc daléj i daléj koperczaki pali i widać niebawem jak wróbla niespokojności biorą, widać już piórka które się gładko na grzbiecie składają,

potrząsa główką, oczy otworzył i wzrok ku samiczce zwraca, — ona w najlepszych umizgach, już pewna zwycięstwa, przysadza się zaiste w lubieżnych czułościach i jak sobie powiedziała, tak się też stało, wróbel zapomina o danem sobie przyrzeczeniu, rozkwilony taką samiczką, tuli się wdzięcznie do rozkwilonéj wróblicy! Po chwili wróbel zły, bo każdy samiec nie lubi aby samiczka go o słabość posądzała, u wróbla jak u nas ta sama miłość własna, powiedział sobie, a niedotrzymał, oto źródło frasunku, wstyd mu trochę, że taki słaby, podskoczył razy kilka jak gdyby się otrząść chciał, poderwał się i poleciał za żerem, bo żyjąc z nami, wie doskonale że dobry trunek na frasunek, podjadł sobie dobrze i znowu wrócił na swoje miejsce grzać się na słońcu jak lazarone neapolitański; już o nim więcéj nic nie powiem, bo to zapisek nie o wróblu, późniéj przyjdzie służyć za przykład dla nieczułych małżeństw.

Przy lekkomyślności wróbli, a ich bezprzykładnym temperamencie zdarzają im się ciekawe niespodzianki. I tak często nie myślą o małżeńskich konsekwencyach co nie mało turbacyi sprowadza; czytelnicy tego wszystkiego pewnie niespostrzegli, lecz co tam niepokoju i kłopotów w małżeństwach bywa to ja nie raz widziałem i wyznać muszę że mi się przykro robiło, przypominając sobie podobne zdarzenia u moich znajomych, którzy lekkomyślni, *nieumiejąc do dziewięciu rachować*, noszą się w ostatnich chwilach jak kokoszki kwękające w kłopocie, nieobmyśliwszy miejsca do złożenia prząсego ciężaru, wypadnie u nas za granicę uciekać i w drodze wśród niewygody termin naturze do wypłaty wypadnie, te kobiety *to wróblice ludzkości* z tą różnicą, że prawdziwe wróblice zawsze wierne w małżeństwie, ukrywać płodu niepotrzebują, lecz one mają także niepospolite kłopoty, jak to mówią kłopoty w małżeństwie. Zdarza się iż wróblica wstydliwą minkę ułożywszy,

zbliża się do samczyka i świergocze mu do ucha, że ona jest bliska zniesienia, on się wzdryga, szamocze, uwierzyć nie chce, i łudzić się myśli, bo chociaż on jest sprawcą tego kłopotu, już dawno zapomniał, co się to stało, on jest bowiem personifikacyą lekkomyślności.— Czy wam się czytelnicy moi, nie zdarzyło pomiędzy waszemi znajomemi, napotkać podobnych wróbli w ludzkiem ciele, ja ich niestety nie mało znałem, dopóki między ludźmi żyłem i tu znowu wypisuję przekonanie moje, że dziwne zbliżenie człowieka i ptaka w różnych zdarzeniach spostrzedz można, a co późniejsze zapiski potwierdzić mają.

Wróbel zaskoczony nieprzewidzianym kłopotem, nieprzygotował gniazda, a tu parcie jajek już bliskie, cóż robić wypada? Przebiegły ptak bo zawsze z człowiekiem żyje, bez zasad żadnych, bo z dziada i ojca zakorzeniony materyalista, odważny przytem i zręczny, nie skrupulatny co do wyboru środków, po naradzie z niespokojną i już nieco rozdrażnioną samiczką, powiada jéj z determinacyą: „uspokój się wróblico moja, będziesz miała gniazdo, lecę szukać wygodnego i cichego schronienia.“— Jak mówił tak zrobił i poleciał;— trzeba wiedzieć że wróbel niema wyobrażenia o własności, on li swoją uważa za rzeczywistą i nietykalną, używa życia dopóki sił stanie, szuka rozkoszy gdzie może, nie skrępowany żadnemi pętami zasad i praw,— pewnieby obce wróblice uwodził, gdyby równych wróbli na świecie nie było, a cnota tych samiczek od ich stworzenia nieskalana jak twierdza przez nieprzyjaciela nigdy niezdobyta, nawet myśli pokusy nieodpędzała; wróbel mój w takim *casus graviter* odpychając wszelką miłość ptasiego bliźniego, wyrachowawszy że w tak krótkim czasie najlepszy budowniczy nieukleci najgorszego gniazda, zdecydował w swoim głębokim rozumie, że słabszy ptaszek paść musi ofiarą. Leci więc w miejsca

w których uważał ptaki ścielące gniazda i te stara się wygonić najpierwéj siłą, podstępem czy zręcznością to mu wszystko jedno a potem jak tego potrzeba wymaga wyrzucić obce jajka a czasem i pisklęta; gdy sam zwycięstwa dokonać nie może, leci po swą samiczkę i prosi o pomoc; ta już w niepospolitéj niespokojności ledwie swój ciężar unosząca, do pożądanéj wyprawy przecie zbiera siły i towarzyszy mężowi stojąc obok niego i dopomagając silnym dzióbem do wypędzenia właścicieli, szczególniéj zaś dla tego się tak spieszy, aby zaraz zająć gniazdo, kiedy małżonek jeszcze bitwę toczy, wiedząc z przekonania, bo na to codzień patrzy, że posiadanie to prawie własność *beatus qui tenet*, a zatem w pierwszéj chwili włazi do gniazda i rozgaszcza się w najlepsze. — Wróble w podobnych przykrych okolicznościach nawiedzają ptaki podzielające z niemi razem nasze wiejskie osiedla: Pliszki siwe, Rudogony ogrodowe, jaskółki tak dymówki jak oknówki, czasem i szpaka wypędzić usiłują, lecz najczęściéj napastników para pobitą zostaje, wygonioną i wyszydzoną; bo szpak figlarz, to sam rozum, zna doskonale swoje prawa i umie je bronić, bywa to przegrana dla wróbla pełna wstydu, bo niemogąc już unieść dojrzałego jajka, znieść go trzeba pod drzewem, na trawniku, ścieszce ogrodowéj lub na publicznéj drodze i rzucić na poniewierkę ten dowód miłości obopólnéj. Co daléj zrobił wróbel, jak się broniły jaskółki, jaki koniec był tego dramatu, dowiecie się łaskawi czytelnicy w *Dodatku styczniowym* a w żadnéj książce, jeżeli istotnie jak mówicie, jaskółki was zajmują, przygotujcie się, aby ten Dodatek mieć w domu.

Dnia 26 października 1858.

KAZIMIERZ WODZICKI.

OLEVANO.

(Wspomnienie z podróży).

Zapewne czytając nazwę miejsca położoną na czele tych kilku ćwiartek, zapytacie zkąd do was piszę? Miejsce to bowiem nie oznaczone na zwykłych mapach pociąga nuturalnie za sobą takowe pytanie. Jednak ileż to jeszcze zakątków w Europie, do których jeografia dotąd nie zajrzała, dym wagonów i rękodzielni nie doleciał, gdzie laska Merkurjusza — to berło XIX wieku nie wystaje jak rogaty ślimak z pomiędzy swobodnego kwiecia i swawolnie wybujałej roślinności, i gdzie można jeszcze wśród czarującéj przyrody marzyć o cudnych mrzonkach poezyi pod dwoistą zasłoną pustki i milczenia, opodal od wrzawy giełd i od zgrzytania żelaza? Stara tytanów rodzica ma także jeszcze w fałdach zielonej swéj szaty podobne kryjówki nie wypróżnione dotąd z cienia, tajemnicy i woni; ale liczba ich coraz się szczuplejszą staje, i wkrótce Echo, ten rym pustkowia, ta śpiewna kochanka pustelników i poetów, wy-

płoszona ztamtąd stukiem młotów i syczeniem pary, nie znajdzie nigdzie ostatka ciszy na nucenie swych zwrótek i swobodne kochanie się w dźwiękach...

Otóż Olevano należy jeszcze do niepoczernionych węglem miejsc ziemskiéj przestrzeni... Jestto wioska leżąca o 37 mil włoskich od wiecznego miasta na jednym z niższych grzbietów, jakie Apeniny tworzą kłoniąc się stopniowo ku kampanii rzymskiéj i ku śródziemnemu pomorzu. Otaczający ją zewsząd amfiteatr wyżyn nasiadły i zpiętrzony ku północy, wschodowi i zachodowi, otwiera się do razu na południe jak dwa ramiona wyciągnięte ku tyreńskim falom, i przyjąwszy w to objęci żyzne równiny wciskające się zieloną zatoką w najwnętrzniejsze gór załamy, dozwala oku twojemu gonić niewstrzymanie aż do Śródziemnego morza rozwitego srebrnym rąbkiem za dalekiem miastem Velletri między podwójnym lazurowym portykiem gór Cimino z jednéj, a gór Albańskich z drugiéj strony. W téj ogromnéj kotlinie wzorowanéj jak kobierzu ogrodami, łanami i lasami, leżą miasta i miasteczka harmonijnéj lub historycznéj nazwy, bo historya szeroko panowała na tych polach: Palestrina, *frigidum Praeneste* Horacego, słynna w starożytności różami swojemi i świątynią Fortuny, zamieniona w średnich wiekach w strome zamczysko Colonnów, do którego uwięzło kilka nieśmiertelnych tercetów Danta panujących jak ta twierdza nad miękkiemi hexametry Augustowego dworaka; daléj Valmontone z bielącym się na pagórku pałacem Doriów; Genazzano z pięknym zamkiem Colonnów najczystszego włoskiego stylu *del cinquecento*, obróconym przez niedbalstwo w spichlerz i stodołę, tudzież z przybytkiem Matki Boskiéj jednym z najgłośniejszych w Italii po Lorecie; Segni, gniazdo sławnéj rodziny Contich; Pagliano, inna twierdza Colonnów, udzielnych niegdyś panów téj okolicy, zamieniona obecnie w więzienie stanu; Ferrentino,

rzymskie municypium, które dotąd zachowało swe łacińskie miano; Anagni pyszniące się swemi trzynastą rodami szlacheckiemi, które nadały sobie tytuł *gwiazd: le tredici stelle d'Anagni.* Jestto ojczyzna Bonifacego VIII, téj posągowéj średniowiecznéj postaci, opromieniona także wierszami Danta, które precz po włoskiéj ziemi świecą na czole wysokich szczytów i poczerniałych gmachów, i stożsamiły się niejako z przyrodzeniem:

Vedo in Alagni entrar lo fiardaliso
E nel vicario suo Cristo esser catto, etc.

Wiersz ten Alighierego przypomina dramatyczną scenę, kiedy Bonifacy VIII oblężony w pomienioném mieście przez wojska Filipa Francuzkiego i Colonnów i opuszczon od wszystkich, zasiadł samotny w pustéj sali na wyniosłym majestacie i z potrójną na skroniach koroną czekał nieruchomy i niezłomny zbliżenia się swych nieprzyjacioł. Sciarra Colonna, herszt gibellińskich hufców, nieustraszon tą niebosiężną potęgą, co kruszyła jeszcze ziemskie korony i berła, nie cofnął się, nie ugiął kolana przed Papieżem; owszem, odnawiając dlań, jak mówi Dante, mękę Chrystusową, *Vedo rinnovallar l'aceto e il fiele,* odważył się wyciąć policzek Namiestnikowi Bożemu. Legenda chce, aby odtąd pałac Colonnów w Rzymie trząsł się w rocznicę występku, jakoby kamienie same przejęte były dotychczas drżeniem zgrozy...

Z przeciwnéj strony odsłania się całkiem odmienny widok, dziki, posępny, malowniczy: łańcuch Apeninów dźwiga się w coraz wyższe i niedostępniejsze wierzchołki, najeża się skałami i urwiskami, kędy widzisz pouwieszane wioski szare jak opoka do któréj przyrosły, i zapada w ciemne wąwozy i tajemnicze jary zacienione lasami od słonecznego promienia, gdzie do dziś dnia znajdujesz pustelnie i odludne klasztory, a w nich

zakonne średniowieczne postacie modlące się pod skałami za światem, który nie wié o nich, nie inaczéj jak to bywało za czasów Franciszka z Asyżu, Władysława z Gielniowa lub Jacka Odrowąża. Nad tą krainą cudów modlitwy i głuszy, zagrzebaną przed okiem racyonalizmu i przemysłu w kryjówkach i tajnikach swoich tysiącznych dolin a zbliżoną ku niebieskim lazurom zadumaném i kontemplacyjném czołem swoich szczytów, panują jako dwa krańce tego podniebnego świata dwie strome i czarne gó.y Elserony i Mentorolli. Ich barki pręgowate, mienione tysiącem dzikich odcieni, pocentkowane szaremi opoki, połatane ciemnemi zaroślami, rozpierają się potężnie w górnych próżniach powietrza jak ramiona Tytanów szturmujących do Olimpu; włoski lazur odbija przejrzyściéj od ich pokrzywionego jak piorun zarysu, i tylko częstokroć obłok nasuwa się na ich butną głowę i kłębiąc się rozwiesza na niéj, gdyby posiwiałe kędziory; a gdy przytém słońce zachodzi w tonie śródziemnego morza rzekłbyś, że festony róż i fiałków powplatały się w ich rozwiane pierścienie, i spływają po ramionach góry.

Grzbiet na którym leży miasteczko Olevano odbija wraz z przyległemi do siebie wzgórzami od leśnéj i olbrzymiéj Elserony, która nad nim góruje. Ogrody i winnice pokrywają go całkiem tworząc uroczą sprzeczność z jałowością wyższych szczytów; figowe plantacye i gaje oliwne, którym Olevano zawdzięcza swe imie, opasują go pokrzyżowanemi stokroć wstęganii zieleni, pomiędzy któremi widać białe kapliczki Madon oplecione winem i obwieszone gronami i oliwkami, jako podwójnem okwitości godłem. Samo miasteczko zbudowane jest wschodowato na cyplu wyżyny, a domy jego piętrzą się jedne nad drugiemi, tak iż sąsiad wyskakując przez okno znalazłby się niechybnie na dachu sąsiada, ten zaś na dachu niższego od siebie współoby-

watela, i tak daléj do samego dołu. Z powodu takiéj budowy zamiast ulic są wszędzie wschody prowadzące od jednego pomieszkania do drugiego, aż do wierzchołka góry, na którym wznoszą się piękne zwaliska zamku porosłe bluszczem i pasożytami. Na pół rozwalona strażnica patrzy jeszcze pełnemi szafiru niebieskiego wyłomami ku stronie Apeninów i w nieskończoność morza, a czarujący widok odkrywa się z pod niéj na całą okolicę rozwartą jak księga pod okiem podróżnika. Jakoż artyści szczególnie upodobali sobie tę stronę; zawsze tu ich ściąga się podostatkiem, nadewszystko Anglików i Rosyan; nieraz także polski malarz zajrzy w te miejsca, którym pendzel Zametta winien najwdzięczniejsze swoje krajobrazy i studja. Dzięki cudzoziemcom Olevano ma dwa hotele położone za mieściną; równają się one co do prostoty i pierwotności urządzenia swego porządnym naszym karczmom, gdzie to wszystkiego dostanie (sic), z tą tylko różnicą, iż zamiast żydówek piękne ci góralki usługują, i że nieczuć nigdzie czosnku ani cebuli. Zapominam, iż nawet o krok jeden wyprzedziły naszę cywilizacyę, bo jest w nich coś co nazwano *tavola rotonda* czyli *table d' hôte.* Lubo obiady bez pretensyi, jakie tu dają, nie są zapewne zapisane w żadnym *cordon bleu* paryzkim, jednak zaręczyć mogę, iż nigdzie nie kosztowałem tak pulchnych i misternie upieczonych gołąbków, i że owoce są tu przewyborne, mianowicie figi, których więcéj codziennie zjadam niż małgorzatek w domu. Nie powinienem także pominąć ku nauce przyszłych turystów grzybów tutejszych arcy-smacznych i delikatniejszych niż nasze, toż wyśmienitych kiełbas; szkoda tylko, że śmietany ani kwaśnéj kapusty na bigos dostać do nich nie można, bowiem rodzime te nasze przysmaki nieznane są w idealnych Włoszech.

Pod innemi względy Olevano nie więcéj dotąd postąpiło w cywilizacyi jak pierwsza lepsza wioska nasza.

Atoli municypalne jego urządzenie — municypium bowiem rzymskie jest podstawą społecznéj Włoch organizacyi; jak sioło słowiańskie naszéj — obdarzyło go kilkoma niezbędnemi żywiołami miejskiego bytu cechującemi tutaj bez różnicy najdrobniejsze i najnędzniejsze osady, to jest wielką bramą, placem publicznym i kawiarnią. Brama acz niema podwoi i od wojen gibellinów z gwelfami zamkniętą nie była, jest tém dla włoskiego municypium czém karta tytułowa dla staréj księgi; podobna zawsze z kształtów do tryumfalnego łuku nosi ona zwykle na rozchwianéj swéj facyacie równie zwięzły jak szumny napis: *S. P. Q. Olibanensis, Tiburtinus, Praenestinus*, itd. stósownie do miejsca, które otwiera lecz nie zamyka, naśladowanie sławnego monogramu: *Senatus Populusque Romanus*, co to zdobił orły światowładnych legionów i gmachy, które Roma stawiała swoim bogom i cezarom. Przy takich tryumfalnych wrotach zgoła niepotrzebnych jeśli na nie spojrzym z utylitarnego stanowiska, jakoby na świadectwo dziejowych marności, zamiast okulbaczonego rumaka prokonsula lub feudalnego barona, spostrzegasz zwykle uwiązanego *somaso* czyli skromnego osiełka, i długie koryto, wkoło którego nierogacizna, ważną grająca rolę po municypiach włoskich, biesiaduje krząkając i kwicząc. Plac miejski jest starożytném *forum* przejrzaném, niepoprawioném i zmniejszoném; najgłówniejsze sprawy tam się układają, najważniejsze narady tam się odbywają, *appuntamenti* czyli schadzki celem porozumienia się w rozlicznych wypadkach żywota tam rok swój miewają. *Contadino* dzisiejszy jak dawny weteran kolonii rzymskich spędza dni swe na podniebiu, a wróciwszy z pola używa miłego *far-niente* na ojczystym placu w towarzystwie ziomków temu się samemu wczasowi oddających: nie pilno mu do domu, ani do rodziny, a lubo jest synem, mężem, ojcem, bratem, czuje się przede-

wszystkiem obywalelem, *civis* swego manicypium, i współwłaścicielem pospolitego placu, na którym stoi, patrzy i milczy. W najlichszéj wioszczynie plac ten ozdobiony jest fontanną, do którój kobiety w narodowym stroju przychodzą czerpać wodę w miedziane *conche* czyli dzbany przypominające kształtem starożytne amfory. Z dziwnym wdziękiem noszą je one na głowie składając gdyby biblijne Rebeki malownicze grupy wkoło wodotrysku. Wiader naszych nigdzie nie używają we Włoszech. Plac jest nareszcie cyrkiem i amfiteatrem: tutaj się odbywają walki byków mniéj romantyczne a niebezpieczniejsze niż w Hiszpanii, bowiem rozhukanemu bydlęciu dozwalają swobodnie hasać po rynku uwiązawszy je *pro forma* do nazbyt długiego powrozu, a przy takiéj okoliczności wszyscy mieszkańcy stają się *toreadorami.* Ten barbarzyński zwyczaj o mało, że przed kilką tygodniami rewolucyi tutaj nie wywołał, gdy rząd chciał mu koniec położyć. Jeśli *piazza* zamieściła dawne *forum* i *cyrk*, to *termy*, te zarazem łaźnie, czytelnie i kluby starożytności, reprezentowane są we włoskiem municypium przez kawiarnię, kędy wprawdzie mieszkańcy nie kąpią się ani czytają jak w cieplicach, a nawet rzadko kiedy co obstalują z oczywistą szkodą przedsiębiorcy, ale za to filozofują po staremu, acz z modlitewką, o własnych i cudzych rzeczach. Kawiarnia tém jest w stosunku do placu publicznego, czem salon i *boudoir* do sali konferencyi, do giełdy i do dyplomatycznego gabinetu. Każdy szanujący siebie obywatel uczęszcza codzień do kawiarni, dokąd jednak nigdy nie chodzi na kawę.

Duma municypalna tych poczciwych chłopków opiera się tutaj na miejscowym statucie (miasteczka włoskie częstokroć własne prawodawstwo posiadają), który się uroczyście przechowuje pod potrójnym zamkiem starszyzny i nosi następny na czele napis: *Statuta Olibani confecta*

de anno 1364 Pontificatus Papae Urbani V. Statut ten zawiera 157 rozdziałów komiczną łaciną pisanych, i jest potwierdzony za trybunału sławnego Mikołaja czyli Cola Rienzi przez siedmiu Reformatorów Rzeczypospolitéj Rzymskiej: *Septem Reformatores Reipublicae Romanorum.* Jakoż w niepomyslnych czasach Olibanum było mikroskopiczną rzecząpospolitą samoistnie się rządzącą ilekroć rycerz jaki na wyprawę jadący nie podbił jej mimochodem; dalej jak wszystkie zamki i miasteczka w tych stronach uległszy potędze Colonnów, zostało nareszcie lennością Borghesów, którzy używali tutaj prawa poboru, prawa sądu i prawa życia i śmierci aż do 1816 roku, czasu zniesienia feudalności w tych stronach przez kardynała Consalvi. I tak Olevano przywrócone znowu do starodawnej niezawisłości — z tą tylko różnicą iż raczy uznawać rząd papiezki — posiada teraz swój *Comune* czyli municypalną organizacyą, i miewa municypalne uroczystości z muzykantami umyślnie sprowadzonymi z Rocca-Canterano, tudzież z oświetleniem, ze *steeplechase* na osłach, z wyścigami w worku i z puszczaniem balonu na apoteozę municypalnej wielkości.

W przeddzień ś. Michała postanowiłem udać się ztąd z dwoma towarzyszami na górę Mentorelli zostającą obecnie w posiadaniu OO. Zmartwychwstańców, na doroczny odpust głośny w całych Włoszech i ściągający pielgrzymów z najodleglejszych stron Półwyspu. Wziąwszy tedy osiełka pod nasze rzeczy i opatrzywszy się w kostury, ołówki i parę tomów poezyi, puściliśmy się w drogę istotnie po pielgrzymsku, to jest pieszo, zwłaszcza iż na Mentorellę li tylko pieszo z północnej strony dostać się można i że ten pierwotny sposób wędrowania jest jedynym prawdziwie bezpiecznym pośród przepaści i bezdroży, gdzie jadąc na mułach niemal zawsze łożyskiem zimowych potoków między ściśnionemi nadzwyczaj skałami, przychodzi nieraz potłuc sobie nogi.

Odbiegaliśmy żyźniejszą i weselszą stronę a zapuszczali się w Apeniny, gdzie krajobraz co krok ciemniał, posępniał i dziczał. Na grzbietach coraz stromiej wyprężonych ku niebu niezmiernym zgasłych wulkanów wysiłkiem, odzianych żałobną roślinnością, przy której odbijała trupia białość opok, co niewiadome kataklizmy poodrywały od szczytów i pospychały w stosy naśladujące ogromne kośnice, piętrzyły się jak kamienny fantastyczny wykwit stare średniowieczne zamki i baszty wyszczerbione, wystrzępione i najdziwaczniejsze przybierające kształty. Promienie słoneczne rozdzierając się na ich blankach i ostrzach i przepadając pękami ich strzelnice i wyłomy sprawiały malowną grę światła. Aby się dostać do tych sępich gniazd średniowiecznych panków potrzeba było niejako skrzydlatego rumaka czarnoksiężnika Atlanta, którego Pinabello spotkał:

Erto è quel sasso sì, tale è il castello
Che non vi può salir chi non è angello *).

Do niektórych wiązały się Ugolinowskie podania jak dramat dodany do prawdziwie teatralnej dekoracyi: w jednym z nich zwanym *Rocca di Cave* antypapież Maurycy Burdinus więziony w 1118 roku miał wedle podania zgryść sobie z głodu obie ręce. Nad jarem zachowującym pomniki wszystkich burz i nawałnic w gruzach co zamieniły bezwodną jego przepaść w istną Józafata Dolinę, na wierzchołku dokąd prowadzi wężykowata drożyna widać wioskę Capranica szarą jak opoka z której wyszła, jednolitą i przypojoną do skały, od której nie można odróżnić jej mieszkań. Nie tam to wszakże umarł kardynał Hozjusz, jak ktoś mylnie się opierając na podaniu Reszki i na tożsamości nazwy

---

*) ***Orlando Furioso, canto* II, *stanza* 44.**

utrzymywał w waszem piśmie, lecz w innej Kapranice. Atoli i tutaj pozostały ślady niepospolitego gościa. Zniewolony do ucieczki z Rzymu Michał-Anioł zabłąkał się w te dalekie a wówczas całkiem nieprzebyte okolice. Ustępując z góry na górę natchniony wędrowiec dotarł do Kapraniki, a Dantejska surowość i majestatyczność krajobrazu tak zgodna z jego duchem i jeniuszem, zatrzymała go zapewne, gdyż dość długo przemieszkiwał nieznany na tym nieznanym Apeninów przyczołku. Jałowa szczytność tych wyżyn, piorunna ogorzelina na ich skroniach, a ciemne otchłanie ziejące u ich podnóża, wszystko to przemawiało do wzniosłej i odludnej duszy malarza *Sądu Ostatecznego*, a górzyste widoki użyczały swej stromej skalistości jego natchnieniom. Za zetknięciem jego twardego jenjuszu z temi krzemieniami leciały zeń twórcze iskry ożywiające dokoła kamienne bryły i zostawujące na nich ślady tytanicznej jego mocy. Samson nowożytnej sztuki znalazł sobie także lwa na tem pustkowiu z którym walczył cudowną oną walką, jaką duch artysty zwykł staczać z materją, gdy ją kiełzna, pokonywa i piętnuje ideałem; owa lwia postać szarpnięta mimochodem przez niecierpliwe dłuto Michała-Anioła, ale niedokonana jak wszystkie marmurowe poronieńce przez które przeszedł wir jego jenjuszu, przechowuje się dotąd w kościele Kapraniki, zbudowanym także, jak zapewniają, podług jego rysunku. Z pewnością twierdzić możem, iż żaden z polskich turystów nie oglądał tego tworu Buonarottego nikomu prawie nieznanego, a który jednak wart jest sam wycieczki w te strony. Cokolwiek niżej spostrzega się miasteczko San Vito ze starożytnym zamkiem należącym do margrabiego Teodoli.

Postępując dalej doszliśmy do nędznej wioseczki Civitella, lennej niegdyś posiadłości opatów Sublaceńskich. Znać że tam się wznosiła zwykła *rocca* czyli zamek, bo przypominam sobie iż wartując roczniki sławnego

tego klasztoru napotykałem kilkakrotnie takową wzmiankę: *Die N. An. Dom. N. Dominus Abbas expugnavit castrum Civitellae*, to jest: JMĆ Pan Opat zdobył szturmem warownię Czywitelli. Opaci bowiem Sublacińscy nieraz wsiadali na koń i rokoszowali przeciwko samym Papieżom. Teraz na tym skazanym na wszystkie wichry wierzchołku żyje osada gorali nędznych i napół nagich w kurnych chatach lub raczej jaskiniach do skał przymurowanych, gdzie wieprze mają pospołu z nimi legowiska swoje. Wyszedłszy ztamtąd na przeciwną pochyłość góry zaczęliśmy się spuszczać po stopniach w skale wykutych w głęboki i kasztanowemi lasami obrosły wąwóz. Cieśń ta prowadząc nas we wnętrze łańcucha coraz głębiej zapadała, a góry coraz wyżej wzrastały i piętrzyły się nad nią niebotyczne, ponure, w przedpotopowej koronie wiekuistych głazów na odartych z roślinności cyplach, a niżej z ciemną zielenią bukowiny fałdującą się po garbach i parowach. Powietrze ujęte w ich ściśnione boki ciemniało także i napełniało się aromatyczną wonią piolunów i ziół rosnących po wilgotnych dołach, a cisza spływająca z niemych wierzchołków w głębiny wąwozu coraz je senniej koiła i uroczyściej ogłuszała. Wśród tej ciszy, tych cieniów, tego spokoju, tych woni, ogarniał nas razem z rannem padołów kadzidłem pewien, że tak powiem, mistycyzm przyrodzenia, a pierś nasza z tych głębokości wzdymała się jakoś ku przeczystemu szafirowi niebios modrzej i niby rzewniej patrzącemu z pomiędzy skalistych szczytów jako niebieska źrenica kiedy łzą zachodzi:

Dolce color a' oriental zaffiro *).

---

*) Dante, *Purg.* c I.

Wkrótce wąwóz się rozszerzył i doprowadził nas do najniższéj wklęsłości poziomu. Ujrzeliśmy się wtedy w kotlinie lub raczéj przepaści ocienionéj zewsząd pokręconemi konary odwiecznych dębów i gałęziami rozłożystych kasztanów. Góry obstąpiwszy ją ze wszech stron nieprzebytém kołem, szczelnie ją zamykały, a oko chcąc się wznieść ku niebu musiało szczeblować po ich urwistych bokach i przesięgać dwa ogromne nagie jałowe z białawego głazu grzbiety, zaokrąglone jak dwie kopuły podziemnéj jakiéjś świątyni, które lud przezwał *Piersiami Włoch, Mamelle d' Italia.* Zapewne ziemia Saturna karmiła niemi starszych synów swoich Tytanów, i młodszych Danta i Michała-Anioła. Na stoczystości, pod drzewiną spiętą w liściaste baldachimy bieliły się stacye krzyżowéj drogi, a niżéj na dnie kotliny ukazał się nam klasztor franciszkański ścisłéj obserwancyi, znany pod nazwą *Sacro Ritiro di Civitella*, a słynny na całą okolicę świątobliwością i wyrzeczeniem się zamieszkujących go pustelników. Franciszek z Asyżu, ten poeta świętych i święty poetów, wędrując przez bezdroża, gdzie upojony miłością Bożą nucił niezrównane hymny do brata słońca wschodzącego nad szczytami, kazał po opłotkach do siostrzyczek jaskółek, i Stworzenie całe jak chrześciański Orfeusz pociągał do Stworzyciela, zstąpił razu jednego do téj przepaści w drodze do Sublaku, dokąd na cześć wielkiego Benedykta szedł zamienić ciernie w róże, i między pieśniami, które tworzył, a kwiatami, które miał rozwić, ujęty zapewne mistyczną tego ustronia poezyą, zbudował w niem szałas dla żebrzącéj braci obyczajem wędrownego ptastwa, co słało gniazda nad jego głową. Budka Franciszkowa urosła z czasem w przestronny klasztor zaludniony przez tych, co wedle słów nieśmiertelnego rapsoda wieszcza z Asyżu *zrzucali obuwia by tém prędzéj gonić za tak*

wielkim pokojem, a bieżąc mniemali, że się spóźniają *). Woń właściwa polnym kwiatom i średniowiecznym legendom przechowała się dotąd na pustkowiu Civitelli; rodzaj żebraków obcujących z aniołami nieba i z ptastwem powietrza nie ustał tam po Franciszku, ani przerwało się pasmo tych pustelniczych żywotów cudownych zdziczałych, napowietrznych, ważących się precz po nad ziemią między anielskiemi pióry i ptasiemi skrzydły. Mnóstwo podań przyrosło do ścian starego klasztoru i nęci podróżnika tym urokiem prawdy, prostoty i czarującéj piękności, jaki wieje z *Kwiatków św. Franciszka* i z obrazów brata Anioła z Fiesole. Tam to żył bł. Tomasz z Core, przy którego śmierci wszystko ptactwo tych lasów zleciawszy się pod okno jego celi zagłuszyło weselném śpiewaniem żałobną psalmodią braci, co się modlili przy konającym; tam na początku niniejszego stólecia słynął niebiańskim żywotem wielebny Franciszek z Ghisone Korsykanin, zakonna postać przypominająca pierwszych św. Franciszka towarzyszów; tam po dziśdzień słynie brat Maryan furtyan, któremu głos okolicznych ludności przypisuje dar cudów. Górale powiadają o nim, iż podczas zawalnéj zimy, gdy komunikacye przerwane były między klasztorem a Apenińskiemi wioskami i prowizyi nie stawało zakonnikom, jął się on modlić i wnet fury naładowane żywnością pokazały się u furty, lecz woźnice przywiozłszy je znikli; inną razą wieśniak z dalekiéj wioski udawał się do Civitelli celem pozbycia się nieprzyjaciela: po drodze wstępuje do klasztoru by złożyć kosz owoców, który mu powierzono dla gwardyana; ale brat Maryan kosza

---

*) *Tanto ché'l venerabile Bernardo*
Si scalzò prima e dietro a tanta pace
Corse, e, correndo, gli parve esser tardo.

Dante, *Parad.* c. XI

odeń niechce przyjąć, aż mu nie odda noża w zanadrzu ukrytego i nie wyzna przed spowiednikiem skwapliwie tajonéj nienawiści i zemsty. Sam O. Gwardyan opowiadał mi o cudownych uzdrowieniach sprawionych przez świętobliwego furtyana.

Przy śniadaniu, jakiém nas poczciwi zakonnicy częstowali, tenże brat Maryan usługiwał nam do stołu; jestto starzec siwowłosy, złamany wiekiem i w części pozbawiony słuchu; starość jego jest tak wielką, iż najsędziwsi zakonnicy młodszym go nie pamiętają. Pomimo to nie wymawia się on od żadnych posług ani umartwień przystojnych najmłodszéj i najczerstwiejszéj braci. Dziwna pokora, słodycz i wesołość błyszczy w jego czaréj źrenicy i promieni się z jego pożółkłych rysów. O. Gwardyan mówił mi, iż zwykł on powtarzać sam do siebie w utrapieniach i pracy tajemnicze słowa: *Verrà notte, przyjdzie noc*. Może robotnik pańskiéj winnicy wzdycha już do spoczynku po dziennym upale.

Niewymownie ochłodzeni tem średniowieczném spotkaniem opuściliśmy *Ritiro* polecając się modłom staruszka, który nas obdarzył zrobionym przez siebie krzyżykiem, albowiem z rzemiosła swego jest cieślą i nazywa siebie technicznie *robaczliwém drewnem, legno tarlato*. Ztamtąd niemniéj bezdrożną jak malowniczą okolicą dostaliśmy się do podnoża Mentorelli przystępniejszéj cokolwiek z przeciwnéj strony Tivoli i San-Gregorio, ale na północ ku Gerano, zkądeśmy wstępowali, wzniesionéj pod obłoczną scianą nad krainą całą. Wstęp byłby nawet niepodobnym na ten cypel zaledwie dla dzikich kóz pochodzisty, gdyby góra rozdarta gwałtowném jakiém wstrząśnieniem lub może potopowym prądem nie była się załamała z téj strony w głęboki parów służący za ściekowisko zimowym potokom i chmurom o ostrza skał roztrąconym, co nastaczały weń brył ogromnych, po których jak po stopniach wspinać się można.

Jedna krawędź tego parowu mniéj prostopadła i pionowa, przedstawia cały szczytny obraz potopowego odmętu: rozpadliny i otchłanie wykręcone kolosalnemi wiry, skały wyrwane z posady swojéj i jakoby znieruchomione nagłym zawrotem nad nieobjętością próżni, dęby z pod których ziemia ustąpiła uczepione jak rozbitki do granitowych łomów i wpijające się gwałtownie w ich żebra czarnemi wężami swych korzeni, posiwiałe mchy zwieszające się zewsząd jak strzępki i łachmany wielkiego tego rozdarcia; druga zaś krawędź pędząca jednym rzutem ku chmurom i tworząca mur cyklopijski z gołych głazów nawalonych rzekłbyś przez Tytanów w walce swojéj z Zeusem, jest oném sławném urwiskiem, na którém, wedle tradycyi, cudowny jeleń ukazał się św. Eustachemu. W miarę jakeśmy wstępowali mozolnie i nieraz z niebezpieczeństwem na te wysokości, zachwycający widok odkrywał się przed nami i wielka część Apenińskiego pasma roztaczała się przed naszém okiem owiana całym przepychem swoich różnofarbnych par i niezrównaną poezyą, która zwykła się ulatniać i krążyć nad wyniosłemi szczyty. Cisza téj napowietrznéj strefy, przerywaną tylko była kobzą *pifferara* grającego w krzakach, gdzie się pasły jego kozy, i przeciągłą zwrótką hymnów na cześć Bogarodzicy, które śpiewali pielgrzymi dążący długiemi korowody po przepaścistéj ścieżce Chóry te rozegrane na dalekie coraz słabsze echa i zalatujące nas z góry przez spokojne przezrocza powietrza wraz z kryształowym wtórem oddalonego dzwonu nad naszemi głowami, miały coś anielskiego w sobie i rozmarzyły nas zachwytnie.

Po trzech godzinach nużącego wspinania się ujrzeliśmy nareszcie wysoko starodawną bazylikę i klasztorek Mentorelli przyparte z południowéj strony do zwyż pomienionego urwiska, co stanowi dwurogi cypel góry i wieńczy się na wyższym ostrokręgu białą kapliczką

św. Eustachego, do któréj prowadzą wschody przymurowane do skały. Kościół i dziedziniec kościelny pełne już były pielgrzymów z państwa Kościelnego, z Królestwa Neapolitańskiego i z dalszych jeszcze stron. Zjechało było także kilku duchownych ku pomocy OO. Zmartwychwstańcom w udzielaniu Sakramentów, tudzież biskup Tyburtyński IMĆ Xiądz Gigli. Pomimo niezliczonych zatrudnień sprawionych tym natłokiem gości, byliśmy przyjęci z rzadką uprzejmością przez O. Hieronima Kajsiewicza przełożonego i przez X. Jana Koźmiana, i w niesłychaném znużeniu jakiegośmy doznawali utraciwszy prawie oddech, mogliśmy się posilić wybornym polskim obiadem. . . . w Apeninach, w nadchmurnéj strefie; — poczém udaliśmy się na zwiedzanie miejscowości.

Kościół Mentorelli jest obszernym na pół gotyckim gmachem, którego założenie sięga pierwotnych chrześciaństwa czasów, bowiem go wybudował cesarz Konstanty W. a poświęcił ś. Sylwester na cześć Najświętszéj Panny, któréj cudowny posąg tu się przechowuje, i ś. Eustachego, którego nawrócenie nastąpiło w tem miejscu. Zjawisko jelenia równie jak obrządek sprawiony przez ś. Sylwestra przypomina nieoceniona drewniana płaskorzeźba najmniéj z VII lub VIII wieku ery chrześciańskiéj zawieszona w kościelnym chórze, gdzie widać także misternéj roboty krzyż bizantyński, dar syna Heleny. Posąg Niepokalanéj Panny, przedmiot czci powszechnéj jest umieszczony nad wielkim ołtarzem pośrodku chóru i otoczony spiżową kratą. Za nim spostrzega się wielką marmurową urnę wmurowaną w ścianę z tym napisem: *Cor Innocentii XIII de Comitibus.* Pod posadzką spoczywa także serce Ojca Kirchera Jezuity sławnego starożytnika, który wydał osobną książkę o przybytku Mentorelli. Inne napisy przypominają dobrodziejstwa i pamiątki sławnego domu Contich z Segni, nie-

gdyś właścicieli księstwa Poli i téj góry, którzy po hrabiach Tuskulańskich najwięcéj mieli Papieży, bo aż czterech. Strop kościelny jak w najdawniejszych Konstantynowskich bazylikach składa się z prostych balek, a na filarach wyglądają z pod obleciałego tynku czcigodne malowidła szkoły Giotta.

Nad kościołem, jak nadmieniłem, góruje ogromna skała; ciemnista i poetyczna jaskinia otwiera się w jéj boku: Ś. Benedykt miał tam czas jakiś przemieszkiwać; u szczytu zaś stoi kaplica Zjawienia, a wschody wiodące do takowéj lud zwykł na klęczkach odbywać. Wyszedłszy na górę spostrzega się iż urwisko w tém miejscu rozpadło się na dwoje; straszliwa otchłań zjejąca pod tobą nabawia cię zawrotu głowy, gdy oderwana część cyplu z kępami dzikiéj zieleni rozrzuconemi w nieładzie po granitowéj swéj łysinie, waży się przed tobą prostopadle, nadobłocznie, nad niezmierzonym obszarem. Wiadoma jest wszystkim historya Ś. Eustachego tak udatnie przez naszego Skargę opisana, i jako ten przemożny patrycyusz, potomek Oktawiusza i Cezarów a dotąd poganin, zapędził się na łowach za wspaniałym jeleniem, który zwabiwszy zapamiętałego myśliwca aż na szczyt góry [Sępów, *montis Vulturellae* (nazwanéj późniéj Mentorellą przez zepsucie), wpadł ostatnim skokiem na to urwisko i ukazał Eustachemu krzyż Zbawicielów promieniący się między swemi rogami. Świeża pamiątka tego cudu stała się powodem, iż Ś. Sylwester Papież i Cesarz Konstanty zbudowali tam bazylikę, która jest zarazem najstarszym w Europie cudownym przybytkiem Najświętszéj Panny i najdawniejszém miejscem pielgrzymki. Ród Ś. Eustachego, *gens Octavia*, trwał czas długi wedle świadectwa kronikarzy: prawnuk jego Tertulius konsul rzymski, który w 523 roku darował opactwu Kassyńskiemu 18 miast w Sycylii i siedm tysięcy niewolników, i był ojcem

Ś. Placyda Benedyktyna, o którym hymn kościelny śpiewa dotąd: *Stirpe natus Octavia. — Cum fratribus et Flavia* i t. d. Tertulius ten dał początek tyle w sławionéj w dziejach rodzinie hrabiów Tuskulańskich czyli Wielkich hrabiów, *Magni Comites*, co to trzęśli półwyspem przez kilka wieków, mieli dziesięciu Papieży między IX a XI stóleciem, i przyjęli byli za herb lwa i wilka niosących w paszczy dwoje dziatek na pamiątkę cudu, jaki się daje czytać w żywocie Ś. Eustachego, dodawszy doń wieniec laurowy pod kulą ziemską na znak cesarskiego swego pochodzenia z tém dumném hasłem: *Victori innititur Orbis, Świat się opiera na zwycięzcy*. Innym prawdopodobnym tego pochodzenia dowodem jest iż gdy w XIII wieku utracili udzielne swe hrabstwo Tuskulańskie przezwali się z włoska Sant-Eustachio na cześć swego przodka; ostatni z nich Ludwik Sant-Eustachio umarł w 1478 roku, a jedyna siostra jego Paola wyszła za Jędrzeja Castelli margrabiego ś. państwa rzymskiego i W. Konetabla Neapolitańskiego, wnosząc nazwisko swe w dom mężowski, jak o tem świadczy jéj pomnik w kościele *Ara-Coeli* w Rzymie, gdzie dają się czytać te słowa:

Paullae Octaviae de Sancto Eustachio Romanae Principissae.
Ex Magnis Tusculanorum Comitibus Octavia augustissima gente progenitae,
ex quibus praeter cetera Urbis et familiae luminaria
XIII Pontifices *) *super solio Petri refulserunt;*
ex quà unà tantae Prosapiae Reliquum

*) Dzieje, o ile mi wiadomo wspominają tylko o 10 Papieżach z hrabiów Tuskulańskich: trzebaby przypuścić iż napis liczy także antypapieży lub też pasterzy idących po kądzieli od tego domu.

Marchionibus Castellis de Sancto Eustachio jure sanguinis virtus et splendor manavit, etc.

Z progu kaplicy Ś. Eustachego podróżnik cieszy się jednem z najokazalszych we Włoszech widoków: część Apenińskiego łańcucha piętrzy się u stóp jego w tysiącznych grzbietach ściśnionych, zbitych jak te biblijne stada, do których Pismo Ś. przyrównywa wyżyny rozkołysanych, wzdętych jak piramidalne fale skamieniałego morza, tutaj namarszczonych ciemnemi lasy, owdzie przeklętych wieczną niepłodnością, ogorzałych od piorunów i spieki, noszących rozpacz na czole jak obraz Salvatora Rozy. Prometeuszowe skały, siwe lub płowe urwiska rozmiecione fantastycznie po ich cyplach, zdają się na nich szczątkami wielkiego rozbicia przedpotopowego świata, a koryta wyschłych potoków plączące się w niewyśledzone krzywizny po ich bokach, zdają się hieroglifami Chaosu. Nad tym zastępem wielkoludów panują granitowe jego hetmany, najwyższe Apeninów wierzchołki: *il Gran Sasso d' Italia*, *Majella i Velino*. Mgły i pary, piana tego morza, kwiecie tych głazów i poezya tych szczytów, urozmaicają je, ubarwiają, ożywiają; słońce pławiące się u góry w nieskalanych italskich błękitach odegrywa za pomocą tych par nieme i cudowne sceny na widowni bez miaru, malując, przesuwając i mącąc nieokreślone jakieś ideały z kolorów, ze światła i z przeźroczystości. Ztąd świat cały znika nieraz pod zaspą lazuru jakoby firmament prószył farbą jak motyle skrzydło, lub cały się powleka tym niewidzianym gdzie indziéj kolorem niedokwitłym ani do róży ani do fijołka, który Dante tak przedziwnie orzekł:

Men che di rose e più che di viole.

Na tych wyżynach i w obec tych widowisk można oddychać pełną piersią jak Farys, zachwycać się jak kochanek i modlić się jak anachoreta.

Ilość pielgrzymów była ogromna; coraz nowi przybywali, i po wszystkich ścieżkach widzieliśmy nadciągające co chwila drużyny. Część ich nocowała pokotem w kościele, mężczyzni z jednéj, a kobiety z drugiéj strony; inna część biwakowała na smętarzu kościelnym, już pod gołém niebem, już pod urządzonemi na prędce namiotami. W wieczór wyszedłem przypatrzyć się tym grupom przypominającym obrazy Rembrandta i koczowiska Leopolda Roberta: malowniczy strój wieśniaków, ich wyraziste rysy i koniczne czapki, oraz białe welony i szkarłatne podpięte z grecka spodnice niewiast odbijały przy ogniach tam i sam rozłożonych. Skały, ciemne ugory i sinawe w dali wierzchołki służyły za tło i ramy temu obrazowi pokrytemu z wierzchu gwiaździstém południowém niebem, na którém nadto jaśniała w całéj świetności kometa, gdyby ognista lawina spadająca z mlecznéj drogi.

Biskup, O. Kajsiewicz, trzech jezuitów i kilku innych księży spowiadało pielgrzymów przez noc całą z niespracowaną gorliwością, a jeneralna komnnia o 2éj po północy, acz rozdawana przez dwóch razem kapłanów, trwała dwie godziny z rzędu. Cała góra brzmiała pobożnemi pieśniami na cześć Bogarodzicy, i nieustannym okrzykiem: *Evviva Maria!* Wiara ludu tego jest wielką, i liberaliści włoscy śmiało mogą się pożegnać z nadzieją zaszczepienia pomiędzy nim protestantyzmu.

Nazajutrz rano udaliśmy się do Guadagualo, wioski mającéj trzysta dusz a położonéj na najwznioślejszym przyczołku góry. Jestto jedna z najwyżéj się znajdujących w Europie osad. Oprócz Apeninów widzi się ztamtąd całą kampanią rzymską, wieczne miasto. Śródziemne morze i ziemię włoską od przylądku Cyrcei aż do Ra-

dicofani i gór Toskańskich. Zapewniają iż przy wschodzie słońca widać także Adryatyk. Przed wioską wznosi się stos kamieni zwany *Tomba dello Scommunicato*. Lud tameczny głosi, iż pewien bezbożnik został na tém miejscu żywcem pochłonięty przez ziemię. Odtąd każdy przechodzień rzuca tam po kamieniu, a głazy te z czasem urosły w ogromną mogiłę. Pośmiertne takie kamienowanie bywa gdzie indziej inaczéj praktykowane.

Władysław Kulczycki.

POCZĄTEK DRUGIEJ CZĘŚCI DZIEJÓW

URODZONEGO

JANA DĘBOROGA

przez

WŁADYSŁAWA SYROKOMLĘ.

(Urywki) *)

I.

Naszych dziadów chłostali Jezuici starzy,
Naszych ojców chłostali ojcowie Pijarzy,
A nam się Bazyliańska rózga przypomina,
Albo Dominikańska twarda dyscyplina.
Ha! niech im za te chłosty Niebiosa zapłacą!
Prawda tęgo plażyli jeśli było za co;

---

*) Przebaczcie mi żem do was od wyjazdu nie pisał, nie przysłał artykułu. Cios jaki mię ugodził (strata najlepszego ojca) przyprawił mię o chorobę duszy i ciała, o jakąś bezwładność z której zaledwie od tygodnia powstaję. Posyłam ustęp z drugiej części *Dęboroga*, jest to korekta, ale nim się xiążka wyda, zaczem dojdzie do Krakowa, *Dodatek* będzie mógł go wydrukować w następnej xiążce, przed nowym rokiem . . . . (Z listu Wład. Syrokomli).

Ale kochali dziatwę serdecznie i szczerze,
Ćwiczyli po-Bożemu w nauce i w wierze,
I ściśle strzegli *mores;*— ich baczna opieka
Nie jednego krajowi darowała człeka.
Wieszcz Grażyny, najpierwszy w naszych wieszczów kole,
W Ojców Dominikanów wychował się szkole;
A klasztor Nowogrodzki dziś pamięta jeszcze
Pierwsze próby młodzieńcze, pierwsze słowa wieszcze,
Co czytając te próby głośno wyrzekł o nim
Xiądz professor wymowy Juszkiewicz Hieronim.
Ten, co w *Obrazach Litwy* wskrzesza przeszłość starą,
I ten co w obec ziomków zasłynął *Barbarą*,
W głębi Oszmiańskich lasów, w Boruńskim klasztorze
Przyjęli swemu pióru namaszczenie Boże;
I wiele inszych imion, które świat pamięta,
U dobrych zakonników brali *rudimenta.*
I dziś znudzeni życia koleją mozolną,
Z roskoszą wspominają swą łacinę szkolną:
Jakie to na majówkach bywały zabawy,
Który profesor srogi, który był łaskawy,
Jak to poszedł examen, czy źle czy pomyślnie,
A nieraz wśród tych wspomnień i łza się wyciśnie.
Jak komary oblecą obrazy dziecięce:
Chciałbyś Xiędza Prefekta ucałować w ręce,
Chciałbyś przed zacnym starcem żalić się jak dziecię,
Że w szkole było dobrze, dziś mi źle na świecie.

II.

Wszak pamiętacie z dawniejszej powieści,
Jak po naukach przy Definitorze,
Ojciec oświadczył, że go w szkole mieści,
A wolę ojca on przyjął w pokorze,

Jak zdał examen, jak się ojciec cieszył,
Że mu koszt roczny i honor ocalał,
Syna do serca przytulić pośpieszył,
Proszę Aspana! i łzami się zalał;
Potem odjechał syna zostawiwszy
I przyrzekając zabrać go na święta,
A syn był zda się z ludzi najszczęśliwszy
Gdy go ubrano w mundurek studenta;
Kiedy pomyślał jak się jutro spisze,
Bo umiał dobrze jutrzejsze zadanie;
Gdy go oblegli mali towarzysze,
Kiedy na mecie do palanta stanie.
Żył nowém życiem, bo dziwnie to mami
Czuć że się wplotło w towarzyskie koło,
Dzielić z drugimi współrowiennikami
Pracę mozolną, zabawę wesołą.
Niemając brata nazwać kogoś bratem,
Z ciszy wioskowej przejść do gwarów miasta,
Niedziw, że cudnym otoczony światem
Młodzian do niego coraz silniej wrasta.
Nieraz mu prawda we snach się przyśniła
Wioskowa strzecha, towarzysze z wioski,
Grusza przy drodze, kapliczka pochyła,
Kręta rzeczułka i dworek ojcowski.
Drogież tam miejsca, niwa tam bogata,
Lecz tu jest nowa rozrywka czy praca:
Myśl w tamtych stronach polata... polata,
I w grono szkolne znów chętnie powraca.
Tak po bratersku w gromadce junaczej
Dziatwa się chowa pod opieką Boga...
Lecz szkolne czasy opowiem wam raczej
Własnemi słowy Jana Dęboroga.

III.

Szkoła była w klasztore, a kwatery w mieście,
A w szkole wszystkich uczniów może osób dwieście.
. . . .

IV.

Jak jedyna pamiątka przeszłości minionej,
Grają w wieży kościelnej nierozbite dzwony.
Dobrze głos ich pamiętam. Jeden różańcowy
Budził ze snu do pracy rozmarzone głowy.
Głos miał długi, jęczący — a jednakże słodki,
Zwoływał na różaniec starce i dewotki.
Kiedy ranek się budził, kiedy pustka w mieście,
Szły o kiju postacie męzkie i niewieście
Mówiąc ranne pacierze ku Maryi chwale,
I brzęcząc w bukowego różańca medale,
Co nosili na piersiach. Drugi dzwon był duży,
Tylko w dni uroczyste i na summę służy;
Ten huczał grożnym głosem, ale z taką siłą,
Że prawie bicia serca słychać w nim nie było,
Aż huczalo powietrze, aż trzęsło się miasto,
Gdy on zagrał w niedzielę kwadrans na dwunastą;
Wtedy tłum różnobarwny, kmiotków z targowiska,
Tłum szlachty szaraczkowej pod kościół się ściska,
Kilka pańskich kolasek grzmoce w bruki kołem,
I było żywo, gwarno przed Pańskim kościołem.
W takich tylko wypadkach, w uroczystej chwili,

Czterej ludzie klasztorni w wielki dzwon dzwonili;
Szanowano go ruszać, bo to dar bogaty,
Pono z armat Tureckich ulany przed laty.
Trzeci dzwon był najmniejszy w swoich braci rzędzie;
Lecz głos jego do śmierci pamiętny mi będzie:
Głos miał cieńki, dobitny, dźwięczny niesłychanie,
Trzepał prędko jak student gdy umie zadanie;
Echa niemiał — a jednak za jego wyrazem
Dwieście serc młodocianych uderzało razem;
To postrach, to nadzieje budził swemi tony,
To był nasz dzwonek szkolny *Piotrem* narzeczony!
Och! jakże się pragnęło wśród naszej drużyny,
By prędzej pana Piotra przyszły imieniny!
A on jak solenizant hojny i wspaniały
Zasygnuje wakacyę aż na miesiąc cały!
Lecz jeszcze do imienin Piotrowych daleko.
Zadzwonił... śpiesz do klasy z xiążkami i teką;
Bo jak *sekund* zadzwonią — zgłuchną korytarze,
Xiądz Prefekt się niepyta, a klęczeć rozkaże.
Więc na *prym* *), czy kto lekcyę umie czy nieumie;
Wybiegają studenci ze swych gospód w tłumie;
Każdą swoję gromadkę, jakby wódz po przedzie,
Z uroczystą powagą pan dyrektor wiedzie,
Pilnuje kto się został, kto zaprędko leci,
Gromi jednemi słowy: *nieswawólcie dzieci!*
Wbiegamy na korytarz: — tam xiędzowskie cele,
Nad każdą obraz męża wielkiego w kościele,
Co w ojca Dominika zakwiły zakonie
Był biskupem lub zasiadł na papiezkim tronie.
W tych celach nasze szkoły, więc każdy z młodzieży
Idzie do swojej klasy gdzie komu należy.

---

*) ***Prym*** **pierwsze dzwonienie,** ***sekund*** **drugie w kwadrans po pierwszem, poczem przychodzi profesor.**

V.

Kładąc rękę pod skaplerz białego habita,
Ksiądz Prefekt dyrektorów o nasz postęp pyta,
A grzecznie ich częstując z tabakiery dużéj,
Uśmiecha się łagodnie albo czoło chmurzy.
Piękneż to było czoło! zmarszczki go nieszpecą,
Włos jasny kędzierzawy opełnął mu nieco,
A na czole dostrzeże kto uwagę zwraca,
Że panuje myśl wyższa, nauka i praca.
Postać miał okazałą, wzrok jasny a żywy,
W ustach zawsze gotowy uśmiech dobrotliwy;
Głos prędki a stanowczy, co słów niepowtarza,
Płynął jak wiatr łagodny cugiem kurytarza;
Słowa jego łagodne, niegrożą, niestraszą,—
Zmarszczka na jego czole była karą naszą.
Lecz kiedy sroższéj kary użyć należało,
Dobry Prefekt był wtedy granitową skałą,
I karał uroczyście na prośby bez względów,
Z chmurną twarzą a jednak bez gniewu zapędów;
Bo w jego wielkiém sercu była równowaga,
Miłość i sprawiedliwość zarówno przemaga;
On umiał spojrzeć okiem chmurném czy łaskawém—
Miłość była uczuciem a powinność prawem.
O! to nie ideały niepodobne tworzę:
Taki mąż w mniszéj sukni, w ubogim klasztorze,
Był ojcem naszéj szkoły—pochwała, nagana,
To była sprawiedliwość święta, niezachwiana;
A kiedy ją odbierał, to czuł umysł młody,
Że jest godzien téj kary albo téj nagrody.

A jeżlim jego kary zasłużonéj, świętéj
Zdołał czasem uniknąć przez szkolne wykręty,
To nieraz mi się zdaje, że karę téj winy
Los odłożył na życia późniejsze godziny:
Łzy, któremi nawiedza Bóg duszę zbolałą,
Może przy szkolnéj ławie wylać należało.

VI

Tymczasem w klasach grzmi ciżba gwarliwa,
Jak gdyby w ulu gdy rój odlatywa;
Dwadzieścia głosów zadania się uczy,
Dwadzieścia głosów śmieje się i huczy;
Piłka nieznacznie rzucona gdzieś z boku
Grzmoce o ziemię w sprężystym podskoku.
Najgłośniéj krzyczał najstarszy z wąsali,
Co zawsze winę na mniejszego zwali;
Nim do cenzora dojdzie nasza skarga,
To on cię jeszcze za uszy wytarga.
Cóż malcom począć? wszak wiadomo przecię,
Że kto ma siłę, ma słuszność na świecie.
Ale i słabym na silnych jest rada,
Gdy z łacińskiego trudna rzecz wypada,
Lub *Centum boum* jak hydra straszliwa
Z figur i z liter szpony wydobywa *).
O, wtedy widzieć wąsalów postacie!
Pokornie proszą: podpowiedz mi, bracie!

---

*) *Centum boum* (sto wołów), znane w matematyce twierdzenie o kwadracie z przeciwprostokątnéj— szkopuł i kamień próbierczy znajomości matematycznéj uczniów.

Więc gdy się biedak w odpowiedziach błąka,
Tak mu podpowiesz, że ustrzeli bąka;
Profesor krzyczy, a pusty śmiech w sali, —
To cała nasza zemsta na wąsali.
Wąsal za swoje oddawał cichaczem,
Ale był tryumf, że i my coś znaczym.
Piłka się zwija — bębni szkolna ława,
Po całéj sali wrzawa i kurzawa.
Prefekt choć wszystko słyszy z kurytarza,
Lecz się niezawsze za wrzaski obraża:
Wszystkich nieskarcić — to i czasu szkoda!
Więc myśli sobie: przeszumi krew młoda.
Tylko gdy czasem swawolna drużyna
Zanadto głośne wrzaski rozpoczyna,
Prefekt w drzwi puknie albo je uchyli:
Nastaje cisza — cisza jednéj chwili,
I znowu wrzaski kipią z całą mocą,
Aż w oknach szyby trzęsą się, dygocą.
Drzwi się otwarły — w pół taktu, w pół słowa,
Po gwarze cisza nastała grobowa,
Niejedno trwogą uderzyło serce,
Profesor przeszedł... klęknął w katederce,
Wszyscy poklękli i w jeden głos żywy
Zabrzmiała modła: „Boże dobrotliwy!
„Zeszlij dar Ducha na głowy twych dzieci,
„Co serce wzmocni i rozum oświeci,
„Byśmy dla kraju naukę pojęli,
„Ciesząc rodziców i nauczycieli!“
Profesor powstał — rzucił wzrok surowy:
„No, panie Janie! wiele części mowy?“

VII.

Stańcie mi przed oczami w waszéj białéj szacie,
Groźne a razem drogie mych mistrzów postacie!
Pozwólcie po staremu niech dusza zamarzy,
Niech raz jeszcze do waszych przypatrzę się twarzy.
Och! niejedną twarz waszę, tak dobrze mi znaną,
Zakryto w czarny kaptur, piaskiem zasypano,
I postać niegdyś w szkole przewodzącą dumnie,
Zakopano w mogile, w jedlinowéj trumnie,
Requiem zaśpiewano w ton grobowy długi,
I rozwiał wiatr cmentarny ślad waszéj zasługi.
Gdzie wy, ojcowie ducha? w dalekim klasztorze
Pozostało was tylko dwóch albo trzech może,
W chórze lub mniszéj celi wiodąc ciche życie...
A reszta— z górnych niebios za nas się modlicie.
Dziśbyście niepoznali małego pieszczocha,
Którego i ksiądz Prefekt i każdy z was kocha:
Był dzieckiem— dziś w cierpieniu twarz stała się starą;
Był wiernym— świat mu serce zaraził niewiarą;
Był jednym z pierwszych uczniów — wszak pomną ko-
ledzy.—
Dziś miota się po falach niezgłębionéj wiedzy,
Łamie ręce w rozpaczy— bo uznał w swéj dumie,
Pierwszych liter mądrości że dotąd nieumie.
Wyście mię zapomnieli— ale ja was pomnę:
Wasze twarze, postacie mam w sercu przytomne,
Oddźwięk waszego głosu, co mi się przysłyszy,
Przypomni kartę książki, moich towarzyszy,
I cały szereg pytań przed oczy mi stanie,
I który z nas nieumiał, kto umiał zadanie,—

I myślę w głębi ducha: Boże, jaki przedział!
Dziśbym ja na pytanie dobrze odpowiedział;
Śmiech, co mi się zdawało trudném i zawiłém!
Lecz wtedy miałem mądrość— bo szczerzéj wierzyłem.

VIII.

Oto z pierwszego planu spogląda surowo
Stary ksiądz *matematyk* z rozczochraną głową.
Na jego białéj szacie jest plama dwojaka,
Bo bielsza jeszcze kreda i czarna tabaka;
Lecz za to jego serca nieskaziła plamka,
Na dziesiąty, na setny ułamek ułamka,
Nieugięty jak Kato, jak cyfra w algebrze;
Nikt od niego litości w zdaniu nie wyżebrze.
Na tablicy i w życiu kreślił prostą liniję
I pomiędzy ojcami miał prawą opiniję;
Może go nielubili — jednak jak słyszałem
Kilka razy miał zostać ich prowincyałem,
Lecz jak weźmie na kredkę, jak przez cyfry zbada,
Że trójkąt do trójkąta jakoś nie przypada,
To zmarszczy się i zrazu uchylając szyję;
„Kto tu piwa nawarzył, niechaj sam wypije!
„Nieumiem mojéj łódki kierować na świecie;
„Później wam będę służyć jeżeli każecie!"
Poszanowano w starcu jego opór szczery,
Kazano mu wykładać: *dwa a dwa to cztery!*
W to graj stary prostaku! z *minusem* i z *plusem*
Bezpieczniéj małe dziecię nazwać *asinusem*,
Niż trzymać w klubach starszych albo staczać spory
Z Wielebnemi magistry, lektory, doktory.

Tém lepiéj dla doktorów — ale dla nas biada,
Kiedy xiądz Matematyk algebrę wykłada.
Ciężył na naszych sercach, jakby głaz kamienny,
Pierwiastek kwadratowy, pierwiastek sześcienny:
Wyciągnij jeśliś łaskaw — wyciągnij go sztucznie!
Mnie liczył Xiądz Professor między słabe ucznie,
A jednak szczerze kochał — a że lubił łowy
Czasem odwiedzał w święta nasz zakąt domowy:
Ze strzelbą z moim ojcem przechadzał się borem,
Lub w szachy na pacierze grał z Definitorem.
Więc wtedy mawiał do mnie:—„Ej źle, panie Janie,
„Źle poszło *centum boum*, źle poszło zrównanie!
„A tu najpierwsza w świecie liczbowa nauka:
„Nikogo nieoszukasz, nikt cię nieoszuka!“
A jednak mimo liczby, kwadraty, sześciany,
Często Xiądz Matematyk bywał oszukany.
Wiedząc, że trochę grosza po bracie dziedziczy,
Nieraz przyszedł do niego żebrak tajemniczy,
I prosił o jałmużnę lub kredyt otwarty, —
Wziął pieniądze—przechulał—albo przegrał w karty;
Lecz on teologiczną formułę miał na to:
„Bóg mi za to zawdzięczy stokrotną zapłatą!
„Weź kredkę i porachuj — toć rachuba prosta:
„Jałmużna do nagrody — jako jeden do sta.“
I rad z dobrego czynu, rad ze swéj formuły,
Czułą i czystą duszę krył w pozór nieczuły,
W liczbach zakładał mądrość i wagę i miarę,
Ale nieliczył pulsów jak gra serce stare, —
A gdy niósł chętną pomoc dla biednych współbraci,
Co się w liczbach pomylił, to mu Bóg dopłaci.

IX.

Druga postać Xiądz *Rusak*. Był to kleryk młody:
Lubił czytywać pieśni, sielanki i ody.

Wrzał młodzieńczym zapałem kiedy nam wspomina
Nieśmiertelne utwory ojczyzny Puszkina.
Słuchała go z zapałem cała młodzież nasza,
Gdy w odzie wielkość Boga Dzierżawin ogłasza,
Lub w Żukowskim, gdy z grobu jedzie postać blada
I w nocy wśród zamieci Świetlanę wykrada.
Przedmiot wtedy był nowy — niedawnośmy jeszcze
Nad-Newskie pobratymcze czytywali wieszcze:
Więc i słuchać nas brała chęć niepospolita,
A zwłaszcza, że Xiądz Rusak tak biegle je czyta!
Sam zresztą Xiądz Professor był człek doskonały,
Niedawno jeszcze w habit oblokłszy się biały,
I dobrze jeszcze ławkę, pamiętając szkolną,
Znaczno było, że lubił gromadkę swawolną.
Bywało... często bywa... źle idzie nauka,
Xiądz Rusak nagrymasi, nafuka, nastuka,
Zawsze u niego groźba na ustach gotowa;
Lecz Xiędzu Prefektowi nigdy ani słowa,
I w zdaniu niepokrzywdzi, w słowie niepomiata,
Więc go dzieci lubiły jak starszego brata.
Insza sprawa Xiądz *Fizyk*: czoło nachmurzone,
Czarny, suchy, i wiecznie chory na śledzionę;
Mówił przez nos przeciągłe — ale z nim nieżarty!
Z historyi naturalnéj zada cztery karty,
I naucz się ktoś mądry taką długą chryję,
Co tam jada skowronek? co tam jeleń pije?
I to za nic bywało, że ja mu dowiodę:
Skowronek jada muszki, jeleń pije wodę;
Lecz on z xiążki niespuści oka ni na chwilę —
Gadaj mu słowo w słowo jak w Xiędzu Jundzille!
Kto dobrze nieodpowie lub hałas przysporzy,
Do dziennika zapisze i jeszcze coś gorzéj.
I Xiądz *Francuz* nielepszy: ospowaty, łysy,
Niesie pod jedną pachą francuzkie wypisy,

Pod drugą sarnią nóżkę, a w niéj z pod kopyta
Cztery konopne sznurki jak kwiatki wykwita.
Głowę na bok przechyli, i przy ławce stanie,
I zada jakie trudne z wyrywków pytanie,
A niechaj-no broń Boże omyłkę przydybie
W jakim *rozkazującym* czy *łączącym* trybie,
Albo kto się w rozbiorze grammatycznym stropi,
Tak mu łapę, wysmaga sznurkami z konopi!
Lecz choć w nas nieprzestrzegał paryzkiéj wymowy,
Pletliśmy po-francuzku jak hiszpańskie krowy;
Ale człowiek z rozkoszą i dziś przypomina,
Jak czytał Molijera, Kornela, Rassyna,
Umiał się w pięknem miejscu zastanowić ściśléj,
Wziąść do młodego serca Fenelona myśli.
Za to Wolter...och! z pyszna miał się w saméj rzeczy;
Choć żaden go nieczytał, lecz każdy złorzeczy!
Xiądz *Historyk* powolny, Bogu winien ducha,
Czyta całą godzinę, a nikt go niesłucha.
Ciągle myślał o ptaszkach—miał ich pełną celę;
A czy Nil wpada w Eufrat czy tam w Dardanelle,
A jak tam sobie idzie dziejowa nauka,
Czy kto króla Popiela w Babilonie szuka,
Annibal zbił Scypjona, Scypjon Annibala,
Nasz dobry Xiądz Historyk na wszystko pozwala,
I tylko czasem ostrzéj bierze się do młodzi,
O świętéj Inkwizycji gdy mówić przychodzi.
Xiądz Historyk znał dzieje i znał kartę świata,
Ale błędna myśl jego Bóg wie gdzie ulata:
Mówiąc jak Leonidas padł przy Termopilach,
On myślał o kanarkach, czyżykach i gilach.
Raz się długo zamyślił nad zburzeniem Troi:
„Czy widzicie!—rzekł—szczygieł kanarka się boi!
„Zuch kanarek!... och gdzie tam!! Achilles chcę mówić!
„Nieda się stary wróbel na plewach ułowić.

„Chociaż Grecy ufali jego męzkiej cnocie.
„Zamknął się w swojéj klatce.... chcę mówić: w namiocie.
„Otóż tedy Achilles... widzicie panowie
„Zamknął się... co tam było? niechaj *sequens* powie *).
Xiądz *Katolik*, co dawał katechizm w sobotę,
Kłócić się z różnowierce wielką miał ochotę;
Teolog dogmatyczny jak wpadł na dogmata,
To rzadko kiedy mówił o stworzeniu świata.
Zamiast przykazań Bożych, on napadał żmiją
Na sektę Aryanów, którzy dziś nieżyją;
Długo lubił rozprawiać w czém Papieża władza,
W czém się Sobór Nicejski z Trydenckim niezgadza,
Rzucał dziwne pytania od chwili do chwili,
Chciałby się z kim posprzeczać, lecz wszyscy wierzyli.
Jużci za jakieś figle lub ciężkie bezprawia
Tygodniowy rachunek w sobotę odprawia....
A ręka była ciężka — w sercu krew nie woda:
Więc biada kogo cenzor pod rękę mu poda!
Zdaje się że weselszy im silniéj uderzy,
Zwalcza hydrę piekielną jakby święty Jerzy.
Dziś pokój jego prochom dla wiary chciał plonu,
Chciał wskrzesić średniowieczne podanie zakonu;
A niespojrzał w krąg siebie, że choć fala grzmoce,
Święty kościół Piotrowy trwa na swéj opoce,
Że po burzach wiosennych nastaje czas żniwa,
I nie krwią lecz miłością walka się odbywa **).

---

*) *Sequens*, następny; znaczyło że następny uczeń miał odpowiadać na pytanie.

**) Postaci Professorów brane mniéj więcéj z natury, nazwaliśmy *typami*. Poczytujemy za obowiązek tutaj dodać, że osoba Xiędza *Historyka* i Xiędza *Katolika* są idealne sklecone z kilku typów, nam się zdawało, że przy suchém wyliczeniu osób, potrzeba w sztuce kontrastu.

X.

Nietak pojmował kościół i ludzkości losy
Xiądz *Niemiec*, człowiek drobny, szczupły, czarnowłosy,
Co na nas drobną trzodę uczniów i słuchaczy,
Nim się namyśli gniewać — to naprzód przebaczy;
A kiedy chce którego upomnieć surowie,
Najeży się! . . . namarszczy — potem nic niepowie;
A gdy trzeba ofuknąć, to nakoniec rzecze:
„Ucz się mój aniołeczku! bo młodość uciecze,
„A pod starość i pamięć i zdolność się zmienia.
„Chcesz się czegoś nauczyć, idzie jak z kamienia.
„Ja sam przed wami dzieci pragnę być otwarty,
„Chciałbym sobie na starość — umieć zagrać w karty,
„Lecz choć długo się uczę i probuję różnie
„Czerwieni od żołędzi jakoś nieodróżnię.
„Ucz się, ucz, aniołeczku. . . a teraz panowie,
„Kto balladę z Göthego na pamięć mi powie?
„Göthe był wielki pisarz, on miał w głowie oléj,
„Panie Janie Dęboróg, na waćpana koléj!"
Postać Xiędza *Łaciny*, mam skreślić wam jeszcze,
Lecz w osobnym obrazku i potem ją streszczę,
Łzę rzewną łzę serdeczną na grób jego zleję, —
A teraz dalsze szkolne rozpowiem koleje.

SZCZOTKA DO ZAMIATANIA.

(Obrazek tegoczesny).

(Dokończenie).

— Pij wodę, pij, bo woda najzdrowsza. Woda w stósownéj porze za napój użyta, już nie jednego ocaliła od choroby i śmierci.

— Ja też nigdy nic innego nie pijam, kochana ciociu.

— Niezupełną prawdę powiedziałeś, mój Władziu!

— Jak ciocię kocham, szczérą powiedziałem prawdę.

— Prócz wody, piłeś także truciznę, i dość długo ją piłeś! Truciznę, którą tak obficei z siebie wylćwa ów piękny, ale kamienny wodotrysk zwany Malwiną.

— Och nie wspominaj już o tem.

— I owszem, trzeba nabrać doświadczenia, i odtąd roztropniejszym być na przyszłość. Cieszę się niezmiernie, żeś już wszedł w porę dojrzałości moralnéj. Kochaj, uwielbiaj i połącz się z kobietą, lecz mającą choć cząstkę owych przymiotów, jakie jeden z rymotwórców francuzkich w poemacie „Zalety kobiét“, opisał. Mam to dziełko, i dam ci je, abyś je sobie odczytał. Objaśniające na końcu przypisy, są jeszcze ciekawsze, niż sam poemat.

Patrz Zeszyt paździe-nikowy.

— Wspomniałaś, ciociu, o zaletach; i zaraz przyszły mi na myśl trafne wiérsze Krasickiego: „Pomimo wszystkie płci naszéj zalety, my rządzim światem, a nami kobiéty“.

— I dla tego źle jest na tym świecie. O gdyby kobiéty zamiast rządzić wami, udzielały wam natchnień i pobudek do pięknych usiłowań, do pożytecznych dla ogółu prac i uczynków, społeczność nasza wyleczyłaby się wnet z zastarzałych i gnębiących ją chorób. Och, bo nie tylko samo szczęście domowe, ale i powszechne, publiczne, od postępowania kobiét zawisło! Mniemam, że gdyby one pojmowały należycie swą godność i przeznaczenie, nigdyby nie robiły lalek, dzwonów, karafinek, dzbanków, filiżanek błyszczących pozłotą i malowanemi kwiaty. Są wprawdzie wyjątki, nawet liczne i świetne; ale już sam ten wyraz „wyjątek“ naprowadza na smutny wniosek, że prawidło ogólne nie brzmi zaszczytnie. Władziu, ja już spać pojdę — idź do siebie — polecam cię Boskiej opiece.

I któż to był ten Władysław? Mamże dać naprzód opis jego powierzchowności, czy też przystąpić od razu do przedstawienia duchowej jego strony? Ta ostatnia będzie podobno z większym dla czytających pożytkiem.

Jeszcze chłopięciem, zwracał on na siebie uwagę wszystkich ludzi zacnych, dziwnie roztropnemi odpowiedziami. Jego zachowanie się i postępki były takie, że sam duchowny, który mu wykładał zasady wiary i naukę obyczajową zgodnie z przepisami kościoła, zachwycony jego szczérością, dobrocią i przyrodzonym rozsądkiem, rzekł pewnego razu na ustroniu rodzicom: Uczę ja moralności syna waszego, ale ten wasz syn nie wiele jej

potrzebuje, ponieważ się z nią urodził. Z czasem stanie się on wielką, żywą moralności księgą. — Troskliwy o najlepsze wychowanie ojciec, kazał go również uczyć tańcować. Tu mały Władzio po raz pierwszy dopiero niepowolnym się okazał, atoli nie przez upór i krnąbrność, które obcemi dlań były; lecz z niepochamowanego wstrętu, jaki czuł do wszelkich miarowych i prawidłowych kroków i skoków. Na wszystkie nalegania ojca w tej mierze, tak odpowiadał: Jeśli mię kochasz ojcze, tak jak ja ciebie kocham, szanuję i dobrze ci życzę, to mię uwolnisz od téj nauki; ona bowiem, według mojego mniemania, nie nadaje wyższéj wartości człowiekowi, który w niej jest biegłym. Pływać, jeździć konno, rąbać się, strzelać, z największą ochotą uczyć się będę: ale tańcować, to jest poniżać się niemal publicznie, jak skoro w obec obcych osób, byłoby dla mnie bardzo bolesną rzeczą. Nie jestże to wyprawiać widowisko ze siebie? — Sprawa ta o taniec byłaby się może smutnie rozstrzygnęła dla trzynastoletniego wówczas Władysława, gdyby nie wdanie się matki, która nieugiętemu jego ojcu taką zrobiła uwagę: Masz jedynaka; jeśli go tańcem prześladować będziesz, obierze sobie zawód duchowny, i zgaśnie jako ostatni potomek twego imienia. Powinieneś się owszem cieszyć, że twój syn nie okazuje żadnéj skłonności do pięknych pustot światowych — mam nawet niepłonną nadzieję, że i w dalszém życiu pozostanie w obyczajach surowym. Nie zginaj przeto i nie łam téj młodéj, tyle obiecującéj latorośli; ale pozwól jéj rozwijać się i umawiać we wszystkiém, co jest rzeczywiście dobre, piękne i pożyteczne. Jego skromność i nadzwyczajne postępy w naukach zasługują na twoje pobłażanie w tym względzie. Zdziwisz się, gdy ci powtórzę, co mi niedawno w zaufaniu powiedział: Wiadomo mi z książek, iż Murzyni największe upodobanie w tańcu znajdują. Mamo, ja nie chcę

naśladować upośledzonych Murzynów. Dajże więc chłopcu pokój, bo trapiąc go dłużéj, mógłbyś jego zdrowie....— Dosyć, dosyć, odpowiedział ojciec, tańcem nie będę go już męczył, ale go muszę ubrać we frak, bo jest pięknie zbudowany, i powinien zawczasu oswajać się z dobremi manierami. Bez fraka niemasz ani elegancyi, ani postawy szlachetnéj, ani owéj giętkiéj swobody w ruchach, świadczącéj głównie o przyzwoitém wychowaniu. Kształcić powierzchowność nigdy zbyt wcześnie i nigdy zbyt długo nie można. Człowiek całe życie się kształci. Nie chcę, aby syn mój był nieokrzesanym gburem. Poszlij mi zaraz po krawca, niech przyjdzie wziąść mu miarę na frak. — I przyszedł krawiec, i wziął miarę na frak, a Władysław smucił się przewidując nowe męczarnie. Jakoż nie zawiódł się — bo ubrany we frak nieco ciasny, stracił swobodę ruchów i stał się niezgrabnym. — Jak ty chodzisz trzymaj się prosto, nie trzymaj rąk tak z daleka od siebie; prawie codzień powtarzał niezadowolniony z jego postawy i ruchów ojciec. By go przyzwyczaić, kazał mu ciągle chodzić we fraku; a gdy ten wkrótce się potrzaskał, sprawił mu nowy; lecz gdy i ten podobnemu uległ losowi, kazał mu ojciec zrobić cztery fraki na raz. — Mamo, rzekł pewnego razu nasz młodzieniec do matki, a miał już wówczas ośmnaście lat: tata musi mieć bardzo złe wyobrażenie o moim umyśle, kiedy mię od tak dawna i z takim kosztem zaopatruje w gorsety, czy kaftany, jakiemi zwykle krępują szalonych. Jestżem ja szalony, albo czy daję powód do obawy, abym kiedykolwiek nie rzucił się na kogo w domu lub na ulicy? Frak, mojém zdaniem, jest to najnieprzyzwoitsza część zwierzchniego ubioru naszego. Jestże on na to wymyślony, aby powierzchowność naszą uczynić wydatniejszą i do rozpoznania łatwiejszą? — Cóż robić, mój synu; nie za naszych czasów ta moda nastała, i nie za naszych

zginie. — To więcéj jak pewna, odpowiedział syn; dziwię się tylko i ubolewam, że raz zaprowadzony zwyczaj, choćby nawet był najniedorzeczniejszy, z czasem w powszechne prawo przechodzi. Jeśli się nie mylę, zaczęto jednocześnie z frakami, jeść żaby, ślimaki, ostrygi. Jak temi ostatniemi dziś już mało kto się brzydzi, tak równie i frakiem mało kto się zgorszy; bo każda rzecz śmiészna, codziennie widziana, przestaje z czasem być śmiészną, i upowszechniwszy się, nabiéra powagi i znaczenia. Wszakże to frak, a nie co innego, wraz z kapeluszem zwanym cylinder, zatarły różnicę w ubiorach, jakiemi się niegdyś zewnętrznie cechowały narody. Pyszna cywilizacya nasza doprowadziła do tego, że dziś najnikczemniejsza podłość i najwyższa zacność zarówno przechadzają się we frakach — i dla tego to czuję taki nieprzezwyciężony wstręt do sukni tego kroju. Możeż być co przykrzejszego jak widok bezczelnego występku ubranego we frak, lub nędzy zmuszonej chodzić także we fraku? Obym był fałszywym prorokiem, ale wszystko mi się zdaje, ze mimo wszelkich ulepszeń i postępów cywilizacyjnych, coraz ogólniejszy bezwstyd i rozszérzające się coraz bardziéj ubóstwo doprowadzą nas wkrótce do sankiulotyzmu. Nie jest to myśl moja, tylko słyszana od obcéj osoby, a przezemnie powtórzona dosłownie.

Kończył właśnie nauki Władysław, kiedy ojciec jego umarł, i którego pochowano we fraku, jak był rozporządził przed śmiercią. Znalezione po nim spisy wydatków udowodniły, że same fraki przez lat kilka synowi sprawiane, kosztowały przeszło trzy tysiące złotych. W kilkanaście dni po pogrzebie, Władysław za zezwoleniem matki, rozdał między ubogą a uczącą się młodzież blisko sześćdziesiąt sztuk różnéj barwy fraków, własnych i po ojcu odziedziczonych: a ludzie nie wiedzieli, skąd tyle fraków uwijało się po mieście. —

Uczciwszy pamięć ojca nie okazałym, lecz pięknie wykonanym pomnikiem w miejscu spoczynkowi wszystkich poświęconym, tudzież zabespieczywszy za zniesieniem się z matką wieczysty grosz na coroczne odprawianie żałobnego nabożeństwa za duszę jego; zajął się uporządkowaniem źródeł majątkowych, zmniejszając tu i owdzie, z nadzwyczajném podziwieniem dłużników, stopę odsetkową — jak równie załatwieniem na drodze pojednawczéj rozpoczętych przez zmarłego rodzica sporów. Czego dokonawszy z najwyższém zadowoleniem matki, chwycił się oburącz do wertowania dzieł licznych latopisów naszych, w zamiarze przelania chociaż jednego, a dotąd w martwéj drzémiącego mowie, na język ojczysty. Pewnego dnia tą pracą zajęty, tak sobie dumał: Nie będąc w położeniu szukania chleba w zawodzie służby publicznéj albo u pojedynczych osób, dość mam wolnego czasu, aby coś pożytecznego zrobić dla ziomków. Strawiwszy lat kilkanaście na nauce łacińskiego języka, musiałbym ten czas pełen mozołów poczytać za zupełnie stracony, gdybym znajomości tegoż języka na ten cel nie użył. Bo i na cóż było się go uczyć tak długo i z takim nakładem, jeślibym go dziś miał skazać na wieczne zapomnienie? Czyliż gnuśna bezczynność i samo spożywanie płodów mają być ostatecznym wypadkiem moich długoletnich trudów naukowych? Bo jeśli na to tylko kształcimy się umysłowo, aby się umieć, jak to mówią, znaleźć w towarzystwie — to dość jest w takim razie poprzestać na francuzczyznie i tańcu. I takich to niby ukształconych mamy właśnie najwięcéj. Powierzchowna ogłada obyczajów w oczach wyższego towarzystwa — a po za obrębem jego najbrzydsza niesforność. Zchodzą téż z tego świata tacy panowie bez wspomnień i śladu, jak pospolite wróble, o które nikt się nie ubiega, i do klatki, dla osobliwości piérza lub głosu, nie wsadza — albo jak kruki, niemiłe spra-

wujące wrażenie: najwięcéj, jeśli którego z tych panów, uwięzi na łańcuszku, jak papugę, jaka majętna dama, i karmić będzie, dopóki nie zdechnie — bo przecież ptaki nie umiérają jak ludzie. O co mówię! ich byt i zgon jest jeszcze bardziéj nikczemny: rosną bowiem i giną jak niepożyteczne zielska i chwasty, które czasem tylko koza lub niewybredny osiół spożywa, a których ani koń, ani krowa jeść nie będą. Giną, niezostawiając po sobie żadnego śladu istnienia, podobnie jak pozbawieni wstydu żebracy uliczni, których władza bespieczeństwa i porządku publicznego sprzątać każe. Napróżno kupiony marmur i głęboko na nim żłobione wyrazy pochwalne uderzają oczy przechodnia, i proszą o westchnienie do Boga! Zdziwiony wspaniałością pomnika przechodzień, usiłuje przypomnieć sobie czyny zdziałane niegdyś przez spoczywające prochy; i nie mogąc sobie ani jednego uprzytomnić w swoim umyśle, oddala się albo całkiem obojętnie, albo z oburzeniem, i mówi: Byłeś nie człowiekiem, ale marmurem i żelazem; niechajże dziś za twą duszę westchnie marmur i w piękne kształty ulane żelazo! Mój bracie, nie tędy droga do nieśmiertelności i zaszczytnéj pamięci! — Tak to nieubłagana śmierć obnaża człowieka z wszystkiego, a to dla tego jedynie, aby odsłonić i rozwiązać prawdę ostrożną i lękliwą, póki życie tleje. Po wyzwoleniu téj prawdy, to jest po śmierci dopiéro, objawia się cała wartość wewnętrzna człowieka. Co w nim znikomego było, rozsypuje się w proch — sam tylko duch, oraz jego dzieła i myśli płoną i świécą przez wieki. I taki tylko śmiertelnik jest nieśmiertelnym na ziemi. A jednak mimo tej prawdy, że raz tylko żyjemy widomie; że kres tego życia nigdy na długie lata rozmierzyć się nieda, jak skoro każda chwila sprowadzić go może, i że zawsze do zdania sprawy przed Najwyższym Sędzią gotowym być trzeba; — mimo to wszystko, widzimy niezliczone

tłumy ludzkich postaci, żyjących nikczemniéj od innych stworzeń, które samym tylko wrodzonym i sobie właściwym rządzą się popędem. Cóż ożywia te ludzkie postacie, i co niemi włada? Ożywiaż je myśl boska, dająca nieśmiertelne życie? Nie — one głów swoich nie zaprzątają podobnemi rzeczami, bo one rządzą się rozumem o jedném oku, upatrującym jedyną podstawę, siłę i zbawienie w największych, o ile można, zbiorach złota i srébra. Takim zaopatrzeni rozumem i taką świadomością bogaci, gdy mniemają, że najdaléj widzą i na niewzruszonéj stoją podstawie, wpadają nagle w przepaść nicestwa, z głębi którego żadne złoto ani srébro nie zdoła ich na wiérzch wydobywać i wskrzesić. Ockniony po niewczasie duch, miota się w czarnéj otchłani, i złorzeczy zaślepieniu swemu — a lubo przeraźliwy głos jego nie raz dochodzi stojących przy grobie, ci jednak udają, że nie słyszą, i jeszcze prędzéj zasypują ten otwór, przez który można spojrzéć w wieczność — i odchodzą na zawsze. Pozostaje sama tylko śmierć, czyli prawda, niedająca się niczém ani zabić, ani skrępować, ani nawet przestraszyć, i tęskniącemu do życia ziemskiego duchowi od czasu do czasu te słowa powtarza: Napróżno się miotasz, bo już nigdy na ziemię nie wrócisz — jam tu jest na to zesłana, abym ci powstać nie dozwoliła, dopóki Pan nie zawoła. Oto niedługo wystawią ci krewni twoi ogromny i ciężki grobowiec, który jeszcze silniéj, niżeli ta krucha glina, przywali cię. A czy wiész, co się dzieje z twojemi skarbami, z twoim domem, z twojemi końmi i z twoją miłośnicą? Twoje skarby już rozszarpane — twój dom wkrótce pójdzie na publiczną sprzedaż — twoje konie i wspaniałe wozy kupili twoi bracia — żydzi, a twoja miłośnica, za to, żeś o niéj zapomniał i bez upominku zostawił, opluwa twoje imię, uskarża się bewstydnie, i spieszy w objęcia drugiego; — jeden tylko pies wyje żałośnie za tobą, i

żadnego pokarmu przyjąć nie chce. Nie wypuszczają go z domu, bo onby tu przybiegł niezawodnie, i pełen żalu, tu, na téj małéj mogiłce pana swojego, zakończyłby wierny swój żywot. — A czy wiész, co się stanie z pomnikiem, jaki ci zamierzają wystawić? Nie będzie trwał długo; bo najdaléj za kilka lub kilkanaście chwilek, które wy rokami nazywacie, dziwnym obrotem losu, kule działowe i inne mordercze pociski po téj przestrzeni w różnych kierunkach przelatywać będą, i wszystkie niemal grobowce zgruchoczą. A gdy wrzawa wojenna ucichnie, przyjdą tu znów ludzie pokoju, aby podźwignąć połamane kolumny i posągi. Staną wtenczas i przy twojem grobowisku, odgrzebią twoje imię, i jeden drugiego pytać się będzie, któż był ten człowiek, i jakiemi czyny na pamięć zasłużył? I tu nastąpi milczenie, ponieważ nikt nie będzie umiał podać jakiejbądź wiadomości o tobie. Rozbiorą zatém do reszty twoję z granitu wyciosaną i w napisie złotem powleczoną pychę, uprzątną jéj gruzy, i w tém samém miejscu innego zmarłego pogrzebią. Tym więc sposobem nazwisko twe a z niém wszelki ślad bytu twojego na ziemi, na wieki wieków zgładzone zostanie! A któż ci winien? Czyż żyjąc lat kilkadziesiąt, mało miałeś czasu, aby zarobić na cześć, i imię swe przyczepić do szlachetnych serc i wzniosłych umysłów? Nie miałżeś rozumu, byłżeś bez uczuć, bez myśli? — albo czy życie twe żadnego celu nie miało? — Wyznaj, jak używałeś udzielonych ci darów od Boga i Jego służebnicy natury? — Powiédz nad czém pracowałeś, i nad czém głównie wysilałeś swój rozum i dowcip? Oto, nad pomnażaniem dochodów pieniężnych, w tym celu jedynie, aby za ich pomocą pomnożyć i przedłużyć sobie rozliczne uciechy zmysłowe. Zamiast przeto wpisać się w księgę nieśmiertelności przez zasługi, wpisałeś się do bractwa robaków, zgnilizną żyjących! Lecz któż ci winien! Ani owe pachnidła

jakiemi często zléwałeś swe członki, ani szumne tytuły: wielmożnego, i jaśnie wielmożnego jakich ci nie szczędzono przez uszanowanie dla twoich piéniędzy, nie zaś dla osoby, nie zdołają cię ocalić od żarłoczności tego bractwa, któreś sam wypielęgnował za życia w swojem łonie. Leż zatém cicho; bo zaprawdę powiadam ci, że pamięć o myszach i szczurach, które zjadły niecnego Popiela, długie jeszcze wieki żyć będzie — kiedy pamięć o tobie, za klka miesięcy na wieki zatraconą zostanie! Ucisz się więc i uspokój. Ale możeś ty głodny — co? O gdybyś wiedział, jakie ogromne ilości zboża, mięsa bydlęcego i ptasiego, ile głów cukru, owoców i różnorodnych płynów i cieczy spożyłeś w ciągu dni swoich! Leż więc spokojnie tak nakarmiony i napojony: bo zaprawdę powiadam ci, że to dopiéro początek twojéj opłakanéj wieczności.

Dla uzupełnienia obrazu wzniosłéj duszy Władysława winniśmy dołożyć, że natychmiast po objęciu zarządu dochodami płynącemi z licznych majątkowych źródeł, obmyślił grosz dla ubogich uczniów i dla osób nie z własnéj winy podupadłych, a pracujących na życie. By ten grosz powiększyć, odmawiał sobie najniewinniejszych rozrywek. Tak postępując, nie uniknął obmowy i sz -derstw ludzi złośliwych. Nawet obojętni na cierpienia bliźnich, i żartujący z wszystkiego, nie przebaczyli mu téj rozsądnéj szczodroty, i przy każdéj sposobności zwali go uszczypliwie już Franklinem, już Skargą, życząc mu, aby oblókł sukienkę zakonną, i całkiem wyrzekł się świata. Niezrażony temi ucinkami Władysław, udzielał wsparcia, o ile grosz uzbiérany wystarczał, już to wykupując wprost nieszczęśliwych ubogich z rąk lichwiarskich, już pożyczając na zakreślony czas pewną ilość piéniędzy, bez pobiérania wszakże odsetków; byle tylko owa ilość była zwrócona, i znowu na takiż sam cel w przyszłości obróconą być mogła. Naśladował on w tém

rzeczywiście Franklina, a w wywiadywaniu się o smutném położeniu biédnych a uczciwych ludzi i wspiéraniu ich, wiekopomnego Skargę. — Jednego dnia wstawszy od stołu, przy którym zjadł był objad, taką sobie zrobił uwagę: Jestem nasycony, i na niczém mi nie zbywa z łaski Najwyższego. Gdybym szedł za przykładem niektórych, dla społeczności, wśród któréj żyją, obojętnych ludzi, mógłbym pójść teraz do kawiarni, grać tam w billard albo w karty i wieczorem wstąpić do teatru dla przypatrzenia się hiszpańskim tancerkom — po widowisku zaś udać się na inną zabawę. Lecz musiałbym nie mieć sumienia, abym na podobne rozrywki mógł każdodziennie po kilkanaście, a nawet po kilkadziesiąt złotych wyrzucać, wiedząc aż nadto dobrze, że tyle obok mnie znajduje się ludzi, którzy wstydząc się żebrać, walczą z nędzą i mimo najusilniejszéj pracy, nie codzień ciepłą strawę mają. A przecież samym tylko wydatkiem jaki się w ciągu roku na droższe cygara przeznacza, możnaby wyśmienicie utrzymać jednego ubogiego ucznia. Lecz wystrzelże tu przed kim z podobną uwagą. Głos filantropa-waryata, jak mię niemal powszechnie dziś zowią, nie znalazłby żadnego posłuchania, a jego przedstawienia jeszczeby może wyśmiane zostały. Lepiéj zatém cicho siedzieć i ograniczyć się własną dobrą wolą i własnemi środkami, nie wchodząc w drogę ani przymawiając ludziom światłym i rozumnym, którzy wydając nie mało pieniędzy na rujnujące zdrowie mięszaniny i inne zbytkowne rzeczy, wolą skracać sobie życie, aniżeli wstrzymując się od nich, oszczędzonym groszem wesprzeć ubogiego, i tym sposobem jemu i sobie ocalić i przedłużyć życie, raz tylko naszym udziałem będące. Zaiste, nie zazdroszczę im bynajmniéj takiego światła, takiego rozumu!

Władysław pośpieszając z pomocą samym tylko tającym swe ubóstwo osobom, nie udzielał żadnej jałmużny

tułaczom żebrzącym publicznie, którzy jako tacy, miejscowéj podlegają zwierzchności. Wreszcie, po kilku latach w tén sposób spędzonych, to jest na polu naukowém i czynnéj miłości bliźniego, spotkał go cios najboleśniejszy: gdyż jakkolwiek wysoko czcił i poważał ojca, pomimo wszystkich jego dziwactw i uprzedzeń, atoli kochając i uwielbiając matkę nad wszystko, nie dziw, że po jéj śmierci uległ rozpaczy. Czcigodny kapłan, niegdyś jego nauczyciel, a od lat kilku jedyny szczéry przyjaciel i główny pomocnik w wynajdywaniu zacnych a nieszczęśliwych ludzi, oraz ciotka, ostatnia z żyjących jeszcze krewnych, przez długi czas napróżno usiłowali wszelkiemi sposoby podnieść upadłego w nim ducha, i przeszkodzić rozwinięciu się umysłowéj choroby, zwanéj melancholią, czyli zadumą. Nareszcie, pewnego poranku, gdy po długo trwających dészczach wśród pory wiosennéj, znowu zaświeciło słońce; ów starzec bogobojny, który najlepiéj znał Władysława, i jedyną jeszcze pokładał nadzieję wyprowadzenia go z czarnéj zadumy, w uderzeniu w jego najszlachetniejszą stronę— wskazał na słońce i tak doń przemówił:

— Twój żal po utracie najzacniejszéj matki, aż po dzień wczorajszy podzielało niebo: i dla tego ja, tudzież ciotka twoja, mniéj nalegaliśmy na ciebie, abyś po męsku uśmierzył swą boleść. Lecz dziś, gdy samo niebo odkrywszy długo niewidziane słońce, i najpiękniejszą pogodą rozweselając wszystkich, zdaje się upominać ciebie, abyś smutek rozproszył wpuszczając w głąb swego serca, chociażby jeden promyczek słonecznego blasku, przed którym człowiek sprawiedliwy nigdy się nie kryje, ale owszem zawsze z radością go wita, i nigdy nie powié, że już mu stał się niemiłym — dziś, mówię, czas jest zwrócić twą uwagę, że dłuższy twój żal nie tylko od samego Stwórcy, ale i od matki twéj źle byłby przyjęty: bo nie ponurość bezwładna, ale cicha mo-

dlitwa i dobre uczynki są i będą najmilszemi dla Niego i dla niéj ofiarami. Jakoż nie sądzę, aby serce twe już miało przestać bić dla współbraci — a lubo dotąd ściśnione jest najpiękniejszym żalem, przecież ocknie się wkrótce i znowu jak dawniéj pałać będzie najczystszą miłością, miłością bliźniego. O przestań smucić się, synu! raduj się owszem wraz ze mną, boś jest tylko pozornym siérotą bez ojca i matki — masz wszakże Ojca, który jest w niebie, i Matkę Najświętszą, Królową tegóż nieba, oraz ziemi naszéj! Nie jesteś równie bez braci i sióstr. Twoja rodzina wszędzie, gdzie uczciwość zagrożona nędzą, dorabia się mozolnie chleba i odzienia. O tam są twoi bracia i siostry! Czyż nie słyszysz ich westchnień? Odkądże to słuch Władysława a raczéj serce jego zamarło na głos cierpiących?

— O dosyć! zawołał Władysław, rzucając się w objęcia czcigodnego kapłana: serce moje nie zastygło bynajmniej i zastygnąć nie może, skoro przyjęło w siebie ducha nieodżałowanéj matki, wszystkie jéj myśli, i tyle tkliwych o niéj wspomnień! Byłbym atoli niewdzięcznym synem, gdybym już dziś usiłował zagasić w sobie uczucie żalu — żalu, który im głębszy i dłuższy, tém lepiéj oczyszcza duszę, i bardziéj ją zbliża ku niebu.— Dziś jeszcze nie jest w méj mocy przestawać na saméj tylko pamięci: bo ta zbyt świeża, zbyt silna, aby nie sięgała serca i nie tłoczyła go nakształt ręki ściskającéj napojoną gąbkę, z któréj wtenczas obfite wypadają krople. Pozwól więc téj zawsze czujnéj pamięci napawać się do sytu żalem, jaki sama wyciska — a przyjdzie czas, że się uspokoi, uwolni przygniecione serce, i znów podlegać będzie umysłowi, który zostawszy tak nagle złamanym, nie może od razu podźwignąć się, aby utraconą przewagę odzyskać. Cokolwiekbądź, zawszem ci jest wdzięczny za doznane wstrząśnienie — bo pa-

mięć coraz silniéj działać zaczyna, i serce coraz mocniéj ściska . . .

Nie mógł domówić Władysław, i wybiegł śpiesznie do przyległego pokoju. Obecna téj rozmowie ciotka usłyszawszy przeciągły jęk, jaki wydała wezbrana pierś jego: odezwała się ponurym głosym do siedzącego obojętnie na pozór starca:

— Zabiłeś go, przyjacielu, swą mową. Czy słyszysz?

— Słyszę; odparł równie ponuro duchowny — jam go nie zabił, ale ocalił. Ciesz się, pani, wraz ze mną, bo jego serce teraz właśnie wyléwa całą burzę najboleśniejszych uczuć, które dłużéj tłumione. rozsadziłyby je niechybnie. Tegom pragnął, tegom się spodziéwał. Niechaj płacze dowoli, za każdą jego łzę Bogu dziękować winniśmy. Żal za matką w ten sposób objawiony, nikogo poniżyć i nikomu życia odebrać nie może.

Sprawdziły się słowa poważnego kapłana; Władysław bowiem odzyskał wkrótce czerstwość umysłu, i podjął na nowo przez śmierć matki zaniedbane prace, nadając usiłowaniom swoim coraz obszerniejszy zakres. Baczna na wszystko, i o przyszłość siostrzeńca troskliwa ciotka, znów się atoli niepokoić zaczęła, przekonawszy się w końcu z własnego jego wyznania, że słynna z wdzięków i dowcipu Malwina, którą właśnie po skończeniu żałoby w jedném towarzystwie był poznał, dotknęła go swoim zgubnym urokiem.

— Biedny siostrzeńcze! pomyśliła sobie wówczas: zaledwie jednę zdiąłeś żałobę, już przywdziewasz drugą. Gdyby mi był niewiadomy kierunek, w jakim się wychowała ta niezaprzeczenie piękna i już zbyt dojrzała dziewczyna; co większa, gdybym nie znała zasad, jakiemi się rządzi; wreszcie, co najważniejsza w każdéj kobiecie: temperament i skłonności — otóż, gdyby i te były mi nieznane, możebym wtenczas odważyła się pochwalić uczyniony przez ciebie wybór. Lecz mając ją

sobie dokładnie opisaną przez jéj własną niegdyś pokojowę, któréj wynurzenia, zestawione z opowiadaniem jéj dawnych nauczycieli, na zupełną wiarę zasługują — nie mogę być obojętną na zamiar nieszczęśliwego sieroty, który duszę swą chce pogrążyć w nowéj i stokroć smutniejszéj żałobie. Mniejsza już o zły kierunek, jéj wychowania — mniejsza o zasady, jakiemi się rządzi, bo kobiéta, ściśle rzeczy biorąc, żadnych nie ma zasad — ale temperament i skłonności jéj przedewszystkiem poznane być winny, ponieważ one są tém tajemniczem źródłem, z którego bije albo zdrój szczęścia, albo sączy się powolnie działająca trucizna dla męża z wyższemi uczuciami i z wznioślejszym umysłem. Oceniając tedy wewnętrznie i powierzchownie tę ze wszech miar niebespieczną, bo piękną, wykształconą, przebiegłą i maskować się umiejącą dziewczynę, wyznać muszę naprzód sama przed sobą, iż jéj osoba jest arcydziełem wcielonej sztuki nowożytnéj — tak, sztuki, nie mądrości — bo mądrość nie na to udziela nam światła, aby być próżnym, dumnym, samolubnym i przewrotnym; lecz na to, aby żyć, postępować i działać prawdziwie po chrześciańsku — że osoba jéj, powtarzam sobie jeszcze raz, jest arcydziełem wcielonéj sztuki nowożytnéj, które to arcydzieło może być wprawdzie godném podziwu i oklasków, lecz nigdy kochania. — O biédny siéroto, przypuśćmy, iżbyś został jéj mężem, cobyś z nią robił, jeśli ona rzeczywiście jest taką, jak mi ją przedstawili ludzie! Już samo to przypuszczenie przeraża mię. Twoje czułe i szlachetne serce stałoby się pastwą tego drapieżnnego sępa w anielskiéj postaci. Zginąłbyś marnie, doznawszy piérwéj najokropniejszych udręczeń. Takie poświęcenie się dla osoby bez serca i tak popędliwéj, a przy tém zarozumiałéj o swojéj mniemanéj wyższości umysłowéj, byłożby z pożytkiem dla ciebie i dla kraju, któremu jak najdłużéj służyć jest i być powinno naj-

celniejszym obowiązkiem twoim? — Niech sobie ludzie mówią co chcą, małżeństwo, albo stadło, jeśli ma być wzorowém, powinno postępować zgodnie i niemal krokiem równym, zupełnie tak samo, jak para koni w zaprzęgu — by zaś tak postępować mogło, dobraném być musi. Inaczéj, wszystko pójdzie na opak, a niezgoda, swary, zgorszenie rozwiążą wnet lekkomyślnie albo z prostéj i nikczemnéj rachuby skojarzony węzeł. Atoli rozsądek i sprawiedliwość nakazują mi przedewszystkiém przekonać się osobiście, o ile się da, o moralnem usposobieniu Malwiny. By to osiągnąć, muszę częściéj odwiedzać te panie. Wiadomości z boku czerpane, nie zawsze bywają prawdziwe. Uprzedzenie i nienawiść potrafią wszystko ubarwić i prawdopodobném uczynić. Trzeba mi zatém odnowić dawną znajomość, aby módz na miejscu dokładnie obejrzeć i przeniknąć tę uczoną piękność, to arcydzieło sztuki nowożytnéj. Jeśli się przekonam, że ta głośna z wdzięków i talentów dziewczyna jest tylko zwodnicą; wtenczas odsłonię mojemu Władziowi całą naturę tegoczesnych kobiét w ogólności, i uwagami mojemi starać się będę oświecić go tak, aby na zawsze wyrzucił z myśli niegodną Malwinę, i na przyszłość lepiéj strzegł i bronił swego serca. Bo zaiste przyzwoitszą i zbawienniejszą jest rzeczą nie żenić się wcale, jak ożeniwszy się lub wyszedłszy za mąż bez prawdziwéj skłonności i wzajemnego poznania się, które dziś, niestety, przy tak upowszechnionéj sztuce udawania i kłamstwa, niezmiernie jest trudne, a często niepodobne; żałować i cierpieć, dopóki śmierć nie położy końca męczarniom — O Władysławie, niech cię Bóg strzeże od podobnego losu. Czcij, szanuj, ubóstwiaj kobiétę, ale prawdziwą chrześciankę — przed szatanem zaś, choćby najpiękniejszym, nie klękaj nigdy, bo przez to ubliżyłbyś i sobie i rzeczywistéj zacności, któréj saméj tylko hołd taki słusznie się należy, a to właśnie

dla tego, że zacność prawdziwa nigdy żadnych hołdów nie wymaga, nigdy się nie wynosi, nie nadyma, i na nikogo nie spogląda z góry.

Myśli powyższe téj pani, wyjaśniają nam dostatecznie powody jej zadziwiającéj szczérości i otwartości względem siostrzeńca.

Są ludzie, którzy w pewnych chwilach działania i mówienia nie widzą i niepójmują, że ich czyny i słowa są albo zawczesne albo całkiem nierozsądne, albo obrażające boleśnie. Parci wzburzoną namiętnością huczą i pryskają— zdaje im się nawet, że są bohaterami stworzonemi do odegrania znakomitéj w społeczności roli. Lecz gdy uniesienie i zapał przeminą, ogarnia ich zwolna smutek, żal i ponurość, które potém kładą się na ich duszy i ciażą, podobnie jak zmrok po zachodzie niedawno gorejącego słońca, zdaje się ciążyć nad dumającą ziemią po dziwnej wrzawie i trudach. Do rzędu takich ludzi należała Malwina. Po kilku dniach dopiéro poznała ona całą nieprzyzwoitość zdarzenia z Pawełkiem, który lękając się podobnych wybuchów gniéwu swéj młodéj pani na przyszłość, sam się dopraszał usilnie o uwolnienie ze służby i o wypłatę tylko połowy zasług z powodu nastąpionéj szkody. Późniéj, po odejściu zgruchotanego moralnie Władysława, mimo chwilowego uczucia tryumfu, zaczęła również żałować za nadto posuniętéj zemsty za badanie, rady i uwagi jego przenikliwéj ciotki. Atoli te piękniejsze uczucia nie długo władały jéj zimném sercem: bo pycha i pogarda dla wszystkich którzy przed nią nie schylali czoła, wnet je tłumiły i zwykłą odzyskiwały przewagę. W takiéj to chwili pychy i pogardy, piękna Malwina przy-

równała siebie do owéj nadobnéj Marty w balladzie Szyllera, — która to piękność upuściwszy rękawiczkę z góry między dzikie zwiérzęta, rzekła do uwielbiającego ją rycerza, by ją podniósł ztamtąd i do rąk jéj oddał, jeżli chce dowieść prawdziwéj miłości. A lubo nieustraszony rzcerz — były jéj myśli — wszedł między lwy i lamparty, wziął rękawiczkę i wróciwszy do zdumionéj i dziękującéj dziewicy, w twarz jéj tę rękawiczkę rzucił, a potém skłonił się grzecznie i więcéj nie wrócił; przecież pozostanie to zawsze pięknym dla nas tryumfem, znakomitym faktem, świadczącym o naszéj niezaprzeczonéj przewadze nad głupią i ślepą płcią męzką, która na to jedynie zdaje się być stworzona, aby mimo wszelkiéj wyższości umysłu, zadawała kłam tejże wyższości swoją napozór silną budową ciała. Kto jest rzeczywiście silny fizycznie i moralnie, ten nie powinien ulegać ani na chwilę urokowi wdzięków niewieścich. A skoro niemasz takiego mężczyzny w stanie normalnym: przeto wszelka jego wyższość jest tylko urojoną, i pospolicie trwającą tak długo, jak na równiach śniegi i lody, z wiosną bez śladu ginące. Gardzę więc tą płcią, tyle podobną do brył lodu i bałwanów śniegowych, gdy te za pierwszem odezwaniem się gromu, staczają się w dolinę zasypując chaty i ludzi z ich całym dobytkiem. Otóż ich wielkość, ich wyższość, ich godne uwielbienia czyny! Co do mnie, nie mam wcale chęci służyć im za łoże, czyli być ową doliną alpejską przez nieszczęśliwych zamieszkałą pasterzy, którym co wiosna zgubne grożą lawiny. W cóżbym się zamieniła wtenczas? w bagno, w brzydką kałużę, i z czasem wsiąkłabym w ziemię, na to tylko, aby po mojém ustąpieniu z powierzchni, bujniejsza na niéj wyrosła trawa dla pasącéj się trzody. O nigdy tego nie uczynię! nigdy nie ulegnę i nie ustąpię nikomu mojego wspaniałego pań-

stwa; tak jest, państwa — bo moja osoba, to państwo, w które nie można wtargnąć bezkarnie! — Pójść za mąż, jest to pozbawić się samoistności, swojego „ja“; jest to wydać swoją nietykalną osobę na stopienie, na strawę, na łup lodowatego męża w płaszczu śniegowym, który to mąż, naprzód powoli cię zamrozi, zetnie jak galaretę — albo od razu skrystalizuje jak cukier lodowaty, abyś się nie psuła, nie pleśniała, i będzie cię gryźć po kawałku — a potem....

Potém otworzyły się drzwi, i weszła zawsze zwinna, szczebiotliwa, młodą panienkę naśladująca Anetka. Wejściem swém przerwała Malwinie i nam dalszy wątek myśli albo raczéj mrzonek. Podniosła się ona zrazu, lecz ujrzawszy pokojowę, utonęła znowu w miękkiem i obszerném krześle, któremu brakło tylko baldakimu i tłumu dworzan, aby dać całkowity obraz siedzącéj na tronie królowéj.

— Cóż mi przynosisz? zapytała z widoczném cierpieniem.

— Naprzód, świéże powietrze...

— A przy tém śniég na trzewikach.

— O daruj pani, byłabym je lepiéj otrząsnęła, lecz nie chcąc ani chwili tracić napróżno, wbiegłam do pani prosto od siebie, by ją uwiadomić, że nawet lokomotywa nie pędzi tak szybko, jak nasz interesik posunął się i dobiegł do celu.

— Tylko prosto do rzeczy, bo ja wstępów, zwłaszcza szumnych, nie lubię.

— Kochana pani pozwoli zrobić sobie uwagę, że każda rzecz na świecie wstęp swój mieć musi. Wstęp, jest to zbliżenie się do czynu, — potém następuje działanie, które gdy jest skończone, nazywa się wykonaniem. Po wykonaniu idzie sąd, czyli ocenienie już gotowego dzieła, które jeźli przypadnie do smaku, zyskuje poklask i nagrodę.

— Mniemam, że ci więcéj idzie o nagrodę, jak o poklask.

— Bezwątpienia, droga pani — o poklaski nie stoję, i wynagrodzenie przekładam nad wszystko: poklaski bowiem, mianowicie dla osób zostających w obowiązkach służby, nie bywają przyjemne.

— Dla czego?

— Bo każdy poklask jest to uderzenie, najczęściéj silne, bo też inaczéj nie byłoby słyszaném i poklaskiem nazwaćby się nie mogło. A zatem, im silniejszy poklask tém boleśniejszy. Lubownikom poklasków, to jest tym, którzy je lubią odbierać, odstępuję wszystkie poklaski głośne i ciche.

— Dość tego wstępu. Zaczynasz mię nudzić swoją filozofią a ja jestem dziś mocno cierpiąca.

— Boleję nad panią, lecz tak jestem ucieszona dobrem powodzeniem naszéj sprawy, że muszę jeszcze słów kilka o wstępie powiedzieć. Otóż wstęp każdy, jak to w jednéj książce czytałam, jest przysionkiem do wspaniałego gmachu, czyli do dzieła, które trzymamy w ręku.

— Jeśliś ty jest książką, to twój wstęp za długi, i może dłuższy od samej osnowy zachwalonego dzieła.

— Kto zrobił dzieło, temu właściwie przystoi dorobić i wstęp do niego.

— Ach! zmiłuj się, to nie dzieło, ale szpargał lichy. Otwórz że już ten szpargał, i czytaj głośno, to jest mów, co masz powiedzieć, albo idź sobie. Zaręczam, iż po przeczytaniu sprawdzi się: *Parturiunt montes, nascitur ridiculus mus.* Czy wiesz, co to znaczy? to znaczy dosłownie: wielka góra małą myszkę porodziła — a przenośnie: mała Anetka wielkie głupstwo poroniła.

— Gdzie idzie o piéniądze, tam niema żartów, a tém samém i głupstwa. Dopiéro mając już w rękach piéniądze, można robić głupstwa. Krótko powiem: stryja-

szek mój wysłuchawszy, zażył trzy razy tabaki, a nie kichnął ani razu — potem ułożył włosy na głowie, które mu się rozlatują; chrząknął kilka razy, i, jak gdyby się obawiał, aby szkła jego okularów nie zawiodły go w rozpoznaniu wyrazu méj twarzy, podniósł je i osadził na obszérnem czole, i dopiéro utopił we mnie wźrok tak przenikliwie, że mi się naprzód zimno, a potem gorąco zrobiło. Otworzył wreszcie usta, a ja czekałam i patrzyłam się w ich otwór, rychło z niego wyjdzie jakie słowo. Upłynęło kilka minut, a z tych ust otwartych nic się nie wymknęło. Jużem była w obawie, że mój stryjaszek stracił mowę, bo się patrzył i patrzył i usta miał wciąż otwarte, i coraz więcej oddychał. Źle! pomyślałam sobie — zapewne nie wierzy, sądząc że to jakie szalbierstwo albo coś podobnego. Żeby go poruszyć, wydobyłam owe pisma urzędowe u Notaryusza spisane, i oddałam mu je do rąk. Przeczytawszy raz i drugi ten papier, złożył go nazad i oddał mi w ręce; potem wstawszy z krzesła, odezwał się przecie: To jeszcze nic nie dowodzi. Kto mi zaręczy, że ta summa egzystuje, że nie jest wypłacona i wymazana. W takich rzeczach trzeba być bardzo ostrożnym. Ja zaś na to: Zaręczam stryjaszka, że ta summa jest tak pewna, jak śmierć, która kiedyś do każdego z nas przyjdzie; na co on odpowiedział: Dobrze, pójdę i przekonam się — hi... hi... hi... tyka najlepiéj, przekona i zaświadczy. Możesz zaczekać — ja tu zaraz powrócę, tylko obejrzę hi... hi... tykę. I wyszedł.

— Co ty gadasz? jaką tykę poszedł oglądać twój stryj? Zapewne hipotekę miał w myśli, kiedy to mówił, a ty zaraz wszystko przekręcasz. Strasznie jesteś ograniczona moja Anetko. Hipoteka jest to urząd, utrzymujący księgi wieczyste, które nie każdy ma czyste, to jest bez długów i różnych ograniczeń własności. Ale ty nie rozumiesz tego wszystkiego.

— Niech i tak będzie. Ale tymczasem bez tego nie byłoby interesu.

— Ładnie, ładnie. Ale cóż daléj?

— Niespełna w pół godziny wrócił stryjaszek, rozebrał się z futra, usiadł w swojém krześle, i zażył tabaki — a ponieważ kichnął, więc poczytałam to za dobrą wróżbę — jakoż odezwał się zaraz kiwnąwszy wprzód głową: wszystko w porządku; summa egzystuje; tylko chcę wiedzieć, wiele odstępuje właścicielka téj summy, boć za równą wartość nabyć jéj nie mogę; zwłaszcza iż nie staram się o to, lecz jestem proszony. Dwa tysiące, odpowiedziałam, boć mi tak pani przykazała wyraźnie. Dwa tysiące! rzekł podumawszy chwilkę, to trochę za mało, bo się nie ubiegam o to, ale jestem ciągniony. Ponieważ zaś z uczciwemi ludźmi mam do czynienia, więc uczynię to dla nich. Jakże sobie życzy twoja pani, czy urzędownie, czy prywatnie? Prywatnie, odpowiedziałam. Tém lepiéj — pójdzie prędzéj i z mniejszym kosztem — tylko stempel, stempel! Kto stemple zapłaci i inne koszta? — Pani moja zezwala na strącenie wszelkich kosztów, które obrachowane będą; boś mi tak pani przykazała wyraźnie oświadczyć. — Więc zgoda. Ja zaraz sessyą napiszę.

— Jaką sessyą? Jak ty wszystko przekręcasz! Zapewne cessyą, czyli ustąpienie na własność.

— Cokolwiekbądź, stryjaszek wziął papiér, pióro, dobył jakąś książkę, coś rachował, a potém napisał. Oto jest sztandar z napisem: dobra nowina! rzekła z tryumfem pokojowa, składając w ręce Malwiny pismo obejmujące ustąpienie summy dwudziestu tysięcy, z prawem pobierania procentów na zupełną własność, i dozwoleniem dopełnienia wszystkiego, aby prawo własności tejże summy na imię i rzecz nabywcy niewzruszenie zabezpieczoném było. — Malwina odczytawszy pismo, odezwała się:

— Wcale dobrze napisane; niespodziewałam się nawet i takiéj gładkości stylu.

— Mniejsza o styl; ale pieniążki, to rzecz główna. Co mi tam po gładkich słowach!

— Masz racyą. I kiedyż te piéniążki się zjawią?

— Zawisło to zupełnie od rozkazu łaskawéj, najłaskawszéj pani.

— Dla czego najłaskawszéj? nie jestem przecież panującą, ani nie posiadam milionów.

— Owszem, jesteś pani panującą, rozumie się, w swoim domu — jesteś także najłaskawszą, rozumié się, dla mnie — wszakże już nie raz spotkało mię szczęście, i mam nadzieję, że i dziś mię spotka za tak szybkie i pomyślne załatwienie dość trudnego interesu. Co się zaś tyczy majątku, posiadasz pani więcéj, niż są warte wszystkie ciche i głośne piéniądze, bo niewyczerpane skarby dobroci w swém sercu.

— Z takiemi skarbami można zejść na dziady. Ale bądź spokojna— zawsze ci się coś należeć będzie. Każdy faktor ma prawo domagać się odpowiedniego wynagrodzenia.

— Bądź spokojna, otrzymasz je.

— Daruj, łaskawa pani, ja nie byłam i nie jestem faktorką — odparła z przyciskiem i zaiskrzonemi oczami obrażona pokojowa.

— O co się obrażasz? faktor, to pośrednik w świecie handlowym. Jeśli nie wierzysz, to weź i przejrzyj kodeks handlowy, a przekonasz się, żem nie powiedziała nic obrażającego. Śmiészna jesteś, moja Anetko.

— Niech będę i śmiészną i ograniczoną w oczach pani, bylem nie postradała honoru. Ja mam także swoją ambicyą. Wynagrodzenia nie żądam, i wszystkie nawet podarunki zwrócę.

— Oho! jaka dumna imościanka. No, proszę, ktoby się był spodziéwał po tobie takiego ambitnego uniesie-

nia. Jednakże lubię cię z tego względu, bo wolę zawsze człowieka z ambicyą, jak wyzutego z wszelkiego uczucia godności. Nie gniéwaj-że się zatem, bo nie masz o co. Zresztą, jak ci się podoba.

— Czy mam już kazać nakrywać do stołu?

— Masz mi się zająć wyszukaniem lokaja, bo tego gamonia, Pawełka, dłużej trzymać niechcę. Wszak wiész, żem mu już wypowiedziała służbę.

— Dobrze; pójdę zaraz po obiedzie do rajfurki, żeby przyprowadziła lokaja.

— Tylko pamiętaj uprzedzić i upomniéć, żeby nie przyprowadzała żadnych Piotrów, Jędrzejów, Tomaszów, Bartłomiejów, i jak tam oni jeszcze inaczéj się zowią — lecz tylko z imieniem Jana albo Józefa. Pamiętajże sobie.

— O będę pamiętała! i we wszystkiém zastosuję się do życzeń wielmożnéj pani.

— Tylko bez tych epitetów, bo ja znam się na tém. Idź.

Panna służąca po odejściu do swego pokoju, tak mruczała do siebie: — O będę pamiątała! nie turbuj się mościa panno, i bądź pewna, że nie zapomnę uszyć ci doskonale ciasne bóciki, żebyś choć raz doświadczyła, jak to one dolegają, kiedy się ma delikatną nóżkę. — Widzisz ją, faktorka, a cóż znowu jutro będzie? może mię jeszcze gałganiarką nazwie! za to, żem przyjęła od niéj parę gałganów - sukien — wymówi to słowo po francusku albo czort wie po jakiemu, a potém powié, że niémasz w tém nic obrażającego! — O poczekaj, przyjdze i na ciebie kréska. Jaka mi pani od morza do morza, tylko niestety, brzegi, nie do niéj należą! A jaka uszczypliwa, jaka pa-yonatka! Winszuję wszelkiéj pociechy, wszelkiéj pomyślności temu, kto ją za żonę dostanie. Jakże się srodze zawiedzie! To nie złoto, ale blaszka pozłacana, dobra na marki do kart. Cóż więc ona warta, kiedy nawet trzech groszy nie warta? — Nie trzeba było robić mię faktorką, a byłabym ci dłużéj przychylnie służyła. Obelgi téj nigdy

nie zapomnę i nie przebaczę — toć mi służy prawo, niezaprzeczone prawo nastręczenia służby biédnemu Pawełkowi. Znam Chaję stręczycielkę, pobiegnę do niéj, i za jednym zachodem dwa interesa ułatwię: jeden dla pozłacanych trzech groszy, a drugi dla Pawełka — nawet niedawno mówiła mi Chaja, że pan Władysław ma zamiar ożenić się, i że potrzebuje służącego, któryby nie wiele wymagał. Otóż, Pawełka niech weźmie a ja go nauczę, co ma opowiadać przed swoim panem o Malwinie, ubóstwianéj przez niego. Będzie to nawet chwalebny uczynek, gdy w ten sposób ostrzegę szlachetnego człowieka, dając mu poznać, że to jest kobiéta dumna i bez serca, kąsająca, a porywcza, gwałtowna i mściwa jak furya piekielna! Wartaż go ona posiadać? Miałżeby on z nią chociaż jednę godzinę spokojną? Chyba, gdyby dla niéj naumyślnie został ślepym, niemym i głuchym. A jakże to ona matkę swą szanuje! Żal się Boże — serce się ściska widząc i słysząc to wszystko! Idźmy między chłopów na wieś, a zobaczymy tam daleko większe uszanowanie dla rodziców i wszystkich starszych, chociaż to prostacy bez wszelkiéj nauki. Tu zaś, co się dzieje! Dla tego, że panna uczona, a matka łagodna i pobłażająca, to się córce zdaje, że może nią tak pomiatać i poniewiérać, jak szafarką, do któréj należy wydać obiad i o bieliźnie mieć staranie — gdy tymczasem, czémże sama jest zajęta? czytaniem, dumaniem i graniem. Piękny uszczęśliwiający los wyciągnąłby Władysław! Miałabym nawet na sumieniu tego człowieka, gdybym nie korzystała ze sposobności, jaka się nastręcza, i nie przestrzegła go przez Pawełka, którego muszę koniecznie wkręcić do niego, a on mu samą tylko prawdę opowié — i to będzie dostateczne do otworzenia mu oczów, jeżeli jeszcze nie przejrzał i z nią żenić się myśli. A niechże go Pan Bóg od takiéj żony zachowa! — Zaręczam, że i ten podstarzały

Jegomość, jak bliżéj się rozpatrzy w naszéj bogini, porzuci ją — bo ona nie dla niego, jak i on nie dla niéj. A byłaby go nie miała, gdyby nie moja życzliwa rada; bo jam ją prawie gwałtem namówiła, aby poszła na bal, dla pozyskania więcéj wielbicieli, co jéj téż na dobre wyszło. Ale taka jest wdzięczność ludzka, a osobliwie wszystkich mniemanych panów, którzy tylko powierzchownie naśladują prawdziwych, myśląc, że strojami i językiem francuzkim zrównają się z nimi. O takim panem, może być każdy ucywilizowany żyd! — Czyś mię zrozumiała? ja po polsku mówię. Teraz ci w niczém radzić nie będę, mościa panno, grająca jak szafa, jak zégar albo tabakierka. Graj sobie i rób sobie co chcesz. Znajdę łatwo inne miejsce, i u ciebie długo popasać nie będę.

Marzenia obrażonéj pokojowéj snułyby się bezwątpienia dłużéj, gdyby nie jéj stryj, który nadspodziéwaném zjawieniem się w drzwiach jèj pokoiku, przerwał dalszy ich wątek.

— Nie dziw się Anusiu; gdzie interes czysty, tam ja zaraz idę. Czy można widziéć się z twoją panią?

— Można, można! Niechże stryjaszek spocznie tymczasem.

— To idź-że mię zameldować. Ja pieniądze mam; ale jeśliby jakie nowe targi nastąpić miały, to wolałbym nie zaczynać wcale.

— Dobrze, dobrze.

— Wprowadzony następnie do pokoju Malwiny i przez nię najgrzeczniéj przyjęty, oświadczył chęć natychmiastowego wyliczenia gotowizny. Uprzedzona już o tém Malwina, prosiła go siedzieć — sama zaś pobiegła do matki z gotowém pismem. Matka położywszy na stoliku pończochę, któréj cérowaniem była zajęta, zapytała się córki:

— Cóż to za papiér?

— Nie pytaj się mama, tylko podpisz zaraz, bo człowiek czekać nie będzie, i wszystko się sparaliżuje.

— Ale to zdaje się być jakiś prawny interes — trzeba z rozwagą przeczytać.

— Właśnie dla tego, że jest prawny i nieprzymuszony, już tém samém nie może być bezprawnym. Podpisz mama — niéma się czego obawiać — późniéj wszystko wyjaśnię.

— Dajże mi okulary, moje serce. Tam leżą — na komodzie.

— Ach, jakże mama nudzi, a człowiek czeka! — I podawszy matce okulary, a potém umaczane pióro, wskazała miejsce do podpisu — po otrzymaniu którego wróciła śpiesznie do swego pokoju, gdzie z zadziwieniem ujrzała, iż nieznany jéj dotąd osobiście nabywca praw jéj matki, już przez ten czas ułożył był na stoliku kilka szeregów, z których każdy przedstawiał tysiąc złotych w papiérach skarbowych, stósownie do brzmienia pierwotnego długu, czyli zobowiązania, prawnie zabezpieczonego. Po obliczeniu, sprawdzeniu i zamknięciu na klucz gotowizny, Malwina podziękowała najuprzejmiéj swojemu nabywcy, a potém zapytała się, czy nie miałby chęci nabycia również wszystkich ruchomości ryczałtem, przedstawiając, iż ma zamiar opuścić wkrótce miasto rodzinne, i osiedlić się w kraju pod łagodniejszém niebem, a to dla słabości matki — i dla tego życzy sobie pozbyć je za umiarkowaną cenę.

— Może się namyślę. Na wszelki wypadek, każ pani spisać meble, z domieszczeniem szacunku, a ja za kilka dni będę miał znowu onor (honor) złożyć tu moje uszanowanie, i obejrzeć je, to może się ułożymy — bo rzeczy zapewne pozostaną u państwa tak długo, dopóki dzień ich wyjazdu nie przyjdzie.

— Tak jest, szanowny panie — jednakże w ułoże-

niu ogólnéj cyfry szacunkowéj mebli, słuszny wzgląd mieć będziem na ich używanie do pewnego czasu.

— Całuję więc stopki łaskawéj pani, i polecam się. Grzeczny ukłon połączony z miłym uśmiechem, był całą odpowiedzią Malwiny.

— Wszystko idzie wybornie, bo téż i myśl była wyborna — mowiła sama do siebie po oddaleniu się stryja pokojowéj. — Ustąpiłam wprawdzie dwa tysiące kilka set złotych ze stemplami i kosztami; lecz je wkrótce odzyskam dopożyczając od żyda tyle, ile potrzeba do wyrównania téj summy. Żyd ją zapłacić musi za karę, że zatrzymał nasz pierwotny weksel. Teraz już nie dbam o niego, skoro trzymam w rękach kapitał, a za dni kilka będę mieć także wartość wszystkich ruchomości, na których mój szanowny spekulant chciałby poszukiwać należytości, blisko w połowie z lichwy urosłéj. Nie wołaj tedy hop! póki nie przeskoczysz. — Kto się na ostatku śmieje, ten jest najweselszy. Miejmy jednakże przedewszystkiém rozum! Ponieważ zdaje się, iż mój rycerz młody na zawsze mię opuścił, a mój podstarzały bohater hotelów krajowych i zagranicznych, nie dał mi dotychczas żadnéj rękojmi bezpieczeństwa na przyszłość; dla tego trzeba się zawczasu postarać o legalny paszport za granicę — albowiem wierzyciel mój z brodą, nie zaśpi zapewne gruszek w popiele, i będzie chciał intabulować swój weksel na summie, która najdaléj za dni kilkanaście przepisaną będzie z polecenia sądu na imię nowego nabywcy — gdyż niepodobna przypuścić, aby stryj Anetki, człowiek niegłupi, zwlekał i ociągał się z uczynieniem stósownego podania w téj mierze. Łatwo zatém wykryje się kiedyś, żeśmy cedowali summę, zwłaszcza iż dom, na którym ona ciąży hipotecznie wiadomy jest temu hultajowi lichwiarzowi. W braku hipoteki, rzuci się on niewątpliwie na meble: ale i tych, jako już cudzą własnością będących, nie potrafi zagrabić. Cóż mu

wtenczas pozostanie? osoby nasze — osoby nasze! Otóż, żeby te osoby nasze zrobić nietykalnemi, należy wcześnie zaopatrzyć się w paszport, i być zawsze do wyjazdu gotowym. *Après moi le déluge.* Zresztą, czy tak, czy inaczéj wypadnie, zawsze mój brodaty wierzyciel z kwitkiem odejdzie. Którego to dzisiaj? — Brawo! za pięć dni termin — niech przyjdzie — będę z nim mówić i głupią udawać, tak jak on udając życzliwego i sypiąc mi zgniłe kadzidła, chciał nas w pole wyprowadzić. Trafiłaś moja koso na kamień. Tak bywa na świecie: dusi wilk owce, a za dni kilka, duszą wilka. — Ach, jakże się czuję uszczęśliwiona z tego pomysłu!

— Proszę jaśnie pani już waza na stole — rzekł otworzywszy drzwi Pawełek.

— Waza na stole — powtórzyła z przekąsem Malwina, i dodała: a może i pod stołem?

— Jest i pod stołem, odpowiedział bez żadnej złéj myśli Pawełek.

— Cóż jest pod stołem? czy jaka potrawa?

— Nie, proszę jaśnie pani, jest kanapka pod nogi dla starszéj pani.

— Głupiś.

— Tak, tak, mój Władziu; gdyż jakkolwiek nikt ci nie zarzuci braku ani dobrego urodzenia, ani nauki, ani odpowiedniego majątku, skoro twój własny, w połączeniu z moim, do miliona urośnie — i jakkolwiek każdy nieuprzedzony człowiek chwalić i podziwiać musi twoje prowadzenie się i tak rozsądne używanie obfitego grosza; przecież nie radzę ci wychodzić po za sferę, w któréj urodziłeś się i wzrósłeś. Panowie, dziedzice wielkich

historycznych imion i wielkich dostatków, które uważane odrębnie, są niczém w pojęciu nie tylko chrześciańskiém, ale i czysto umysłowém, i nie tworzą bynajmniéj człowieka mogącego mieć prawo do wyższych stopni w społeczeństwie i hołdów: są zawsze panami, to jest osobami, które pomimo wszelkiéj szlachetności i dobroci, jakiemi się odznaczają powszechnie, rzadko jednak zstępują ze swego olimpu na ziemię wśród pospolitych ludzi, aby zawrzeć z nimi jaki trwały związek — najczęściéj po to, aby przypatrzyć się tłumnéj gawiedzi, wspomódz cierpiących, i wziąść udział w jakiéj uroczystości, publicznéj albo zabawie. Do rzędu takich bogiń należy i ta, o któréj wspomniałeś. Przypuśćmy nawet, iżbyś pozyskał jéj niewątpliwą przychylność, nie zyskasz nigdy przyzwolenia jéj rodziców, strzegących starannie nieskazitelności rodowego drzewa. Dajmy jeszcze i to, iżby cię przyjęto pod konary tego drzewa: za cobyś by uważany wtenczas? oto, ani mniéj, ani więcéj, tylko za jemiołę rosnącą na starożytnym i wspaniałym dębie Nie poniżaj się więc przez niebaczne wyjawienie chęci dostąpienia miejsca, zaszczytu i znaczenia pasożytnéj jemioły — pasożytnéj nie z braku ubóstwa materyalnego lub umysłowego, ale z braku świetności imienia A teraz, osądź sam, czy pomysł twój jest rozsądnym, chociażby nawet mógł być wykonalnym? Porzuć go, bo inaczéj otworzysz sobie źródło nowych cierpień, których ci unikać należy — a twoje marzenia, pomimo najpiękniejszych barw i kształtów, niczem innėm nie będą, tylko po prostu liniami równoległemi, które, jak ci z matematyki dobrze wiadomo, nigdy się z sobą nie zetkną, choćby też najbardziéj przedłużone były.

— Zgadzam się z ciocią zupełnie, i przedstawiam inną osobę, którą jest pani S.

— Pani S.! z zadziwieniem powtórzyła ciotka — czyż nie wiesz, że pani S. jest wdową? O mężczyzni, jakie-

miż wy jesteście! Znałam takich, którzy za nic w świecie nie włożyliby na siebie ubrania nie tylko po umarłych, ale nawet po żyjących i zdrowych osobach, a jednakże pożenili się, jedni z wdowami, a drudzy z doświadczonemi pannami. Gdybym była mężczyzną, nie tylebym się brzydziła suknią po umarłym, ile kobiétą pozostałą po nim, to jest mówiąc właściwie, więcéjbym się obawiała kobiéty owdowiałéj, jako już oswojonéj z małżeńskiém pożyciem. Byłożby to rozsądnie z twéj strony, gdybyś twoję niezepsutą osobę oddał w ręce doświadczonéj i do hołdów nawykłéj kobiéty, która zostawszy powtórnie mężatką, jużby się nie obeszła bez towarzystwa obcych wielbicieli. Ty, bezwątpienia, byłbyś wówczas legalnym małżonkiem, ale niestety! zmuszonym równie patrzyć przez szpary na wiele nielegalnych postępków. Pani ta nadto, zamiłowana jest w strojach, i lubi niezmiernie mówić po francuzku, a przy lada sposobności występować z Paryżem, gdzie przepędziła lat kilka. Nie sądzę, aby zostawszy twą żoną, ubiérała się tylko dla ciebie, aby się tobie jedynie podobać. Zastanów się i nad tém. Kobiéta wreszcie, stworzona jest tylko dla jednego mężczyzny. Kobiéta idąca powtórnie za mąż, czyni oprócz tego krzywdę czekającym na męża pannom — a nie rzadko czyni też krzywdę własnéj swojéj córce. — I ja jestem wdową, dziś już wprawdzie starą: jednakże i dawniéj, pomimo młodości i licznych oświadczeń, nie miałam chęci umieścić się w jednym rzędzie z ruchomościami po nieboszczyku mężu pozostałemi, i wystawić się wraz z niemi na licytacyą. Cóż ty na to, mój Władziu?

— Nie mogąc się zdobyć ani na jeden zarzut przeciw usłyszanym twierdzeniom, przedstawiam cioci jeszcze jednę i ostatnią osobę, a tą jest miła panienka Z.

— Przyznaję; jest to panienka bardzo miła, skromna i mało mówiąca; tylko szkoda, że protestantka.

— Czy być może!

— Tak jest, wierzaj mi, Rodzice jéj są wyznania kalwińskiego, a ona również wychowana w téj wierze, albo raczej niewiarze. Żal mi jéj bardzo; bo gdyby nie ta trudność, byłaby może — może stósowną dla ciebie. Jednakże śmiem twierdzić, iż gdyby się nawet wyrzekła swych błędów, nawrócenie jéj byłoby tylko pozorne. Jéj serce, o ile poznać mogłam, jest pod względem uczuć puste i zimne, a dusza obojętna na wszystko, podobnie jak u Malwiny, z tą tylko różnicą, że fałsz, pycha i namiętności, jakiemi się tamta odznacza, téj jeszcze nie szpecą. Mimo to jednak, powabna jéj postać wydaje mi się być uosobioną grubą zmysłowością w lekkie sukienki ubraną. Ty zaś, jako człowiek duchowny i pełen szlachetnych uniesień, uczułbyś wnet nieznośny ciężar téj bryły, która wyssawszy z mlékiem swéj matki obojętność dla rodzinnéj ziemi, obojętność kosmopolityczną, właściwą wszystkim innowiercom naszym — nigdyby zdolną nie była zrozumieć i podzielać twych myśli i uczuć, a co właśnie stanowi najwyższą roskosz w małżeństwie — roskosz płynącą z jedności zdań, będącéj wypadkiem jednakowego zapatrywania się i pojmowania rzeczy i stosunków. Taka znów jedność tworzy najmilszą harmonię dla dusz skojarzonych przez związek małżeński. Gdzie harmonii téj niemasz, tam jest albo obojętność i wstręt — albo też nienawiść, wzgarda i wojna domowa. — Panna Z. jakkolwiek miła skromna i cicha, ale pusta i czcza, oddałaby ci też same usługi, co piękny, ale pusty i kruchy odlew gipsowy. Jeśli ci idzie o przyozdobienie pokoju, to lepiéj kupić sobie posąg martwy, jak ożenić się z żywym posągiem, a do tego jeszcze napojonem fałszywemi zasadami. Gdybyś mógł zajrzeć w głąb téj zastygłéj duszy, przekonałbyś się niezawodnie, że to jest tylko pieczara ciemna i wilgotna, na dnie któréj butwieją zdania Lutra, Me-

lanchtona i wielu innych sektarzy, jedne z niemieckich, drugie z francuskich złożone wyrazów — nie zaś świątynia jasna i wonna, gdzie zwykle mieszczą się szczytne pojęcia o Bogu, o cnotach chrześciańskich, o ziemi ojczystéj, i o przeznaczeniu kobiéty; lecz za to znalazłbyś tentencye powyrywane z Biblii, i stosowane gdzie potrzeba i niepotrzeba, i jakąś zimną moralność do codziennego użytku niezdolną nigdy podnieść się do wysokości ofiary. Takie jest panorama jéj duszy. Powiedzże mi teraz, z czém taka dusza odezwać się może, i jaki z niéj pożytek, jaką pociechę mogą mieć ludzie, wśród których żyje? Jeśli o naczynie, toć dałoby się ono z lepszéj gliny wybrać. Wyobrażenia jej i uczucia tak są odrębne od twoich, że nigdy harmonii niemogą tworzyć. Nie łącz się zatem z żadnymi odszczepieńcami— bo ci trzymając się głównie tak zwanego systemu utylitarnego i nie dbając o resztę, zdają się należeć do jednéj z żydami gromady, na jakie podzielona jest nasza wielka Zoologia socyalna.

— Im dłużéj przysłuchuję się cioci, tém jaśniéj widzę, jak mi jeszcze wiele do dojrzałości umysłowéj brakuje, pomimo wszelkiéj nauki, jaką z książek usiłowałem wyczerpnąć.

— Książka, mój Władziu, lubo uczy i oświeca; jeszcze nie czyni człowieka rozsądnym i przenikliwym. Rozsądek i przenikliwość są darami niebios — wsparte nauką wznoszą się z czasem do potęgi rozumu, mającego dwojaką naturę: literacką i praktyczną. Rozum twój jest dopiero literackim, czyli książkowym — a dopiero doświadczenie życia] przyniesie ci prawdziwą mądrość.

Tę to mądrość zdobywać trzeba długiém życiem obcowaniem z ludźmi i własném doświadczeniem, które każdego myślącego człowieka lepiéj uczy niż wszystkie najuczeńsze dzieła. Doświadczenie tém jest dla duszy i

umysłu naszego, czém lemiesz żelazny u pługa dla uprawionéj roli. Kraje ono boleśnie i często głęboko nieroztropnych ludzi, ale za to czyni ich zdolniejszemi do przyjęcia ziarna mającego w nich wzróść, zakwitnąć i wydać plon zwany mądrością. Tą ja pochlubić się nie mogę, bo nie posiadam tyle nauki, ile jej zwykle męskie ogarniają umysły; ale ty, mój Władziu, przy twoich wiadomościach, przy twojéj bojaźni Bożej, gdy pług doświadczenia wielokrotnie zaorze rozległe niwy twego ducha, będziesz niewątpliwie światlejszym i mędrszym odemnie.

Gdy Władysław milczał i dumał, jego ciotka zajęta wciąż robotą na drótach, zabrała znów głos:

— Widzę, iż moje uwagi, jakkolwiek w końcu dla ciebie pochlebne, nie bardzo cię zajęły, a może i obraziły, skoroś sprowadził głuche milczenie. A lubo milczenie jest bardzo chwalebne i niekiedy bywa wymowniejsze od słów: przecież ja nigdy nie lubię milczeć, ile razy zdarzy mi się sposobność pomówienia z rozsądnymi ludźmi.

— Przestałem się odzywać dla tego, że pragnę tylko słuchać, słuchać i słuchać.

— A może raczej kochać, kochać, kochać, do końca świata i po końcu świata.

— Nie wypiéram się i tego życzenia.

— Bądź spokojnym; twoje nadzieje, twoje życzenia spełnią się. Mam ufność w Bogu, że ci przeznaczy albo już przeznaczył godną twych uczuć niewiastę. Tymczasem, przyjmij ode mnie radę, i wyjedź, chociaż na rok jeden, w celu zwiedzenia obcych krajów. — Znękany twój umysł, i tylu ciosami pokaleczone serce potrzebują koniecznie zmiany miejsca, oddalenia się i innego zajęcia, aby zatrzeć te wszystkie niemiłe wrażenia, i odzyskać dawną równowagę i zdrowie. Podróż ta nie będzie nawet bez naukowéj korzyści dla ciebie.

— Toż samo, słowo w słowo radził mi mój duchowny przyjaciel.

— A ty, cóż na to?

— Odpowiedziałem wręcz, iż człowiek nie będący ani lekarzem, ani prawdziwym artystą, ani rzeczywistym poetą lub wielkich zdolności literatem, popełniłby nie odpuszczony grzech, gdyby jedynie dla rozrywki pojechał w obczyznę, i na ten błachy cel zmarnował kilka, jeśli nie kilkanaście tysięcy złotych. Dla odzyskania zdrowia i rozerwania umysłu zamierzam, jeśli Bóg pozwoli, wyjechać do gór, które dotąd znam tylko z opisów.

— Podoba mi się twój zamiar, i dam ci parę tysięcy na opędzenie kosztów téj podróży, a nawet i więcéj, byleś gdzie daléj pojechał, i to na czas dłuższy.

— Przyjmę wszystko z wdzięcznością, lecz za granicę nie pojadę.

— Na jakiż więc cel obrócisz te pieniądze, kiedy kilkutygodniowy pobyt w górach, nie może kilka tysięcy kosztować?

— Połączę je z własnemi kilkoma tysiącami, które za granicą stracić byłbym zmuszony, i oddam je, za pośrednictwem mego przyjaciela, Przełożonemu OO. Dominikanów, na fundusz odbudowania kościoła świętéj Trójcy.

— O moje dziecko, rzadki okazałeś rozsądek! Gdyby więcéj osób podobnie myślało, kościół ten dźwignąłby się z gruzów.

Nadszedł dzień oznaczony wekslem; i znany nam już lichwiarz pojawił się znowu na pokojach Malwiny. Lubo rozmowa, jaka się wówczas toczyła między tą gennialną panną a genialnym żydem lichwiarzem, bardzo była ży-

wa i nauczająca — obie strony bowiem dowiodły w jéj toku wiele biegłości w popiéraniu i obronie swej sprawy, i wyjawiły zarazem wiele ważnych, a dotąd mało znanych okoliczności i ukrytych sprężyn — wszelako obawiając się znudzić czytelnika, poprzestaniemy na suchéj wzmiance, iż genialna panna nie uzyskała nowéj pożyczki, a równie genialny lichwiarz nie wymógł na niéj podpisania przez jéj dobroduszną matkę już ułożonéj deklaracyi względnie zezwolenia na hipoteczne zabespieczenie summy wekslem objętéj, na summie istniejącéj od dawna w wykazie hipotecznym jednego z domów miejscowych. Powtóre, iż nie pomogły ani prośby, ani groźby lękającego się o swoje bezpieczeństwo żyda: bo przewidująca wszystkie następstwa Malwina, uzbroiła się zawczasu w Dziennik praw z ustawą o lichwie, i zagroziła wzajemnie wyniesieniem skargi o lichwę przed sądem karnym. Wreszcie, iż po dwugodzinnéj przeszło rozprawie, obie strony walczące zgodziły się na warunki zawieszenia broni na czas dwóch miesięczny. — Przytoczymy jednakże rozmowę, jaka wywiązała się między Władysławem a Pawełkiem, który za staraniem pokojowéj Malwiny, pozyskał tę służbę

— Dziś dopiéro dzień trzeci, jak jesteś u mnie, a już cię po raz drugi widzę pod dobrą datą. Taki młody, a już tak skłonny do brzydkiego i zgubnego nałogu. Cóż to będzie daléj?

— Proszę jaśnie pana, ja z uciechy poszedłem na wódkę.

— Z jakiéj uciechy?

— Żem się wyrwał z piekła, gdzie mię śturkali, przezywali i jeszcze na sto złotych skrzywdzili, chociaż nie ja rozbił, tylko sama panna Malwina.

— Co ty mówisz, co za Malwina? nie rozumiem cię— wytłumacz się jaśniéj.

Pawełek opowiedziawszy wiadome nam rozbicie zwierciadła przez Malwinę; o któréj, mówiąc nawiasem, Władysław, mimo wszelkich usiłowań, zapomnieć nie mógł: tudzież o wytrąceniu mu téj szkody, przez zatrzymanie połowy rocznych zasług — tak daléj usprawiedliwiał swoję niezwykłą ochotę:

— Niechże teraz jaśnie pan osądzi, czym się nie napił sprawiedliwie, dostawszy się do takiego dobrego pana — bo od takiego państwa, jak panna Malwina, to niech mię ręka boska broni. Niech się jaśnie pan nie gniewa, żem na tę uciechę wypił półkwaterek kontuszówki.

— Jakiéj kontuszówki? Tobie się w głowie przewróciło.

— Nie, proszę jaśnie pana, tylko się śkloneczkę przewróciło, z uciechy.

— I gdzież to jest ta kontuszówka? Czy to wódka tak się nazywa? Możeś się ty omylił, przesłyszał, co? bo to być nie może, żeby kto gorzałkę, ten płyn zabójczy, odejmujący rozum i zamieniający ludzi w bydlęta, *kontuszówka*, od kontusza, staropolskiego stroju, odważył się nazywać. Miałażby spekulacya na patryotyzm już i do szynkowni wtargnąć? Nie mogę temu uwierzyć — tobie się coś przywidziało zapewne — kto ci o téj kontuszówce powiedział?

— A dyć ta i panowie chodzą, i chwalą sobie kontuszówkę. Jaśnie pan może się sam przekonać, tylko wyjść na ulicę, to tam wisi napisane na rogu, po jednéj stronie rosół, (Rosoglio) a po drugiéj kontuszówka.

Zjęty ciekawością Władysław wybiegł na ulicę, i wnet na jednéj z narorożnych kamienic dostrzegł wiszącą blachę z wymalowanemi flaszkami i wyzłacanym napisem: „Rosoglio“ z jednéj strony, „Kontuszówka“ z drugiéj. — Po takiém przekonaniu się naoczném, powrócił do siebie, ubolewając mocno, nie nad szynkarskim pomysłem, ale nad obojętnością obywateli, któ-

rych przodkowie chodzili niegdyś w kontuszach, i którzy niezawodnie rozsiekaliby każdego szynkarza ośmielającego się dla zwabienia pijaków, dać nazwę gorzałce od ich narodowego ubioru. Zżymając się i bolejąc, następnemi uwagami zakończył dumanie: Prawdą jest zatém: *tempora mutantur et nos mutamur in illis — bo inaczéj*.... Och! czyż w téj nazwie „kontuszówka" nie zamknięto i nie wywieszono u szynkownego pręgierza dziejów najprzedniéjszéj części narodu naszego!...

— A co, przekonał się jaśnie pan — co prawda, to prawda. Ja bo ta nie pijam, ale zawsze to skusi coś człowieka. Mnie bo ta nie dziwota, że się człowiek prosty napije — ale panna Malwina to przepadała za szampanem, co to strzela — a wtenczas taki napadał ją humor, że uciekać od niéj za siódmą granicę...

— Nie pleć bajek: idź sobie i połóż się spać.

Odszedł Pawełek, a Władysław uderzony nowemi natrąceniami o zwyczajach Malwiny, wzdrygnął się znowu i uczuł dreszcz przedstawiając sobie w myśli nieskończone pasmo cierpień, jakichby niewątpliwie doświadczył, gdyby zamiar swój ożenienia się z tą gorzką Maliną, jak ją teraz dopiéro nazwał, przyprowadził był do skutku. Błogosławił zatém troskliwość swéj ciotki, i jeszcze większą powziął dla niéj wdzięczność i wyższy szacunek.

Obecnie przystępujemy do drugiego okresu powieści naszéj. I w niniejszym okresie przedstawimy wypadki tak, jak następowały po sobie, bez żadnéj sztucznéj zawiłości. Ciotka Władysława będzie znowu mówić, ale już nie tyle, co poprzednio — Malwina jeszcze mniéj, a Władysław najmniéj — i skończy się powieść. A lu-

bo przygotowani jesteśmy, iż znajdą się może tacy, którzy nas, spisujących to wszystko, ochrzczą mianem kaznodziei literackiego: my przecież mimo to, mając głównie prawdę na widoku, nie zaś nikczemną dążność przypodobania się temu lub owemu, nie pogwałcimy naszego przekonania i nie zmienim ducha i kierunku, oświadczając z góry, iż powyższa nazwa nie obrazi nas wcale — przekładamy ją bowiem nad przydomek pasztetnika lub kucharza literackiego, umiejących się zręcznie zastósować do życzeń i smaku niektórych czytających. Zresztą, mało nas obchodzi sąd ludzi uprzedzonych lub niechętnych, o których sprawiedliwie Michał Wiszniewski powiedział, że im się zdaje, jakoby cały rozum i naukę wzięli od natury w dzierżawę wieczystą i wyłączną.

W drugiéj połowie miesiąca kwietnia, gdy słońce wiosenne coraz mocniéj dogrzéwało, ciotka Władysława spragniona świeżego powietrza, którém oddychać przez cały marzec, dla zbyt podeszłego wieku, wzbronioném jéj było: kazała po raz piérwszy w tym roku otworzyć okno w swoim pokoju od strony dziedzińca. Dom w którym mieszkała, miał od tyłu przeciwległe sobie zabudowanie. Tegoż dnia, i o téj saméj porze, otworzyła tamże również po raz piérwszy okna pewna pani, mieszkająca na piętrze, odpowiadającém piętru i pokojowi, zajmowanemu przez ciotkę Władysława. Przestrzeń dziedzińca nie zbyt rozległa w tym domu, pozwalała każdemu bystrzejszemu oku dojrzeć, co się dzieje naprzeciw, i wzajemnie. Tym sposobem, pomimowolnie widywała odtąd ciotka Władysława jakąś panienkę, uwijającą się z rana po pokojach, ściérającą kurze, a nawet niekiedy zamiatającą zwyczajną szczotką podłogę — tudzież wychylającą się często za okno dla wytrzęsienia kurzu z kawałka płótna. Ciekawość jéj wzrosła jeszcze bardziéj, gdy każdego wieczora najwyraźniéj widziała, jak

ta siedząc przy świécy wraz z drugą starszą kobiétą, zatrudniona była albo szyciem bielizny, albo czytaniem książki lub dziennika, jak się zdawało. Tak je mając na oku przez dni kilkanaście, zauważała nadto, że u tych kobiét nikt obcy nie bywa; że one nigdy na wieczór nie opuszczają domu, i że ciągle jakąś zajęte są pracą.

Ktòż są te kobiéty? jak się nazywają, i z czego żyją? takie sobie każdego poranka zadawała pytania. A potém tak dalej mawiała do siebie: Jakżebym rada zbliżyć się do nich, aby je poznać! Jest to zapewne matka z córką — obie niewątpliwie zacne. Widać to po sposobie ich życia. Jakże tam u nich jest cicho i schludnie. Gdyby były kłótliwe, ich wrzawa doszłaby mego ucha, skoro to ucho słyszy dokładnie niektóre ich słowa zwyczajnym wymówione głosem. Skromne, lecz zawsze świeże koło południa ubranie panny, i to jéj krzątanie się dla ulżenia matce, która jednę tylko trzyma służącą, bardzo mi się podobają. Słowem, wszystko przemawia za niemi. Idzie tylko o wynalezienie sposobu zabrania znajomości.

Sposób ten znalazł się niebawem: albowiem wracając nazajutrz z kościoła do domu, do którego zbliżała się idąc przez szérokóść ulicy z przeciwległego chodnika, spostrzegła na drzwiach bramy tegoż domu, wywieszoną kartę z napisem: Piérwsze piętro na widermąchu do wynajęcia od dnia itd. Nie potrzebowała więcéj — i będąc już u siebie, ułożyła sobie pod pozorem obejrzenia mieszkania, tegóż samego dnia po południu wejść niespodzianie do osób, tyle ją zajmujących — O godzinie trzeciéj dnia tego, jak sobie była zamierzyła, już oglądała nie pokoje, na które mało zwracała uwagi, ale nieznajome. Przyjęta uprzejmie, spędziła na rozmowie z niemi przeszło dwie godziny, chociaż wstępując w ich progi, życzyła sobie najdłużéj kilkanaście minut zaba-

wić, pragnąc jedynie dowiedzieć się tymczasem o nazwisku i położeniu tych osób, jeżeli się da. I dało się — bo kobiéty w ogóle bieglejszemi są pod tym względem od mężczyzn.

— Walna kobiéta! były jéj myśli — a jéj córka, to na wskróś poczciwe dziecko. Ale bo też nic tak silnie nie pociąga, jak szczerość, rozsądek i serce. Przez jakież one już przeszły koleje! I ona więc także jest wdową — wdową, nie po umarłym, lecz po zamordowanym okrutnie. A ta jéj córka, siérota, czyż nie widocznym cudem ocalona? — Władziu, Władziu! ta, albo żadna.

Zaledwie skończyła w myśli domawiać te słowa, Władysław wszedł do pokoju.

W samą porę mi przybywasz. Dziś rano byłam w mieście, raz dla tego, aby się pomodlić i podziękować Panu Bogu, że mi pozwolił dożyć wiosny, a tobie spokojność umysłu odzyskać; powtóre dla tego, aby kupić kalendarz dla rodzin katolickich i jedno z dzieł Szekspira. Oto są. Aleś ty może już czytał ten kalendarz, co?

— Nie czytałem, lubo wiele dobrego słyszałem o tegorocznym kalendarzu.

— Zmiłuj się sam nad sobą, i czytaj go z uwagą. Jeśli w nim znajdziesz to, coby do ciebie, pragnącego się dobrze ożenić, stósować się mogło, zechciéj zachować w pamięci, a pomówimy o tém późniéj. A Króla Jana czytałżeś kiedy?

— Czytałem w niemieckim przekładzie Tiecka i innych.

— Toś chyba nie wiedział, że mamy wyborny przekład téj sztuki przez Korzeniowskiego.

— Rzeczywiście nie wiedziałem.

— A widzisz, że ja zawsze myślę o tobie, i wiem, co dla twego dobra może być użyteczne. Co cię uderzy, zastanowi w tém nieśmiertelném dziele angielskiego poety-filozofa, zachowaj także w pamięci, abyśmy mogli o tém w późniejszym czasie pomówić. Bo widzisz, mój

Władziu, że kobiéty nie są tak łatwe do poznania jak wy mężczyzni. Panienka czternastoletnia ma dziś daleko więcéj poznania, przebiegłości i taktu, aniżeli dwudziestoletni, a nawet dwudziestoczteroletni młodzieniec, mogący się w stósunku do niéj głupiuteńkim nazwać. Kto zatém żenić się zamyśla, powinien wprzód, ile możności, doskonale zgłębić naturę kobiét w ogólności — a chociaż poznanie to najlepiéj przez praktykę życia osiągnąć się daje: przecież i drukowane skazówki mogą być niepospolitą w téj mierze pomocą. Według mego zdania, mężczyzna nie rodzi się z talentem do odgrywania jakiejkolwiek roli, chociaż życie publiczne jest niemal wyłączném przeznaczeniem jego. Kobiéta przeciwnie, przeznaczona żyć, działać i umierać w zakresie domowym, już przynosi na świat zdolność do każdéj roli: i dla tego téż poznanie jéj bywa tak trudne — bo kiedy wszyscy utrzymują, że ta albo owa jest najzacniejsza i powszechnego szacunku godna, ona tymczasem drwi z poważających ją ludzi, i tylko w sposób naturalny, czyli bez przesady, rolę swą odgrywa; nie dziw więc, że wszędzie, gdzie się pokaże, zyskuje pochwały, a szczególniej tam, gdzie z powierzchowności o ludziach sądzą i w grzeczne słówka bawić się lubią. Mężczyzna zaś, mój Władziu, pomimo największego talentu, nigdy się tak ułożyć i zamaskować nie potrafi, aby przez bystrzejsze oko poznanym, czyli przeniknionym być nie mógł. Już sama jego postawa, jego chód, ułożenie, ruchy, organ głosu kiedy mówi, wyraz twarzy i spojrzenie, zdradzają go na pierwszy rzut oka — kiedy kobiéta, a mianowicie sztucznie wychowana i sztucznie wykształcona, wtenczas dopiéro poznaną być może, gdy się zapomni, i przez swoję niebaczność odsłoni się sama. Mężczyzna, powiedziałabym, jest przeźroczystą flaszką, napełnioną albo próżną. Czy flaszka ta jest wielka albo mała, zielona, biała lub szafirowa, szlifowana

lub też ordynaryjna, nic to nie znaczy: bo każda, jako szklana, jest przeźroczysta — łatwo zatém poznać, co w sobie mieści, i jak wiele — a tém samém łatwo także ocenić jéj wewnętrzną wartość, mniéj więcéj. Kobiéta zaś jest to błyszcząca powierzchnia wody — któréj głębokość na oko nie da się zmierzyć dokładnie. Najlepszy tego dowód miałeś na Malwinie, za którą, jeszcze nie zbyt dawno, dałbyś się był porąbać. Widzisz więc jak to trzeba być bacznym i ostrożnym. Ona, jakkolwiek o wiele młodsza od ciebie, potrafiła cię przecież łudzić aż do chwili, w któréj znudzona zapewne tą rolą, dala ci poznać sama, że nie masz spełna rozumu. I jak z jednéj strony obejście się Malwiny z tobą, niezmiernie mię ubodło, tak z drugiej jestem jéj bardzo wdzięczna za starganie sympatycznéj nici, na któréj dłużéj cię trzymając, byłaby cię nieochybnie zaprowadziła do zguby. — A teraz, weż obie te książki i czytaj z uwagą, Zabawisz się i nauczysz. Szkice, jakie znajdziesz w kalendarzu, są tak doskonałe pod względem prawdy, rysunku i kolorytu, że niełatwo spotkasz się z podobnemi. Co się zaś tyczy przekładu Szekspira, żałować wypada, że Korzeniowski zamiast tworzyć tyle komedyj i powieści, z których nie wszystkie niezaprzeczoną mają wartość; nie poświęcił tego czasu na przetłumaczenie więcéj dzieł Szekspira — bo nie prędko zjawi się drugi, któryby umiał podobnie tego wielkiego poetę przyodziać w szatę polskiéj mowy, bez nadwerężenia ani téjże mowy, ani myśli angielskiego oryginału.— Która to bije?

— Ósma.

— Więc jutro powiem ci resztę, a mam jeszcze wiele do mówienia. Przyjdź do mnie jutro około południa.

Władysław powróciwszy do siebie, zajął się natychmiast czytaniem scen na jarmarku w Dąbrowy. Z całéj książki podobały mu się najwięcéj dwie rozmowy, między panami D. i T. tudzież tych samych u pani T. —

Wyrazy pana D. mówiącego między innemi: „..zła żona jest najgorszym wierzycielem, który ciągle na karku siedzi i ciągle się o długi upomina; jesteś jéj dłużnym życia, zdrowia, pracy, majątku — a lichwa, któréj się ona od ciebie domaga, przewyższa nieraz kapitał" oraz wiele innych, utkwiły mu w pamięci.— Nazajutrz wziął w rękę przekład Szekspira, a następujące słowa, które poeta włożył w usta króla Jana, w odpowiedzi na skargę Roberta Folkenbridż przeciw Filipowi Folkenbridż, bękartowi po królu Ryszardzie piérwszym, wstrząsnęły nim jak prąd galwaniczny: „Twój brat, kochanku, jest zupełnie prawym. Żona twojego ojca go nosiła po szlubie; zatém, jeśliby sfałszowała, jest to jéj wina, któréj się poddaje każdy mężczyzna, który bierze żonę". — Następnie, dziwił się, dla czego ten ustęp w przekładzie niemieckim, który dawniéj był czytał, nie zrobił na nim żadnego wrażenia. Lecz wkrótce wyjaśnił to sobie w ten sposób: Myśl ta nie uderzyła mię dawniéj, raz dla tego żem ją miał przed oczyma w obcym języku, a powtóre dla tego, że wówczas jeszcze nie myśliłem o żonie. Dzięki ci, wielki Szekspirze! boś zwrócił moją uwagę na ważną bardzo okoliczność. Czyż podobne przypadki nie powtarzają się i teraz? Czyż każdy z ojców może być pewnym bezpośredniego pochodzenia od siebie istot, jego imię noszących? Wzdrygam się cały — i widzę przed sobą tylko noc, tém czarniejszą, im częściéj nagłe a krótko trwające błyskawice oświécają przedmioty, tonące znowu w ciemnościach. O! dzięki ci, wielki Szekspirze, za naukę, jaką mi dałeś. W téj chwili znikły w méj duszy ostatnie fata morgana! — Powiadają poeci: „Jest cukier na spodzie czary, lecz się go dopić potrzeba..." ja zaś odtąd twierdzę: Są męty na spodzie czary, więc jéj wychylać nie trzeba. Tak, nie ożenię się — bo gdzież jest dziewica, na któréj charakterze mógłbym polegać jak na sobie samym? — Już dawno

wyrzeczono, i zdaje się, sprawiedliwie: że każda kobiéta cnotliwą jest dopóty, dopóki nie ma sposobności do zostania występną. Jeśli tak jest rzeczywiście, to lepiéj się nie żenić, jak być żonatym, czyli postawić sobie domek z kart do gry — domek mogący wprawdzie stać długo, lecz chyba w pokoju zawsze zamkniętym — gdyż najlżejsze trącenie w stolik, na ktorym domek ten stoi, może go natychmiast zburzyć. Taka jest trwałość i bezpieczeństwo małżeńskiego honoru. Dzięki ci, jeszcze raz, Szekspirze! boś ty mnie dopiéro uczynił dojrzałym — dzięki ci, ciotko, za to,ześ się umyślnie trudziła, żeby mi dostarczyć to dzieło w polskim przekładzie. — Co niegdyś Byron o Napoleonie pierwszym był wyrzekł, że on wszystkie dawne sławy wątpliwemi, wszystkie następne niepodobnemi uczynił — daje się z większą słusznością do Szekspira zastósować. Sława wojownika, działającego li w widokach osobistych, nie jest dobrą sławą — i dla tego nasz Krasicki bardzo sprawiedliwie sławę tego rodzaju ocenił: „Bajeczna starożytność niech rycerzów głosi, nędzna sława, co światu nieszczęście przynosi. Nie ten godzien pamięci, co gnębił, co zdziérał; nie ten, co łzy wyciskał, lecz co je ociérał“.

Dalszego ciągu myśli Władysława nie będziem przytaczać: nadmienimy tylko, iż tenże po odczytaniu spolszczonego Króla Jana, zasępił się na nowo, i jeszcze mocniéj utwierdził się w przekonaniu, że wszystko na świecie jest marnością znikomą. Zazdroszcząc duchownym, odwiédzał codziennie swojego przyjaciela, także duchownego — a lubo pragnął szczérze oglądać ukochaną ciotkę, przecież udręczony nowém pojmowaniem stósunków małżeńskich, i niemal zawstydzony możliwością doświadczenia podobnego losu, który go przerażał i odejmował wszelką chęć do zostania mężem i ojcem; nie mógł się przezwyciężyć, aby odwiedzić ciotkę —

która, lubo tymczasem mile spędzała całe prawie dnie z osobami świéżo poznanemi; jednakże w mniemaniu, iż przyczyną tak długiéj nieobecności siostrzeńca musi być zapewne choroba, pospieszyła sama do niego.

— Nie dobry jesteś, mój Władziu. Spodziéwałam się ciebie nazajutrz, a tu dziś już dzień piąty upływa, jak u mnie byłeś raz ostatni. Możeś chorował, a nie dałeś mi znać. Tyś widocznie jakiś nie swój — wyglądasz mizerny na twarzy — tobie coś jest — nie taj nic przedemną.

— Książki, kochana ciociu, książki, którem dostał od ciebie, zrobiły mnie takim ponurym, zwątpiałym.

— Rozumiem cię. Dałam ci te książki umyślnie dla tego, abyś był przygotowanym na wszystko, jak to nakazuje rozsądek — życie bowiem nasze ma wielkie podobieństwo do zmian w atmosferze, od któréj nie możemy wymagać, aby zawsze była cicha, wypogodzona i ciepła. Wątpić atoli nigdy nie trzeba — a to, cobyś mi chciał w tym względzie powiedzieć w téj chwili, sama odgaduję. Wypadkiem twego myślenia jest niewątpliwie to, iż na tym świecie na niczém i na nikim polegać nie można. Wszak zgadłam — co?

— Słowo w słowo.

— Czy masz co dodać do tego?

— Nie mam nic dodać, moja ciociu.

— To źle, bardzo źle; trzeba się było lepiéj zastanowić, i otrzymać całkowity wypadek. Ten, który odgadłam, i do którego się przyznałeś, jest dopiéro połową — o drugiéj, daleko ważniejszéj, zapomniałeś zupełnie. Kto przyjdzie do poznania, że na ziemi niémasz nic trwałego, że wszystko jest znikomą marnością i złudzeniem — że dobro i pomyślność ogólna dla powszechnego braku bojaźni bożéj, niepodobną jest do osiągnienia — ten się całkiem czci Boga przez dobre uczynki

poświęcić winien, nie zaś opuścić ręce i poprzestać na samém nieczynieniu źle.

— Cóż więc mam przedsięwziąść, co czynić, jeśli dotychczasowe postępowanie moje i uczynki nie mogły sobie zjednać imienia godziwych?

— Proszę cię o cierpliwość, a zaraz się dowiész. Są ludzie, od których się niczego nie wymaga, i w żadne się z nimi nie wchodzi stósunki, tak jak się niczego nie wymaga od wilka lub od innego drapieżnego zwierzęcia — bo to są istoty, które nie słuchają głosu człowieka, i których pod utratą życia i zdrowia unikać musimy; — i są znowu ludzie, od których wielu rzeczy, jeśli nie wymagać, to przynajmniéj słusznie spodziéwać się można. Do takich ludzi, ty właśnie należysz. Postępki twoje były i są bardzo szlachetne, ale zarazem i łatwe, jak dla każdego, kto przy dobrém sercu posiada i majątek. Dwa te przymioty nie czynią cię jeszcze zupełnym obywatelem. Obywatel nie będący ojcem rodziny, jest tylko obywatelem hipotecznym, czyli murowanym albo drewnianym, ogrodowym lub zbożowym, łokciowym lub funtowym — i takim być może każdy przedsiębiorca, każdy spekulant, każdy kapitalista. Dopiéro żona, i dzieci chowane w bojaźni bożéj i miłości bliźniego, stanowią prawdziwego obywatela. Bądź takim, albo zostań księdzem.

— Toż samo radził mi i mój przyjaciel duchowny.

— A widzisz. Jest to nowy dowód, że ludzie rozsądni, nieuprzedzeni, zawsze zgadzają się w zdaniu, chociażby jeden o drugim nie wiedział. Zostawszy księdzem, przy takiém sercu, umyśle i majątku, możesz w dwójnasób więcéj czynić dobrego, bo nie tylko datkiem, ale i słowem, które z Boga pochodzi. Lecz ja bardziéjbym sobie życzyła, abyś został mężem i ojcem, i zostawił po sobie synów takich, jakim sam jesteś. Dopóki byłeś Malwiną zajęty, dokładałam wszelkiéj usilności, aby cię

odwieść od związku, w którym oprócz trucizny i zguby zawczesnéj, nic innegobyś nieznalazł. Jednakże w obecnym czasie, gdy sam Pan Bóg wskazał mi, i zaprowadził do osób posiadających nieocenione skarby moralne, poczytuję sobie za najświętszą powinność zapoznać cię z niemi, wyjawić ich przymioty i prosić Najwyższego, aby tego anioła i ciebie jednemi natchnął uczuciami. Są to moje sąsiadki, o których przez całą zimę żadna mię wiadomość nie doszła. W ubiegłym tygodniu, ja i one, prawie jednocześnie otworzyłyśmy nasze okna, i wnet ujrzałam nieznajomą mi panienkę zamiatającą pokój, a potém ściérającą kurze i czyniącą porządek. Ile razy wychyliła się za okno dla wytrzęsienia ściéreczki z kurzu, tyle razy miałam sposobność przypatrzyć się jéj dobrze. Nazajutrz, już byłam u nich — a raczéj po kilku dniach ciągłéj obserwacyi — i poznałam je z gruntu, bo dusze tych kobiét nie są to przepaście studzienne, które sondować trzeba; ale najczystsze zdroje, mianowicie dusza Bronisławy. Takie ma imię ten anioł. Cóż ty na to, Władziu!

— Ach, ciociu, Szekspir!

— I owszem, daj mi go, a coś ci przeczytam z niego.

— Oto jest.

Ciotka Władysława otworzywszy książkę, zawołała radośnie: Dobra wróżba, bom zaraz znalazła, czego potrzebuję. Słuchaj: „Oto Hiszpanii córka, piękna Blanka.— Ona blizką jest Anglii. Weźcież na uwagę lata Delfina i wiek téj dziewicy. Gdy rzeźwa miłość goni za pięknością, gdzież znajdzie więcéj wdzięków, jak w téj pannie? Jeśli gorąca miłość zechce cnoty, gdzież ona czystsza, jak nie w sercu Blanki? Gdy dumna miłość chce równości rodu, gdzież krew zacniejsza bije, jak w jéj żyłach. Takim jak ona w rodzie, cnocie, wdziękach, jest młody Delfin całkiem i zupełnie. Gdy niezupełnie, to dla tego tylko, że on nią nie jest; jeśli cze-

gokolwiek jéj nie dostaje, nie dostaje tylko tego, że ona nie jest nim. Zaiste on jest połową szczęśliwego męża, i przez nią tylko ma się uzupełnić. I ona pięknéj jest doskonałości połową, któréj drugie pół w nim leży. O! gdy się złączą te dwa srebrne zdroje, uświetnią brzegi, w których płynąć będą". — Jakże to wszystko pięknie się stósuje do ciebie i do téj, którą mam w myśli. Jeśli sobie życzysz, opiszę ci ją w krótkości. Jest to panienka ośmnastoletnia, urodzona i wychowana na wsi — hoża, zdrowa, rumiana. Według zeznania matki, była chowaną najskromniéj, po staropolsku. — Nie była na żadnéj pensyi, tylko w domu pod okiem rodziców pobiérała nauki. Tańcować wcale nie umié: rodzice bowiem sądząc, że taniec jest piérwszym, który przez nieuchronne chwytania, objęcia i uściski niebespieczną namiętność podżega; nie kazali ją uczyć tańcować. Muzykalną także nie jest: bo rodzice przekonawszy się, iż do muzyki rzeczywistego nie posiada talentu pieniądze, jakieby przez lat kilka na nieznośne brząkanie wyłożyć musieli, schowali dla niéj na wyprawę. Jeśli sobie życzysz poznać ją wraz z matką osobiście, to przyjdź jutro do mnie na podwieczorek. Tylko nie występuj we fraku, bo one nie wiedzą i jeszcze nie powinny wiedzieć, że ja mam siostrzeńca kawalera.

— Będę służył cioci niezawodnie.

— Mam więc twe słowo, i jutro z upragnieniem oczekiwać cię będę. Myśl co chcesz, a ja nazwę to zrządzeniem Bożem.

— Dałem słowo, i stawię się z pewnością.

— Zapewniam cię także, iż choćbyś tych osób nie znalazł odpowiedniemi dla siebie, to i tak żałować nie będziesz straconego dla nich czasu, ponieważ to są osoby, przed któremi całą swą duszę wylać można, bez obawy narażenia się na zaoczne szyderstwo lub zdradę potwarczą. Ich sposób myślenia zgadza się zupełnie z na-

szym — i oto powód mojéj usilności w zachęcaniu cię, abyś je poznał. A cóż jest, pytam się, podstawą i najgłówniejszym warunkiem szczęśliwego pożycia w małżeństwie? może majątek, może uroda, może talenta, może dostojeństwa wreszcie? Jako żywo! Nic innego, tylko zgodny sposób myślenia obojga małżonków. Ta zgodność w sposobie myślenia sprowadza nawet do równowagi wrodzony temperament i skłonności jednego z dwójga skojarzonych ślubem. Jeszcze nie było przykładu, aby małżonkowie zgodnie myślący sprzéczali się z sobą, kłócili się, krzywdzili wzajemnie, a nakoniec rozwodzili — co pochodzi stąd, że ich przywiązanie, pomimo zgaszonéj wiekiem miłości, opiéra się na szacunku, nie zaś na interesie pieniężnym albo na próżnym blasku i dumie. Harmonia w pożyciu tam tylko jest możliwą, gdzie żona szanuje siebie w osobie swego męża, a mąż podobież siebie w osobie swéj żony. Wtenczas oboje są szczęśliwi, i nic ich rozbić nie potrafi. Mówię to z własnego doświadczenia.

— Ależ Szekspir, moja ciociu! Słowa króla Jana...

— Bądź spokojny. Bronisława jest tak niewinną jak anioł, a w jéj czystém sercu, oprócz Boga, żyjącéj matki i straconego ojca, nikt się jeszcze nie mieści. Znasz mię i wiész, że nigdy lekkomyślnie nie chwalę i nie ganię nikogo. Jutro czekam cię wieczór.

Malwina, do któréj znowu wracamy, także przez ten czas nie próżnowała. Aby zagłuszyć wspomnienia o Władysławie, którego ciągle nazywała rycerzem z ballady Szyllera, z rzadką wytrwałością wartowała dzieła uczonych i tak zwanych filozofów, jako to: Hegla, Dawida Straussa, Brunona Bauera, Feuerbacha i kilku innych —

po przeczytaniu których, doświadczyła w swoim umyśle tak gwałtownéj burzy, iż sama o siebie lękać się zaczęła. Jakoż słuszną była jéj trwoga: bo czytaniem dzieł powyższych wyziębiwszy w sobie resztę religijnych uczuć, ujrzała się bez podpory, bez światła, bez drogoskazu — słowem, ujrzała się osamotnioną, oderwaną i jakby wyrzuconą na rozległy obszar zaludnionego świata, na który dotąd patrzyła zwykle obojętnie lub z pogardą — od téj chwili zaś, okiem niemej rozpaczy. Niebiosa, słońce i w ogóle cała przyroda, straciły dla niéj swój urok i szczytność — a wszyscy ludzie zdawali jéj się podlegać tym samym prawom za życia i po zgonie, co i reszta istot organicznych wszelakiego kształtu, wraz z całém królestwem roślinném. Na myśl o zasłudze, pokorze, błogosławieństwie i sprawiedliwości Najwyższéj, które to pojęcia ocknęły się były podówczas w jéj duszy, wydała śmiech tak okropny, iż słysząc go, sama się wzdrygnęła.

— I cóżeście mi dali, uczeni filozofowie germańscy i francuzcy, w zamian za wydartego Boga, za zniszczoną nieśmiertelność, za nadzieję i za tę wyższość umysłową, z któréj tak długo byłam dumna? Pięłam się odważnie po szczeblach rozumowań waszych, aby zdobyć ostateczną wiedzę, włożyć ją na głowę, jak koronę, i tak ozdobiona, powrócić na ziemię i w całym blasku téj wiedzy stanąć wśród ciemnego i w grubym materyalizmie pogrążonego tłumu. Lecz im wyżéj się wspinałam, tém silniejsze powstawały wichry gaszące światła, jedne po drugich. Otoczona nieprzyjazną pomroką, przerażona, struchlała, musiałam zstąpić na powrót do dawnéj siedziby — gdziem tylko samę — nicość znalazła! — O, jeźli rzeczywiście, jak utrzymujesz Heglu, bóstwo, duch przechodzi w świat, w naturę — jeźli obie te potęgi wszechświata, tylko za pomocą myślenia, tudzież praw logiki i dyalektyki, w ich prawdziwéj bytności,

czyli idei, schwycone być mogą: to czémże ty sam jesteś, a raczéj, czém byłeś, boś już żyć przestał — oto, zepsutém zwierzęciem Russa, które myślało. Cóż mi więc przyszło z dzieł twoich? Twoja teorya przenoszenia się potęg bożych od narodu do naradu, czémże jest, jeżli nie odwieczną koleją wzrostu i upadku ludów? Przechodzenie na pozór martwe, wystrzeli znowu pręcikiem i listkami, zakwitnie i nowy plon wyda, jeżli po rodzajnéj ziemi rozsypane będzie. Pozwól więc sobie powiedzieć, mój Heglu i wy wszyscy tym torem idący, że nie było potrzeby mozolić się, aby tyle napisać, tyle wydrukować — bo i baba wiejska, która mi dostarcza śmietanki i mléka, tęż samę co i wy, jeżli nie lepszą posiada filozofię; bo ona wierzy, ma nadzieję, ma ufność w łasce Boskiéj, i jest w sobie spokojna i szczęśliwa. — Sniadecki Jan miał słuszność, kiedy się srożył na wąs i gromił ciemne i zawiłe absurda wasze, lękając się ich zgubnego wpływu na kierunek ogólnéj oświaty u nas. Lecz i ja zapóźno zrozumiałam głos jego — i dla tego z tém głębszém oburzeniem złorzeczę wam dziś, uczeni zwodziciele, boście mnie uczynili jeszcze nieszczęśliwszą. Wasza nauka jest bieganiem w kółko, wyjściem z pewnego punktu, do którego po długiém krążeniu napowrót przychodzimy zmęczeni, cierpiący, odurzeni i zwątpiali. Jestże to filozofia, jestże to nauka, dla któréj po wszechnicach osobne ustanawiają katedry?... Nie miałażem i ja słusznie, twierdząc, że mężczyźni w ogóle są słabi, nikczemni i bezrozumni, i że się nimi zajmować nie warto, skoro nawet taki „*kraftgenialer Kopf*“, za jakiego po dziś dzień, słusznie czy nie słusznie uchodzi Goethe, mógł coś podobnego napisać, jak „Cierpienia młodego Wertera“, i w téj lichéj ramocie samobójstwo podnieść do wielkości heroizmu! Szyller, jestem pewna, byłby się wstydził coś podobnego stworzyć i ogłosić — bo też serce jego nie biło dla

kilku pojedynczych osób, ale dla całéj ludzkości. Godna też spotkała Goetego apoteoza: Bettina Arnim rozmiłowana w swojém bożyszczu aż do zachwytu, odrysowała go w postaci Jowisza pogańskiego, siedzącego na tronie; lecz powinna była zarazem rozwiesić przy nim ulubiony jego surdut koloru cielistego, i napisać na plecach: „*die Wahlverwandschaften*", czyli umowa małżeńska na lat pięć.

— Pani prosi do bawialnego pokoju, zawołała wbiegając pokojowa.

— Cóż tam nowego?

— Gości mamy, już chwila, jak przyszli.

— Co za jedni?

— Jakaś gruba pani, z wysokim i cienkim jegomością.

— Przyjdę ja tam zaraz.

— Jak się masz, Malwińciu, moje słodkie życie! — dość grubym głosem odezwała się baronowa X. do wchodzącéj Malwiny. Cóż porabiasz, kochaneczko? Jak się bawisz? jakżeś karnawał przepędziła? Ja bo całą zimę przesiedziałam w Wiédniu. Usiądź tu przy mnie, tak dawno cię nie widziałam a chciałabym się nacieszyć twoją osobą. Widzisz, ja ciebie zawsze tak kocham, i tak dobrze ci życzę, jakbym własnemu dziecku lepiéj nie życzyła. Słyszałam, że idziesz za mąż — czy to prawda? Podobno to projekt dopiero, i jeszcze nic stanowczego. Jakże? czy ci się już oświadczył ten stary Jegomość? Widzisz że ja wiem o wszystkiém, a mówiono mi o tém w Wiedniu, z czego możesz poznać, jak dalece zajmują się tobą. Wierz mi, bardzobym cię żałowała, bo ten Jegomość będzie cię łudził swojemi nwiel-

bieniami bez końca, i nie złoży swojego losu w twe ręce — a tu latka upływają tymczasem, jakkolwiek powoli, i twoja dobra mama nie zawsze będzie żyła na tym świecie przy tobie. Młoda panienka jest jak słaba drzewina, jak latorośl, która koniecznie potrzebuje tyczki, żeby jéj wiatr nie złamał. Nie łudź się zatém, i odpraw starego kawalera. Znam ja go bardzo dobrze! Ma on już lat pięćdziesiąt okładem. Włosy farbuje, a zęby ma wprawiane. A nie sądzę znowu, żeby ci szło tak bardzo o jego majątek, który nie jest wcale *in floribus*, jakby się zdawało — wierzaj mi: wojaże, wykwintna buzia i inne kawalerskie wybryczki, nie mało kosztują. Myśmy tu już wszystko doskonale obmyślały i uradziły. Rekomenduję ci młodego i bardzo dorzecznego kawalera N... Jest to mój kuzyn i sekretarz umocowany. Był przy ułanach — poczciwy — serce ma jak na dłoni — zna się doskonale na gospodarstwie, a szczególniej na koniach — jeździ jak Renz. Jeśli nim nie wzgardzisz, to dam wam jeden ładny folwarczek, i będziecie sobie żyli dostatnio i przyzwoicie. Przypatrz mu się kochaneczko. Panie Bonifacy, starajże się zabawić pannę Malwinę.

Malwina ze spuszczonemi oczami, nie wiedziała w prawdzie, co na to wszystko odpowiedzieć głośno; gryzła nawet wargi, aby się nie rozśmiać z porównania do tyczki — ale jéj dowcip złośliwy uderzony wysmukłym wzrostem mężczyzny chudego, i z głową krótko ostrzyżoną, nastręczył jej zaraz uwagi, które atoli w sobie zachowała:— Kuzyn i sekretarz umocowany; rozumiem! chcesz mi go odstąpić, darować, nawet z folwarkiem, moja zdemokratyzowana baronowo! Tę długą tyczkę zostaw dla siebie.

— No cóż — dokądże tego milczenia? Mamże ja gadać za wszystkich? Wszakże nie jestem bijącą fontanną.

— Pani baronowa wybaczy, że się oddalę, bo już od kilku dni mocno jestem cierpiącą na głowę — przemówiła Malwina, powstawszy z krzesła.

— To migrena, migrena. Przyszlę ci bardzo skuteczną wodę na ból głowy. Tylko nie trzeba się tak bardzo oddawać pracy. Słyszałam, że po całych nocach nad książkami ślęczysz. Kto to widział — co ci z tego przyjdzie. Zamiast robić ze swéj główki bibliotekę, zdecyduj się lepiej iść za mąż, bo niech mówią co chcą, mąż jest zawsze potrzebny, jakimkolwiekby on był. Wieleż ty już masz lat?

Malwina stojąc jak na rozżarzonych węglach w obec gadatliwéj i ciekawej baronowéj, tudzież milczącego i przeszywającego ją swym wzrokiem ex-ułana, zamiast odpowiedzieć na pytanie, ukłoniła się z wdziękiem i rzekła: Przepraszam, najmocniej przepraszam — poczem oddaliła się zwolna.

— Wszystkie panny tak robią z początku, to jest drożą się, chorują, nawet mdleją, a w końcu idą za mąż.

— To tylko nieszczęście, że moja Malwina tak się różni od innych panien. Gdyby była od natury mniéj pod każdym względem uposażona, wtenczas byłaby może łatwiejszą do zawarcia proponowanych związków. Powiedziała mi, mało sto razy, że się nikomu nie sprzeda.

— Ja nie ubliżam bynajmniéj twojéj Malwinie, piękna jest i utalentowana — lecz z tém wszystkiem jest kobiétą, i nie ma serca ze skały. Wreszcie, sam temperament, sama krew, domagać się będą tego co im się słusznie i sprawiedliwie należy — przeto; jeśli córka twoja nie pójdzie za pana Bonifacego, to pójdzie za Piotra, za Andrzeja albo za Jakóba, prędzéj czy póżniéj. Już się nie troszcz, moja droga. Całą tę sprawę biorę na siebie. A teraz bywaj mi zdrowa. Jutro lub po jutrze odwiédzę cię znowu, bo za kilka dni pojadę na wieś do siebie, dla dopilnowania wszystkiego osobi-

ście — przy czém używać będę ruchu, który mi zalecili wiédeńskie doktory. Widzisz, jak tyję, i to mię smuci niezmiernie, gdyż będąc żywego usposobienia z natury, lękam się, abym z czasem na bezwładność skazana nie była. Adieu.

— Adieu.

Nie wdając się w szczegóły, kto była baronowa X. i jakie mogła mieć powody do opiekowania się panem Bonifacym — tudzież, kto on był, i czy należał rzeczywiście do jéj rodziny; przytoczymy jedynie koniec rozmowy, jaka się wytoczyła po powrocie obojga do zajezdnego domu.

— Pleciesz nic do rzeczy. Jesteś rura, i basta! Ja staram się i robię co mogę, a ty się z niczem odezwać nie umiész.

— Gdybym to wiedział, jakie ona ma gusta, tobym wiedział, z któréj beczki zacząć. A przy tém, co innego panna na wsi, a co innego w mieście. Na wsi, idzie człowiekowi wszystko gładko, jak po mydle — człowiek nie potrzebuje długo się namyślać, co powiedzieć— gada, co mu na myśl przyjdzie — a im bardziéj zmyśla, tém większą dają mu wiarę. Ale w mieście, i to w mieście większém, zupełnie co innego — tu człowiek nie swój — słowa więzgną mu w gardle, jak suchy chléb komiśny, a język twardnieje, jak munsztuk w pysku u konia, który go żuje, żuje i pianę toczy, a nigdy nie przemówi. Tu nawet i na knajpie nie można się z byle czém wyrwać, bo zaraz wmięsza się drugi, i kłamstwo ci zada.

— Już przestań. Trzeba przedewszystkiem, żebyś miał większe staranie o swojém zdrowiu, to jest, żebyś sobie nie żałował. Kiedy ja coraz większéj nabiéram tuszy, ty coraz bardziéj chudniesz, co pochodzi stąd, że nazbyt oszczędnie żyjesz. Wszakże ci nigdy nie żałuję i regularnie płacę. Dam ci teraz gratyfikacyą — masz

trzy piątki — tylko ich nie szparuj — co innego, gdyś był przy rejmencie. Za tydzień przyjdziesz na służbę. Spodziéwam się, że cię znajdę więcéj ożywionym i gorliwszym. Jeśli się zaś przekonam, że ten brak energii i zapału pochodzi z przeniewierzeń się, wtenczas natychmiast cię oddalę i cofnę przydeklarowaną darowiznę i fundacyą, do któréj tylko wierność słuszne rościć może prawo. A teraz, idź do siebie i restauruj się, jeśli chcesz, abym się i nadal zajmowała twym losem.

Jakże odmienna w téj saméj godzinie toczyła się rozmowa u podeszłéj ciotki Władysława! Zgromadzone tam osoby, zdawały się przypominać pierwotnych chrześcian społeczność — taka tam bowiem niewinna i cicha panowała radość i takie współczucie. Ksiądz, Władysława przyjaciel, ożywiał rozmowę, i czuł się niewymownie szczęśliwym, że znając go niemal od kolébki, już niedługo zwiąże na wieki jego rękę z ręką Bronisławy, swą stułą kapłańską, i błogosławić będzie obojgu. Nie było tam słychać śmiéchu ani żartów, bo czas obecny wcale nie potemu, zwłaszcza, iż celem tego zebrania nie była zwyczajna zabawa, lecz wstępne połączenie dwóch dusz, jednością myślenia tak podobnych do siebie — a która to jedność, nie zasadza się bynajmniéj na wygodném potakiwaniu, zdradzającém zwykle albo ubóstwo umysłowe, albo filuteryą. — Władysław znalazłszy w Bronisławie własne swoje myśli i wyobrażenia, a nadewszystko niekłamaną czułość i łagodność, oświadczył się i z nią się zaręczył.

— Brońciu, Władziu! — mówiła między innemi tegóż wieczora do zaręczonych uszczęśliwiona ciotka — patrzcie, jak ta świéca, pomimo twardości swojéj, to-

pnieje. Za kilka godzin zniknie zupełnie. Jéj byt, krótki jest wprawdzie; można ją nawet od razu zgasić, połamać i do użytku niezdatną uczynić. Ale jéj płomień, jéj światło, dopóki się pali, będzie mieć zawsze jednakie własności, i których im nikt odjąć ani odmienić nie potrafi. Jeśli utniemy knot, płomień jaśniejsze rzuci światło, jakby się cieszył, że od zbytniego węgla i popiołu na chwilę uwolniony został. — Obok tej świecy, pali się i druga, i takież samo wydaje światło. I u téj podobnie knot uciąć można — ale czy i płomień jéj ustrzydz potraficie? Nigdy! Cóż to ma znaczyć, i do czego się stosuje? Do was, moje dzieci, do waszych serc i umysłów, którym oby Bóg pozwolił płonąć jak najdłużéj, i które, oby nigdy, jak te jasne płomienie, ustrzydz się nie dały. Płomień pod tym względem, jest najniepodleglejszym ze wszystkich żywiołów — a łącząc się chciwie z drugim płomieniem, i tworząc jeden większy płomień, a tém samém wydając silniejsze światło i ciepło — daje nam najlepszy obraz nierozerwanego związku małżeńskiego. Bądźcież tedy oboje jednym płomieniem takiéj saméj natury i takich przymiotów. Zgodność waszego sposobu myślenia, tego najgłówniejszego warunku szczęśliwego w małżeństwie pożycia, mimo najgorszych niepowodzeń i ciosów, spodziewać mi się każe, iż to porównanie moje spełni się na waszych nieskażonych sercach. Im czystszy płomień, tém jaśniejsze światło. — Pozostaje mi jeszcze dać wam obraz wiernéj, cierpliwéj, czułéj i niezłomnie przywiązanéj małżonki. Lecz gdzie mam go szukać, czy wśród ludzi, czy w książkach? Nie — aby go dostać, muszę się udać albo do Obserwatoryum, albo do gabinetu Fizyki w uniwersytecie. Tam się on mieści. Atoli proszę pierwéj odgadnąć, które ze znajdujących się tam narzędzi i przedmiotów, wybornie odpowiada mojemu wyobrażeniu o

małżonce wiernéj, cierpliwéj, czułéj i niezłomnie przywiązanej do męża.

Gdy na to wezwanie nikt nie odpowiedział, ciotka Władysława tak daléj mówiła: — Igła magnesowa. Kto zna igłę magnesową i prawa, jakim ona podlega, ten porównania mojego nie nazwie niewłaściwém. Wierna biegunowi swemu, zawsze na północ patrzy, a jéj czułość jest znana. Otóż taką być powinna każda zamężna kobiéta.

— Ty zmyślasz, zmyślasz, moja Anetko.

— Jeśli ja zmyślam, to zmyślał i Pawełek, który jest niezdolny do kłamstwa.

— A skądże on wié o tém wszystkiem?

— Bo służy u pana Władysława.

— Co ty mówisz? u pana Władysława?!

— Tak jest — i niémasz w tém nic nadzwyczajnego

— Aleś ty mnie powiedziała, że idzie w służbę do jakiegoś starszego urzędnika. Tymczasem inaczéj się stało, czyli, żeś skłamała najoczywiściéj przedemną.

— Faktorka, czy téż stręczycielka, gdyż ja nie znam się na tém, naraiła mu dwie służby, a on wybrał lżéjszą, bo u kawalera. Cóż więc dziwnego, że Pawełek dostał się do zacnego pana Władysława.

— Kiedyżeś się widziała z Pawełkiem?

— Wczoraj, proszę pani. Opowiedział mi wszystko od A do Z.

— Cóż takiego? bardzom ciekawa.

— Zapewne, iż to ciekawe są rzeczy. Mnie już tyle panów i niepanów ze szczotką do zamiatania i ze ścierką w ręku widziało, a żaden mi się nie oświadczył.

— Nie rozumiem cię. Zaczynasz znowu bajać po swojemu.

— I ja tego zrozumieć nie mogłam, aż dopiéro po wysłuchaniu całéj historyi, rozwidniło mi się w głowie. Rzecz się tak miała. Wiadomo pani, że ciotka pana Władysława jest to frant baba, kuta na wszystkie cztéry. Otóż, jednego dnia, gdy się znacznie ociepliło, kazała swoje okno od tylnego pokoju otworzyć, a w tém zobaczyła na widermachu, gdzie także okna były otwarte jakąś panienkę zamiatającą pokój, ścierającą kurze, a potém wytrzepującą ściéreczkę z prochu. Ponieważ pogoda służyła, więc kazała codzień okno otwierać, aby się przypatrzyć panience utrzymującéj taki porządek w domu. Nareszcie, wzięła ją chętka zbliżyć się koniecznie do mieszkających na widermachu, aby ich lepiéj poznać. Jakoż dokazała swego — lecz jakim sposobem, tego Pawełek nie umiał powiedzieć. Dość na tém, że się zapoznała, w panience się rozkochała, i z nią siostrzeńca swego wyswatała. Onegdy odbyły się zrękowiny, pomalutku, pocichutku, jakby nigdy nic. A za kilkanaście dni ma się odbyć ślub, ale w którym kościele, sekret!

— Wątpię, żeby to mogło tak prędko nastąpić.

— Czemu nie: można przecież wyrobić sobie uwolnienie od ostatniéj zapowiedzi. Zresztą nie wiem jakie tam teraz zwyczaje.

— Ależ wyprawa i inne przybory i przygotowania — te zawsze dłuższego wymagają czasu.

— Co tam wyprawa! Matka narzeczonéj oświadczyła wyraźnie przy herbacie, co Pawełek dobrze słyszał kiedy się wtenczas po pokoju kręcił, iż nie myśli wcale wydawać pieniędzy na zakupno rzeczy kosztownych a nietrwałych i łatwo ulegających zniszczeniu, to jest na szmaty, graty i pozłacane skorupy. Co się zaś tyczy

bielizny, tę każdego czasu i po ślubie uszyć można. Srébro, to grunt, ale nie fioki, loki i inne fraszki.

Malwina słuchając tego wszystkiego, zamyśliła się i milczała, a jej pokojowa, zadowolniona z widocznéj zgryzoty swéj pani, i pamiętna doznanéj obrazy, krzyczała z radości w głębi swego serca: Czy dobrze ci teraz, czy dobrze ci teraz? Jakże ci smakują te wszystkie wiadomości?.. Trochę gorzkie jak pigułki Morisona. Mimo to musiałaś je przełknąć. Nic się złego nie stało będą skutkować, i może spuścisz z tonu. Widzisz, co to faktorka potrafi! Nie trzeba było obrażać mię, a nie byłabym się przyczyniła do potępienia cię w przekonaniu najzacniejszego człowieka. Dobrze ci tak — złe samo się karze! — Czy już mogę się oddalić — zapytała wreszcie głośno swój zadumanéj i na sofie spoczywająaéj pani.

— Powinnaś się była zaraz oddalić, kiedym się odzywać przestała. Twoje gadulstwa już mię znudziły. Odejdź i nie przychodź, aż zadzwonię.

— Dobrze, pani — odrzekła pokojowa, i z uczuciem tryumfu pobiegła do swego pokoiku.

Malwina ujrzawszy się samą, podniosła się natychmiast ze sofy, przypadła do drzwi, zamknęła je na klucz, i wszystkie książki i pisma tu i owdzie rozłożone, zaczęła ciskać na ziemię i deptać nogami.

— Precz! precz! do żydów, na tandetę, panowie Russy, Woltery, Wolneje, Szellingi, Hegle, i wszystkie filozofy, uczone i nieuczone! Nauczyliście mię wszystkiego, oprócz rozsądku. Pokazało się, że prosty drąg ze szczecią, czyli zwyczajna szczotka do wymiatania śmieci, prędzéj zjednywa los siedzącéj w kącie dziewczynie, aniżeli wszystkie mądrości wasze. Przecz mi wszystkie te śmieci za drzwi. — I porwawszy z przyległéj komórki szczotkę, zaczęła zgarniać rozproszone dzieła na

kupkę, i tak zgromadzone rozdziérać nieposiadając się od złości. Wreszcie, czując się zmęczoną, wrzuciła szczotkę napowrót do komórki i drzwi do niéj zawarła, poczem usiadła ciężko westchnąwszy i utkwiła wzrok w rozsypane przez siebie gruzy naukowe. — Ha! łotr, zdrajca niegodziwy! istny rycerz z ballady — były jéj dalsze dumania — ledwie mnie odstąpił, już pochwycił inną! Gdybyś ty był rzeczywiście poczciwym, tobyś był przebolał scenę przy fortepianie — a ja widząc, iż bezemnie żyć nie możesz, skoro się wracasz z jednakiem uwielbieniem, dałabym się w końcu nakłonić do pójścia za ciebie. To była tylko próba, a tyś się zaraz uniósł i obraził. Popytaj się, a powiedzą ci, przez jakie to próby przechodzić muszą inni konkurenci — jak z nich żartują, jak łudzą, jak zwodzą — jak ich wytrzymują czekając, czy się tymczasem kto inny lepszy nie trafi. Powiedzą ci, ile to oni tracić muszą niekiedy dla przypodobania się pannie i jéj rodzicom, i na jakie często narażać się przykrości. A ty cożeś dla mnie stracił, i na coś się naraził? czyliżeś odbył jaki pojedynek za mnie?.... Lecz na kogóż ja wyrzekam, na kim, i za co się zemściłam, i komu przez to zaszkodziłam najwięcéj? Podobnoś sama sobie. Stało się. Niech się żeni Władysław, i niechaj będzie szczęśliwy! Pomimo całéj nienawiści i pogardy, jakiemi przejęta jestem dla niedołężnéj i płaskiéj płci męzkiéj, jemu tylko jednemu sprawiedliwości odmówić nie mogę — i pomimo zazdrości, jaka mię pożéra w tej chwili, życzę mu wszelkiego dobra, dobra, któregoby przy mnie nigdy osiągnąć nie mógł — gdyż ja posiadając go jako męża nie byłabym zdolna szanować go i cenić — podobnie jak książkę, jak romans, który piérwszy raz dostawszy do rąk, czytamy z przyjemném zajęciem, po przeczytaniu zaś i zaspokojeniu ciekawości, obojętnie rzucamy,

nie myśląc tak prędko wrócić do niego. Wreszcie, on nie był dla mnie — i ja równie dla niego nie jestem stworzona. Dwie ambicye, dwie dumy, nigdy długo spokojnie stać obok siebie nie mogą. Prędzéj czy późniéj, wywiązuje się spór i walka, aż w końcu jedna drugą obala i pożera. Jego i siebie znam dobrze — on dumny z prawości charakteru i szlachetności serca — jam znowu dumna i wyniosła z urody, z talentów i rozległej wiedzy. Ach! z wiedzy — która oto leży u stóp mych rozbita, zdeptana! — Jest to, zaiste, powtórzenie upadku Ewy niepowściągliwéj w żądzy ciekawości. A lubo zdeptałam węża, jego zatrute jady pozostaną przecież w méj piersi, i dopóty szarpać mię będą, dopóki się niemi z drugim nie podzielę. Gdzież jesteś Adamie, abym ci z czarującym uśmiechem podała ogryzek zjedzonego przeze mnie owocu!. . . Przybądź, o przybądź i spraw ulgę moim cierpieniom, bom jest pełna słodkiego jadu. On cię upoi, rozpali — i zdawać ci się będzie, że jesteś Tytanem, i wtenczas pójdziem oboje na zdobycie nieba! Nie wahaj się, nie okazuj słabości, kiedy ja, wątła kobiéta, odważyłam się wstąpić w otchłanie wiedzy — i wyszłam z nich cała, to jest, z niepotrzaskanym rozumem. Poznasz., jak to jest miło zerwać wszystkie więzy, połamać wszystkie ogniwa niewidzialnego łańcucha, zowiącego się wiarą, nadzieją i miłością, i ujrzeć się niepodległym, wolnym — a potém oprzeć swe nogi na ciemnym Erebie, czołem zaś uderzać o stropy niebieskie! Lecz ty, mój Adamie, mój wykwintny kawalerze, mój nowożytny Minotaurze, zbyt jesteś zniewieściałym, abyś był zdolnym wzbić swego ducha do wysokości sfer moich. Cała twoja sfera doskonale okrągła, mieści się w obrębie okrągłego talérza. Niech i tak będzie, byleś tylko przybył i dał się zaprządz do mego rydwanu. O! dopieroż poganiać cię

będę — a gdy zmęczony upadać zaczniesz, przypomnę ci wiersze Horacyusa: *Sunt qui curriculo collegisse juvat pulverem olimpicum* — połykaj więc kurzawę olimpijską i ruszaj daléj, skoroś koniem został. . . . Z tém wszystkiém, jakiż wynajdę sposób, aby cię literalnie przywiązać do siebie, skoro ani muzyka, ani śpiew, ani malarstwo, ani wzniosłe myśli i dowcip, nie zdołały dotychczas rozwiązać ci serdecznego języka, by wyrzec stanowcze oświadczenie się o mnie? Twoje stereotypowe pochwały i uwielbienia, mogłyby być przyjemne dla takiéj tylko osoby, która podobnych jeszcze nigdy nie słyszała — lecz dla mnie, co nie jestem głupim szczurem z bajki, nie są one nawet kadzidłem, mogącém wydać dym jakiejkolwiek woni. Cała twoja wartość mieści się w listach na ośléj skórze pisanych. Bez nich, byłbyś tylko pospolitym, starym i podrutowanym dzbankiem, i do tego próżnym dla braku ożywiającego płynu, jaki stanowią wyższy umysł i serce — byłbyś kupą trocin, których się używa jedynie do zasypywania okien na zimę, i do mycia brudnych podłóg, pomimo całéj znajomości obcych języków i krajów, tudzież całéj towarzyskiéj ogłady, znaczącéj tyle na ludziach, ile pokost na drzewie, ile szklista polewa na wypalonéj glinie. — Czy ty mnie słyszysz, Minotaurze? O ty nienależysz wcale do ludzi, co słyszą jak trawa rośnie. Ty zaledwie świst wiatru jesteś zdolny usłyszeć, bo twoje zmysły już dawno zużyte, stępione! A czy wiész, czy się domyślasz, jakiego jeszcze sposobu użyć zamierzam? Oto, od dnia jutrzejszego, regularnie około południa zamiatać będę pokoje sama, ścierać kurze i czyścić niektóre sréberka. Ty przyjdziesz, zastaniesz mię ze szczotką lub ze ściérką w ręku — zadziwisz się i powiészz uniesieniem: żem jest pracowita, żem gospodyni, żem jest rządna i lubiąca porządek — i oświadczysz się

nareszcie. Wszak prawda? bo jeśli szczotka do zamiatania i ściérka potrafiły zachwycić mądrą ciotkę Władysława, to dla czegóżby i ciebie, stary i bezwątpienia wyrachowany kawalerze, zachwycić nie miały? — Próbujmy tedy szczęścia — kto wié, może się uda.

Wszystko w téj mierze zdawało się sprzyjać Malwinie. Niezamknięte drzwi, nieobecność służących, nawet matki, która podówczas znajdowała się w kościele, zrządziły, iż ów niemłody Jegomość uwielbiający Malwinę, właśnie nazajutrz wszedł bez oznajmienia do pierwszego pokoju, i zastał Malwinę, w stroju niby zaniedbanym, ale podnoszącym jéj wdzięki, ze szczotką do zamiatania w rękach. Osłupiawszy na ten widok, poczerwieniał na twarzy i słowa przemówić nie mógł Malwina widząc pomięszanie jego, pierwsza się odezwała:

— Czyż to pana zadziwia? Kobiéta rozsądnie wychowana, powinna być wszystkiém, to jest całym do-mem. Toaleta, sztuki piękne, literatura i słodkie próżnowanie, nie powinny być jéj wyłączném zatrudnieniem lecz przedewszystkiém winna ona być gospodynią w całém znaczeniu tego słowa, zwłaszcza przy tak upowszechnionym dziś systemie utylitarnym. Proszę usiąść. Lubiłam zawsze porządek, i mniemam, że mi to za złe poczytaném nie będzie.

— A od czegóż pani trzymasz służących? Ja płonę ze wstydu za panią — bo prawdziwie pojąć nie mogę takiéj profanacyi ładnych i delikatnych rączek. Fe, fe! *C'est du burlesque, je vous assure.* Tak piękna osoba powinna pamiętać: *du sublime au ridicule il n'y a q'un pas!*

— Obwiniaj pan nie mnie, ale system utylitarny, któremu dziś wszyscy hołdują — tłumaczyła się przytomna zawsze Malwina.

— Nikogo nie obwiniam; i zostawiam każdemu jego zdanie własne. Żałuję tylko, że mając dotychczas inną o pani ideę, uczęszczałem w tym celu, aby...

Nie dokończył tego, co miał powiedzieć, bo znany nam żyd, lichwiarz, wpadł do pokoju zapyrzony wołając: — To zdrada! to cygaństwo! to rozbój, zabój oszustwo! złodziéjstwo! kryminał! Takie panie kraść biédnego żyda, sprzedać hipetekę, sprzedać meble, wszystko sprzedać i sumienie sprzedać! Takie panie, takie wielmożne panie — to kryminał za to! Ja chcę moje piéniądze — proszę mi zapłacić, to ja pójdę — dopóki moje pieniądze nie będzie na stole, to ja stąd nie pójdę, nie dam nic brać, bo to moje wszystko.

— Czyś ty oszalał, kupiec? Obyś tylko nie żałował tego, coś powiedział. Za wieleś sobie pozwolił, i pamiętaj, że się znajdzie sprawiedliwość na takich potwarców.

— Zapłać pani weksel! Dla czego pani nie płaci?

— Nie płacę i nie zapłacę, dopóki mi piérwszego wekslu nie zwrócisz, któryś sobie bezwstydnie przywłaszczył.

— Na moje sumienie, ja nie mam tego wekslu. Niech pani robi, co chce — ja się nie boję. I ja mam sprawiedliwość — ja już był u adwokat, i on już podał o *Zahlungsauflage*. Jak pani nie zapłaci, to mame pani pójdzie do aresztu, i to będzie pięknie dla wielmożnego państwa. Ja biédny żyd, i moich pieniędzy nie mogę darować. Ja stąd nie pójdę i nie dam nic brać, bo to oszustwo, rozbój, zabój. Niech jaśnie pan osądzi, czy ja mam recht? — mówił daléj obróciwszy się do stojącego i na komodzie opartego Jegomości — który na takie zagadnienie spuścił oczy i pełen zgrozy oddalił

się chyłkiem, ani słowa więcéj nie wyrzekłszy. Lecz za to w duszy swéj z oburzeniem długo powtarzał: *C'est une abominable canaille!* — wbrew temu, co dawniéj powtarzać lubił: *C'est une admirable canaille!*

Po jego odejściu Malwina zawołała groźno i z powagą:

— Proszę się oddalić natychmiast, albo będę zmuszona otworzyć okno na ulicę i wezwać policyantów, aby cię stąd jako gwałciciela spokojności domowéj, tudzież jako lichwiarza i oszusta wyprowadzili!

— Ja pójdę sam, ale pani będzie widzieć, kto gwałciciel, kto oszust.

— Milcz! bo nie ty, nikczemny lichwiarzu, ale sądy rozstrzygną tę sprawę. Ja także obedrzeć się nie dam. Opieka praw jest równą dla wszystkich.

— Za kilka dni będzie *Zahlungsauflage* — a potém będziemy tańcować — klaniam. I ukłoniwszy się po swojemu, wybiegł trzęsąc się od gniéwu.

— Źle, wszystko źle! Ta fatalna szczotka i ten brudny żyd zgubili mnie w oczach tego człowieka. Stało się. Po zrobieniu takiego fiasco, dłużej mieszkać tu nie mogę. Wytykanoby mnie palcem. Musimy stąd czemprędzéj wyjechać. Pokazuje się, że szczęście sprzyja więcéj ograniczonym prostakom, aniżeli wyższym jeniuszom.

W téj chwili weszła pokojowa z jakiemś pudełkiem.

— Gdzieś siedziała tak długo? Dla czegoś żyda wpuściła, i skąd ten żyd dowiedział się o wszystkiem? — I nie czekając na odpowiedź, dała jéj silny policzek.— Ruszaj mi zaraz na Policyą, i spytaj się, czy pasport dla nas gotowy.

Pokojowa rzuciwszy pudełko Malwinie pod nogi, rzekła z płaczem: To sobie pani idź sama — ja za taką służbę dziękuję.

— „A Bronisława? Cóż się z nią stało?“

— „Cóż się da powiedzieć o niebie czystém, wypogodzoném i zachwycającem? a taką jest dziś już zamężna Bronisława. Nie tylko imieniem, ale i życiem swém bronić ona będzie sławy wszystkich zacnych polek.

ALEXANDER MOROZ.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

BARBARA RADZIWIŁŁOWNA

poemat dramatyczny A. E. Odyńca.

Przed laty, za panowania francuskiego klasycyzmu, wielki bywał zawsze kłopot o katastrofy traiczne z naszych dziejów. Nic a nic niekrwawa historya polska niemogła dostarczyć stósownego materyału do potrzeb ówczesnych traików; jakoż po długiem szukaniu znalazła się mityczna Wanda, wzgardzona małżonka Ludgarda, i otruta Radziwiłłowna — nieliczą̧c parę śmierci bohaterskich na polu bitew, jak: Warneńczyk i Żółkiewski; zwłaszcza że tego rodzaju katastrofa nierzadko spotykała się w wojowniczym narodzie. — Wyznawcy téj szkoły wyczerpywali do dna te motywa, zawsze jednym trybem z małemi tylko odmianami. Szczególniéj Barbara Radziwiłłowna przedstawiająca walkę namiętności z powinnościami monarchy, była najulubieńszym tematem. Ile mi wiadomo, najpierwéi obrobił ten podmiot Wolski,

w trajedyi: *Zygmunt August*, zapomnianéj dziś zupełnie; po nim Feliński i Wężyk — a nakoniec Magnuszewski, już romantyk, w ustępie dramatycznym: *Barbara Gasztołdowa żona*. Ostatni ten najgorzéj się przysłużył nieszczęśliwéj Barbarze, zrobił z niéj bowiem polityczną zalotnicę, zupełnie na krój balzakowskich heroin. Szkoła ta z bardzo małą odmianą te same cuda wyprawiała z historyją naszą, co i francuzki klasycyzm, — a może nawet i gorzéj, bo ostatni zamrażał tylko w formach sztywnych drgające prawdą życia i uczuciem postacie i wyrazy historyi, kiedy pierwszy bez żadnego względu przykrawywał je do swojéj idei, często bardzo fałszywéj. Ideje w pancerzach, kontuszach, perukach, robronach, bywają zazwyczaj maryonetkami, a raczéj znakami algebraicznemi, które mają zawsze służyć do dowodzenia czegoś. Dwie te szkoły mijały się ostatecznie z prawdą życia: jedna pod względem formy, druga pod względem ducha. Być z prawdą w formie i duchu należy do najwyższych zadań twórczości artystycznéj, a tem samém odpowiada wymaganiom narodu, który chce aby w tworach swojéj literatury znachodził najgłębsze i najrzeczywistsze odbicie się swego charakteru i jestestwa.

Dla tych to przyczyn widzimy dzisiaj rodzaj historyczny czy to w epopei czy to w dramacie, lub romansie, zupełnie inaczéj traktowany jak dawniéj. Poeta niemoże przestać na samem pochwyceniu jakiéj katastrofy na tronie, na kilku brzmiących nazwiskach, któremi chrzci swego wynalazku figury, najczęściéj bez żadnego stępla jak pieniądz zdawkowy — niepozwala sobie również podsuwać im myśl dzisiejszą, lub dążność świeżo wymarzoną, — lecz natomiast stara się zbadać charaktery osób zgodnie z tém co o nich przekazała historya, znać obyczaj panujący i fizionomię owego wieku, a co najgłówniéjsza, i bez czego nieuda się żadna kompozy-

cya historyczna, — winien być wtajemniczonym we wszystkie tajniki ducha i serca swego narodu.

Najprzepyszniejszy twór romantyzmu, Wallenrod — niczem nie zgrzeszył, okrom jednem, ż ezrodził nietylko myśl fałszywą, niechrześcijańską, ale i obcą narodowi. Złotolity płaszcz poetycznéj fantazyi nie jest nawet w stanie pokryć tę nędzę byrońskiéj rozpaczy.

Wpływy obcych wyobrażeń i uczuć przeciskały się do nas pod najzłudniejszémi formami i znachodziły mir — bo sami byliśmy z sobą w rozterce. Dojrzałość napojęć w tenczas dochodzi właściwego kresu, kiedy naród umié oceniać i czcić pożytek lub szkodliwość podawanych sobie pokarmów, aby je strawić mógł, i krwi dobréj sobie przysporzył — przeciwnie kiedy się chwyta lada nowości, dla tego że pozornie ponętna, i drażniąca ciekawość, dowodzi iż nierozmyślał nad sobą, że się nie poznał wewnętrznie, nakoniec że zapomniał czém był i nie wié dokąd ma iść. — Myśli jego jak wiatr pustyni, i droga téż pustynna.

Jest to widoczna dążność w tworach nowéj literatury do zgłębienia i poznania téj przeszłości historycznéj, która ma teraźniéjszości przyświécać, dążność o tyle dobra i zbawienna, o ile niemięszają się do sądów i widoków o téj przeszłości, dzisiejsze z obczyzny przyniesione systemata i pojęcia.

Wydobyć wielkie prawdy ducha z osób i zdarzeń dawno przebrzmiałych, i podać je w formie najwłaściwszéj — jedno jest, co znaleść język którym najzrozumialéj przemówić można do duszy narodu. Utwór taki silny prawdą i uczuciem, najzupełniéj może się obejść bez dzisiejszéj podszewki, którą w staroświeckim stroju nazywano *fałszem*.

Zapewne, wiele dziś i potrzeb i form towarzyskich całkiem innego jest kroju jak dawniéj — ale tu nie o nich mowa, tylko o tych ważniejszych sprawach co się

dzieją między ziemią a niebem, co dają grunt społeczeństwu, co je prowadzą i wychowują, i podług których naród winien być sądzonym. Byłże on chrześcijański lub pogański w swym historycznym żywocie? — Jeżli się pierwszego charakteru niezaparł do ostatniéj godziny — przystałoż uciekać się do pogańskich zaklęć i środków mających przywrócić zdrowie? Przeciwnie, siły odmładzające dadzą się tylko wyciągnąć z tych samych ziarn wielkiego chrześcijańskiego posiewu z którego wystrzeliło już raz wspaniałe drzewo; uprawa może być inna, lecz ziarno i grunt niepotrzebują odmiany.

Literatura wyrażająca te myśli i te dążenia staje się jedynie narodową — odbiegająca zaś od nich, lub wręcz im przeciwna, zawsze trącić będzie obczyzną, pomimo że dźwięki zachowa rodzime. Utwory piśmiennictwa, najlepiéjt eż ocenić się dają przez wykazanie mniejszéj lub większéj ilości zawartego w nich rodzinnego pierwiastku, który niekoniecznie mieści się w samym przedmiocie i jego zewnętrznych przyborach. Częstokroć z bardzo na pozór polskiéj szaty wygląda dusza nie polska. Grzéch ten cięży szczególniéj na większéj części powieściowéj naszéj literatury, umiejącéj patrzeć tylko w strony ujemne, a nie w żywotność, zapuszczającéj się w subtelności analizy, a nie zwracającéj uwagi na siły twórcze narodu. Są to niby lekarze co wypukują w ciele zarody wszystkich chorób, nazywają je, pokazują naocznie skutki rozwinięcia się każdéj — ale zresztą nic nie robią, aby żywotność wzbudzić, któréj źródło w siłach ducha, a nie w mniéj lub więcéj nadwerężonym ustroju. Po duchu zatem, a nie po szacie poznajemy kto nasz, kto cudzy.

Krótkie to objaśnienie zdało mi się potrzebném mającemu mówić o nowszym utworze Odyńca: *Barbara Radziwiłłowna.* Jest to poema dramatyczne z prologiem, w sześciu aktach; a zatem nie dramat w ścisłem zna-

czenia arystotelcicznych wymagań, które po koniec świata należeć będą do najsprawiedliwszych. Trudno jest autorowi robić zarzut z obranéj formy, tém więcéj, że we wstępie sam się z tego tłumaczy, mówiąc: „Celem moim było nie z historyi napisać poezyę — dramat; lecz raczéj za pomocą poezyi w formie dramatycznéj, pewną historyczną — nieśmiem mówić, epokę, lecz chwilę w duchownéj jéj prawdzie przedstawić, i psychycznie niejako objaśnić.“ — Nie przeczę, zamiar ten przeprowadzony przez cały utwór, zamyka wrota innym wymaganiom, i każe się sądzić jakim jest. Wszelako, byłoby wiele do pomówienia o samym zamiarze. czyli planie dzieła, mianowicie z tego względu, że wszelkie sceny oderwane, obrazy luźne, przeciwne są *jedności*, która od początku świata należała i będzie należeć do głównych warunków doskonałego utworu. Jedność w całości, a w jedności harmonia, ma ten osobliwy, a tajemny przymiot, że się daje ogarnąć; że czytelnik lub widz dopiéro czuje się zaspokojonym kiedy myślą panuje nad organicznym ogółem, kiedy się mu wiążą cząstki w całość, kiedy z konieczności wypływają następstwa; kiedy nakoniec sam odgaduje ideę poety z pochodu wypadków, i z działania charakterów.

Czemuż odłamki rąk, nóg, goleni, torsów, chociażby wyszły z pod dłuta najsławniejszych rzeźbiarzy starożytności, nigdy nie robią tego wrażenia co skończony posąg? Artysta wprawdzie zna się na nich; uczy się z nich sztuki swojéj, ale nie poprzestanie na saméj ręce, nogach, czole lub barkach Napoleona, tylko jeżeli ma robić, to skończy posąg bohatera.

W utworach poezyi — taka dzisiejsza estetyka — wymawiają się nowatorowie poróżnieni z formami dawnemi, że im nieidzie o formę, architektonikę, i organizm, tylko o ideę czyli ducha utworu; byle ją na wierzch wysadzić, przy każdéj sposobności potrącić, to

już mniejsza czy się cząstki logicznie i naturalnie trzymają ze sobą, czy jeden wypadek jest następnego matką, — kiedy górująca idea ma to wszystko związać, zeszyć i zesztukować. — Nowoczesna estetyka przyszła do tych wygodnych rezultatów, że się obchodzi bez doskonałéj formy, jak gdyby forma była czém innem jak wcieleniem idei, jak gdyby skończona całość w jedności i harmonii organicznej, nie była wynikiem głęboko pojętéj, uczutéj i przetrawionéj myśli artysty? W utworach dzisiejszych aż nadto widać tę rewolucyę zrywającą z warunkami kompozycyi. Miasto epopei mamy gawędę, miasto dramatu obrazki i sceny, miasto liryki, prozaiczny dydaktyzm. — Ztąd, o ile cząstki i szczegóły bywają misternie wyróbione, o tyle ujęcie ich w całość bywa zaniedbane, rozwleczone, trudne do ogarnięcia. Historyczność tak wszystkim zajechała w głowę, że ten i ów artysta zamiast z rysów jakiego zdarzenia stworzyć jeden charakterystyczny obraz, woli dawać długi szereg obrazków, z których dopiéro widz lub czytelnik ma sobie całość urobić. Takie wyłamanie się od obowiązków tworzenia w jedności i harmonii, wcale nie mówi na korzyść dzisiejszych zdolności kreacyjnych. Patrząc na historyę Syna Marnotrawnego we dwónastu obrazkach daleko mniéj doznamy wewnętrznéj rozkoszy, niż gdyby nam w jednéj scenie pokazano powrót Marnotrawnika w dom ojcowski. Artysta w twarzy i postaci Syna, zamknąłby całą jego przeszłość — i to wystarczyłoby do odgadnięcia téj przeszłości daleko wymowniéj, niż cały szereg scen, łatwo dających się pojąć kiedy patrzymy na skutek.

Uwagi te stosują się o tyle do Autora Barbary, że tenże należąc do piérwszego rzędu pisarzy, powinien był już odstąpić od romantycznego wybryku, co z razu był zaprotestował przeciw całéj mądrości wieków, i co pogruchotał wszystkie formy, aby żadnéj nie stworzyć.

Wielka tradycya sztuki ma swoje prawa zasługujące na uszanowanie, tém więcéj że duch nowożytnéj poezyi nie traci ale owszem zyskuje, jeżeli się im poddaje. — Mówiąc dawniéj o *Felicycie* tegóż autora, pominąłem warunki kompozycyi; sztuka ze swojemi wymaganiami zdała mi się być profanacyą tych świętości jakie przedstawił wielki obraz Męczenników Kartagińskich. Uważałem nawet, że te względy światowe nie miały co robić tam, gdzie rzecz sama odbywa się w wyżynach ducha, gdzie słowa miały znaczenie modlitwy, a działanie szło krok w krok za tradycyą kościoła.

Lecz co się usprawiedliwiało w *Felicycie*, nie może być usprawiedliwieniem w historycznym dramacie *Barbary*, bo czytając go żałujemy że się ciąg co chwila przerywa, że znikają osoby, które nas zaczęły zajmować, a zjawiają się nowe, z któremi dopiéro trzeba robić znajomość; że przyszedłszy wreszcie do końca, nie czujemy się zaspokojeni. Obrazki mignęły jak fantasmagorya, a o losy głównych aktorów dramatu dopiéro dziejów pytać należy. Sama idea, choćby najwznioślejsza i najprawdziwsza, nie jest dostatecznym cymentem do związania w całość rozprószonych cząstek, co choć mają wartość cennych pereł i diamentów, tylko w ścisłém połączeniu i układzie mogą stać się królewską ozdobą.

Kto takiemi materyałami rozporządzał jak autor Barbary, kto z nich myśl wydobył tak szczytną, kto bohaterkę swoją podniósł do wysokości Jadwigi i kazał jéj dopełnić przez *miłość* dzieła połączenia Korony z Litwą zaczętego przez *pokorę i wiarę*, temu niewypadało obiérać luźnéj i do niczego nieobowiązującéj formy obrazków dramatycznych. Cóż wynikło z tego systematu? Oto brak ciągle utrzymującego się żywego interesu i brak charakterów przeprowadzonych od początku do końca ze wszystkiemi konsekwencyami i brak żelaznych konieczności, z któremi podjęta walka odkrywa głębokie

strony serca i ducha; a jednak wszystko to znajduje się pełnémi garściami rozsypane w tym poemacie-dramatycznym, grzészącym raczéj nawałem niż ubóstwem barw, sytuacyi, cieniowań i ustępów mających dopełniać całość, niebędącą całością. — Podług mnie, obranie tego rodzaju formy, co nie jest ani dramatem, ani poematem, a chce być jednym i drugim w brew naturze rzeczy, pochodzi z zapomnienia, czy lekceważenia tych własności jakie każdemu rodzajowi literatury przystoją. Historya ma inne warunki kompozycyi, jak poezyja; piérwsza gromadzi wypadki z ścisłą dokładnością i opowiada je jak się stały; druga zbiéra rysy charakterystyczniéjsze, idealizuje, tłumaczy psychicznie zaglądając w tajemnice serca ludzkiego. Dokładność dat, kolei, jakimi szły zdarzenia, mniéj obchodzi poezyę, chyba że sobie weźmie za cel rymować historyę, w którym to przypadku przestaje być sobą. Słowem historyczność wprowadzona do naszéj poezyi rozsiadła się w niéj tak udzielnie, że mało co zostawiła dla twórczości, dla wyobraźni, dla kunsztu. Poeta skrępowawszy się wymaganiami historycznéj dokładności, musi posługiwać się postaciami, jakich mu kronika dostarcza, chociażby takowe nie miały za sobą nic innego tylko brzmiące historyczne imię. Nareszcie, patrząc w roztoczony przed sobą széroki obraz jakiego zdarzenia, rozmiłowuje się w nim od początku do końca, od szczegółu do szczegółu, każde słowo zda mu się ważném, każda osoba zasługująca na uwagę, z czego wynika iż kompozycya jego staje się mniéj ściśniętą, przetrawioną, a więcéj uległą tym własnościom jakie historycznemu opowiadaniu przystoją. Przed laty francuz Vitet udramatyzował w ten sposób śmierć Henryka Walezyusza, Barrykady i inne ustępy z historyi Ligi. Założyciel tego rodzaju kompozycyi, małoj znalazł w swoim kraju naśladowców, i sam już poszedł w zapomnienie. W Barbarze Radziwiłłownie

Odyńca postrzegam tę samą drogę, i nie przestanę ubolewać dla czego mogąc stworzyć w ścisłem znaczeniu dramat, coby podniósł do nieznanéj wysokości naszą scenę, wolał napisać książkowy poemat. Przedmowa, jaką zagaił do panów krytykow, aby Barbary nie sądzili podług wymagań sztuki dramatycznéj, nie potrzebna jest — nikt bowiem nie będzie szukał tam dramatu, gdzie widoczna intencya, aby go nie było; co jednak nie przeszkadza, żeby każdy biorący do ręki tę książkę, niepomyślał sobie: ileż tu piękności straconych, ile postaci skazanych na milczenie! — Nie jedna z tych scen, które myśl w cichości przebiega, o wieleżby zolbrzymiała w żywem przedstawieniu, i o ile silniejsze wycisnęłaby na widzach, niż na czytelnikach wrażenie! Niech sobie romantycy co chcą mówią, niech formom uznanym nadają najdziwniéjsze przeznaczenie, przecież niepotrafią przekonać, żoby dramat miał jaki inny cel, niż deski teatralne. Mamy na to romans, i to romans historyczny, który naturą swoją tak zbliża się do historyi — w jego ramy wszystko da się pomieścić, jak w bigos staropolski wszystkie rodzaje mięsiwa — formie tylko dramatycznéj, nie odpowiada inny cel, krom gra sceniczna. — Książek i dobrych i złych, mamy podostatkiem do czytania — lecz sztuk teatralnych godnych przedstawienia, aż nadto mało. Ta szczéra troska o scenę, pobudziła mię, żem z téj strony zaczepnie natarł na Barbarę, żem nieuwzględnił z razu intencyi autora, tak, jak słusznie wymaga jego niepospolitéj piękności utwór — wszelako wolałem na wstępie wypowiedzieć mój żal, uskarżyć się na to nadużycie dramatu, które idąc z góry ośmiela poczynających do lekceważenia tradycyi po mistrzach odziedziczonych, i coraz bardziéj oddala od nas nadzieję doczekania się dramatów przeznaczonych na scenę, — wolałem wystąpić jak przeciwnik tego rodzaju nowości — aby z pełną

miłością powitać Barbarę przedstawiającą się nam w czystem świetle prawdy historycznéj, i cenniejszéj od niéj prawdy serca ludzkiego podniesionéj do wysokości ofiary łączącéj dwa narody — przez miłość.

Poeta wierny planowi, który go o tyle obowiązywał, że nie wypadało mu pominąć żadnéj sceny, żadnéj intrygi, żadnego objawu opinii przychylnéj lub nieprzychylnéj ożenieniu się Zygmunta Augusta z Radziwiłłowną, ukazuje nam Barbarę, w chwili samotnego wygnania na zamku dubińskim i prowadzi przez wszystkie burze publiczne i domowe, aż do szczęśliwego zakończenia piótrkowskiego sejmu, który mimo hałasów na króla za dowolność w obraniu żony, — pogodził naród z Panem, a Barbarze dał koronę, mającą niebawem zamienić się w biały wieniec grobowych lilii. — Katastrofa otrucia Barbary z rozkazu Bony, szczęśliwie wyminięta; raz że historya nie udowodniła téj zbrodni, powtóre, że poeta wolał ją zrobić ofiarą tych nienawiści i swarów, do jakich dało powód wyniesienie na tron Jagiełłów poddanki. — Miłość odniosła tryumf — lecz płaszcz królewski nakrył ją całunem. Nieszczęściami struta dusza i złamane ciało niewytrzymało pierwszych chwil ustalonego szczęścia. — Barbara przemyka się jak złoty promień uśmierzający walkę wzburzonych żywiołów. W tych słowach możnaby zamknąć treść książki — lecz aby poznać rozmaitość scen, barwę wieku, wyobrażenia i namiętności, typy i charaktery historyczne, trzeba krok w krok iść za poetą, — i przypatrzyć się każdemu z tych kilkunastu obrazów.

Poemat rozpoczyna się prologiem. W Wilnie na odgłos dzwonów, zbierają się mieszkańcy i pytają: kto umarł? — Król nie żyje! — wczoraj posłaniec przybiegł z tą wieścią do królewicza. — Z tego wszczyna się rzecz o tajnem jego małżeństwie z Radziwiłłowną, które niepodoba się wielu panom Litewskim, szczególniéj

kasztelanowi Trockiemu, Chodkiewiczowi. Tymczasem z bram zamku wyjeżdża trzy dworskie kolebki — dokąd zmierzają? zapewne jadą do Dubienek po Barbarę. — W téj pierwszéj scenie zręcznie rzucił poeta całe tło, na którém ma się odegrać smutna historya żony Zygmunta Augusta, jako to: nienawiści panów przeciw wyniesionemu tak wysoko domowi Radziwiłłów, intrygi Bony, która nieumie się cofać przed żadną zbrodnią jeżeli ją ma doprowadzić do celu, i przyjazd jakiegoś tajemniczego Włocha przysłanego przez Bonę.... Niedobre wróżby ogarniają serca szczęśliwych z swéj młodéj królowéj Litwinów. — Czart, widać zaczął sztuki swoje....

W następnéj scenie przenosi nas Poeta do zamku Dubinek, gdzie August, po zawarciu tajemnych ślubów z Barbarą posłał ją na mieszkanie. Życie téj Pani płynie jak w klasztornéj ciszy; skromnie ubrana, poświęca się tylko uczynkom miłosiernym pielęgnując i pocieszając ubogie wieśniactwo. Miłość osładza jéj te posępne chwile wygnania, choć otaczający ją dworzanie nudzą się na zabój; nawet jowialny Dowojna jéj piérwszy dworzanin i lekarz, nie zawsze bywa dowcipny i wesoły, i nie zawsze umié lekami swemi rozpędzić cierpienia Barbary. — Niespokojna o swego Pana i małżonka, z którym niewidziała się od pięciu miesięcy, niespokojniejsza, że sen téj nocy napędził jakieś przeczucia złowrogie, chciałaby usłyszeć słowo pociechy od swego brata podczaszego Radziwiłła.... Tu przychodzi wielkiéj piękności scena odsłaniająca charakter Barbary zahartowany w cierpieniach. Podczaszy przywykły traktować ją lekko jak ładną, zakochaną, a może i próżną dziéweczkę, z podziwieniem odkrywa w niéj mężną niewiastę pojmującą wysokie powołanie królowéj, acz pełną trwóg o przyszłość tego związku zawartego bez wiedzy i pozwolenia Stanów. —

Drżę by tam w Polsce króla nie zmuszono
Wybierać między żoną, a koroną —

Powiada Barbara, na co Podczaszy:

Król przeniewierstwa pewno nie wybierze. —

Barbara znająca charakter męża, tém więcéj trwoży się, że niedopuszcza aby jéj wiarę złamał; lecz z drugiéj st:ony:

Miałbyż więc dla mnie z Jagiełłów ostatni,
Dwóch wielkich ludów zrywać węzeł bratni,
Co spoił pierwszy? co święta Jadwiga,
Krzyżową serca kupiła ofiarą?
Co Bóg uświęcił pokojem i wiarą?...
O jakby straszny był sąd nad Barbarą!—
Lecz wzór mój Ona! Jéj siła mnie dźwiga,
Ona mi będzie przed obliczem Bożém,
Moją patronką i Aniołem stróżem;
I w niéj nadzieja, że zjedna u Nieba,
Że gdy czas przyjdzie, a ofiary trzeba,
Spełnić ją zdoła moja własna wola,
Nie wstręt narodu, i nie przymus króla.
Aż grób mój rzeknie światu: „godną była
Serca Jagiełły i krwi Radziwiłła.“ —

W tych słowach odmalowany charakter bohaterki — a raczéj jest to jéj manifest wypowiedziany przed sobą i Bogiem, w chwili wstąpienia na stopnie tronu.... Dotrzymuje go też wiernie do końca, zwyciężając siłą miłości burze jakie przeciw niéj powstawały na sejmach i zjazdach.... Taką to wzniosłą myśl wlał poeta w tę uroczą postać — historya nie zada mu kłamstwa, — nie powie że zidealizował — bo same fakta wyraźnie

świadczą że początkowe krzyki na króla wzniecone na sejmie piotrkowskim przez intrygi Bony i fakcyą nowatorów protestanckich, uspokoiły się potém, nie groźbą zamykającą usta, nie tyrańskiemi sposobami monarchy, ale snadź samym urokiem téj miłości wielkiéj i cichéj na tronie. — Jak Augusta tak i poddanych serca podbiła Barbara....

W dalszym ciągu prologu udramatyzował poeta humory panów litewskich, szczutych do buntu przez wysłańców Bony; — jednych oburzało małżeństwo królewskie z tej przyczyny, że przez to wyniósł się dom Radziwiłłów, już obudzający zawiść pierwszeństwem jakie miał na Litwie: drugich ciągnęła chętka oderwania się od Korony, w obawie téj równości szlacheckiéj co wiała z tamtąd i co mogła ukrócić butę kniaziów możnowładnych — wszystkie te atoli chmury przeszły bez piorunów, — bo kiedy Zygmunt August zwołał senat do Wilna i przedstawił mu swoją małżonkę, —zaden głos nie śmiał się odezwać z przeciwnym zdaniem — Litwa, to jego dziedzictwo — tu nie było jeszcze woli narodu.... Jednogłośnie też wykrzyknięto Barbarę W. Księżną Litewską — krom kilku, którzy nie mając sposobu dogodzić swéj nienawiści, gotowali się wystąpić z opozycyą na sejmie koronnym.... Odgaduje to Barbara przeczuciem, gdy mówi do małżonka:

O! nie o Wilno jam drażła; — lecz Kraków....

Lecz Zygmunt i w tem ją uspokaja —

Ty nie znasz polaków.
O nichby iście powiedzieć w tym razie:
Nie tak lew straszny, jak zda się w obrazie.
Gniew ich, zaprawdę — to lew; lecz zawziętość
Rozbraja lada wzruszenie lub świętość.

Rad ich burzliwość — to fala hucząca;
Lecz ją uśmierza lada promień słońca.
Umysł — to istny firmament ich ziemi.
Lada wiatr — mgli się, chmurami się ciemi,
Szumi, grzmi, błyska — i nagle się zmienia.
Czekasz piorunów — masz łzy rozrzewnienia,
Duch wzdęty pychą, przez miłość się zniża
U stopni tronu, lub przed znakiem krzyża,
Tak, że dłoń króla, by karcić wzniesiona,
Musi ich tylko przytulić do łona. —

Doskonale w tych wierszach skreślił poeta ten charakter narodu, żywy, zrywający się, lecz topniejący na pierwszy czyn miłości. Niektórzy radziby to nazwać brakiem charakteru, nie znajdując gdzie pomieścić zemstę, i nieugiętą zawziętość, co nie gardzi nawet zbro dniami aby zamiar osiągnąć. — Darmo! różnymi przymiotami poobdzielał Pan Bóg narody, — naszemu dał miłość, kórą go prowadzić można; uczucie to najbardziéj chrześcijańskie, przynosi tylko najwyższy zaszczyt narodowi, który je umiał w sobie do takiéj wysokości wyrobić. — Że mu się niepowodziło w świecie? — to inna kategoria — czyż i między ludźmi najcnotliwsi, najsilniéj miłujący', bywają szczęśliwi? a mimo tego nikt temi przymiotami nie gardzi, chociaż pomyślność ziemska najczęściéj nie bywa ich udziałem; — z resztą, o ile wiem niewynaleziono dotąd lepszego programatu, ani dla władzców, ani dla rządzących — gdy ani prawa ani siła, nie dają tych rękojmi co obopólna miłość i zaufanie. —

Chociaż taki ideał króla i królowéj przeprowadza poeta w swym dramacie, jednakowoż niezrywa z rzeczywistością; owszem pozostaje jéj ściśle wiernym, bo historya mówi to samo, przez usta najznamienitszego historyka Mikołaja Malinowskiego, który w ten sposób

pojmuje ducha rządów ostatniego Jagiellona: „Zygmunt August, którego treścią charakteru była miłość, a znamieniem rozumu umiarkowanie, za główne prawidło swojego królewskiego zawodu poczytał, utrzymywanie lekką, a zręczną ręką, równowagi między władzą królewską a prawami narodu. Głęboko pojąwszy przyrodzony jego charakter, widział on, że bezwlgędnym rozwojem siły, rozjątrzyć go tylko i znarowić można. Wyrozumiałością, trafną zwłoką stanowczéj odpowiedzi, beznamiętnem przyjmowaniem choćby najdaléj posuniononych żądań, umiał on najzawilsze okoliczności rozwiązywać, najgwałtowniéjsze wzburzenia umysłów koić, i najdaléj rozstrzelone wymagania kojarzyć.“ Król umiejący sterować nawą Rzeczpospolitéj po falach swobód szlacheckich, śród szkopułów herezyi godzących na kościół, przez wiry tych wątpliwości jakie nowe doktryny wyrabiały w sercach poprostu wierzących, król taki nie znał i nie wyznawał innéj zasady tylko zasadę chrześciańskiéj miłości, i był téż chrześciańskim panem w pełném tego słowa znaczeniu. Śliczną tę postać Zygmunta opromienioną miłością ku Radziwiłłownie, będącéj symbolem serdecznéj spojni Litwy z Koroną, przedstawia poeta na tle buty i swawoli szlacheckiej co zakosztowawszy owoców reformy, coraz mniéj czuła się ścieśnioną przez te węzły moralne w jakich ją utrzymywała władza Rzymu — naprężony stosunek niezrywa się jednak ani mimo intryg Bony, ni zachceń i nienawiści możnowładzców. — Serca kochanków na tronie podbijają serca milionów, — a chociaż jedno ma pęknąć w tak ciężkiéj próbie, zostaje ta myśl pociechy wewnętrznéj, że niebo mile przyjęło tę ofiarę, gdy w lat niewiele wynagrodziło narodowi ostateczną i wieczną unią Litwy z Koroną.... Poeta nie szukał tu katastrofy traicznéj — co się zazwyczaj kończy — bez nadziei.

Ślicznie on pojął trajedyę w duchu czysto chrześciańskim, polskim.... Śmierć u niego nie wstrząsa i nie przeraża rozpaczą; jest raczéj ofiarą, okupem blizkiéj pomyślności, blizkiego zwycięztwa prawdy.... Ależ nie wybiegajmy po za kres toku zdarzeń! — Dopiéro prolog — królewscy kochankowie jeszcze na Litwie w piérwszych uniesieniach związku niepotrzebującego być już tajonym w obec spółziomków....

Pan i dziedzic Litwy ogłasza wolę swą poddanym i skroń Barbary uwieńcza mitrą Wielkiéj Księżnéj Litewskiéj.... Lecz to dopiéro drobna cząstka tryumfu.... Król Elekt, w obec wolnych głosów koronnych, ma się usprawiedliwić ze swego postępku.... A tu już wrą namiętności, którym ten krok może posłużyć za pretekst— a tu Bona z kreaturami swemi — istna Makbetowska czarownica — warzy w kotle trucizny, któremi ma napoić serca obywateli, lub dostać się choć jedną kropelką w serce nienawistnéj synowéj....

Całe sześć aktów dramatu poświęcił poeta na odmalowanie tego historycznego kartonu. — W następnym przeglądzie będę się starał streścić tę całość, i pokazać o ile autor dopiął swojéj myśli. —

Lucyan Siemieński.

ANGLIA I ROSYA.

Pod tym napisem *) wyszła w Paryżu w przeszłym miesiącu broszura, która znanemu nazwisku swego autora, zawdzięcza zapewne i rozgłos jakiego nabyła, i drugą edycyę któréj się w bieżącym doczekała miesiącu. Autor jéj, p. Amedeusz de Cesena, nie jest, jakto mówią, dzisiejszym pisarzem. Rok 1853 a zatem i sprawa Wschodnia zastała go na czele redakcyi *Constitutionnela.* Dziennik ten używany był często przez rząd francuzki do objawiania pewnych myśli lub planów za śmiałych dla ostrożnego i poważnego *Monitora,* do macania opinii publicznéj; często też jak to bywa w takich razach, stawał się kozłem ofiarnym, i rząd go poświęcał; zawsze jednakowoż zajmował on przeważne stanowisko w prasie europejskiéj, a w ogóle artykuły w nim wydatniejsze były pióra p. Ceseny i nosiły jego

---

*) *L' Angleterre et la Russie, par Amédée de Cesena,* Paris, Garnier Frères, Libraires 1859.

podpis. Wszyscy też dziennikarze którzy nie podzielali jego opinii, a w ówczesnéj polemice udział brać musieli, mieli z nim wiele do czynienia, bo p. Cesena przemawiał zwykle bardzo stanowczo i orzekał jakby wyrocznia.

Publicysta ten, był wówczas przekonany, że dosyć jest powstrzymać zaborczą politykę Rosyi, usunąć jéj wpływ od Stambułu, aby zapewnić Turcyi żywotność. Zdaniem jego kongres paryzki dokonał tego zadania, przeto też kończył i zamykał kwestyę Wschodnią. Całą swą dyalektykę, którą nie bez talentu szermierzył, wytężał p. Cesena na obronę premissów i konsekwencyj. Wiadomo jak dalece cała ta teorya okazała się błędną. To też p. Cesena, opuściwszy niewiedzieć z jakich przyczyn redakcyę *Constitutionnela*, i zostawszy jak się zdaje pisarzem niepodległym przyznaje się wprost do błędu, i zaczyna swą broszurę od następujących wyrazów:

„Rasa Ottomańska jest nieodwołalnie skazaną na upa„dek. Tryumfalna i tryumfująca wyprawa Krymska, „uchroniła Europę nie zbawiwszy Turcyi. Kongres pa„ryzki mógł zawyrokować nietykalność państwa Sułta„nów: żywotności wrócić mu nie mógł... W ostatnich „czasach, złudzenie które podzielałem, rozpowszechniło „się naglę w Europie. Mniemano, że Turcyę wskrzesić „można, lecz burze które nadciągnęły niespodziewanie „ze Wschodu i z Zachodu rozpędziły wkrótce to zniko„me złudzenie. Wskrzesić Turcyę! to marzenie, marze„nie niepodobne do wykonania, po trzykroć niepodobne! „Zboże nie rośnie na skale! niema krwi w kamieniu! „Śmierć nie zrodzi życia! Umierającemu gotuje się gro„bowiec a nie kolebkę! Ubolewać wypada, że całun je„szcze nie gotów bo trup już czeka“...

Z kilku tych przytoczonych ustępów przekonać się łatwo, jak dalece owo złudzenie, do rozpowszechnienia

którego przyczyniał się zawzięcie p. Cesena, ustąpiło w jego umyśle innemu przekonaniu. Wyznanie tak szczere niepozwala podejrzywać go, że to co dawniéj pisał, było po prostu koniecznością dziennikarską. Skoro więc dawna jego opinia była przekonaniem, powody które go skłoniły do tak stanowczéj zmiany zdania, musiały być różne od tych, których przeciwnicy jego ówcześni używali, a które żadnego wówczas nie czyniły na nim wrażenia. Takby się zdawało; ale tak nie jest. Dowodzi tego sama broszura.

Autor podzielił ją na trzy rozdziały. W pierwszym pod napisem: „Turcya i Europa" to co najlepszego, jest właśnie przytoczone odwołanie dawniejszych błędów. Daléj dowodzi p. Cesena bardzo energicznie, że rasa ottomańska nie zapuściła nigdzie korzeni w Turcyi europejskiéj; że wszędzie stoją całkiem odrębnie zdobywcy i podbici; że niema innego w Turcyi prawa, prócz prawa mocniejszego, że Turcy weszli do Europy jako zwycięzcy a wyjdą z niéj jako zwyciężeni, że państwo Ottomańskie jest państwem zbutwiałem, a skoro mówić mu przychodzi o przeistoczeniu Turcyi na państwo cywilizowane za pomocą reform, woła: złudzenie! złudzenie! stokroć złudzenie!...

Wszystko to może być nowem dla p. Ceseny, który wprost temu przeciwnie utrzymywał w *Constitutionnelu*, ale nie jest nowem bynajmniéj ani dla Europy ani dla Francyi, ani nawet dla Paryża, który wszystkie te zdania czytał aż do przesytu w innych dziennikach. Podziwiać tylko trzeba śmiałość powtarzania w r. 1858 zdań tak oklepanych. Co do przyszłości, p. Cesena nie otwiera także żadnego nowego pomysłu. Widzi rasy chrześciańskie wzbraniające się znosić dłużéj jarzma islamizmu; widzi wpływ rosyjski, który się wzmaga skutkiem polityki angielskiéj występującéj przeciw wszelkim narodowościom: powiada, że jeżeli Stambuł pozo-

stanie w ręku Sułtana, to za lat pięćdziesiąt, będzie niechybnie w ręku Cara, a kongres paryzki według niego otworzył kwestyę Wschodnią, którą zamknie jakowa niespodzianka Bóg wie kiedy, i Bóg wie jak. Widzieć tak daleko jak p. Cesena każdy potrafi. Ale nie dość narzekać na politykę angielską i europejską, zamiłowaną w półśrodkach i prowizoryum, wypada przewidzieć co się z Turcyą stanie. P. Cesena nie chce przepowiadać, i słusznie czyni skoro nie wie; ale jakiż cel może mieć jego broszura? Kilka ogólników o wyzwoleniu ludów chrześciańskich, o ugruntowaniu narodowości, to nie dosyć. Co się stanie ze Stambułem, to kwestya najważniejsza. Autor rzuca domysł, że będzie on miastem wolno handlowem z załogą zbiorową i wspólną wszystkich mocarstw gwarantujących byt jego, lub też opanuje go Rosya jeżeli Anglia nie zmieni swéj polityki. Koleje żelazne rosyjskie zabiją wpływ angielski. Rosya zagarnie cały handel Wschodni, którego kluczem będzie Konstantynopol.

W drugim rozdziale: „Indye i Anglia“, p. Cesena z całą gorliwością politycznego neofity stawia drugi grobowiec. „Godzina upadku Anglii wybiła. Prawda ta „chociaż oklepana, niemniéj jest prawdą. Zanim wiek „XIX dobieży ostatniego roku swego, pani mórz zejdzie „do roli Holandyi“... Tego wyroku ogłoszonego zaraz na wstępie, pożyczył autor od p. Ledru Rollina *), z tą różnicą, że ten ostatni przemawiał z trójnoga w 1850 r. a p. Cesena w ośm lat późniéj, że p. Ledru Rollin pisał przed powstaniem indyjskiem, a p. Cesena w rok po tym wypadku. Jako prorok członek rządu tymczasowego Francyi republikanckiéj stoi nierównie wyżéj od naczelnego redaktora imperyalistycznego dziennika.

---

*) *De la decadence de l'Angleterre*, par **Ledru Rollin, Bruxelles 1850.**

Nawet jako publicyście przyznaćby wypadało wychodźy-londyńskiemu wyższość. Pisze on o upadku Anglii, przeo powiada go i dowodzi, ale jest to upadek starej Anglii, *Old England*, nowej zaś Anglii, Anglii demokratycznej, wspaniałe naznacza koleje. Pisze dla tryumfu demokracyi: można się różnić z nim co do zdań, loiki odmawiać mu nie można. P. Cesena ogłasza zmiany przez które Anglia przechodzi za upadek, tak jak chorobę Turcyi mieni być już śmiercią. Wyrażenie się cesarza Mikołaja o Turcyi „chory człowiek“ jest tak trafnem, że je poprawiać nie łatwo. Zastósowanie go do Anglii jest prostą przesadą, żadnéj wagi w publicystyce nie mającą. Podobne wyskoki jeden tylko otrzymują skutek: wywołują reakcyę. Z przykrością potem czytać przychodzi gdy pisarz taki jak hrabia Montalembert w zapale usprawiedliwienia Anglii utrzymuje, że postępowanie jej w Indyach było prawie nienaganne. Taka polemika jest całkiem bezowocna bo na fałszywem stanowisku się odbywa. Francuzi dobrze to nazywają: są to spory między *Anglofobami* i *Anglomanami*....

P. Cesena aby dowieść swego założenia, to jest, że Anglia w przeciągu niespełna lat pięćdziesiąt, będzie pod względem swego wpływu tak obojętnem państwem jak dzisiaj jest Hollandya, opiera się na powstaniu indyjskiem. Wymownie i nader obszernie rozpisuje się nad zarządem Anglików w tych koloniach, nad historyą powstania i wojny, wykazuje nareszcie, jak dalece osłabi ono Anglię i jakie w jéj organizacyi zmiany zaprowadzić musi. Nic słuszniejszego, ale pisać to wszystko po upadku Kompanii indyjskiéj, po bilu indyjskim, to za późno. Nie ma żadnéj zasługi widzieć to dzisiaj co inni przed rokiem widzieli. Dobrzeto jest przyznawać się otwarcie, chociaż późno, do zdrowego widzenia rzeczy pod względem powstania indyjskiego, ale nadużywać tego nie należy. P. Cesena nadużywa zaś i po-

wtarza z wielką przysadą takie rzeczy, którychby już dzisiaj żaden dziennikarz powtórzyć się nie ośmielił. Któż mu nadał monopol udawania starych zdań za nowe? Bo co do przyszłości, konkluzye p. Ceseny są nader skromne. Ratunek Anglii widzi on w opuszczeniu zbyt obszernych posiadłości nadgangesowych, i w oddaniu ich właściwym książętom, z pozostawieniem sobie tylko handlowego panowania. Nieraz już o tem była mowa od roku. Ale p. Cesena słusznie pyta, czy to być może, czy duma i zaślepienie Anglii, zezwoli na środek tak radykalny? Inaczéj zaś widzi on jéj upadek, na tym upadku wzrastającą Rosyę, sięgającą już przez Indye do Chin, hasłem zaś a oraz epoką tego upadku będzie według niego przekop międzymorza Suezkiego.

Z Indyj przenosi się pan Cesena nagle do Włoch, w trzecim rozdziale pod napisem: „Włochy i rewolucya". Dla czego — spytaćby można — ten skok niespodziewany? Oto Włochy wydają się p. Cesenie wulkanem ciągle otwartym. Wybuch jego mógłby sprowadzić pożar na Europę, któremu zapobiedz tem bardziéj wypada, że wstrząśnienie spowodowane rewolucyą włoską, łatwo spotkaćby się mogło z katastrofą sprowadzoną rozbiorem Turcyi. W kombinacyi téj korzystałaby głównie Rosya nad Bosforem i nad Gangesem. Tego obawia się p. Cesena, zwłaszcza widząc, jak Anglia fałszywą polityką utraca coraz bardziéj swój wpływ na półwyspie włoskim.

Przewidując tak olbrzymią katastrofę, p. Cesena nie wpada jednakowoż na żaden pomysł któryby ją mógł albo uprzedzić albo też gdyby nadeszła zaradzić jéj „Nie jestem [fanatykiem narodowości — pisze on — „nie wierzę, aby Bóg podzielił był ludzkość na oddziały „tak odrębne, iżby się nigdy z sobą zlać nie miały"..

Nie wierzy więc p. Cesena w podział na narody, bez narodowości jednak jak się zdaje obejść się nie może.

W Turcyi chce aby uczynio no zadość życzeniom ludności chrześciańskich; w Indyach, aby wrócono kraje książętom narodowym, a we Włoszech pisze za niepodległością Medyolańczyków, którą Europa otrzymać mogła, jak powiada, od Austryi, w zamian za Księstwa naddunajskie. Ale Europa tego niechciała, bo przekłada nad wszystko tymczasowość, i spuszcza się na niespodzianki. P. Cesena spuszcza się także na nie, przynajmniéj we Włoszech, bo zapisawszy kilka stronnic, nic nieznaczącemi ogólnikami o Lombardyi, Neapolu i Piemoncie, a nader fałszywemi o Rzymie, kończy rozdział i z nim broszurę, pogróżką wojny ogólnéj, którą sprowadzi bezwładność europejska, bądź z Włoch bądź ze Wschodu. W téj wojnie Rosya będzie narzędziem opatrznem. Ale Bóg nie czyni nic na próżno. Jeżeli misya Rosyi jest cywilizacyjna na Wschodzie, zatrzymać się ona musi na Zachodzie, bo tam stoi Francya z całą potęgą siły moralnéj naprzeciw sile materyalnéj.

Z krótkiego tego przedstawienia treści, a dłuższego uczynić bez znużenia czytelnika nie można, przekonać się łatwo, że cała broszura jest tylko walką wydaną przez p. Cesenę dzisiejszego niepodległego pisarza, panu Cesenie dawnemu redaktorowi *Constitutionnela*, w któréj to walce pierwszy odnosi z łatwością zwycięstwo. Zwycięztwo to przygotowała mu wielka część europejskiéj prasy, a co większa wypadki jakie się od wojny Wschodniéj zdarzyły. Lecz zmiana opinii jakkolwiek chlubna, nie jest zajmującą, chyba w ludziach politycznych, w ludziach stanu. Autor broszury nie jest ministrem, ani się na to nie zanosi; podziwiać więc tylko należy rozgłos jaki praca jego nabyła.

Tytuł „Anglia i Rosya“ kazał się zaprawdę spodziewać czegoś więcéj. Antagonizm jaki między temi państwami istnieje, mógł dostarczyć wielu żywiołów do zajmującej publikacyi. On to przed półtora rokiem ożywił

broszurę p. Żerebcowa, o któréj w miesiącu lipcu r. z. na tém samem miéjscu zdaną była sprawa *). P. Żerebców wywiązał się nierównie lepiéj z tego zadania niż p. Cesena. Ważność kolei żelaznych azyatyckich, przekopu Suezu. na których się opiera p. Cesena, aby wykazać, jakie niebezpieczeństwo grozi Anglii od Rosyi, bez porównania lepiéj, dokładniéj i polityczniéj wykazał autor rosyjski. A nadto p. Żerebców nie miał jeszcze za sobą takich wypadków jak powstanie w Indyach i traktat z Chinami zawarty przez Rosyą w obec statków kanonierskich Anglii i Francyi, a korzystniejszy od traktatów jakie oba te mocarstwa zawarły. Czyż nie uderzyła p. Cesenę tak zadziwiająca okoliczność, że wojna Wschodnia któréj ostatecznym rezultatem było zamknięcie portu wojennego w Sebastopolu, posłużyła Rosyi do nabycia stacyi morskiéj na brzegach morza Śródziemnego?. . .

Ale p. Cesena pisząc o polityce przyszłości, nie zebrał nawet symptomatów obecnych. Co gorsza, i w tem największa jego wina, zapomniał prawie, że jest Francuzem. Chociaż nie jest jak powiada fanatykiem narodowości, posądzać go nie można, aby niechciał być członkiem swego narodu. Czemuż więc nie oznaczył stanowiska Francyi w tem starciu się koniecznem Anglii z Rosyą jakie przewiduje? Kilka wyrazów szumnobrzmiących na końcu broszury, przytoczonych wyżéj nie wystarcza. Stanowisko Francyi jest chlubne i szlachetne, i nie tylko na Zachodzie, jak powiada p. Cesena. Na Zachodzie Francya przestawia katolicyzm i posłała mu gwardyę do Rzymu. Na Wschodzie Francya jest reprezentantką prawdziwéj cywilizacyi, to jest chrystyanizmu. Takie jest dzisiaj stanowisko Francyi, po-

---

*) Patrz *Dodatek* T. VII str. 210 Rosya i Kwestye społeczne. (*Les trois questions du moment*, par Nicolas de Gérebtzoff. Paris E. Dentu 1857).

mimo wszelkich odcieni i wymagań politycznych. Z tego co p. Cesena w trzecim rozdziale o Papieżu pisze, wnosić można, że innego jest zdania. Ale po tak szczerem wyznaniu, że miał złudzenia o Turcyi, wątpić nie należy, iż przyjdzie czas, kiedy równie szczérze wypowié, że był w błędzie co się tyczy władzy papiezkiéj i misyi swojego kraju.

MAURYCY MANN.

KRONIKA.

Kraków w listopadzie.

Długie wieczory listopadowe muszą być czemś zapełnione, a sposób w jaki się to dzieje, daje świadeclwo o charakterze, obyczajach, przymiotach i wadach społeczeństwa. Dzień z swoim ruchem, pracą, zatrudnieniem, czy poważnem czy błachem, a jeszcze do tego dzień krótki jesienny, nie dozwala przyjrzeć się tak dokładnie ludziom w ich prawdziwym charakterze. Wśród dnia bowiem, każdy mniéj więcéj nosi na sobie, że tak powiemy, mundur swojego urzędu, swojéj godności, a w ogóle swojego stanu; wieczorem dopiero, kiedy obowiązki ustają, a od woli naszéj zależy użyć czasu jak się nam podoba lub przynajmniéj jak się do tego urządziliśmy, przedstawiają się ludzie z wierniejszéj i prawdziwszéj strony. Wtedy skłonności kierują niemi, i stanowią o tem co robią, czem się zatrudniają, nad czem pracują, jak używają wywczasu, jaką obierają sobie zabawę, rozrywkę lub zajęcie. Wprawdzie w każdéj klasie ludzi, w każdym stanie, o innéj godzinie zaczyna się wieczór; nie przeszkadza to wszelako, aby w téj godzinie o jakiéj się u kogo wieczór zaczyna i kończy, niemiał on właściwéj cechy wieczornéj.

Przekupka sprzątnąwszy z straganu swego nierozsprzedane resztki dziennego towaru i zabrawszy je do kosza, rzekła pewnego wieczora do swojéj sąsiadki: „Czas się już ogrzać“ — i w pół zgięta pod ciężarem, powlokła się wolnym krokiem gdzieś na odległe przedmieście. W tych krótkich słowach był cały program jéj wieczornego zajęcia. Ogrzać się — to dla niéj jedyną zabawą, rozrywką, przyjemnością. Mąż jéj daleko wcześniéj zaczął swój wieczór, bo zapewne ze zmierzchem, a być może, że i całą zimę jakby wieczór przepędza... w szynkowni. Bo i czemże ma się on zająć? Nie posiada dwóch rzemiosł, jednego na lato, drugiego na zimę; nawykły do grubéj tylko pracy, zarabia przez lato, lecz za to zimowy dzień spycha jak to mówią, lub prześpi z nudów; wieczorem zaś dopiero w kole znajomych i przyjaciół, przy ożywiającym kieliszku, nabiera rześkości, język mu się rozwięzuje i gawęda idzie tak długo, póki starczy kieszeń lub kredyt, póki głowa nie zwiśnie, a nogi chwiejące się nie zaprowadzą go do domu więcéj instynktowo niż za własną wolą.

W najniższéj klasie ludzi w ogóle daleko pracowitsze są kobiety niż mężczyzni, a to czy weźmiemy ten, czy ów stan i zatrudnienie. Ogrzać się, było dla owéj przekupki jedynem uprzyjemnieniem życia; mężczyzna najpracowitszy nawet, nieprzestałby na tak skromnéj zapłacie za cały dzień niewygód i zimna. A to co się tu mówi, nie odnosi się wyłącznie do żony przekupki, a męża wyrobnika. W znacznie dopiero wyższych sferach społeczeństwa zaczyna się próżnowanie kobiety, to jest tam dopiero, gdzie kilkoro służby, zaczynając od lokaja a kończąc na guwernantkach, zajmuje się porządkiem domu, gospodarstwem i wychowaniem dzieci.

Między ową kobietą, która zziębnięta ogrzać się tylko pragnie, a tysiącem innych kobiet, aż do owego szczebla zamożności i dostatku nie masz wielkiéj różnicy. Nigdy mężczyzna nie spędzi tyle nocy bezsennych nad książką lub kartami, ile kobieta nad igłą lub kolebką dziecięcia. Jeśli mąż wszystkie niemal wieczory za domem przepędza, to żona jego niezawodnie wszystkie wieczory pracuje. To odosobnienie kobiet, to usunięcie ich od towarzystwa męskiego, jakie się po większéj czę-

ści w klasach średnich napotyka, jest jedną z głównych przyczyn upadku u nas życia towarzyskiego.

Wieczory nasze zajęte bywają jeśli nie w rzadkich wyjątkach pracą, to najczęściéj kartami, cygarem, kuflem piwa, rzadko kiedy książką, rzadziéj jeszcze rozmową. To niesłychane zagęszczenie się kawiarń i piwiarń, najlepiéj wskazuje kierunek, jakim się u nas zdąża do rozbicia ostatnich resztek życia towarzyskiego. Straciliśmy też całą umiejętność prowadzenia rozmowy, bo w miejscach publicznych nie zdolna ona nigdy utrzymać właściwego tonu poufnéj przyzwoitości, przechodzi zwykle albo w pogadankę półgębkiem albo w gadulstwo bezbarwne. Rozmowa powszechna, w któréj całe kółko towarzyskie udział bierze, gdzie miłość własna, niekiedy serce, a zawsze wzgląd na powagę miejsca, zaprawiają umysł do ciągłéj pracy, a bez sadzenia się na dowcipy każą być żartobliwym, rozumnym bez popisywania się szkolarstwem, wesołym bez śmieszności, poważnym bez sztywności, — rozmowa taka jest nietylko najlepszą szkołą życia towarzyskiego, ale oraz prawdziwą szkołą wykształcenia tak umysłu jak i serca. Należy ona już dziś do rzadkich zjawisk nietylko w średnich ale i w wyższych klasach. Dla tego też jeśli się gdzie zbierze jeszcze jakie kółko towarzyskie, tam mężczyzni nie poczuwając się wcale do możności utrzymania rozmowy w tym zakresie i formach, uciekają się do kart, a kobiety zostawione same sobie lub oddane na łup kilku niedorostków, obowiązanych zastępować ludzi dojrzałych, szukają zajęcia w błachych przedmiotach, odświeżają rozmówki francuzkie z pensyonatu wyniesione, lub wreszcie skazane na słuchanie niedowarzonych konceptów zwanych grzecznościami, wychodzą znudzone i zrażone, zarzekając się wieczorów nietańcujących.

Listopadowe więc wieczory jako nietańcujące, bywają dla kobiet niesłychanie nudnemi; mężczyzni łatwiéj sobie radzą, spędzając je po kawiarniach, piwiarniach, resursach lub wreszcie na przyjacielskich partyjkach preferansa. Wprawdzie taniéj to wypada przepędzić wieczór w miejscu publicznem, zjeść i wypić swoją porcyę i swoją tylko zapłacić, wypalić swoje cygaro nie potrzebując częstować niem kogobądź, aniżeli przyjąć u siebie filiżanką herbaty; bo oprócz herbaty, trzeba ponosić je-

szcze koszta rozumu, gościnności, uprzejmości, czego w publicznem miejscu, gdzie każdy jest z osobna jak u siebie, nie potrzeba. W miejscu publicznem, obiera się albo takie sąsiedztwo jakie się wybrać podoba, albo trzymając się samotnie, żadne; w domu zaś trzeba mniéj więcéj przyjąć tego kto przyjdzie. W miejscu publicznem niema się żadnych obowiązków dla swojego sąsiada, w domu trzeba baczyć, żeby go zadowolnić. A przecież mimo tych wielu zalet miejsc publicznych, nie zastąpią one nigdy przyjacielskiego kółka, i tem są w porównaniu do życia towarzyskiego, czem stacya hotelu do stałego mieszkania. Miejsca publiczne dziś już zastępują niemal zupełnie życie domowe i dokonywają odosobnienia kobiet i mężczyzn, ropoczętego kartami i cygarem.

Wprawdzie, pozostaje jeszcze wieczorem teatr, o którym zapomnieć by można, a przecięż rozpoczął on w listopadzie swój kurs zimowy. Teatr nie umiał wszelako zdobyć sobie u nas takiego stanowiska, aby go w szeregu zajęć wieczornych na pierwszem kłaść miejscu. Nie zbywa nam tyle na aktorach, są nawet w gronie ich rzeczywiste artystyczne zdolności, cóż, kiedy brak umiejętnego kierunku, nieznajomość umysłowego stanu publiczności, niedający się niczem wytępić posmak melodramatyczny, potępiły z góry już w przekonaniu wielu osób, każdy krok jakoby przypadkowo zrobiony w celu podniesienia i ożywienia sceny. Jest to dowód, iż zamiast wyrozumowanego planu na kurs cały, jest on tylko zbiorem przedstawień bezmyślnie po sobie idących. To co ma być urozmaiceniem, jest bezładnem, na chybił trafił wydobyciem starych sztuk z zapomnienia. Dziś dramat, jutro komedya, pojutrze opera, daléj tak zwany obraz lub tak zwane dzieło sceniczne, potem krotochwila; a dla czego ten lub ów dramat, ta lub owa a nie inna komedya — tego nikt nie wie, nikt odgadnąć niemoże. Czy dla tego, że jest tam jakaś postać, która odpowiada usposobieniu aktora mającego w téj sztuce główną grać rolę? czy dla tego, że nowe studya artystyczne przedsiębrano nad jakowem arcydziełem? gdzie tam! Stósowano jak talię kart nazwiska wszystkich starych i najstarszych sztuk, i wyciągnięto z nich jedną kartę na ten wieczór, inną na inny wieczór, i dalejże! Nie przebaczono nawet operom ani wodewilom, bez względu na to, że w całem gronie aktorów niema ani jedne-

go śpiewaka, ani jednéj śpiewaczki! Uczęszczanie do teatru nie jest przeto zajęciem, ale dla wielu osób stało się obowiązkiem. Szanować go należy, ale się starać zarazem o to, by się nie stał ofiarą....

Niezadługo wystawa starożytności zamkniętą zostanie. Zastąpiła ona po części brak dramatu na scenie naszéj. Była bowiem areną, na któréj przesuwały się wspomnienia wielkich postaci, godnych szekspirowskiego pióra. Czy natchnęła czyje?... Z tego wszysktkiego co na tych stołach i pułkach rozstawione, czy kto prócz suchego zapisku zdjął jaki obraz przeszłości domowego lub publicznego życia? Dziesięć wieków składało się na to, by ledwie zapełnić kilka izb szczątkami swemi, ale każda z tych szczątek w ręku głębokiego badacza lub twórczego poety rozrosłaby się w całość i ożyła w pełnym olbrzymim rozmiarze swojéj epoki. Oto buława hetmańska. Mając ją przed oczyma, wyobraźnia utworzyła zaraz ową dłoń, która tę buławę dzierżyła. Dłoń wyciągnęła się w ramię; ramię wyrosło w męża, i hetman na dzielnym rumaku przebiegał liczne chorągwie rycerstwa. Owdzie krzesło skórą złoconą obite, na niém zasiadł senator i radzić począł nad dobrem Rzeczypospolitéj. Tam znów srebrna czasza zszedłszy z pułki, krążyła do koła biesiadników, aż zuchwały a podchmielony szlachcic strzelił do korka swojéj narzeczonéj. Taki wysoki korek jak u tego trzewika co leży pod oknem drugiéj sali, mógł wybornie służyć za cel. Wszystkie te oto przedmioty ożyły w wyobraźni, bo to właśnie koniec listopada, tajemnicza noc wilii św. Andrzeja, w któréj przeszłość z przyszłością wiąże się nierozerwanie, czy to w zaczarowanem zwierciedle, oświeconém blaskiem gromnicy, czy w rozbudzonéj wyobraźni oświeconéj mdławemi połyskami wspomnień. Olbrzym Światowid zrzucił z siebie ściskające go żelazne obręcze, dosiadł konia co u stóp jego skamieniały stoi, zadął w trąbkę, i wszystkie przedmioty ożyły, tak te którym tysiące lat skonu liczą, jak i te co niedawno jeszcze żywe, przedwcześnie złożono w grób archeologiczny, jak gdyby im kazano do nieodgadnionéj przeszłości należeć. I powstał gwar niewysłowiony: słychać było szczęk broni, śpiew hymnu kościelnego, hałas biesiadniczy, jęki i płacze niewiast, i szyderskie śmiechy pogańskich potworków. Z urn i

popielnic wyszli nieznani bohatyrowie: jedni z nich wojowali gdzieś nad Indem i w pustyni amońskiéj w szeregach Aleksandra Macedońskiego, drudzy byli w Rzymie żeby jednego ze swoich okrzyknąć imperatorem i osadzić na Kapitolu, inni bronili się przed zagonami marchionów Karola, a wszyscy byli pokrewni i sobie i tym niedawnym postaciom, co zszedłszy z płócien obrazów przechodziły się poważnie po sali, przypatrując się praojcom swoim. Na siodłach złoconych siedziały duchy tych, których one były niegdyś własnością, a każdy rycerz o swój miecz się upomniał. Dziwny to zaprawdę był widok, ta zbieranina ludzi różnych czasów i stanów. Rycerstwo, kapłani, świeccy dostojnicy, mieszczanie, niewiasty, a między niemi jedni aureolą chwały jaśniejący, drudzy z schyloną głową jak pokutnicy za grzechy. Straż co czuwa na salach wystawy, zbudziła się na hałas ten nieodgadniony, i ucichło nagle. Swiatowid skamieniał, ciała w proch się rozsypały, a służba strwożona, obeszła do koła sale, czy się kto nie zakradł do skarbów strzeżonych. Nie było nikogo, tylko brylanty drżały jeszcze, a służba myślała, że to światło ich się migoce; tym czasem zaledwie zdołała je zrzucić ta piękna pani co z portretu swego patrzy na nie codziennie; tylko proporce chwiały się jeszcze, a służba mniemała, że to powiew od sieni je poruszył; tylko zbroja zachrzęściła, a służba mniemała, że który z nich potrącił żelazną siatką. Rano gospodarze wystawy znaleźli wszystko w porządku, i dziwili się tylko, że ich sen tak przez noc trapił, i niepokoju daremnie nabawił. Zamknijcie co prędzéj wystawę, pamiątki przeszłości niech wam snu nie psują.

Poznań w listopadzie.

W życiu ziemianina polskiego nie posiadającego już owéj wsi spokojnéj, wsi wesołéj spiewanéj przez Kochanowskiego, a nie używającego dotąd niepodległości i swobody panów angielskich i francuzkich, rzadkie są dni w roku, w których bez krzywdy swojéj może się oderwać od zatrudnień gospodarskich, co więcéj wśród

nich] wynaleść chwilę dla innego rodzaju zajęcia. — W innych krajach w ten sposób urządzone są stosunki majątkowe, że właściciel obszerniejszéj ziemi, jeżeli zawodu gospodarskiego nie obiera z upodobania, może się z bezpieczeństwem i z swobodą tak ułożyć, iż bez trudu ciągnie z własności swojéj tyle korzyści, ile ona bez kapitału jego osobistéj pracy przynieść może. Znajduje on bowiem wyręczycieli, czy w długoletnich czynszownikach i dzierżawcach, czy w zdatnych i uczciwych zastępcach. W krajach polskich, nie tylko stan ich polityczny, ale nasze położenie majątkowe, całe urządzenie naszéj własności ziemskiéj, z resztą charakter narodowy zmusza nas do wyłączonego poświęcenia się trudom gospodarskim, jeżeli niepodległość majątkową zachować chcemy. Czy gospodarstwo jest jeszcze pańszczyźniane jak w wielkiéj części królestwa Polskiego, czy prowadzone czeladzią dworską i najemnikiem jak w Galicyi, czy używamy do niego parobków i komorników jak w Poznańskiem, zawsze ciągły dozór i kierunek samego właściciela jest koniecznym. Dawniéj włościanin polski był przywiązany do ziemi, dziś do niéj szlachcic polski przykuty. —

Gospodarstwa polskie są jeszcze w dzieciństwie, a więc jak dzieci, jeżeli nie mają być koślawe fizycznie, a moralnie rozpuszczone, tak one ciągłego dozoru potrzebują. Ta konieczność straży bez przerwy, odejmuje ziemianinowi polskiemu możność połączenia z gospodarską pracą zajęć naukowych lub literackich. Nigdy w Polsce żaden uczony ani literat nie był szczęśliwym gospodarzem. W ciągu dnia wiejskiego znajdzie się chwila na przeczytanie gazety, ale rzadko taka, którą dobréj książce poświęcić można. W Poznańskiém dwa tylko ostatnie i dwa pierwsze miesiące roku są dla właścicieli swobodniejsze. Lecz zwykle Listopad i Grudzień zapełniają łowy i zebrania sąsiedzkie, bo przecież po długiéj pracy wypocząć i rozweselić się polski pracownik potrzebuje. — Tegoroczny listopad ożywiły szczególniéj sprawy krajowe. Zmiana ministerium w Prusach, obudzone przez nią nadzieje i obawy, przygotowania do wyborów, i zaczynające się wybory, zajmowały wszystkie umysły. Literatura więc na bok usuniętą została. Pismo też literackie poznańskie opóźniło

się o miesiąc przeszło z szóstym październikowym poszytem. W nim dwa szczególniéj godne są uwagi artykuły: dalszy ciąg powieści Niemcewicza: „Mniemana Sierota“ i Wspomnienie o królowéj Jadwidze.

Najpłodniejszym pisarzem wieku Stanisława Augusta był bez wątpienia Krasicki, epoki następnéj Niemcewicz. Oba różnych rodzajów literatury próbowali, w jednych upadli, w drugich doszli do nas, i za nas przejdą. Powieści obyczajowéj z czasów dawniejszych, pierwszy podobno wzór dał nam stary Ursyn w Dwóch Sieciechach. W tym obrazku tak dokładnym, tak wiernym, dziś się jeszcze z wielką przyjemnością rozpatrywać można. Otóż drugim takim obrazem większéj wartości i rozmiaru i żywszego kolorytu jest ułamek powieści, która pod tytułem „Mniemana Sierota“ znalazła się w bibliotece Rogalińskiéj Rogiera hr. Raczyńskiego, i którą „Przegląd Poznański“ w 5 i 6 poszycie umieścił. Ułamek ten jest w rodzaju powieściowym może najwyborniejszym utworem Niemcewicza. — O całości dzieła sądzić z niego nie możemy, jest to bowiem tylko początek powieści, i owa mniemana sierota, któréj nazwą Autor ten romans oznaczył, nie występuje jeszcze w rozdziałach drukiem ogłoszonych. Lecz ileż w nich prawdy, jaka żywość w obrazowaniu, jaka przy tem w opowiadaniu prostota. Nie obciąża go pisarz niepotrzebnemi szczegółami, przedłużającemi się rozmowami, któremi jak w dzisiejszych powieściach grubieje dzieło a utrudza się czytelnik. Czuje się, że autor z natury obraz swój malował, z natury bo z żywych wspomnień swojéj młodości. Czas który przedstawia, jest owa smutna po pierwszym rozbiorze epoka. Widzimy już w nim przeciwstawione wyobrażenie trzech stronnictw, trzech części na które się naród podzielił. Dawnych polaków— scudzoziemczałych — i reformacyjnych. Ci ostatni przejęli z za granicy oświatę, ogładę, a z nią niektóre obce zwyczaje i szkodliwe wyobrażenia, lecz w uczuciu, w miłości kraju, zawsze dawnemi pozostali. Takim obrazem zajął nas był w „Listopadzie“ autor „Soplicy,“ i zdawał się być i porządkiem chronologicznym i co do wartości pierwszym malarzem w tym rodzaju, kiedy widzimy dzisiaj, że go już był Niemcewicz pociągami pędzla swego uprzedził. Dodajmy, że Listopadowy obraz nie był do-

statecznym, bo owe stronnictwo reformacyjne błędnie było przedstawione, a raczéj pominięte, gdyż niesprawiedliwie pod ową śmieszną i szkodliwą scudzoziemczałość podciągnięte.

W ułamku powieści Ursyna ustęp o stosunkach włościańskich przekonywa, że owi reformacyjni Polacy w zdrowem pojmowaniu rzeczy publicznéj, wysoko się wznieśli, wyżéj może od nas ich wnuków. Zapewniono nas, że w bibliotece Sieniawskiéj znajdują się dwa tomy téjże powieści; poznanie zaś trzeciego do Paryża przewiezionego, zawdzięczam uprzejmości osoby, w któréj ręce złożony został. Z tego trzeciego tomu może się zdawać, że jest ciągiem powieści, któréj początek Przegląd ogłosił; znalazłem w nim bowiem sierotę Zosię, która przy końcu okazuje się być córką obywatela polskiego Leliwy i Dony Maryi brazylianki. Lecz w téj części romansu nie spotkałem się już z osobami w początkowych rozdziałach występującemi. Nie ma już Tomickich, Wsibskiego, Wojewody, Podkomorzego. Lecz głównymi działaczami jest Hrabina Odrowążowa, brat jéj Leliwa, przyjaciel jéj a następnie małżonek Grzymalczyk, pani Drya, a szczególniéj Powietrznik. Wiadomo mi jest, że Niemcewicz po ustanowieniu cenzury w Warszawie, przeto między rokiem 1820 a 1827 zajął się pisaniem romansu, w który wprowadził obraz wielu osób do społeczeństwa warszawskiego należących, a któremu chciał nadać tytuł: „Powietrznik.“ Tym zaś powietrznikiem i główną osobą powieści miał być radzca stanu, dyrektor w komissyi oświecenia publicznego i pierwszy cenzor Józef Kalasanty Szaniawski. Nasz Ursyn jako pisarz nie znał wcale miłości chrześciańskiéj, wiodącéj do przebaczenia uraz. Skoro raz powziął jaką niechęć, szczególniéj z powodu rzeczy publicznéj, nigdy się jéj nie pozbył, zawsze i w mowie i w pismach głośno ją objawiał, nie szczędząc ostrych docinków i epigramatów. Z Józefem Szaniawskim nigdy się on zgodzić nie mógł, lecz brak pociągu wyrodził się w nieprzezwyciężoną nieprzyjaźń, skoro tenże systemat wychowania przez komissyę edukacyjną poprzednio wprowadzony, zupełnie zmienił i stanął na czele nowo ustanowionéj cenzury. Zarzucał Niemcewicz Szaniawskiemu zmienność zastósowaną do osobistéj potrzeby. Twierdził,

że był dawniéj jakubinem i bezbożnikiem, że metafizyką niemiecką obałamucony, zawikłał stan majątków, których zarząd miał powierzony, że to samo obałamucenie i do spraw publicznych przeniósł, że w pewnym dykcyonarzu niemieckim wymieniony został w spisie filozofów ateuszów, że potem przeistoczywszy się został zagorzałym fanatykiem a raczéj obłudnikiem i posłuszném narzędziem. O ile te zarzuty Niemcewicza całkowicie lub w części sprawiedliwemi były, rozstrzygnąć nie chcę, lecz wszystkim wiadomo, że Szaniawski obudzał w tym czasie powszechną niechęć w kraju, któréj najśmielszym wyobrazicielem był Niemcewicz. Obwiniano go jeszcze, że chce wstrzymać postęp oświaty, a to zaskarżenie odbiło się w znanym epigramacie Fr. Morawskiego:

Szaniawski chcąc zaciemnić Lechitów krainę
Tyle jéj światła zabronił,
Że nawet swoją błyszczącą łysinę
Rudą peruką osłonił.

Rudą peruką nazywał go téż Niemcewicz, czasem obelżywszą mianował go nazwą; w powieści o któréj mówimy, przezwał go powietrznikiem.

Nasz Ursyn był raczéj znakomitym i wiernym malarzem czasów jak osób. Bezstronności przyznać mu trudno. Dając się powodować namiętnościom, w wizerunkach kreślonych dopuszczał się przesady, niektóremi jednak pociągami pędzla umiał nieraz szczęśliwie podobieństwo uchwycić. Ta przesada i zbytek komicznych rysów uderza w obrazie tak Powietrznika jak i pani Dryi, pod któréj postacią ukrył a raczéj przedstawił autor jedną z pań warszawskich, znaną z zamiłowania obczyzny, modnych strojów i życia swiatowego, z nienawiści do wsi polskiéj i z obojętności dla męża, którego na ciężkie trudy gospodarskie skazała dla tego, aby swobodnie mogła dni swoje wśród stołecznego towarzystwa pędzić. Autor daje jéj w powieści córkę, któréj wychowanie zostawia ona mężowi na wsi. Pisząc do niego o téj córce tak się odzywa: „Bóg wie co WPan z niéj zrobisz, pamiętaj, *que si elle est gau-*

che, et si elle a mauvais ton, odpowiesz za to przed Bogiem.“

Ta odpowiedzialność przed Bogiem za zły ton, jest rysem charakterystycznym, a razem właściwym komiczności Niemczewicza. W tym trzecim tomie kilka jest pięknie skreślonych charakterów, jako to: Grzymalczyka i proboszcza wiejskiego księdza Serafina. Przy końcu powieści, autor czyniąc przegląd wszystkich osób, które się w niéj ukazały, temi rzecz zamyka słowy:

„I ja nim zasnę zniechęcony trudnościami, które nie dopuszczają wydawać tego co zeszłość naszą przypomnieć lub przyszłości pożytecznem być może, przyzwyczajony jednak do pracy, dolegliwości wieku pisaniem romansu tego słodziłem, smutny, że okoliczności tem tylko zatrudniać się pozwoliły. Przymus ten nieraz w ciągu dzieła tego daje się spostrzegać.“

Drugim artykułem Przeglądu jest Wspomnienie o królowéj Jadwidze, które skreślone było do opisowego katalogu Sybilli Puławskiéj. Księżna Izabella Czartoryska w roku 1828 powzięła myśl ułożenia spisu historycznego pamiątek przechowywanych w świątyni Sybilli i do niego wezwała pomocy wszystkich ówczesnych pisarzy. Różnemi więc artykułami różne pióra zająć się miały. Niemcewicz obiecał opisać szkatułkę, która najszacowniéjsze pamiątki królów i królowych polskich obejmowała. Osiński przyrzekł Ignacego Potockiego życiorys skreślić, a nie skreślił go nieuleczony nigdy z wady próżnowania. Arcybiskup Woronicz podjął się uczcić pamięć swego najznakomitszego poprzednika na biskupstwie krakowskiem Zbigniewa Oleśnickiego. Franciszek Morawski także o poprzedniku swoim Janie Kochanowskim złożył piękny artykuł, Kajetan Koźmian jędrnemi słowy opowiedział żywot Tadeusza Kościuszki. Innych opisów podjęli się Karol Sienkiewicz, Bernatowicz, Jan Hr. Tarnowski, Konstanty Swidziński, a z kobiet piszących Klementyna Hofmanowa, Marya księżna Wirtembergska, sama wreszcie założycielka Sybilli. — Jakiemu pióru powierzony został opis żywota królowy-dziewicy i pamiątek po niéj Przechowanych, łatwo odgadną czytelnicy artykułu w Przeglądzie poznańskim umieszczonego, z téj powagi, czucia rzewnego i gorącéj miłości chwały ojczystéj, jakiemi jest naznaczony.

Doszły do księgarń poznańskich Wspomnienia, które Franciszek Dmóchowski drukiem w Warszawie ogłosił. Wspomnienia, pamiętniki dające poznać niezbyt odległą przeszłość naszą, chętnie bywają teraz czytane. Głośne powodzenie prawdziwych pamiętników Ochockiego, głośne niepowodzenie zmyślonych Michałowskiego, obudziły ciekawość i pochop do pism tego rodzaju ale wiarogodnych. Chętniéj w nich teraz czytelnicy szukają obrazów przeszłości, aniżeli w powieściach, które ją nieraz wykrzywiały i fałszowały. Dzisiejszemu młodszemu plemieniu mało lub błędnie znana epoka porozbiorowa, księstwa warszawskiego i królestwa polskiego, obudza nareszcie uwagę. — Epoka ta okrzyczana, spotwarzona, pogardzona przez sławnych, genialnych pisarzy, którzy szczególniéj po jéj przejściu pisać zaczęli, a dla których także czas sądu się zbliża, zaczyna się przedstawiać z wszystkimi znakomitymi ludźmi, jakich w różnym zawodzie wydała, z zasługami w kraju położonemi, z poświęceniem jakie się wśród niéj dla sprawy publicznéj okazało. Pamiętniki Kajetana Koźmiana rozświecają tę epokę; w pomoc im teraz przychodzą Wspomnienia Dmóchowskiego. Nie znajduje w nich wprawdzie czytelnik scharakteryzowania czasów, ani obrazowania osób, ale zapozna się w nich z faktami, a sam spis przez autora podany, instytucyj, zmian, ulepszeń wprowadzonych, prac dokonanych przez kierowników rzeczą publiczną, tak za księstwa Warszawskiego jak za królestwa Polskiego, przekona, że te czasy nie były tak niepłodne jak je przedstawić usiłowano. — Zasługi literackie téj epoki przypomina także autor wspomnień. Bez zaślepienia miłości własnéj synowskiéj, lecz z pobożnością, którą uszanować powinniśmy, wymienia te które ojciec jego położył, a które niewdzięczność i stronność tegoczesna w zapomnienie puściła. Pojmujemy, jaką ich lekceważenie boleścią przejmować musiało dobrego syna, który sam był także zasłużonym pracownikiem w piśmiennictwie krajowem. Wielki i uwielbiany mistrz poezyi narodowéj pobudzony przez nienawistne doniesienia i podżegania swych uczniów warszawskich a bezwładnych naśladowców, pierwszy w sławnéj przedmowie dał hasło do poniewierki i pogardy przeszłości literackiéj pisarzy, którzy go poprze-

dzili. Za jego przykładem, jakby wśród łowów na odprawę z zabitego zwierza, rzucili się na nią ówcześni poczynający i poeci i krytycy, kąsali ją, szarpali, rozdzierali. Jestem przekonany, że Mickiewicz gdyby nie był późniéj odwrócił umysłu i pracy od zawodu, w którym najwyższą osiągnął chwałę, byłby doszedł do wolnego od chwilowych namiętności sądu. Duch jego był za nadto znakomity i silny, aby nie zdołał stać się sprawiedliwym. Dmóchowski okazuje, jak niektóre w przedmowie jego wyroki były doraźne; był to sąd wojenny na zwyciężonych, wśród rewolucyjnego zwycięztwa wydany. Przytaczając jedną z recenzyj *Ixów*, przekonywa autor Wspomnień, że ówczesnych literackich sędziów wyobrażenia nie były tak ciasne i ciemne jak twierdził Wieszcz Litewski w ostrego krytyka przemieniony. Wyszydza on w swéj przedmowie ślepe naśladownictwo owych tak nazwanych klasyków; a cóż powiedzieć o tém, którego się dopuszczali tak nazwani romantycy polscy, powtarzając nie tylko obrazy, myśli, wyrażenia mistrza, ale nawet format i okładkę w utworach, które drukowali. Naśmiewa się przedmowa ze zdań pochlebnych, jakiemi się literaci ówcześni wzajemnie uraczali, a jak nazwać owe wspaniałe, nie tytuły, nie nazwy, ale przeobrażenia, które późniéjsi pisarze o sobie ogłaszali, mianując się olbrzymami, piramidami, orłami, słońcami. „Dwóch słońc na niebie razem być nie może‘“ zawołał jeden z nich mówiąc o Mickiewiczu i o sobie. —

Pisarze z początku tego stulecia nie osiągnęli zapewne doskonałości, nie byli wolni od wad, od niektórych nawet śmieszności, lecz nie byli bez zasługi, a mieli zalety, jakich dzisiejszym autorom brakuje. I oni w swoim czasie przemawiali do duszy, i oni obudzali czucia, i to czucia prawe, i wzniecali zapał, i ich poezye chciwie czytano i obejmowano pamięcią. A potem przyszedł dla nich czas obojętności i zapomnienia. Czy następcy ich nie znajdują w tem jakiego napomnienia i przestrogi, czy nie chcą się nauczyć, że najgłośniéjsza chwała nie jest zawsze wieczną? Przyszedł był czas zawiedzionych nadziei, cierpień, a w skutku ich ogólnego rozstrojenia ducha. Z rozstrojonym duchem pisarze, z ciemną myślą, z rozkiełznaną wyobraźnią, bo z marzeniem,

z nadwątlonemi siłami duszy, bo prawie z rozpaczą, odpowiadali usposobieniu powszechnemu. — Ztąd ich wziętość i sława. — Niektórzy z nich, u których uczucie prawdziwe i głębokie, a myśl mimo boleści zdrowa, przeżyją i dalsze czasy, lecz nie idzie za tem, aby ich tylko utwory były piękne i doskonałe. Wszyscy się zgodzą, że pogodny błękit, słońce jasne, widoki wspaniałe lub wesołe, piękniejszy tworzą krajobraz, aniżeli niebo mgliste, z naturą smutną lub dziką; a przecież bywa taki stan duszy, w którym drugi obraz zgodniejszy z nią i milszy jéj od pierwszego. W krytyce literackiéj jak w sądownictwie nie jeden tylko znajduje się trybunał. Pierwsza instancya jest w obecności. W drugiem pokoleniu sąd apelacyjny, a w potomności dopiero sąd najwyższy, często sąd kassacyjny.

Kto ceni bezstronność i chce wyobrażenie dokładniejsze powziąść o zasługach, pracach i starszych i młodszych robotników umysłowych z czasów księstwa Warszawskiego i królestwa Polskiego, z przyjemnością przeczyta Wspomnienia Franciszka Dmóchowskiego. Z przeciwném usposobieniem czytelnik, zastały w przesądach, z oburzeniem lub szyderstwem odrzuci śmiało wypowiedzianą prawdę.

Berlin w listopadzie.

Wszystko tu jeszcze zajęte polityką. Zmiana systemu rządu, powołanie nowych ludzi do gabinetu, wybory do izby poselskiej, poruszyły ludność stolicy we wszystkich jéj warstwach, klasach i stanach. Takie chwile nastręczają dogodną sposobność do czynienia postrzeżeń nad politycznym charakterem i wykształceniem mieszkańców. Nie godzi mi się jéj pominąć.

Kto w tym miesiącu przypatrywał się z uwagą publicznemu życiu mieszkańców berlińskich, kto przysłuchiwał się ich wnioskom i naradom w przedwstępnych zgromadzeniach wyborczych, kto wdał się tylko w prywatną rozmowę z jednym, z drugim i dziesiątym o zmianach świeżo zaszłych w rządzie, ten niemałe wprawdzie

o patryotyzmie, ale o dojrzałości politycznego wykształcenia wielkiej masy ludu, klas nawet tych, które się w pospolitém życiu liczą do oświeconych, niezbyt wysokie powziąć mógł wyobrażenie. Wszędzie pełno ogólnych słów, szumnych frazesów, fantastycznych poglądów w przyszłość, a bardzo mało wytrawnego sądu o rzeczywistej kraju na wewnątrz i na zewnątrz sytuacyi i o tém co mu w obu kierunkach przedewszystkiem potrzeba. Kiedy rząd przez organa swoje mówi: „że dążność jego nie może być ku innemu skierowana celowi, jak tylko ku temu, jaki sobie zawsze stawiał hohenzollinski duch panujących, i którym jest: dobro całego narodu, pomnożenie jego materyalnych źródeł, obrona i rozszerzenie jego duchowych i moralnych własności, utwierdzenie wszelakich rękojmi honoru i potęgi korony pruskiéj;“ to politykujący szpisbyrgier, czytając to, doznaje zawrotu głowy i rozprawia: ten o nowéj erze która się dla Prus rozpoczyna, ów o zupełném odrodzeniu się ich z ducha i z ciała, tamten o nowém, przeważném, górującem stanowisku ich w Niemczech i w Europie, inny zgoła o całkiem nowych Prusach, nowym porządku rzeczy, nowéj jakiejś nieznanéj dotąd wolności i t. d.

Napróżno tak wyobraźnią rozgrzanemu politykowi organ rządowy wlewa wiadro zimnéj wody na głowę, wzywając, „ażeby wszyscy roztropniejsi przyjaciele ojczyzny nakazywali milczenie niewczesnym żądaniom i oparli się wszelkiemu ruchowi, któryby przekraczał cel osiągnąć się dający i pozbawić mógł kraj owoców błogiego postępu, postępu rzeczywistemi potrzebami kraju określonego.“ Polityk nasz, otrząsnąwszy się z takiego chłodzącego argumentu „ad hominem“ nie ostyga bynajmniej w swoim zapale. Rządowi prawi, przystoi być umiarkowanym w słowach i ograniczyć się do najbliższych celów, ale jemu, powołanemu do dopełnienia najważniejszego politycznego prawa, jakiém jest akt wyborów, przynależy objawić wszystko co ma na sercu, i wypowiedzieć otwarcie swoje polityczne przekonanie, bo to jest, dodaje, obowiązkiem każdego prawego patryoty. Szpisbyrgier berliński chwyta skwapliwie każdą taką sposobność, w której może objawić swój patryotyzm i dać dowód troskliwości swéj o dobro publiczne — zwłaszcza gdy go to nic nie kosztuje. W zwyczajnych cza-

sach, w sprawach naglących, zdobędzie się jednak i na opłacenie inseratu przesłanego do dzienników, z podpisem „civis“.

W obecnéj chwili o więcej chodziło; chodziło o zaszczyt wyniesienia się z tłumu pierwotnych wyborców, do których każdy pełnoletni należy, z wyjątkiem żebraków, na wyborcę posłów. Jest to godność warta ubiegania się o nią, godność zaufania obywatelskiego, dająca wybranemu publiczne świadectwo, że się zna na tém co się w kraju święci. Ale właśnie to nieszczęsne znanie się na rzeczywistych potrzebach kraju, którego tą razą domagano się i od kandydatów na wyborców, mięszało najwięcéj patryotycznego szpisbyrgiera stolicy. Czytał on w ostatnich dniach z większą niż przez cały rok pilnością i uwagą *Gazetę Vossa*, główną i prawie jedyną jego w rzeczach politycznych przewodniczkę i nauczycielkę Ale czytać a rozumieć, mianowicie zaś przedstawić jasno i zrozumiale to co się czytało, to rzecz bardzo różna. Rozprawiać między równymi, w knajpie, przy kufie piwa, to polityka naszego nigdy nie ambarasuje. Ale w zgromadzeniu publiczném, w obec ludzi wszystkich klas i stanów, znakomitych urzędem i nauką! Na to nie każdemu się odważyć.

Podniecony jednak ambicyą i zaufany w swoim patryotyzmie, kandydat nasz wchodzi na mównicę, i z większym zapałem niż ładem prawi ogólnie o wszystkiém co mu na myśl przychodzi, tylko nie o tém, na co w wyborach do przyszłéj izby poselskiéj, w skutku zmiany zaszłéj w systemie rządu, najwięcéj zważać należy. Zagadniony więc przez współubiegającego się kandydata, który politykę traktuje więcéj jako rzecz rozumu aniżeli jako rzecz uczucia, zagadniony wezwaniem, aby swój program polityczny okazał na stosunkach i potrzebach rzeczywistych,— „ej panowie, rzecze, co nam tu po długich programach, kto jak ja nie mógł nigdy dostać karty pasportowéj, tego sposób myślenia nie może być wątpliwym.“ Brawo! krzyknęła zadowolniona większość zgromadzenia i przyjęła go do liczby oborców. Trzeba wiedzieć, że kartv pasportowe policya stolicy wydawała dawniéj zwykle tylko osobom dobrego sposobu myślenia, tak zwanym *gesinnungstuechtig*; inne osoby dostawały zwyczajny pasport, co sa-

mo już w każdém miejscu pobytu oddawało je pod większy dozór policyjny. Że zaszczycony zaufaniem swoich współobywateli, szczęśliwy wyborca nie da głosu żadnemu stronnikowi upadłego ministerstwa, to tak pewno jak dwa razy dwa cztery.

Powstawanie też na to ministerstwo było najpospolitszym i wyznać trzeba, najtańszym sposobem polecania się kandydatów na wyborców. Dzienniki miejscowe, z wyjątkiem jednéj *Kreuzzeitung*, nie omieszkały wylać przeciwko niemu całéj swéj żółci, zapisując skwapliwie do aktu oskarżenia najdrobniejsze szczegóły. „Duchy kłamstwa i szalbierstwa, pisze z nich jeden, wkradły się do wszystkich naszych świątyń, domów i chat, i stały się w nich w końcu bezczelnemi. W obrębie religii, nauk i sztuk, handlu i towarzystwa występowały z uroszczeniami, które zatrważały i przytłumiały wszelki szlachetny sposób myślenia, wszelką prawdziwą i dla tego właśnie skromną zasługę i godność. Cnota stała się szyderstwem, szyderstwo cnotą, przewrotność rozumem, nadęta pospolitość obyczajem, oszustwo zasługą a uczciwość głupstwem. Te duchy kłamstwa i matactwa ścigać krok w krok na wszystkich drogach, w świątyniach, domach i chatach, i wygonić je precz — to jest naszém zadaniem.“

Nic łatwiejszego, jak roznamiętnić takiemi słowy bezmyślne tłumy, jak uprzedzić je przeciwko całemu dotychczasowemu porządkowi, wygłoszonemu za dzieło kłamstwa i matactwa, i rozbudzić w nich żądzę oczekiwania jakichś nadzwyczajnych przemian, które nie leżą ani w konieczności rzeczywistego stanu państwa, ani w woli nowego rządu, ale co więcéj, nie leżą nawet w przeświadczeniu tych samych ludzi, którzy je tak głośno zapowiadają. Bezwzględne potępianie wszystkich czynności dawnego gabinetu, a wynoszenie nowego pod niebiosa i równoczesne podsuwanie mu dążności, wszystkie rozsądne oczekiwania przesięgających, było to w wielkiéj części, zdaniem mojém, politycznym manewrem liberalistów, mianowicie liberalistów postępowego i demokratycznego odcienia. Manewru zaś tego od samego początku celem głównym było, zyskać niejako pod zasłoną i opieką rządu większy, pewniejszy i w rezultacie stanowczy wpływ na wybory.

W obec tych deklamacyj prasy i komitetów wyborczych rząd trzymał się z początku na stanowisku bierném; nie ogłosił żadnego politycznego programu, nie wskazał wyraźnie istotnych swych zamiarów i celów, nie wytknął widomych dróg i granic swemu przyszłemu postępowaniu; powoływał się tylko ogólnie na konstytucyą, na istniejące prawa, na powinności rządzących i rządzonych; okólnik nawet ministra spraw wewnętrznych, dotyczący wyborów, zatrzymał w połowie tę ogólną cechę. Czyż i w polityce samego rządu leżało, rozbudzić uśpiony patryotyzm kraju? Czy chciano mu tylko dać moralną otuchę? Czy pragniono pozyskać od razu całą jego miłość, aby pokazać światu blask i siłę swojéj potęgi? Jeżeli taki był cel rzeczonego powściągnienia się nowego gabinetu, to cel ten został całkowicie osiągnięty. Rozbudzono patryotyzm, dano moralną otuchę, zyskano powszechną miłość kraju, wszystko w większéj mierze, niż było późniéj dla rządu pożądaném. Ale jeżeli obok celu tego zamierzano wystawić polityczny rozsądek mieszkańców na próbę, to droga obrana przez rząd była niewłaściwą, bo w skutkach, które były łatwe do przewidzenia, musiała się stać ambarasującą. Uczucie przesięga zwykle rozsądek. Naród uwolniony z więzów, które szczególnie moralną stronę jego charakteru krępowały, oddał się bardzo naturalnemu uczuciu radości. W usposobieniu tem, zważając więcéj na zewnętrzny czyn dokonanéj zmiany w rządzie, aniżeli na wewnętrzne ogniwa i węzły łączące z sobą nierozerwanie przeszłą i przyszłą budowę państwa, napełnił serce nadziejami, życzeniami i oczekiwaniami, które mogły się niezgadzać z rozsądkiem publicznym i rzeczywistemi potrzebami państwa, ale nie przestawały jeszcze dla tego być objawem uczucia patryotyzmu. Nie wychodziły one zresztą bynajmniéj z obrębu pojęć monarchicznych. Owszem, najdaléj idący koryfeusze stronnictwa demokratycznego, zapobiegając niewczesnym manifestacyom, pospieszyli z oświadczeniem, że jedynie monarchia konstytucyjna możebną i odpowiednią jest formą rządu dla Prus.

Lecz właśnie ta forma rządu, pozornie tak ściśle określona, największą ze wszystkich ma rozciągłość i elastyczność. W zastósowaniu swém może uprawnić zaró-

wno absolutyzm jak republikanizm; w środku leży tak zwany parlamentaryzm. Dotychczasowy konstytucyonalizm pruski nie był żadnym z tych trzech. Jakimże będzie na przyszłość? Po przysiężeniu księcia regenta na konstytucyą, po uroczystém oświadczeniu, że ona odtąd będzie podstawą rządu, pytanie powyższe musiało się koniecznie stać przedmiotem powszechnéj dyskusyi.

Trzeba, aby się tak trafiło, że właśnie z ustanowieniem regencyi i przyjściem do władzy nowego gabinetu, następowały wybory do nowéj izby poselskiéj. W innym czasie zmiany dokonane w rządzie byłyby przeszły bez wstrząśnienia całéj ludności kraju. Dyskussya byłaby się zawarła w zwołanym zwyczajnym sejmie, w prasie i w towarzystwach prywatnych. Przypadek chciał, aby była przeniesioną na wielkie pole wyborów powszechnych, i to jeszcze wyborów wolnych, wyswobodzonych z pod nielegalnych wpływów władz administracyjnych i policyjnych.

Cóż więc naturalniejszego, jak że odezwały się naraz ze wszystkich zakątków kraju najrozliczniejsze opinie, nadzieje, życzenia i oczekiwania? Cóż prostszego, jak rozprawy o zmianach świeżo zaszłych w rządzie i o otwierających się w skutku tychże nowych widokach dla życia politycznego? Cóż zwyczajniejszego, jak odezwy, wyznania wiary, programy stronnictw, komitetów, ludzi politycznych, celem zapewnienia swoim opiniom zwycięstwa w przyszłych wyborach?

Opinie te wszystkie, szczerze czy nieszczerze, opierały się na konstytucyi, na konstytucyi uznanéj za podstawę przyszłego rządu. Jedne przestawały na jéj obecnym stanie, drugie domagały się oczyszczenia jej z zaprowadzonych przez reakcyą odmian, inne nalegały na wykonanie istniejących w niéj przepisów, inne żądały uzupełnienia jéj zastrzeżonemi prawami organicznemi, inne wreszcie wskazywały potrzebę dalszego jéj w duchu liberalnym rozwoju, wszystkie razem wprowadzały ją w nowy ruch i przyspieszone życie, żadna nie zadawalała się powolną, stopniową naprawą, w miarę rzeczywistych potrzeb kraju, w miarę wymagań ducha czasu. Im więcéj pod naciskiem reakcyi upadłego rządu w tył się cofnięto, tém daléj odrazu pod liberalnym sztandarem nowego naprzód postąpić chciano.

W tém niepomiarkowaném parciu naprzód, leżał główny błąd i brak politycznego rozsądku wielkiéj massy udzi liberalnych. Odezwy i programy stronnictw nie zostawiały nowemu gabinetowi nawet czasu do namysłu, nie zostawiały mu nawet honoru inicyatywy. Z góry gotowe, przedstawiały się z jednéj strony jako katechizmy wyznania politycznego dla wyborców, z drugiéj strony jako spisy pensów szkolnych, zadanych gabinetowi do odrobienia. Nie usprawiedliwiała ich bynajmniéj możność powołania się na konstytucyą, na ten i ów jéj artykuł, a w braku takowych na jéj liberalnego ducha. Żadna konstytucya nie jest od razu wykończoną. Konstytucya pruska nie jest spisem samych zasad oderwanych. Zawarte są w niéj w znacznéj części rzeczywiste prawa, w postępie czasów zdobyte i oddawna używane. Wszakże są i takie, do których tylko zasady położono, zostawiając następnym czasom ich zastósowanie i urzeczywistnienie, w miarę jak tego okoliczności, stosunki, rozwój wyobrażeń, oraz istotne potrzeby kraju domagać się będą. O tych niezbędnych warunkach każdego rozsądnego rozwoju prawodawstwa wielki tłum polityków liberalnych całkowicie w téj chwili zapomniał.

Zapomniał on i o tém, że konstytucya, któréj szybka budowa tak bardzo mu teraz na sercu leżała, przed niedawnym jeszcze czasem nie miała dla niego żadnego znaczenia. W przekonaniu stronnictwa demokratycznego nie miała nawet przez długi czas, jako dzieło oktrojowane, żadnéj legalnéj podstawy. Stronnictwo to w najwykształceńszéj swojéj części stało też aż dotąd naprzeciw niéj w tak zwanym „biernym oporze“, i wstrzymywało się od udziału w wyborach. Nadwerężona przez poprzednie ministerstwo, pomiatana przez większość sejmową, szkalowana przez jedną część prasy, lekceważona przez drugą, wyszydzana przez trzecią, konstytucya ta nie mogła zyskać poważania w narodzie, ani przyjąć się jako ziarno wyższego politycznego wykształcenia w jego sumieniu. Obojętność publiczna względem niéj była tak wielka, że gdyby zbieg jakich nadzwyczajnych okoliczności spowodował był jéj zniesienie, nie wiém czyby jaki żal po niéj był pozostał w masie narodu, który sarkał nieraz na to prywatnie i publicznie, że kilkadziesiąt tysięcy talarów wyrzuca się corocznie

nadaremnie na koszta sejmowe, na dyety posłów, na druk obrad stenografowanych, mało przez kogo czytanych i przeznaczonych na makulaturę!

Nagle, konstytucya ta stała się księgą sybillińską przeznaczeń państwa pruskiego, od chwili, w któréj Książe regent wyrwał ją z poniewierki i rządu i narodu. Wielki tłum brukowych polityków zdumiony prawie był tym nieoczekiwanym czynem Księcia. Powinien był raczej być zawstydzonym mądrością jego, która uszanowaniem przeszłości dawała moralną rękojmię przyszłym jego zamiarom i czynom. Daleko od tego. Tłum polityków brukowych narzucił mu się na tłumacza jego mądrości; uczył go, z zarozumiałością bez granic, czém ta ocalona, uznana i poprzysiężona przez niego ustawa konstytucyjna być powinna, a czém być nie powinna.

Mniéj cierpliwy i wyrozumiały władzca byłby groźnym „*quos ego*“ położył odrazu koniec natrętnym i bezwstydnym mędrkom. Łagodny, szlachetny, rozumny, a dróg swoich świadomy i z naturą skłonności ludzkich w chwilach ważnych politycznych przemian obeznany Książę dozwolił wyszumieć rozegrzanym zbytecznie umysłom, czując, i czując słusznie, że we wszystkich tych publiczych manifestacyach więcej patryotycznego zapału aniżeli złéj woli, więcéj chwilowéj nierozmyślności, aniżeli istotnego przeświadczenia.

Wszakżeż stolica państwa, miasto inteligencyi, Berlin, za zgodném wszystkich okręgów wyborczych postanowieniem, nie urodziła i nie ogłosiła żadnego programu politycznego, wychodząc z przekonania, że takowy dosyć wyraźnie wskazanym jest przez sam czyn zmiany systemu rządu i znane opinie członków nowego gabinetu. Stronnictwo krzyżowe utrzymywało, że to się stało z podwójnego tchórzostwa, aby się ani w oczach rządu ani w oczach stronnictw liberalnych i demokratycznych, tak głośno i stanowczo odzywających się na prowincyi, nie skompromitować, a za to tém bezpieczniéj módz działać pokątnie.

Zapewne było w tém trochę prawdy, bo najprzód prasa tutejsza czyniła komitetom wyborczym i magistratowi, od którego powyższy wniosek wyszedł, zarzut, że stolica dała się ubiedz prowincyom w dowodach patryotyzmu i dojrzałości wykształcenia politycznego; powtóre, agitacya wyborcza w stolicy nie była tak bardzo skro-

mna i rozsądna w opiniach swych i życzeniach, jak się tego po przyjęciu rzeczonego wniosku wypadało spodziewać. Byłoby w każdym razie dowodem większéj odwagi cywilnéj, gdyby stolica była wydała własny program polityczny, program oceniający sprawiedliwie, nie trudne do przeniknienia stanowisko rządu, a zarazem miarkujący przesadzone i niewczesne życzenia, nadzieje i oczekiwania wielkiego tłumu wyborców. Skutkiem zaniedbania tego, pochodzącego z jakichbądź motywów, było, że dumna z intelligencyi swojej stolica otrzymała w końcu, porówno z prowincyami, napomnienie od rządu, które dla niéj właśnie było tém nieprzyjemniejsze, że sama nie objawiła była istotnie żadnym aktem publicznym swego wyznania wiary.

Być może, że i nowemu gabinetowi wypadało z samego początku wystąpić z wyraźnie określonym programem politycznym, tém więcej, że za kilka dni kraj cały przystąpić miał do wyborów, od których rezultatu zależał skład przyszłéj izby poselskiej, niemogący być żadną miarą dla rządu obojętny. W rządach czysto parlamentarnych, wydanie takiego programu samoby się przez się było rozumiało, i jest ono o tyle praktyczném, że nie obudza próżnych nadziei i nie zostawia nikogo w niepewności, chyba, że program takowy odziewa się umyślnie w ogólne i pozorne formy. Czy gabinet obecny chciał z wiedzą uniknąć tego parlamentarnego zwyzaju, który w Prusiech, gdzie monarcha nie tylko panuje ale i rządzi, nie byłby na swojém miejscu? Zdaje się, że tak się istotnie rzecz miała, bo w późniejszych obwieszczeniach rządowych, jako i artykułach prasy, jak niemniej i w znanéj częściowo przemowie Księcia regenta do nowo ukonstytuowanego gabinetu położony jest wyraźnie główny przycisk na wzmiankowany charakter osoby monarszéj, zaprzeczony z góry dla Prus rząd większości parlamentarnych, przezco i członkowie gabinetu są właściwie tylko sługami królewskimi, nie sejmowi lecz monarsze odpowiedzialnymi. W takim stanie rzeczy program polityczny rządu byłby rzeczywiście raczej aktem samego panującego, aniżeli gabinetu. Nie mógł być zatem wydany.

W każdym razie były inne drogi, najprostszą droga prasy urzędowej, którą stanowisko gabinetu można było

z samego początku dość jasno i wyraźnie, chociażby téż niezupełnie, oznaczyć. Stało się to istotnie, ale dopiero po dopełnieniu aktu wyborów pierwotnych, kiedy agitacya w ich interesie prowadzona sama się przez się była uśmierzyła. Akt wyboru posłów nie powinien już był obudzać podejrzliwości rządu. Przygotowywał i dopełniał się w zgromadzeniach spokojniejszych i wytrawniejszych ludzi. Wszakże i na nich ostatnie publikacye rządu nie były bez skutku.

Dzień 23 listopada nie będzie bez znaczenia w rocznikach konstytucyonalizmu pruskiego.

Paryż w listopadzie.

Dramat okropniejszy niż wszystkie razem bulwarowe melodramy, jeden z takich które sama tylko rzeczywistość układać umie, odegrał się o dwa tysiące metrów nad Paryżem — w chmurach. Powściągnij uśmiech niewiary, i słuchaj uważnie, bo to co opowiem nie jest jakby się zdawało, wymysłem fantazyi lubiącéj uciekać w chmury, ale dosłownie prawdziwém zdarzeniem, które tą razą obfity w pomysły traf w obłokach umieścił.

Jak ci wiadomo, każdéj niedzieli z tutejszego Hipodromu puszcza się balonem znany areonauta Godard. Zwykle zabrawszy z sobą kilku ochotników z licznego zgromadzenia które odjazdom jego asystuje, buja z nimi w powietrzu przez kilka godzin, po czem spuszcza się gdzieś na wygodne miejsce upatrzone w okolicach miasta. — Ostatniéj niedzieli znalazł się tylko jeden kandydat do powietrznéj wędrówki, człowiek czterdziestoletni, bardzo przyzwoitéj powierzchowności, który zapłaciwszy areonaucie zwykły haracz nieznajomego, tysiąc franków, siadł przy nim w balonowéj łódce — łódce maleńkiéj jak łupina orzecha, wiszącéj pod jedwabną kulą jak pająk na nici.

Czas był prześliczny. Odczepiony od ziemi balon przyjaznym podmuchnięty wiatrem, wnet wzbił się w górę wysoko. Przyjęty do łódki podróżny siedział milczący, nie okazując ani gestem ani głosem żadnego wzruszenia. Zdziwiło to Godarda przyuczonego do wielkich emo-

cyj podróżników nie oswojonych z powietrzną wędrówką — spytał więc nieznajomego, jakie ta jazda czyni na nim wrażenie.

— Żadnego, odpowiedział lakonicznie.

— Winszuję panu, rzekł Godard, nie miałem jeszcze nikogo tak odważnego w moim balonie.

— Wznieś się wyżéj, powiedział po chwili milczenia nieznajomy. Godard zawstydzony odwagą przybysza, chcąc zmieszać śmiałka, pchnął balon o jakie sto łokci w górę. — A teraz, spytał, serce bije? co?

— Nie czuję żadnego wzruszenia, odrzekł nieznajomy tonem zdradzającym tłumioną niecierpliwość.

— Co u licha! zawołał zdziwiony Godard, to pan widzę na areonautę stworzony! I już nie szczędząc zabiegów, chcąc koniecznie upokorzyć towarzysza, pędził wyżéj a wyżéj. — Ziemia znikła zupełnie. Balon w szarem powietrzu żeglował jak okręt zgubiony pośród mgły na niezmiernych głębiach Oceanu. Podróżny siedział jak posąg.

— Daléj już nie polecę, zawołał Godard po kwandransie milczenia. Nie sprawiłem panu żadnego wrażenia — to nie moja wina — wyżéj wznieść się nie mogę, bo niebezpieczeństwo grozi; będziem się teraz spuszczać.

— Spuszczać! zawołał nieznajomy. Na to niepozwalam!

— Co? spytał osłupiały Godard.

— Mówię że niechcę spadać, ale się wznosić. Chcę lecieć, lecieć bez końca... aż do gwiazd, do drogi mlecznéj, do księżyca... Dałem tysiąc franków żeby mieć wrażenia, nie mam ich; nie spuszczę się na ziemię dopóki ich nie doznam.

Areonauta myśląc że to żarty, począł się śmiać. Nieznajomy z zaiskrzonemi oczyma skoczył z siedzenia, i porwał go za gardło krzycząc: Wrażeń! daj mi wrażeń! Godard powiada, że w téj chwili szare obłoki sczerniały mu w oczach jak całun... Spojrzał w bladą twarz nieznajomego i w obłąkanym jego wzroku wyczytał swój wyrok śmierci... spostrzegł że ma do czynienia z *waryatem!*

Co począć? co przedsięwziąść? Jak przekonać szalonego? Zkąd wziąść pomocy w chmurach? Gdyby przynajmniéj nieszczęsny Areonauta był miał jaką broń palną przy sobie, mógł był jéj użyć w własnéj obronie — ale

któż się spodziewa zasadzki w obłokach? Ziemia o dwa tysiące metrów pod nimi — spadek straszliwy — a najmniejsze szamotanie z szaleńcem mogło łódkę przewrócić. Wszystkie te uwagi jak piorun przebiegły przez głowę dławionego Godarda. Wiedząc że najmniejszy opór śmiercią grozi, nie bronił się; trzymał ręce spokojnie a mózg wsadził na torturę, chcąc zeń jaką radę wycisnąć. Tymczasem waryat dusił go wciąż krzycząc: Ha! drwiłeś sobie ze mnie kochanku, czekaj, ja lepiéj z ciebie zadrwię, obaczysz!

— Czego chcesz odemnie? spytał Godard skoro mógł przemówić.

— Zabawię się patrząc jak będziesz magał koziołki, zawołał parskając dzikim śmiechem obłąkany; ale pierwéj... (tu się zamyślił) pierwéj muszę skosztować innych emocyj. Wsiądę jak na konia, na balonowe koło. To mówiąc, wskazał palcem znajdujące się pod balonem drewno, i ująwszy sznurów na których łódka wisi, począł się drapać do góry.

— Co robisz! krzyknął Godard, Zlecisz! Zabijesz się!

— Milcz! wołał waryat. Jeśli słowo piśniesz, strącę cię w próżnią.

— Pozwól sobie przynajmniéj podać postronek, i obwiąż się nim dla bezpieczeństwa.

— Daj, rzekł waryat, zdając się pojmować ten środek ostrożności. I wnet, zadziergnięty w pół sznurem piął się w górę jak wiewiórka. Doszedłszy do wskazanego drewna, siadł na niem jak na koniu dotykając plecami balonu. Zaledwie usiadł, wydał okrzyk radości jak człowiek któremu szczęśliwy pomysł przychodzi do głowy, i wydobył nóż z kieszeni.

— Co chcesz czynić! spytał Godard, pewny że szaleniec tym nożem balon rozpruje.

— Najprzód zrzucić te pęta, odrzekł zapytany, przecinając opasujący go powróz bezpieczeństwa.

Spostrzegłszy to, areonauta, żeby nie widzieć spadającego szaleńca którego lada wietrzyk mógł zdmuchnąć, zamknął oczy. Powietrze szumiało jak rozchukane morze, a w tym szumie słychać tylko było jak waryat klaskał w ręce i bił piętami w balonowe koło, jakby nagląc rumaka do biegu.

Po chwili takiéj zabawy, szaleniec zawołał:

— Teraz będziemy się śmiali! A, hultaju! Chciałeś spadać! Ja cię spuszczę jeszcze prędzéj! Zaraz.

I zanim Godard miał czas odgadnąć zamiar waryata, wymówić słowo, ten z sześciu sznurów na których łódź zawieszona, przeciął cztery... Łódka pochyliła się okropnie... Godard chwyta za ostatnie dwa sznury do których się już nóż waryata przybliża... jeszcze sekunda, a będzie po wszystkiem. W téj ostatniéj minucie przychodzi mu myśl zbawcza.

— Słuchaj no! woła.

— Nie! nie! Nie słucham, nie, nie ułaskawię! krzyczy szaleniec.

— Ja nie chcę łaski, woła Godard.

— To czego chcesz? pyta waryat.

— Jesteśmy teraz o 1500 metrów od ziemi..

— Patrz! to masz lecieć spory kawał?

— To jeszcze za nisko, rzecze Godard.

— Jakto?

— Chcę spaść jeszcze z wyższego punktu — bo jak ztąd spadnę to się nie zabiję, a wolę się zabić niż pokaleczyć. Proszę cię, odetnij łódź dopiero jak będziemy 3000 metrów nad ziemią.

— Dobrze, rzekł waryat któremu się myśl straszniejszego spadku uśmiechała.

Areonauta uzyskawszy parę minut zwłoki, pędzi w górę balon co siły, ale podczas kiedy waryat groźnem okiem czynności jego dogląda, dokonywa zarazem innéj manipulacyi. Spostrzegłszy że sznur od spodniej klapy jeszcze nie odcięty, chwyta zań, odmyka otwór i wypuszcza z balonu wodoród, który powoli odurza i zaswędza waryata. Skoro tak zawisł uplątany w sznurach, Godard powoli spuścił balon na ziemię, gdzie ocuciwszy swego kata, bez urazy odwiózł go do Charanton.

Pokazało się, że to był bogaty rolnik z okolic Paryża, który miał, jak to mówią, bzika, ale ponieważ obłąkanie jego nie szkodziło nikomu, trzymano go na wolnéj nodze; chodził gdzie chciał i robił co mu się podobało; zdaje się jednak że przejażdżka w balonie była ostatnim dniem jego wolności.

A teraz zstąpmy z obłoków na bruk paryzki, i obejrzyjmy, jakie na nim zaszły zmiany. Nie trudno tu o nie. — Od czasu mego ostatniego listu, wzięto się za-

żarcie do przewracania ziemi; dotąd cała populacya robotników zalega bulwary i ulice: jedni brukują, drudzy kopią doły. Wzdłuż całej drogi od Magdaleny do Bastylii, wygrzebano istne katakumby, w które wpuszczają sprowadzone z rodzinnym wzgórkiem stu-letnie drzewa. Jestto prawdziwie tytaniczna robota. Dzięki jéj, bulwary w miejscu drzewek, które, jeśli Bóg i gaz dozwoli, miały je ocienić za pół wieku, w ciągu dwóch tygodni wystroiły się we dwa rzędy drzew niebotycznych, dobranych wzrostem i fizyonomią jak szereg grenadierów staréj gwardyi.

Zabezpieczając tych drogich przybyszów (sprowadzenie i zasadzenie każdego drzewa kosztuje przeszło 500 fr.) od szkodliwych wpływów gazu, wprowadzono nową metodę kanalizacyi. Wszystkie poblizkie rury gazowe są wprawiane, jak w łupki, w cienki murek ceglany, od którego co parę kroków idzie rura z palonéj gliny, nakształt kominka, przeznaczona do wyprowadzania aż na powierzchnię ziemi, gazu mogącego się z rury wydobyć. — Już na wielu punktach Paryża przekonano się o skuteczności tego systemu, który powinnibyście na waszych Plantacyach wprowadzić, nie czekając aż reszta kasztanów wyschnie. — Drogę od Pól Elizejskich ku Bastylii wysadzono rozmaitemi gatunkami drzew; i tak: na ulicy Królewskiéj, klony amerykańskie; na bulwarze Magdaleny, platany; na Włoskim, japońskie jesiony; na Montmartre, wiązy; na Poissonnière i Bonne Nouvelle, kasztany indyjskie; na esplanadzie przed Teatrem *Gymnase*, katalpy. Téj jesieni roboty doprowadzono tylko do bulwaru Saint-Denis — dalszy ciąg za rok nastąpi.

Tym spososem, pół mili drogi nagiéj jak Sahara, zazieleniało na raz, jak oaza. Pokazuje się, że owo pacholę co w bajce La Fontaina śmieje się ze starca sadzącego drzewa, było jasno widzące; znać przeczuwało epokę, kiedy na ubranie drogi w stuletnie drzewa pare dni wystarczy; przeczuwało epokę rozumnych cudów, któréj nie tylko siłą, ale i godłem jest *para*. Dziś niema już czasu czekać aż szereg wiosen uplecie szpalery; ludzie niecierpliwi chcą gotowego cienia, chłodników zaimprowizowanych jak dekoracya w Operze, lub Pałac Luwru. W stolicy, co przodkuje światu, kamienie idą teraz w pa-

rze z zielenią: tyleż kosztuje zbudować dom co zrobić ogród taki jaki niedawno same tylko wieki robić umiały. Ujarzmiona natura stała się posłuszną jak dziecko — lasy są dziś garnizonem, który na rozkaz można przenieść gdzie się podoba.

Pomiędzy nowościami księgarskiemi na piérwszém miejscu stoi *Dykcyonarz powszechny Spółczesnych*, dzieło o dwóch tysiącach kart, ułożone alfabetycznie i zawierające pomiędzy literą *A* i *Z*, biografie wszystkich spółczesnych znakomitości całego globu. Dzieło to, kosztujące przeszło pięć lat pracy, wielce się różni od Biografii Mirecourta: pisane jest przyzwoicie i poważnie. Chcąc skreślić żywota tylu różnorodnych indywidualności, mowców, historyków, poetów, literatów, finansistów, ludzi stanu, dziennikarzy, uczonych, przemysłowców, romansistów, malarzy, aktorów i monarchów całego świata, trzeba było zawezwać wielu współpracowników; pisało go też ze dwudziestu rozmaitych autorów, pod dozorem jednego profesora filozofii. Dzieło to zbiorowe wychodzić będzie co rok z dołączeniem zmian jakie zaszły przez ubiegłe dwanaście miesięcy.

Jules Janin wydał naraz aż trzy książki: wspaniałą biografię Racheli z dwunastu fotografiami przedstawiającemi artystkę w głównych rolach — następnie, dwa ostatnie tomy swojéj *Historyi Literatury Dramatycznéj*. Jestto, jak ci wiadomo, zbiór artykułów któremi sławny twórca feletonu, dzienniki paryzkie od trzydziestu lat ubiera; jestto młodość i dojrzałość, wiosna i jesień tego eleganckiego talentu, który tyle pięknych kwiatów rozsypał koło siebie.

W obyczajach francuzkich wielkie zaszły zmiany.

Kobiety zdobyły parter Odeonu i jednocześnie zażądały od prefektów pozwolenia polowania. Moraliści bardzo złe z tego wyciągają wnioski, a architekci budowy społecznéj na gwałt domagają się naprawy walących się murów *Gyneceum* (po polsku babieńca).

Nie wszyscy atoli zgadzają się w tym przedmiocie: jedni chcą, żeby kobiety siedziały w domu, i jak niegdyś cnotliwe rzymianki, przędły wełnę na mężowską tunikę — czyli — *vulgairement parlant* — robiły skarpetki; na co drudzy odpowiadają, że ponieważ mężczyzni już niechodzą w tunikach, a warsztatowe pończo-

chy daleko tańsze od robionych w ręku, przeto niebyłoby żadnéj korzyści w dosłownie wziętem łacińskiem *lanam fecit*. Z resztą, nie jest rzeczą dowiedzioną, czy roboty na drutach pobudzają do cnoty. Napoleon wprawdzie powiedział: „*Il faut que les femmes tricotent*“ ale fatalne *trykotezy* klubowe zadają fałsz temu twierdzeniu. Nadto, Rousseau, surowy Rousseau, wymaga żeby kobieta była silna, powiada że na tem szczęście domowe stoi; nakazuje więc niewiastom wiele ruchu — nie wspomina wprawdzie o polowaniu, ale ryby łowić zaleca — co w końcu na jedno wychodzi.

Wszystkie te sprzeczności dają wiele do myślenia mężom troszczącym się o przyszłość ludzkości. Dotąd nie zgodzono się na nic ostatecznie — a tu złe szerzy się jak ogień w podpalonym lesie.

Nie poprzestając na zdobyciu parteru, niewiasty oblegają bilardy. Bilard jest teraz najulubieńszą zabawką płci pięknéj. Smutno wyznać, że do tego zgorszenia dał przykład Faubourg Saint-Germain. Tam to poczęły się damskie karambole, o których posłyszawszy plebs niewieści, nie mający w domach sal bilardowych, począł się cisnąć do estaminetów. Nowy ten obyczaj zmieni fizyonomię Paryża, i nastręczy nowe temata do wodewilów. Bilbok i wolant także wchodzą w modę. — Kobiety jak zwykle, wynajdując zawsze jakąś racyonalną przyczynę swoim kaprysom, tłómaczą ten nagły zwrot do rakiet i bilardowych kijów, potrzebą gimnastyki, któréj ważność tak wyraźnie w dziele swojem wykazał świeżo doktór Delisle. — Gra bilardowa uważana jako higiena, wszedłszy raz na regiestr obowiązków *ciężkich* którémi młode mamy zwykły usprawiedliwiać firtanie, balowe fioki, kadryle, i wszystkie tym podobne rzeczy — potrwa zapewne długo, bezpieczna od pocisków ironii.

Co robią mężowie, podczas kiedy żony grają w bilard? spytasz mnie może. Mężczyźni oddawszy kobietom bilardowe kije, najprzód długo siedzieli na opuszczonych przez damy krzesłach, przypatrując się pięknym nóżkom i kibiciom gnącym się wdzięcznie po nad zielonym stołem; w końcu jednak, znudzeni i tym widokiem (bo niestety wszystko powszednieje!) zaczęli grać w szachy — ale nie tak jak dotąd grali prostaki. Grać we dwóch, i patrzeć w szachownicę — wielka mi sztuka!

Kto szanuje siebie i szachy, gra teraz à la Morphy: to jest, obróciwszy się plecami do szachownicy nad którą dziesięciu drążkowych graczy smaży sobie głowy. Modny gracz tymczasem rozciągnięty niedbale w fotelu, patrząc na ogień, na sufit, obraz, gzyms, na swoje buty, na wszystko byle nie na grę swoją — widzi szachownicę oczyma duszy i daje mata nie patrząc. Dotąd wprawdzie modne kawalery używają do gry suflera, ale jest nadzieja że z czasem wyuczą się roli.

Rozmowa w salonie toczy się więc o karambolach, ślepych partyach Morphego, który na prawdę nie patrząc dziesięciu graczy na raz pobija w Café de la Régence — i o sprawie Mortary, która będąc bez końca jak wąż gryzący się w ogon, wkrótce jak on, posłuży za godło *Wieczności.*

Po Bilardzie, Szachach i Mortarze, największe wzięcie ma Grecya. Ojczyzna wielkich mężów nieśmiertelnéj chwały (o których mówiąc nawiasem nikt tu nie pamięta) bywa tu przyprawiana rozmaicie do gustu publiczności. Dla małéj liczby wybranych, poważnie ją przedstawia Teatr Francuzki w *Edypie Królu;* ogromna zaś większość, a raczéj cały Paryż wyśmiewa się z Grekofilów w Buffach. Pan Cremieux rozwesela co wieczór tłumy krotochwilą, do której treści dostarczyła mu wycieczka Orfeusza do piekieł po Eurydykę.

Wbrew starożytnéj legendzie, która tę eskapadę wielkiego muzykanta miłości małżeńskiéj przypisuje, pan Cremieux na nowszych opierając się studiach, twierdzi, że Orfeusz bardzo był rad z porwania małżonki, a do szukania jéj tylko smutne zmusiły go okoliczności.

Oto jak tę rzecz przedstawiają Buffy. Orfeusz dawał lekcye muzyki po franku 50 centimów. Ale po zniknieniu małżonki tak się rozbirbantował, że zupełnie uczniów zaniedbał. Ci więc, przez Muzę harmonii zanieśli do Jowisza prożbę o wydanie Eurydyki. Jowisz kazał wydać; ale zobaczywszy ją u Plutusa, pani Orfeuszowa tak mu wpadła w oko, iż chciał ją dla siebie zachować. Bojąc się jednak żeby Muza któréj dał słowo, nie zapytała jak diabeł Twardowskiego, gdzie jest *nobile verbum*, wymyślił na męża samotrzask. Wzywa Orfeusza i każe mu iść po żonę, ale zarazem oświadcza, że jeżeli spojrzy na nią w drodze, Eurydyka wróci do piekła na zawsze.

Wielki bożek wyraźnie nie znał serca ludzkiego. Warunek ciężki dla kochanka, mąż dotrzymuje go z łatwością. Orfeusz chociaż pragnął wzrokiem zepchnąć połowicę pod ziemię, nie miał odwagi spojrzeć na nią. Tak więc tą razą indyferentyzm męża żonę od piekła uratował.

Podczas kiedy płaczą w Teatrze Francuzkim, śmieją się w Buffach — w Porte-Saint-Martin widze osłupieni przepychem, podziwiają wystawę cudów, z których pan Dennery nowego Fausta ulepił. O treści nie ma co mówić, wzięta żywcem z Goethego — ale przyprawa nie miała dotąd równéj na świecie! Przepych dekoracyi, ubiorów, biegłość maszyn, przechodzi wszystko co tu dotąd w tym rodzaju widziano. Przedstawienie saméj *Walpurgis-Nacht* kosztowało 80,000 fr. Patrząc na ten pięcio godzinny fajerwerk, nasuwa się pytanie, co teatra tutejsze przedstawią po Fauście? Do jakiego bożka, do jakiego czarodzieja udadzą się dyrektorowie paryzkich widowisk, ażeby wytrwać na drodze bajecznego zbytku na jaką weszli. Ażeby temu sprostać, potrzeba mieć na swe rozkazy wszystkie mamidła wschodu, wszystkie kopalnie złota, wszystkie żywioły — nadto kilka batalionów sylfid i sylfów — rządzić samowładnie widomym i niewidomym światem.

Scribe znowu pokazuje w Gymnase innego rodzaju żonglerye — przepraszam za wyraz obcy, ale musiałem go użyć, bo na takie sztuki nie ma u nas nazwy. Nowa komedya tego autora pod tytułem: *Les trois Maupin*, zupełnie przypomina ową grę w kule, którą zręczny kuglarz na jarmarku gawiedź zabawia. Zarzucano mu pozytywność, realizm, episierstwo — więc rozgniewany Scribe, tą razą rzucił się w fantazyą po uszy. Jak Szekspir, nie zważając na historyą, nie troszcząc się o daty, miejsce, czas ani przestrzeń — chwyta trzy Maupeny (są to trzy damy ukazujące się pod jedną postacią) i uchwyciwszy je zgrabnie jak trzy kule, wyrzuca w powietrze gdzie się krzyżują, krążą, skaczą i nie potrąciwszy, wracają w ręce autora; kiedy jedna spada mu na nos, drugą łokciem podrzuca a trzecią z pod ręki w palce łapie. Nikt nie zaprzeczy, że Scribe *żongler* niezrównany! ale to sztuka nie dramatyczna, tylko kuglarska.

Jeszcze jedna nowina. Kowal został wygnany z buduaru; już teraz nie Wulkan będzie przysposabiał wdzięki niewieście: krynolina poszła w kąt, pomiędzy stare żelastwa. Zastąpiono ją bardzo szeroką powłóczystą spódnicą, która kobiety czyni podobne do muz tragicznych. Niektórzy mężowie jakiś czas cieszyli się nadzieją, że ta zmiana toaletowa sprowadzi zmiany w domowym budżecie; ale ta nadzieja została srodze zawiedzioną. Pokazało się, że modna suknia bez falban, pochłania jeszcze więcéj materyi niż dawna — i zamiast ośmnastu, dwadzieścia metrów na nią potrzeba. — Mówiąc o modach, wyliczyć tu jeszcze muszę dwie rzeczy modne: hiszpańskie małżeństwa i hiszpańskie przekłady. Drukarz Plon zbogacił liczbę tych ostatnich nowem bardzo potrzebnem tłómaczeniem Donkichota — a jeden z marszałków zamyśla podobno nowym węzłem Francyę z ojczyzną Cyda skrępować.

Londyn w listopadzie.

Przerwany od kilku miesięcy wątek Kroniki angielskiéj, na nowo zawięzuję. Po przerwie jaka zaszła w osnowie, nie wiem od czegoby teraz najlepiéj począć i czem zrządzoną lukę zapełnić. Łacniéj książce obejść się bez przedmowy, bo czytelnik ją najczęściéj pomija, jak Kronice zostawać bez związku. O wyłom zrobiony w czasie i o stracenie ciągu wypadków gotów każdy pytać, i czy warto lub nie, żałować nawet. Zasłona tajemniczości rzucona na wypadki, nadaje im w takim razie tem większą ważność w wyobraźni czytelnika, obudza jego ciekawość, a tu z przyczyn, czyli one jawne czy nie, nie zawsze wygodnie uchylać zasłonę. Dla tego, aby nie zostawić tego co było lub być miało bez związku, rzućmy pomost, by się przeprawić na brzeg teraźniéjszości. Z wysokości jego pogląd na Anglię jest rozległy, urozmaicony. Jako ludzie wzięci pojedynczo wedle usposobień każdemu przyrodzonych różnią się między sobą, tak i narody zbiorowo wzięte odróżniają się jedne od drugich. Cechy, któremi się tak różnią od siebie, nazywa się zwykle ich indywidualnością, a jeśli obejmują

całe jednorodne plemiona, ich narodowością. Wśród narodów europejskich niemaaz żadnego, któryby jednoliciéj zlany był w potężniejszą narodowość nad naród angielski, ani któryby więcéj nadeń wygórował swą indywidualnością. Niemniéj fizyczne jak moralne przyczyny, wyspiarskie jego położenie i klimat, forma rządu, religia i wychowanie publiczne, będące potężnemi działaczami do nadawania ludom odmiennéj samoistności, przyczyniały się różnostronnie do utworzenia go takim jakim jest. Nie w tem przeto, w czem do drugich podobny, bo to rzeczą obojętną i powszednią; lecz w czém się od nich różni, jest on ciekawym przedmiotem do poglądu. Nie w podobieństwach, lecz w różnicach przebijających się jak w przezroczu, leży istotny i właściwy jego charakter. Ale w tém właśnie trudność, jak schwycić i ująć celniejsze jego rysy. Z tąd to wielu, co w dobréj wierze i sumiennie chcieli o Anglii pisać, po rozpatrzeniu się w niéj dokładniéj, woleli często poniechać zamiaru, aby nie skompromitować swego pióra. Wielu było mniéj bacznych, a tych jest najwięcéj, co niezgłębiwszy jéj należycie, nie prawdę ogłaszali, lecz karykatury, z jaskrawości barw swych może zabawne, ale obłąkujące. Do takowych właśnie policzyćby można dzisiejsze dziennikarstwo francuzkie, którego redaktorowie lubo sąsiedni, tyle niewiadomości zdradzają pisząc o Anglii, jak gdyby co białe a co czarne trudno im było rozróżnić. Ten brak znajomości, a często też dobréj wiary u pisarzy francuzkich, wystawia ich tu słusznie na śmieszność a pisma ich na pogardę. Nigdy dzienniki angielskie niemiały więcéj do wytykania im fałszerstwa faktów historycznych i błędnych pojęć politycznych, co w obecnéj chwili. Broszury polityczne, jakich mnóstwo wychodzi w Paryżu, nie podwyższają także piśmiennictwa francuzkiego; Anglia rozmyślnie obrzucana przez nie błotem; a że to dzieje się jednocześnie, kiedy rząd obrońcy jéj instytucyi hr. Montalembertowi proces wytacza, nic dziwnego, że to rozjątrza anglików, bo nie wiedzą, do czego to wszystko zmierza i jaki cel tych paszkwilów.

Lecz dość na tych kilku ogólnych wyrazach, aby nie zabrnąć w politykę nie na swojem miejscu. *Kronika* nie na nią przeznaczona. Zwracam się przeto do jéj

właściwego zakresu, który jest naukowy a do czytania przyjemniejszy, bo więcéj urozmaicony, a niemniéj przeto właściwe rysy charakteru narodowego Anglików wykrywający. Ich dzieje, przemysł i ich duch wynalazczy dostarczają liczne przykłady tego. Nasuwa mi się tu naprzód wzór historyczno-społeczny. Czytający w pismach o parostwie angielskiem, muszą nieraz trafiać na wyrazy, których dobrze będzie poznać początek i historyczne znaczenie. Tytuł *Duke*, z łacińskiego *dux*, a odpowiadający naszemu wojewodzie, jest najwyższym stopniem parostwa; tłumaczy się zwykle jak książę. *Marquis* czyli Margrabia, jaki to tytuł był w Niemczech a my go niemieliśmy, pochodzi od *marches*, kończyna państwa; noszący go mieli powierzaną sobie straż nad pograniczem Anglii od strony Walii i Szkocyi w celu chronienia kraju od napadów, jak to u nas bywało na Ukrainie dla obrony od najazdów tatarskich. Tytuł *Earl* pochodzi od staro-saksońskiego wyrazu *Eorl*, szlachcic (noble). Takowy Earl miał sobie powierzony zarząd i wojskową komendę nad okręgami ziemskiemi *shires*. Po zawojowaniu Anglii przez Normanów, ci Earle nazwani byli *Counts* czyli hrabiowie, a okręgi ziemskie (shires) *counties* czyli hrabstwami. *Viscount*, z łacińskiego wyrazu *vicecomes*, czyli wicehrabia, znaczył zastępcę czyli deputata hrabiego. Tytuł *barona*, lubo pod względem starożytności ze wszystkich najdawniejszy, jest najniższym stopniem parostwa. Jedni ci dotąd wymienieni składają stan szlachecki i im jedynie daje się tytuł lordów — nasze „Pan“ w dawnem tego słowa znaczeniu. Daje się wprawdzie tytuł lordowski biskupom, wyższym sędziom i burmistrzowi londyńskiemu, lecz to tylko na mocy urzędowań jakie czasowo sprawują. *Baronets* i *knights* czyli rycerze, stanowią podrzędną szlachtę; pierwsi są dziedziczni, ostatni dożywotni, dla zasług swych posiadający jedynie osobiste szlachectwo. Dla nich służy tylko tytuł *Sir*, który zwykł się kłaść przed chrzestnem imieniem i nazwiskiem. Dla reszty, bądź to dla tak zwanéj *Gentry* czyli *squirarchii*, jakoteż dla ludzi wszelkich innych stanów służy tylko *Mr.* (mister), wyraz pochodzący pierwiastkowo od *Master*. Nim zwykło się jeszcze dorostków z młodzieży tytułować, dokładaniem *Master* do imienia chrzestnego np. Master *John* N. N.

Następujący przykład przytaczam jako współczesny, literacki. P. D'Israeli podczas swych wakacyj parlamentowych zajmował się nowem wydaniem dzieł swego ojca Izaaka D'Israeli: „*Curiosities of Litterature*". Dzieło to przed czterdziestu laty ogłoszone, miało swych czytelników, bo z wielu miar jest uczące i nawet zabawne, a wydane teraz na nowo przez tak znakomitego syna, nabyło tem więcéj wartości, tak dalece, że uchodzi niemal za nowość literacką. Wydał on je w trzech tomach wraz z życiorysem autora i rodowodem familii D'Israelich, napisanym przez wydawcę. Ile zaś wagi p. Benjamin D'Israeli do pracy swego rodzica przywiązuje, będąc rozumie się powodowany w tem uszanowaniem synowskiem dla jego pamięci, można już ztąd osądzić, kiedy w przedmowie swéj do nowéj edycyi położył, albo raczéj za innymi powtórzył ów znany aksyom, iż książka może równie być ważną jak stoczona bitwa; i że pisarz niemniéj może wpłynąć dziełami swemi na losy świata, jak wielki mąż stanu lub wojownik. Toż samo przed nim, pamiętam, tak poważny mąż jak Jan Śniadecki na jednem z publicznych posiedzeń uniwersytetu wileńskiego był wyrzekł: że autor może nawet stać się ważniejszą w kraju od ministra państwa osobą. Według tego, młodszy D'Israeli, lubo sam minister wielkiego państwa, utrzymuje: że Wolter za swych czasów był większym we Francyi od ówczesnego ministra kardynała Fleury, i że dzieła Homera, Arystotelesa, Dantego lub Bakona nie mniéj następstwami są wielkie, jak wypadki pod Actium, Lepanto lub Blenheim. Przyjąwszy to za zasadę, wydawca przechodzi do rodowodu własnych swych przodków rodziny D'Israelich.

Dziad p. Benjamina D'Israelego, według własnego jego wywodu, pochodzi z Włoch, ale należał do rodziny żydowskiéj hiszpańskiéj, która w skutek prześladowania żydów przez inkwizycyę, zmuszoną była wynieść się z Hiszpanii do Wenecyi przy końcu XV wieku. W ciągu swéj wędrówki rodzina uznając za rzecz dogodniejszą dla siebie opuścić swe gotyckie nazwisko (nie wymienia jakie), zamieniła je na D'Israelich, wiodących według tradycyi, ród swój od szczepu jednego z najdawniejszych pokoleń izraelskich. Nieboszczyk Daniel O'Connell, który nienawidził osoby dzisiejszego kanclerza skarbu,

pamiętając o tem jego drzewie genealogicznem, wytknął mu był razu jednego tę starodawność jego pochodzenia, że on prowadzi swój ród w prostéj linii od ukrzyżowanego razem z Chrystusem „Niepokutnika.“ Przeniesienie się D'Israelich z Wenecyi do Anglii łacno da się wytłumaczyć. Wenecya jakkolwiek była bogatą, Londyn był bogatszym, przenieśli się przeto do niego. Żydzi wtenczas zamieszkali w Anglii byli po większej części „Sephardin,“ policzający się do prawdziwych synów Izraela i pyszniący się z tego. Oddawna, jak długo mogli, trzymali się ciągle brzegów morza śródziemnego, a szczególnie Hiszpanii, dopóki nie zostali zmuszeni przez Torquemadę szukać dla siebie gdzieindziéj przytułku. Ci Sephardinowie, mieniąc się być szlachetniejszem pokoleniem, poglądali na żydów północnéj Europy, przybywających do Anglii z Polski, Niemiec i Holandyi, a zwanych ogólnie niemieckimi, z pogardą, ani mięszali się z nimi, mając ich za niższą kastę. Ówczesny minister angielski Pelham miał wielce sprzyjać téj sekcie żydów hiszpańskich; a to dla tego, jak Benjamin D'Israeli twierdzi, że najpierwsze domy szlachty hiszpańskiéj równie jak portugalskiéj, jako to: Medina, Lara, Mendez Costa i Villa Real, były z nimi spokrewnione. Protoplasta czyli naczelnik angielskich D'Israelich do nich się policzał. Nie był majętnym, dorobił się fortuny dopiero w póżnym wieku, i pojąwszy za żonę chrześciankę, zamieszkał w Enfield, nieopodal Londynu. W liczbie gości, co go w jego wiejskiem ustroniu odwiedzali, wspominany jest Sir Horace Mann, znany z swéj korespondencyi ze sławnym Horacym Walpole. Z przywiązania i gustów swoich, dziadek D'Israelego był jeszcze Wenecyaninem. Zasadził sobie ładny ogród włoski, śpiewał kanconety, lubił makarony. Umarł roku 1817 mając 90 lat wieku. Syn jego Izaak, autor wzmiankowánego wyżéj dzieła, nieodpowiedział wprawdzie oczekiwaniom sędziwego ojca, choć nie zawiódł w niczem oczekiwania publiczności. Ojciec bowiem idąc tak za popędem własnym, jak téż za popędem właściwym całéj rasie z któréj pochodził, pragnął, aby syn poświęcił się handlowi. W tym celu wysłał go był do Amsterdamu, aby tam w znajomym mu domu zaprawił się do kupiectwa. Lecz młody Izaak zamiast pilnować kantoru i handlu, wolał poświęcać czas na próżniactwo

jak to wtedy wszyscy uważali. Czytał co mu pod rękę wpadło, a osobliwie dzieła Bayla, Woltera, Rousseau i tym podobne inne, które wtenczas najwięcéj zwracały na się uwagę publiczności. Co jeszcze gorzéj, napisał poemat. Za przybyciem do Anglii, chcąc o zaletach jego zasięgnąć zdania sławnego Johnsona, zostawił rękopism u tego arystarcha, lecz ten zwrócony mu był nieczytany, bo Johuson wtenczas był chory i ümarł. Pamięć tego poematu zaginęła, i może też sam autor późniéj rozpatrzywszy się lepiéj, na zapomnienie go skazał. Pisma jego prozą, jako zbiór spostrzeżeń i rozpraw o rozmaitych przedmiotach, nie podpadają bynajmniéj żadnemu zarzutowi, wytrzymują najsurowszą próbę, zwłaszcza jak teraz wydane staraniem tak utalentowanego literata jak syn jego. W liczbie różnych rozpraw (essays) jakie w dawnéj edycyi czytałem, znajduje się jedna co nas interesuje: „O Elekcyach w Polsce", a mianowicie o Elekcyi Henryka Walezyusza na króla polskiego. Rzecz wzięta z pamiętników ówczesnego pisarza francuzkiego Choinin, z dodaniem do tego własnych Izaaka D'Israelego uwag, nie wypadających wcale na zaletę elekcyj królewskich jakie działy się u nas. Natrafiłem także w dziele tém na parę innych wzmianek o Polsce, lecz nie byłoby teraz dla nich miejsca w *Kronice.*

W tych dniach wpadła mi przypadkiem do rąk książka podróży: „*A month in Yorkshire*". Autorem jéj jest p. Walter White. Opisuje w niéj ciekawą fabrykę w Batley tak zwanéj „*Shoddy*", czyli materyału przygotowywanego do wyrabiania różnych rodzajów sukna w Anglii. Dla wygodniejszego czytania, spalszczam wyraz Shoddy na *Szodę.* Za przybyciem do Batley, zdziwił się p. White, widząc całe ulice zawalone brykami różnego rodzaju gałganów w pakach, które na placach wyładowywano. Naturalnie, przyszło mu na myśl rozpytać się, zkąd i na co tak na pozór nędzny towar tam przywożono? i nadto: na co tyle beczek oliwy *Sevila?* Z odpowiedzi mieszkańców dowiedział się, iż te paki gałganów przywożono tam okrętami z Antwerpii, jak to już z napisów „Anvers" na pakach można było widzieć, dokąd zwożono je z różnych stron północnéj Europy. Mówi zatem: „Pomyśl sobie czytelniku, że w tych pakach znajdują się kawałki siermięg chłopów polskich, szczątki bund

cyganów węgierskich, łaty z odzieży żebraków niemieckich, z łapserdaków żydowskich i brudnych szarych płaszczów sołdatów moskiewskich; nie wyłączając z pomiędzy nich ostatki spencerków pocztyliońskich, znoszonych mundurów żołnierskich, sznurówek elegantek, kapturów mniszych i czamarek szlacheckich. Co za mieszanina łachmanów, co za kupa niepotrzebnéj starzyzny? A przecie to wszystko stanowi materyał i przerabia się na najwytworniejsze sukna w Yorkshire".

Przez ciekawość zaszedł p. White do saméj fabryki, albo raczéj „djabelskiéj jaskini" jak ją zowie, aby się naocznie przekonać, jak się ta starzyzna przetwarza na nowszą. Wewnątrz, aż do ogłuszenia warcząc, hucząc, szczękając, obracały się wirem walce rozszarpujące żelaznemi zębami różne szmaty i wyrzucając do góry tumany wełniastych włókien, zwalając je w kupy jedne na drugie. Te włókna wynoszą się na inne miejsca, gdzie się brakują, a cieńsze i delikatne jako najlepsze, zwilżane były oliwą sewilską. W niektórych kupach masa tak rozrobiona wydawała mu się jakby była ze starych pończoch i skarpetek, tak była brudną; a przecie w kilka dni widział wyrobione z niéj postawy jak najpiękniejszego sukna szaraczkowego, na kaftaniki i strojne mantylle damskie. Same najbrudniejsze ścierki bawełniane, nawet takie co używane są do smarowania machin u pociągów na kolejach żelaznych, bywają tu przydatne do wyrabiania pewnych gatunków szody; a cokolwiek dla niéj nie jest przydatne, i to jeszcze nie pozostaje bez pożytku. Resztki od szody schodzące, stanowią jak najwytworniejszy nawóz pod chmiel, i wywożone bywają do królestwa Kent, sławnego na całą Anglię z najlepszego chmielu. I tak jak p. White słusznie uważa, Szoda nie tylko daje nam odzież, ale i ingredyencyą do napoju, do porteru i piwa. Następnie, opisuje on operacye, jak ze starych włókien w powyższy sposób potarganych, rozrobionych, rozczesanych i oczyszczonych, robi się nowa przędza, jak idzie na krosna, do foluszu, postrzygalni i farbierni. Lecz tym podobne operacye i u nas mniéj więcéj odbywają się, więc jako znane pomijam. Najbardziéj p. White unosi się i ledwie nie zachwyca widokiem ukończonych wyrobów z Szody. Wylicza wszystko co z niéj dla użytku i wygody mamy.

Z niéj wyrabia się odzież dla żeglarzy, osłaniająca ich od wilgoci i surowości powietrza; z niéj filcowe kapelusze i połyskne kamloty, wyrównywające jedwabiom; z niéj gatunek sukna zwanego „Petershams“, którego znaczną ilość wywożą do północnéj Ameryki; z niéj wiele gatunków cieńszych sukien, równie ozdobnych jak wygodnych na odzienie dla kobiet; z niéj wyrabiają na odzież dla mężczyzn talmy, raglany i paletoty, jakoteż innego kroju suknie, w których wyjeżdza się na wyścigi konne, polowania lub w które ubieramy się w dni niedzielne lub galowe. Jeśli tedy Niemcy zaopatrują Anglię w tak ogromną ilość gałganów, to Anglia wywzajemnia się dla Niemiec równą ilością wyrobów swéj Szoddy. Z tych wyrobów najlepsze gatunki na miejscu w Batley przedają się łokieć po dukacie, a z pośledniejszych gatunków można mieć łokieć za szyling (2 złp).

Taką sprawę zdaje p. White z przemysłu angielskiego robienia z gałganów i okrojek, jakie się u nas często ze śmieciami wymiatają, jak najgustowniejszych i kosztownych wyrobów. P. White jest podróżnikiem z profesyi, wędrującym z miejsca na miejsce piechotą po Anglii, i opisującym jéj rękodzielnie, obyczaje ludu i pamiątki krajowe. Wydał on już kilka dzieł takowéj treści popularnym stylem napisanych i czytywanych z wielkiem zajęciem. Niniejsze: „Jeden miesiąc w Yorkshire“ świeżo wyszło z druku.

Zanotowania godne, co prof. Owen zdając na ostatniem zebraniu Towarzystwa brytańskiego sprawę o postępach w różnych gałęziach umiejętności, nadmienił o udoskonaleniach w fotografii. Jednemu z fotografów, panu St. Victor udało się słońce z całą jego promienną jasnością i blaskiem różnéj barwy przenieść jak najdoskonaléj na miedziane tabliczki; wielka jednak szkoda, że nie wynalazł dotąd sposobu na ich zachowanie, tak bowiem delikatne są te *heliochromes* czyli słońcobarwy, jak my je zwać byśmy mogli, że w krótkim czasie jak chuchnienie z lustra, znikają z ich powierzchni. Drugi fotograf De la Rue otrzymał dokładny obraz księżyca, z najdrobniejszemi na blado-światłéj jego szybie szczegółami do rozpoznania, jako to: ostrosłup obserwowany przez astronomów w „Tycho“, dwa ostrosłupy w wzgórzu

nazwanem „Copernicus“, i nawet krawędzie „Arystarcha“, można było na niéj wyraźnie rozpoznać. Za pomocą fotografii otrzymano także planetę Jowisza z wyraźnemi na około niego pasami, jakoteż jego satelity. Trzeci fotograf Scaife otrzymał różne zjawiska w rozwijaniu się dymu, subtelne, niewidzialne dla oka. Utrzymywał przeto Prof. Owen, że pod względem postrzegania zewnętrznego świata, wzrok fotograficzny jest nierównie silniejszym i czulszym od wzroku ludzkiego; co dla tego ostatniego jest niewidzialnem, to tamten w najdrobniejszych rysach chwyta i odbiera wrażenia: zgoła co niedościgłe dla oka i zdaje się nieistnieć, temu fotografia nadaje kształt i byt za spotęgowaniem światła i rozwinięciem go, przez narzędzia ku temu służące. Zastosowania fotografii mogą być rozliczne. W astronomii może ona posiłkować teleskopom, jak to właśnie widzieliśmy. W zoologii służyć może do rozpoznania istot żyjących i zbadania tak organizmu większych jak drobnowidzem tylko dociekanych; w botanice do oznaczenia wzrostu i życia roślinnego świata; w meteorologii do zbadania różnych zmian powietrza; w archeologii do zachowania dawnych pamiątek od zagłady; a w sztuce lekarskiéj nawet stać się może przydatną do wyśledzenia historyi chorób. W najpodlejszem jéj zastosowaniu, fotografia służy za środek dla policyi do chwytania zbrodniarzy.

Oprócz wspomnionego wyżéj Profesora Owen, który był jednym z najznakomitszych badaczów nauk przyrodzonych, miała Anglia jeszcze drugą znakomitość tegoż nazwiska, Roberta Owen, apostoła socyalizmu, który jednakże, mimo całéj jego gorliwości, nie przyjął się na gruncie angielskim. Ten Owen filantrop umarł w rodzinnem swem miejscu Newton w Monmouthshire, dnia 17 listopada, w samą rocznicę śmierci nieodżałowanego Lorda Dudleya Stuart. Robert Owen zeszedł w podeszłym wieku, mając 89 lat. Z nizkiego pochodził stanu, bo ojciec jego był siodlarzem, lecz przez przywiązanie się w ciągu całego życia do swych filantropijno-socyalnych teoryj, pracą i przełamywaniem trudności w uskutecznieniu swych zamysłów, nie tylko dorobił się znacznego majątku, lecz zyskał wziętość u swego rządu i nawet u zagranicznych monarchów. Za młodu praco-

wał w Chorlton pod Manchester jako wspólnik przędzalni z sławnym maszynistą Arkwright. Tu gdy się im powiodło, przeniósł się z nim r. 1784 do New-Lanark w Szkocyi, gdzie na większą skalę założyli przędzalnię z maszyneryą oszczędzającą pracę rąk, biorąc nadto 150 morgów ziemi w dzierżawę i po 2000 ludności na robotnika. Cały zakład w New Lanarku był podług Owena planu urządzony. Były w nim szkoły dla dzieci, były zebrania wieczorne, lektury i rozrywki dla starszych po pracy. Słowem, czem był Fellenberg w Szwajcaryi, tem był Robert Owen w Szkocyi, z tą tylko różnicą, że jak tamten trudnił się w większéj części edukacyą zamożnych elewów, tak ten zajmował się wyłącznie wychowaniem klas niższych, spajaniem je w społeczeństwa i robocze gminy. Przez blisko 30 lat trudnił się Owen zarządem tego zakładu w New Lanark, i w tym przeciągu czasu rozgłos jego imienia nie tylko po kraju, ale i za granicą się rozszedł; rząd angielski począł planom jego sprzyjać, posłowie obcych państw, a między nimi ks. Metternich zwracali nań swą uwagę Co więcéj, Cesarz Aleksander I, podczas podróży swéj po Anglii, ciekawością zdjęty zwiedził New Lanark. Pamiętne są słowa, które po dwugodzinnem przeglądaniu wszystkiego co się znajdowało w zakładzie, miał powiedzieć do Owena ten monarcha: „Wasz kraj jest zbyt przeludniony. Przenieś zakład swój do Rosyi, zabrawszy z sobą 2,000,000 (*sic*), ludzi, a ja przeznaczę wam ziemię na osiedlenie“. Czemu jednakże filantrop tej propozycyi do przeniesienia się do Rosyi nieprzyjął, życiopisarze jego milczą. Dla nieznających stosunków społecznych w Rosyi dziwną się wydawało, że despotyczny rząd chciał zaprowadzać w swym kraju socyalistowskie osady, dla których nawet Anglia, jak się Owen przekonał, nie była dosyć przygotowaną i dojrzałą. Jakoż roku 1828 dla rozwinięcia z większą łatwością swych planów, p. Owen przeniósł się do Meksyku, w skutek układu rządu angielskiego z meksykańskim, od którego Owen miał sobie nadany pas ziemi na 150 mil szerokości odgraniczający Meksyk od Ameryki Północnéj, a obejmujący nawet teraźniejszą bogatą w złoto Kalifornię. Przybywszy do Meksyku, założył w wyznaczonéj mu krainie osadę zwaną „Harmonia“, mającą być podług jego planu wzorową, która je-

dnak mu się niepowiodła, nie wiem z jakich przyczyn; tylko że po kilku latach pobytu w Nowym Swiecie, wrócił zniechęcony do Anglii, i już z niéj się niewydalił. Podobno niektóre z dzieci jego, (miał ich ośmioro) tam pozostały, gdyż jeden z synów piastuje urząd posła meksykańskiego przy dworze neapolitańskim, i był w Anglii przy zgonie ojca. Wiele pism w broszurkach zostawił objaśniających swój system pod względem religijnym i socyalnym. Nie są one bez niewykonalnych urojeń, lubo niezasługują na imie zupełnych utopij, gdyż wiele z swych planów Owen w praktyce z pożytkiem dla siebie i ludu wykonał. Ile rząd angielski oceniał jego plany, najlepszym dowodem jest to, że one były przez lorda Castlereagh monarchom na kongresie w Akwizgranie r. 1817 urzędownie zakomunikowane, w zamiarze, czy nie dałyby się zastosować w innych krajach.

Z resztą, lubo pod wielu względami teoretyk i nawet marzyciel, Owen był człowiekiem z gruntu uczciwym, niezmordowanym w pracy dla ludzkości. Jemu Anglia była winną założenie pierwszéj Ochronki dla małych dzieci roku 1819 w Londynie. — W pięć lat późniéj z jego polecenia sam ją oglądałem, bom się z nim znał. Uznano wkrótce pożyteczność tych Ochronek „Infant school“ dla uboższych klas przez niego założonych, a teraz tysiące ich znajduje się po całym kraju. Tak ludzie najskromniejsi przy wzorowem życiu, przy szlachetnych chęciach i wytrwaniu w swych zamiarach, stają się dobroczyńcami dla społeczności. Robert Owen był jednym z rzędu takich ludzi.

Rzym w listopadzie.

Październik, ulubieniec Rzymian, przeminął, zostawiając po sobie pasmo pięknych wiosennych niemal dni, które zapewne nie długo potrwają, jak to zwykle bywa z pogodą i miłością, tym dniem słonecznym serca naszego. — W upłynionym miesiącu, najpiękniejszym może ze wszystkich dwunastu na siedmiu pagórkach, stara Roma przypomina sobie swe pogańskie czasy i odnawia Bachanalie. . . . Lubo się stała stolicą chrze-

ściaństwa, *Urbs* nie mogła się nigdy całkiem pozbyć bałwochwalskich podań, a bogowie wyrumowani ze świątyń i ołtarzy, mieszkają *incognito* u stóp Kapitolu; wszak Rzym jest przytuliskiem wszystkich minionych wielkości tak narodowych jako i obcych, rodzajem *foyer* graniczącego z tronem i z gabinetem, z pobojowiskiem i z *budoarem*, gdzie rozmaite osoby wielkiego dramatu ludzkiego po odegraniu każda swojéj roli na widowni świata, spotykają się po za jego kulisami swobodnie, bez przymusu i bez maski, pod osłoną dziejowéj wielkości tak szczytnéj, iż przygarnia i zacienia wszelką upośledzoną wielkość, i upadku tak głębokiego, iż wymawia wszelki upadek i łagodzi wszelkie upokorzenie. Tam goście równie polityczni jak mitologiczni, błędni rycerze wszystkich przegranych spraw, mogą dokonywać bez przeszkody swego zdetronizowanego zawodu w dyskretnym pół-cieniu bluszczów rozwieszonych u zgrzybiałych arkad, bowiem w tym ogromnym relikwiarzu ruin jest miejsce dla wszystkich: złamane berło nowożytnego króla dotyka laski rzymskiego augura i utrąconéj kolumny rostralnéj, a królowa Krystyna sąsiaduje z Minerwą ex-boginią i z Jowiszem Kapitolińskim bożkiem emerytem.

Widok tych czcigodnych dowodów królewskich i olimpijskich marności, któremi są otoczeni, sprawia na dzisiejszych Rzymianach ten sam skutek, jaki sprawiała na ich klasycznych naddziadach Horacyuszowskich biesiadnikach, trupia głowa uwieńczona różami i postawiona pośrod puharów falernu jako zachęta do korzystania z nikłych chwil żywota: podwaja w nich niesłychaną namiętność do używania, zanim nielitościwa Parka przetnie subtelną dni ich przędzę, i do wieńczenia się kwieciem i winem, zanim zstąpią do podziemnych bogów. . . Lud rzymski przez rok cały oczekuje niecierpliwie swego października i swoich bachanalii; każdy rzemieślnik odkłada z codziennego zarobku swego dziesięcinę na jesienne rozkosze, a każda Transteweranka wrzuca codzień po bajoku do glinianego *dindarolo*, rodzaju wspólnego skarbca, który pochłania mozolnie oszczędzony grosz kilku lub kilkunastu rodzin. . . I cóż ztąd, że głód i nędza będą częstokroć dojmować przez jedenaście miesięcy, kiedy jeden przynajmniéj da się spędzić prawdzi-

wie po rzymsku, w sposób godny ludu-króla, w dostojném towarzystwie Bachusa i Wenery, tych rodzinnych bogów; kiedy wyglądana przez rok cały chwila przytłumi pod nawałem gorączkowych, szalonych, nadziemskich roskoszy, wspomnienia, zgryzoty i obawy, i upoi Romulusowego potomka ambrozyą i nektarem?.... Zresztą jeśli chleba zabraknie, to Dianna niebieska łowczyni ześle drogą zwierzynę zwaną *forestierem*, to jest cudzoziemcem, którą można skubać, doić i wypierzać bezkarnie, a Neptun błogodajnym trójzębem wyrzuci na gościnne brzegi Civitavecchia daninę jaką Romie władczyni Olimpu, zwykł płacić w naturze. . ludzkiéj. Wszak Europa jest Eponiną, która jako posłuszna córa winna karmić mlekiem swojém posiwiałego rodzica co się Rzymem zowie, przeto, iż leniwemu starcowi mamki się zachciało! Więc zwrócić oczy ku błękitnemu morzu, czyhać na *forestierów* barbarzyńców nieposiadających *civitatem romanam*, i niech żyje radość! *Evoe Bache!*

Skoro zabłysło październikowe słonko, *dindarolo* się rozbija, a pieniądz jak motyl wylatuje ze swéj poczwarki, ciągnąc za sobą gęsim sznurem uciechy i zabawy. Milczący i ponury Rzym ożywia się w okamgnieniu: zewsząd spieszą odkryte eleganckie powozy nájęte za grube pieniądze przez wnuków Cycerona: są one pełne hożych zatybrzańskich dziewcząt, *minenti*, z których jedne powiewają wesoło białemi chorągiewkami, drugie wznoszą oburącz *tamburino* po nad głową. Czoło ich w tył przechylone ugina się pod brzemieniem kruczych warkoczy mienionych jak mora sinemi odcieniami i spiętych srebrnym sztyletem z rękojeścią w kształcie rączki pokazującéj rogi przeciw *jettaturze* czyli złemu oku. Sztylet ten staje się straszliwą bronią w dłoni zazdrosnych kochanek lub nieubłaganych rywalek. Ich posągowe rysy, śniade jak spiż koryncka, ich oczy przymknięte i namiękłe czarnym zwilżonym płomieniem, tchną niepamiętną na nic rozkoszą. Z ich ust napół otwartych, których koralowy łuk zaokrągla się klasycznie nad zębami perlanéj białości, wyrywa się oddech przyśpieszony i gorący: czekasz z nich prawie uświęconego wykrzyknika! *Evoe!*, bowiem dopełniając myślą obraz jaki masz przed oczyma, wplatając ciemną zieleń wina w naturalną falistość tych warkoczy i dając tyrs za u-

wieńczenie miękkiemu tych wyciągniętych ramion obłękowi, widzisz w każdéj z nich Bachantkę, nie taką, jakie stwarzał zimny pendzel Rubensa, szczepiący nieodmiennie jaskrawe rumieńce na opasłych, jednostajnie śnieżnych i obranych z idealności licach swych mitologicznych Flamandek, lecz Wirgiliuszową Menadę, dopiero co zbiegłą z wyżyn Tajgetu, taką, jaką Horacy oglądał z przestrachem na ustronnych skałach, *remotis rupibus*, popędzającą tygrysy bożka, jaką Tycyan i Paweł Veronese odnaleźli po dwudziestu wiekach na pryzmatycznéj palecie swojéj, i wymalowali w dzień południowéj spieki i parnego omdlenia z rozwianym włosem z wezbraném łonem, z błyskawicą w oku, i z duchem pełnym *furoris sacri* i wartogłowych tajemnic Libera.

Te pompy bachiczne napełniające ulice staréj Romy dźwiękiem tamburina i mitologicznemi wspomnieniami, ciągną najczęściéj na ofiarne libacye ku pagórkowi *Testaccio*, który nie jest bynajmniéj członkiem prześwietnéj siedmiu wzgórzów rodziny, jak to nieświadomi archeologii czytelnicy mogliby pomyśleć, lecz topograficznym bękartem urosłym ze skorup amfor i naczyń, których Rzymianie musieli okrutną moc natłuc, kiedy aż wysoka góra z nich powstała. Dowcipna francuzka znajoma moja tak o Testaccio orzekła: „*C'est une montagne romaine formée do pots cassés que les etrangers ont payés*“. Jakoż w rzeczy saméj z kieszeni to cudzoziemców wychodzą do dziśdnia one butelki tłuczone tam przez Rzymian przy październikowych libacyach i coroczném przysparzaniem wzrostu staremu pagórkowi pędzące zwolna ku obłokom sędziwą jego łysinę. Zresztą geologia rzymska przedstawia kilka takich dziwacznych wypadków niemającym nic do zazdroszczenia koralowym lądom, którym Humboldt tak malownicze kartki poświęcił: wiadomo, iż wyspa na Tybrze urosła z rózg, któremi dziatwa rzymska chłostała zdrajcę nauczyciela. W Paryżu, jak to mawiają, nie zrobią z owsa ryżu; ale na téj rodziméj matamorfoz ziemi rózgi zamieniają się w ostrowy a potłuczone garnki w góry: kto wie, jakie jeszcze przeobrażenia Rzym, stary Proteusz gotuje nam na przyszłość?

Inni święcący bachanalie Rzymianie z innemi uroczemi Bachantkami udają się *fuori di porta* na kampanią

rzymską, lub do winnic położonych za miastem i nad brzegami Tybru. Tam się odbywają tak zwane *vignate* czyli wiejskie uczty: pod chłodnikami oplecionemi bluszczem i szerokiém liściem wina, radosna drużyna zasiada na ławach wkoło stołów na prędce urządzonych; częstokroć zręb laskowanéj kolumny lub misterny kapitel zniknęłéj jakiéjś świątyni służy im za podstawę; częstokroć przez podartą połę płaszcza dumnie opartego biesiadnika przegląda utrącona płaskorzeźba i łono pięknéj nimfy albo gracyi okrągli się pod słonecznym promieniem. Na stołach tych, *orvieto* pozłaca szklanice, piramidy makaronów się piętrzą, miłe dźwięki mandoliny wtorują brzękowi potrącanych wiwatów; znagła żwawy *tamburino* odzywa się w dłoni córek Transteweru; na pobliskiéj murawie, gdzie się wszczęła narodowa *tarantella*, ogromne ich warkocze, różnofarbne stroje, posągowe postawy rysują się na tle sinych gór i dali zamglonéj światłemi tumany. Obrazy te godne Leopolda Roberta, mają za ramy pnące się ino i mętne pasmo Tybru, który zawsze powolny, majestatyczny, żółtawy jak za czasów Horacego, *Flavus Tiberis*, toczy cicho swe nurty świadome wszystkich dramatów i zbrodniczych tajemnic od Nerona i Heliogabala do Borgiów; albo też wielkie widoki okolicy rzymskiéj, pomniki drogi Appii, niedobitki światowładnéj Romy, i wodociągi Klaudiusza i Nerona przedłużające ciemny swój grzebień po nagich liniach kampanii rzymskiéj. . . ..

Słońce październikowe jasne i ciepłe jak u nas w sierpniu, przyświeca spokojnie włoskie szafiry; kampania ta olśniona jego promieniami rozpościera swój milczący obszar podobny nieco do ukraińskiego stepu, między wodociągami i nagrobkami temi; rzeki co niegdyś po tych tryumfalnych łukach płynęły napowietrznie ku Rzymowi i narody napływające do niego temi drogami, osiękły zarówno i przepadły, a bluszcz ostatni spadkobierca rzymskich świetności, pełza teraz w łożysku wody i w łożysku pokoleń, nad którém się bieli marmurowy piasek pomników. Starożytni, nieporównani filozofowie, stawiali swe groby przy gościńcach: byłoto najjenialniejsze zestawienie szybkiéj żywota podróży z jedyném rzeczywistem mieszkaniem, ze śmiercią. Bujne pastwiska zielenią się jak okiem zajrzeć, a wiatr rzuca ich powonną

falę na poczerniałe zwaliska wystające tam i sam z tego morza roślinności, niby szczątki wielkiego rozbicia starożytnego świata. Nieraz czarny łeb z przysiadłemi rogi, z dzikiém i krwawém okiem, podnosi się nad niém, wietrzy przelotne powiewy i śle ponure ryki wskróś pustkowia: to bawół ukazujący trzodzie swojéj bród w téj trawistej powodzi. *Cavalcatore* spieszy za nim; jestto konny pasterz bydła; nosi on koniczną czapkę, skórzane nakolanki w kształcie zbroi i dzierży w ręku długą włócznię opatrzoną na końcu ostrym poganiaczem, którym bodzie czarne ściśnione grzbiety bawoléj trzody. Październik bowiem cały do połowy listopada jest najprzedniejszą porą paszy, w któréj wszyscy pasterze zstępują z gór lub wychodzą z lepianek swoich rozsianych po *agro romano*. Na innych jego miejscach jestto czas sianożęci; rosłe rzymskie woły uwieńczone pół-księżycem ogromnych swych rogów, ciągną poważnie ku wiecznemu miastu siano świeżo zebrane z pokosu a uginające pod swoim ciężarem wielkie wozy, które nie zmieniły się ani odrobinę od czasów Wirgiliuszowych:

Magna Matris Eleusinae volventia plaustra.

Daléj na widnokręgu zachodzące słońce rozkłada różowo-pomarańczowy wachlarz swych promieni za ciemną sylwetką klaudiuszowego wodociągu, którego bluszczane festony wzorują się malowniczo na rozgorzałym złotokoście obłoków. Samotny *pifferaro* ze źrenicą wlepioną w ten nieméj świetności obraz, z drewnianém obuwiem spoczywającém na szerokich płytach pomostu nowo odgrzebanéj *Via Latina*, siedzi u wnijścia podziemia i dobywa ze swéj kobzy tonów tęsknych i jak ta pustynia dzikich. Nawiedźmy mimowolnie to podziemie, bowiem od kilku miesięcy uczeni i ciekawi włoscy i cudzoziemscy ściągają się nieustannie do niego. Są to niedawno odkryte przez p. Wawrzyńca Fortunati groby rzymskie, groby Serwiliuszów i Waleryuszów, istne skarbce archeologiczne, które zazdrosna ziemia taiła do dziś dnia w swém łonie, i zamiast je wydać wówczas, kiedy starożytność powszechne odbierała hołdy, kiedy Leon X kupował na wagę złota rękopism Tacyta, a kwiat mędrców zebrany wkoło Wawrzyńca Medyceusza odna-

wiał złote wieki Hellady i Romy, ukazała je obliczu dzisiejszego słońca, i jak niedyskretny wydawca rzucający obojętnemu tłumowi serdeczne kartki dziennika kochanków, rozwarła przed naszém rachunkowém, kupieckiém i prozaiczném pokoleniem podwoje tych przybytków śmierci pełnych tajemnic, wspaniałości, atycyzmu i téj rytmicznéj poezyi, jaką tchnęło życie zgasłego przed dwudziestą wiekami spółeczeństwa.

Wąskie wschody prowadzą w głąb ziemi; pochodnia ci przewodniczy rzucając czerwone odblaski na wilgotne ściany, dreszcz cię zejmuje mimowolnie. . . . lecz zaledwie przestąpiłeś próg grobowéj sali, stajesz znienacka w innych wiekach, oko twéj wyobraźni ulega wstecznemu złudzeniu, a starożytność do razu wyczarowana z poziomu, nie martwa i skrzepła ale niby we śnie magnetycznym pogrążona, owiewa cię napół także sennym urokiem i ogrywa dokoła harmonią prostéj linii. U sklepistego stropu wisi grobowa starożytnego kształtu lampa; zapalono ją po dwóch tysiącach lat, a jednak rzekłbyś że jéj płomyk nie zagasł ani na chwilę odkąd go rozniecił a osłonięta postać rzymskiéj jakiej płaczki, tak nowemi, tak białemi są po dziśdzień misterne stuki na które pada migotliwy jego promień! Zda się, że nawet niepożyty Chronos usnął czy zamarł w tem mieszkaniu śmierci, lub że się zstąpiło głębiéj niż dno, którém płynie bieg czasu. Błędne oblaski w kapryśném kołowaniu przebiegają kunsztowne zakręty uwypuklonych arabesków i floresów, i wykrawają z cienia wplecione pośród nich medaliony. Na medalionach tych w ślad za światłem wiruje cały rój starożytnych mytów lekkich jak urojenia, kształtnych jak gracye a świeżych podwójną świeżością zdumiewającego zachowania i niewiędnącéj młodości greckich natchnień. Wszystek zamierzchły Olimp budzi się, odświeża i odmładza: najady tańczą z faunami, kupidynki ujeżdżają trytonów i gryfów, jelenie i centaury przewożą na grzbiecie swoim nimfy porwane uściskowi bogów, a cały świat ten przejęty na wskróś elizejską pogodą, drga, śmieje się i wiośnieje pomieszan z kwieciem, przyrosły do fantastycznych pączków i kielichów, zakuty w girlandy i festony. Osią jego obrotu jest środkowa luneta, a na niéj trzy niebiańskie postacie niewieście, trzy sny artystyczne uwi-

domione za pomocą przezroczystéj draperyi i uwieńczone różami, tak lekkie i przewiewne, że czujesz ich nieujętość i ich posuwistość; są to Hory czyli Godziny: snać artysta wybrał ich trzy tylko, ale najszczęśliwsze z całego żywota, trzy godziny godne apoteozy, godne służyć za środek i ognisko olimpijskiéj szczęśliwości i urągać się mimo swą nikłość i przelotność niewzruszonym tajemnicom Libityny i ciemnemu Awerny wstępowi. Artysta ten musiał być kochankiem.

Ale zdumienie twe wzrasta, gdy przechodzisz do innego grobu: co rzeźba wyraziła w pierwszym jedynie za pomocą bezmownego gipsu i saméj rysunku doskonałości, to w drugim nabiera od malarstwa barwy, życia, teraźniejszości. Cudne freski uzupełnione białemi i kolorowemi stukami, rozwijają przed tobą gdzieś w zapomnianém podziemiu artystyczną wspaniałość złotego wieku Augusta, bliźnięcia Peryklesowych cudów, i dozwalają oku twojemu wniknąć i wtajemniczyć się w najwnętrzniejszą cząstkę życia starożytnych ludów ocalałą w grobowcu. Zda się, że ten grobowiec jest czarnoksięską latarnią zastósowaną do czasu, i że po jego ścianach przechodzą farbiste cienie zdalonych o dwa tysiące lat przedmiotów i odblaski słońc zaszłych bezpowrotnie. Tam na tle czerwoném, zieloném i czarném przedziwne nimfy gdyby świeżo wykwitłe z pod pendzla malarza chodzą o wdzięk, prostotę i boskość z pompejańskiemi tanecznicami, lubo niemasz w Pompei, gdzie wszystkie domy są pozbawione dachów i pułapów, podobnego temu sklepienia. Tam jedyne w swoim rodzaju krajobrazy dają nam wyobrażenie o ogrodnictwie Rzymian, dołączając po dwudziestu stuleciach przepyszne ryciny do niezrozumiałych dla nas opowiadań Tacyta i rzymskich dziejopisarzy o bajecznych willach cezarów i patrycyuszów, Lukullusa, Sallustyusza i Messaliny: spostrzegamy w gęstwinie rozłożystych drzew, pośród misternych wodotrysków i sadzawek, altany, pawilony i kioski, które niemają nic do zazdroszczenia najfantastyczniejszym płodom maurytańskiéj i chińskiéj wyobraźni. Między temi krajobrazami rajskie ptaki wiją sobie gniazda w kwietnych splotach i mieszają swe jaskrawe pióra do ich różnobarwnych odcieni; pełne smaku wiązanki tkwią w kryształowych urnach, a naśladowanie

jest tak łudzącém i dochowanie tak doskonałém, iż przejrzystość wody przegląda wskróś przejrzalnego naczynia, i widać kąpiące się w niéj łodygi otoczone lekką pianką. Freski te mają za węzeł i za podstawę mitologiczne grupy, centaurów w zapasach z rozlicznemi poczwarami, karjatydy w płaskorzeźbie z pomalowanego gipsu, i eleganckie wypukłe kolumnady bieżące rąbkiem wzdłuż obrazów i noszące na nadsłupiu mitologiczne i homeryczne figury. Tajemniczy blask rzymskiej lucerny podobnież tam wiszącéj, rozświeca to wytworne sklepienie i zlewa się świetelną bladością na białe sarkofagi ustawione długim rzędem pod murami komnaty i zajmujące jéj środek. Grobowe światło zemdlone pomroką, słabém, przyćmionem i miękkiém jak aksamit dotknięciem pieści się z pentelickiemi i paryjskiemi marmury, w które greckie lub zbliżone mistrzostwem do greckiego dłuto wcieliło formy wszechwładnéj piękności. Eros, to dziecię starsze podług Hezyoda od Erebu i Nocy, starsze od Chaosu, położyło się na jednym z sarkofagów; głowa przedwiecznego młodzianka spoczywa na rozkwitłych makach godle snu i nocnych marzeń; okrągłość jego członków nie łamie się żadną ostrością i nie nabiega żadną żyłą, jakoby nie krew krążyła po tych zidealizowanych kształtach: wyłączna cecha bogów podług Winkelmanna i znak jakiego używali wielcy helleńscy mistrzowie na wskazanie ich nieśmiertelnego rodowodu. To marmurowe ciało zda się być napełnione powietrzem i światłem; cień nawet niemoże się niejako utrzymać na jego atłasowéj gładkości i opadając szarym puchem w niższe wklęsłości marmuru, podściela pod nie mroczną warstwę, na któréj utoczony jego zarys białéj i wypukłéj odbija. Obnażone te i boskie kształty przezierają przez pomrokę grobu jak przez bryłę bursztynu, a połysk lampy drży nad niemi jak gdyby niewidoma Psyche kłoniła się znowu nad uśpionem kochankiem i rozświecała w trwożliwym zachwycie nieśmiertelną jego urodę. . - Nigdy dwie tajemnicze siostry Miłość i Śmierć tak nie harmonizowały ze sobą.

Między grobowemi napisami jeden szczególnie zwrócił mą uwagę; niepodobna w tkliwszy i delikatniejszy sposób streścić pochwały umiłowanéj osoby:

SERVIENIVS· DEMETRIVS·
VIVIAE· SEVERIAE· CONIVGI·
QVAE· VIXIT· AN· XXII· MENS· VII· DIES· VIII·
CVM QVA· MIHI· SEMPER· BENE· FVIT·

Czyliż ten wyraz: *Z którą mi zawsze dobrze było*, nie zawiera całych długich serca dziejów pod prostą i wstydliwą osłoną króciuchnego zeznania? — I wieluż to u nas mężów mogłoby dzisiaj dać swoim żonom taki wiekuisty lapidarny patent: *Cum qua mihi semper bene fuit?*

Ale spostrzegam, że grobowa zaducha i nierozweselona posępność moich opisów powlekły bladością rumieniec pięknych czytelniczek: wróćmy więc na boże powietrze. . . . Świeci tam dotąd słońce październikowe; ale w chwili gdy kończymy, tramontana wcześniej niż zwykle powiała. Wygnani jéj ostrym podmuchem z willów i zamków swoich, Rzymianie tłumnie wracają do wiecznego miasta, a w gronie przybyszów pokazuje się tam i sam polska rodzina. Zapewniają nawet, iż téj zimy towarzystwo nasze uchyli się nieco od przyjętego oddawna systemu szczelnego zamykania się we własném kółku, i że się utworzy kilka punktów zetknięcia polskiego żywiołu z krajowym. Wypadnie to może na naszą korzyść, bo wszak nie dla tego się podróżuje, ażeby się otaczać chińskim murem w tej Italii, do któréj tak skwapliwie spieszyli przodkowie nasi przed dwoma wiekami, a któréj my w turystowskich naszych wycieczkach poznajemy tylko hotele i publiczne pomniki. Panie także nasze i panny z wyższego szczególnie towarzystwa skorzystają, zapewne z tych stosunków z południowemi kobietami, od których nieraz można się nauczyć naturalności, nieprzesadnéj prostoty, wyrozumiałości dla bliźniego i. . . nawet. . . dobroci.

Napiszę wam inną razą o salonach polskich w Rzymie, gdy takowe będą i zalecą się kronikarzowi waszemu wybitnemi jakiemi rysy. . . . Teraz zaś śpieszę korzystać ze słonecznych pożegnań października, dopóki tramontana nie weźmie stanowczéj przewagi, i puszczam bardzo chętnie w niepamięć salony nasze i własne me zajęcia na czas jakiś, powtarzając z przyjacielem Horacym: *Beatus ille qui procul negotiis*, itd. itd.

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Najważniejszemi publikacyami zajmuje się wydawnictwo Biblioteki polskiéj p. Turowskiego. Właśnie w tych czasach rozpoczęto przedruk Paprockiego *Herbów Rycerstwa polskiego*. Dotąd wyszło cztery zeszyty w 4ce, ozdobne drzeworytami herbów, drukiem wyraźnym z stósownemi odmianami i ustępami, co w tego rodzaju dziełach bardzo pożądane. Cieszymy się wielce, że Paprocki będzie dostępnym massie czytelników, oprócz bowiem saméj wiadomości o różnych starożytnych domach, znaleść w nim można niezmiernie ciekawe ustępy z pamiętników familijnych — słowem jest to nieoceniony skarbiec podań ojczystych. — Oprócz tego wielkiego dzieła wychodzą swoim trybem drobniejsze przedruki rzadkich broszur 16 i 17 wieku, jako to: *Dwór Cesarza Tureckiego* i rezydencya jego w Konstantynopolu, opisany przez Szymona Starowolskiego.— Niemniéj dwa ważne pisemka z czasów Zygmunta IIIgo *o Konfederacyi Lwowskiéj* w r. 1622 uczynionéj nauki, i *Exorbitancya powszechna*. — W drukarni Czecha, która przeszła teraz pod zarząd Franciszka Mikulskiego, wyszły bardzo czysto ozdobnie i poprawnie wydane *Kazania Passyjne* tudzież na uroczystości niektórych świętych, oraz przygodne. — Autorem tych kazań X. Henryk Księżarski kaznodzieja katedralny krakowski. — Przedmiot tych kazań następujący: Siedm słów: Słowo przebaczenia, miłosierdzia, opieki, cierpienia, pragnienia, posłuszeństwa, ostatniej modlitwy. Kazania: na uroczystość ś. Wacława. na uroczystość przeniesienia ś. Stanisława bis. krak.— na uroczystość ś. Jana Kantego— na uroczystość ś. Jozefa Kalasantego. — Na zakończenie roku. — O przyczynach niedowiarstwa, o wpływie niedowiarstwa na rodziny i narody. Księgarz Wildt znany od lat kilku ja-

skiego. — W drukarni zakładu ko wydawca *Kalendarza powszechnego*, i na rok przyszły, wygotował już kalendarz, który oprócz zwykłych wiadomości niezbędnych w kalendarzach, zamieszcza jeszcze artykuły belletrystycznéj i uczącéj treści, jakto: Podróż Piusa IX w r. 1857 – Feldmarszałek Radecki — X. Piotr Skarga (z drzeworytem) Grota Fingala — Ludwik Kondratowicz (z drzeworytem) — Walcer z Tyńca - Legendy krakowskie — Oświęcim i Zator — Dwóch sułtanów — Dzika koza Różne poezyje — O śnie — Chleb — Uroczystości w różnych krajach — O składzie telegrafu podmorskiego — Najnowsza amerykańska machina do szycia — i mnóstwo innych ciekawych artykułów przemysłowych, technicznych i gospodarskich. Szkoda tylko że wydawca niepowierzył lepszemu rytownikowi portretów Syrokomli i Xiędza Skargi; te bowiem co są wcale niemówią na korzyść rytownika, a bardzo na niekorzyść osób które mają pretensyę wyobrażać.

Donosiliśmy już w *Czasie* o projekcie wydania dzieł Długosza, które to przedsiębiorstwo, wziął pod swoją opiekę znany z ofiar dla sprawy oświaty i nauki hr. Alexander Przezdziecki — Porównanie textów rękopiśmiennych historyi, wydanie niewydanych dotąd kodexów, a nadewszystko zebranie jego listów — oto jest ogrom zachodów czekających wydawców tego dzieła, które samo jedno wystarczyłoby na nieśmiertelny pomnik dla Ojca historyków Narodu polskiego.

Lwów. Tamże nakładem ck. galicyjskiego funduszu naukowego wydał p. Henryk Suchecki: Wypisy polskie dla użytku klas wyższych szkół gymnazyalnych, które poprzedza przegląd form gramatycznych języka staropolskiego. — W Wydawnictwie Ossolińskich wyszedł już 4ty tom słownika Bogumiła Lindego. W tomie tym, gdzie litera P. przychodzi, wydawcy niemogąc korzystać z pozostałych rękopismów po Lindem, gdyż w nich niedostaje litery P. sami dopełnili przeszło 200 wyrazów i objaśnień.

P. Henryk Schmitt ułożył z materyjałów rękopiśmiennych znajdujących się w zbiorach P. Batowskiego książkę pod tytułem: Rokosz Zebrzydowskiego. W przedmowie ściéra się ostro z autorem wieku Skargi, Zbigniewa Oleśnickiego, historyi Lissowczyków itd. — Ponieważ Autor powyższych dzieł ma swoje uznane stanowisko, wypada pierwéj dowieść, że to stanowisko jest szkodliwém.

Warszawa. Listopadowy numer Bibl. Warszawskiéj mieści artykuły następującéj treści:

Rozkwit piśmiennictwa polskiego. Przez Dominika Szulca... Powstanie w Konstantynopolu. R. 532. Opowiadanie historyczne przez R. Th. Obrazy Dagestanu, przez Julian S.. V. Zwyczaje religijne i obchodzenie świąt...

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Lew paralityk, opowiadanie Gerarda. — Il faut que jeunesse se paye, komedya Gozlana. — Le marchand malgré lui, komedya w pięciu aktach wierszem przez p. Rolland. Grecki Edyp w teatrze francuzkim. — Obrady kongresu nad własnością literacką. — Pamiętnik hrabiego Miot de Melito.

Wiadomości literackie...

Poezye. Biała góra E. Fulhama. Z angielskiego przełożył Felix Jezierski. — Proroctwa Dantego. Z angielskiego Lorda Bajrona przełożył Michał Budzyński.

Kronika literacka. Uwagi nad rozprawą: O broni siecznéj w Pol-

kowskiego, przez Józefa Mączyńskiego. Barbara Radziwiłłowa, czyli początek panowania Zygmunta Augusta. Poema dramatyczne przez A. E. Odyńca, przez A. A. K. — Teka wileńska, wydawana przez Jana ze Śliwina. Numer 3 i 4 Wilno 1858. przez K WP. W. — Ludzie prości szkic obyczajowy przez Jerzego Laskarysa. — Wiejscy politycy, komedya we trzech aktach wierszem Wład. Syrokomli— Leliwa, komedya we dwóch aktach. — Aleksanhra Woronewicza Obrazki współczesne: Serce w worku, komedya w 4ch aktach, i Poludzku i pobożemu, komedya w 3 aktach. — Mieczysław I książe polski. dramat w 5ciu aktach. napisał N. Bredkraicz. przez Kazimierza Kaszewskiego. — Czas, dodatek miesięczny za sierpień 1858. — Album cesarskie, wydawane przez zgromadzenie Mechitarzystów w Wiedniu 1858 ...

Kronika bibliograficzna zawiera szczegóły ze świata literackiego Warszawy które podajemy:

— Opera w jednym akcie Flis, Stanisława Moniuszki, do której libretto napisał S. Bogusławski, znany komedyo-pisarz, ściąga ciągle licznych widzów i za każdém przedstawieniem Wielki Teatr przepełniony. Publiczność nasza ceniąc zasługi i talent Moniuszki, wita go zawsze grzmotem oklasków, gdy się jako dyrektor ukaże w orkiestrze, a po skończonéj operze wywołuje na scenę. Nasz kompozytor pracuje obecnie nad nową operą w trzech aktach p. n. „Rokiczana“, do któréj wysokiéj wartości literackiéj napisał libretto Józef Korzeniowski. Tak więc dźwiga się z upadku nasza polska opera, którą wskrzesił i dorazu na tak wzniosłem postawił stanowisku Moniuszko. Wyjątki z opery Flis, ogłosił i wydał księgarz Gustaw Sennewald.

— Nakładem S. H. Merzbacha wyszedł tom VII pism Adama Mickiewicza. Obejmuje: „Rzecz o literaturze słowiańskiéj wykładaną w kollegium francuzkièm“ (1840 — 1841) ciąg dalszy. Tom VIII i ostatni, przy którym będzie życiorys Mickiewicza, już się zaczął drukować. Przy wydanym tomie dołączył wydawca trzy śliczne sztychy podług rysunku Alex. Lessera, przedstawiające: Grażynę w zbroi, Ucztę krzyżacką i powieść Wajdeloty; pięć resztujących sztychów dołączone będą przy VIII tomie.

— Zarząd komitetu opiekuńczego dam domu schronienia Opieki N. P. Maryi, ogłosił dziełko p. n. „Głos ubogiéj matki do córki na służbę idącéj.“ Praca p. Katarzyny z Lipińskich Lewockiéj, odznacza się tak moralną dążnością i jasném pojęciem przedmiotu, tak liczną u nas klassę obejmującą, jak zarówno prostotą wykładu, stylu i czystością języka. Wyjątki niektóre z tego rękopismu, ogłosiła poprzednio Czytelnia Niedzielna. Pismo to, którego wziętość coraz się powiększa, podaje obecnie obok zwykłéj treści artykułów, życiorysy kmieci naszych, przedstawionych Towarzystwu rolniczemu do nagród za życie moralne, religijne i gospodarstwa wzorowe. Roczniki gospodarstwo krajowego podały je w treści; obszerniejsze ogłasza Czytelnia Niedzielna. Pocieszające są to przykłady dla każdego kraj miłującego obywatela, że znajduje pomiędzy tym ludem, pogardzanym tak długo, wzory, owych postaci patryarchalnych, które podane w utworach literackich, poczytanoby

sce, napisaną przez Józefa Łepraczéj za wymysły fantazyi autorskiéj. Proste opisy ich prac i żywota; dają obrazy pełne wzniosłości, które obudzają podziw i cześć zarazem

— Pamiętnika Religijno-moralnego wyszedł zeszyt 10 za miesiąc październik i obejmuje: 1) Opis kościoła Farnego w Chełmie (w Prusach) według monografii niemieckiéj Dra Jana Seemana, nie znajdującéj się w handlu księgarskim; 2) Ubogie kościoły we Francyi; 3) Synowie Jakóba przez księdza W Serwatowskiego; 4) Korrespondencya z Mohyletewa Wacława Żylińskiego; 5) Kronika kościelna i Rozmaitości; 6) Wiadomości naukowe i Bibliografia duchown .

— Ogłoszano w pismach warszawskich n stępny konkurs: Przywodząc do skutku myśl zmarłéj hrabiny z Gutkowskich Zabiełłowéj, wzniesienia nowego kościoła katolickiego przy placu Grzybowskim zwanym; ustanowiony w tym celu komitet wzywa pp. budowniczych, o przygotowanie planów konkursowych do téj budowy. Koszta budowy kościoła oprócz wież i kopuły, przenosić nie mają summy 100,000 rsr. Autor planu, za najlepszy uznanego, otrzyma medal złoty większy. Drugi medal mniejszy przeznacza komitet za plan, mający największe zalety po pierwszym. Prezydującym w komitecie jest prałat, dziekan kapituły metropolitalnéj warszawskiej ks. Deckert.

— Konstanty hr. Tyszkiewicz wydawca Pomników rytownictwa krajowego w r. b., zamierza ogłosić drukiem zajmujące i nauczające opisy wybrzeży Wilii. Od lat wielu przysposabiał materyały, od kilku lat po wybudowaniu własnym kosztem odpowiedniéj do swego zamiaru flotylii, zwiedzał szczegółowo wybrzeża Wilii, zbierał podania i pieśni ludowe, rozkopywał kurhany, śledził rumowiska grodów, zamków i kościołów. Zacne te, szlachetne i prawdziwie obywatelskie prace, szczęśliwie do zamierzonego celu doprowadził. Obecnie zajmuje się ostatnią redakcyą opisu swego. Dzieło wyjdzie w Lipsku w illustrowanéj edycyi, drzeworyty już są zamówione i w części wykonane. Wydanie z całym przepychem i starannością typograficzną.

— Księgarz Gustaw Sennewald nabył rękopism J. I. Kraszewskiego: „Dziennik podróży", który ten ulubiony pisarz skreślił w wycieczce tegorocznéj za granicę, rozpoczynając od Krakowa. Dzieło to, obejmujące cztery tomy, zacznie się w roku przyszłym drukować.

— Nakładem Karola Bornstejna księgarza, wyszedł poczet piérwszy oddziału 2go Klejnotów poezyi polskiéj. Dodany tu jest drzeworyt popiersia Kazimierza Brodzińskiego, wykonany w zakładzie drzeworytniczym J. Minhejmera w Warszawie. Ani podobieństwem, ani wykon niem nie odpowiada znanym nam dotąd drzeworytom z zakładu J. Minhejmera

— W dalszym ciągu zbioru pism Klementyny z Tańskich Hofmanowéj wyszedł tom IIIci „Rozrywek dla dzieci", nakładem S. H. Merzbacha, obejmujący powieści historyczne, chronologicznym porządkiem ułożone. Pomiędzy temi mieszczą się „Listy Elżbiety Rzeczyckiéj z czasów Augusta III i ów prześliczny Dziennik Franciszki Krasińskiéj w ostatnich latach panowania te-

goż króla pisany, a który stoi na czele pierwszych powieści historycznych."

— Nakładem litografii A. Pecq'a wyszły dwa zeszyty VI i VII: „Arcybiskupów gnieźnieńskich i prymasów." Wizerunek z galeryi łowickiéj, objaśnione t xt m historycz ym przez Juliana Bartoszewicza. Obejmują portrety i życiorysy: 1) Filipa herbu Gozdawa; 2) Marcina herbu Boduła; 3) Włościborza herbu Pomian; 4) Henryka IIgo z Brenu; 5) Jakóba IIgo herbu Świnka; 6) Borzysława; 7) Jana IIIgo; 8) Jarosława Bogorya ze Skotnik, zmarłego 1376 r. Żałować należy, że publikacya ta, dostępna rozkładem prenumeraty i taniością swoją, nie znalazła należytego poparcia w tym właśnie stanie, który najwięcéj obchodzić powinna. Miłośnicy tylko pamiątek narodowych pośpieszyli z prenumeratą; gdy ich liczbę odejmiemy od ogólnéj cyfry, znajdujemy tak małe grono duchownych, że podziwu swego zataić nie możemy. Już pamiętnik Religijno moralny uskarżał się na obojętność duchowieństwa polskiego, które nie poparło tego organu: a przecież u nas nie brak jeszcze i bogatych probostw i beneficyów zamożnych. Publikacya A. Pecq'a nie powinna być obojętną dla duchownych naszych tak portretami jako i treścią.

— Fryderyk hr. Skarbek napisał dwie nowe komedye: jednę p. n, „Lekarstwo" w jednym akcie, drugą obszerniejszych rozmiarów p n. „Urzędniczka". Wacław Szymanowski ukończył dramat w 5ciu aktach wierszem „Sędziwój." Myśl główna jest ta sama, co i w Alchimiście Maryi Ilnickiéj. Dramat W. Szymanowskiego ma być niedługo przedstawiony na scenie warszawskiéj. Dwa pierwsze akta odznaczają się szczególniéj wysoką wartością artystyczną i życiem dramatycznem.

Kijów. Wyszły tam w drukarni uniwersyteckiéj pisma urywkowe wierszem i prozą Józefa Prospera Gromadzkiego wydane przez Antoniego Sroczyńskiego. Ów Gromadzki jest, jak widać osobą zbiorową. Książka ta bowiem składa się z artykułów rozmaitego pióra. Z *poezyi* następujące są kawałki treści lirycznéj: Odrodzenie — Do pieśni, Do Józefa Ignacego K. (Improwizacya) — Do Aleksandra Zygmunta W. — Status animae — Życie (dwa sonety) — z Hajnego — Jesień — Dumka — Ranek — Do wioskowego lirnika — Westchnienie na stepie — Ukrainki — Szczęście — Tęsknota — Sen Tęsko ach, tęskno! Z *prozy*: Zamiast przedmowy — O tém i owém — Słowo serca i przekonania o pojedynkach — Przegląd dziejów piśmiennictwa polskiego Jana Majorkiewicza i Ludwika Kondratowicza — Uwagi nad znaczeniem prowincyonalizmów w dziejach Polski — Studia nad historyą Akademii Krakowskiéj.

Antoni Kłobukowski Redaktor odpowiedzialny. Stanisław Gralichowski za Rządcę drukarni.